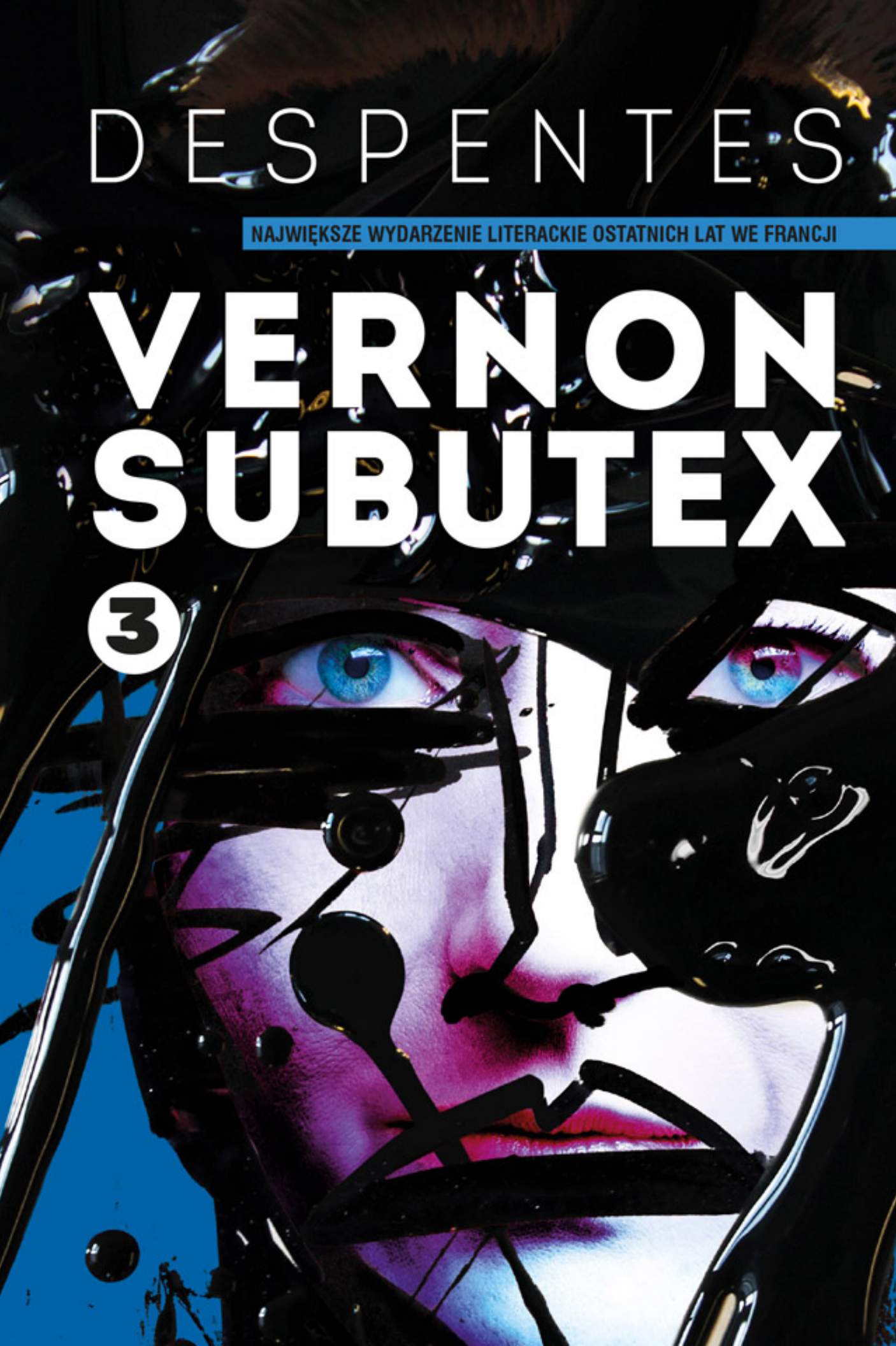


DESPENTES

NAJWIĘKSZE WYDARZENIE LITERACKIE OSTATNICH LAT WE FRANCJI

VERNON
SUBUTEX

3



VIRGINIE
DESPENTES

**VERNON
SUBUTEX**

TOM **3**

TLUMACZENIE JACEK GISZCZAK



OTWARTE

KRAKÓW 2018

In memoriam Sven Polhammer

*Look up here, I'm in heaven
I've got scars that can't be seen
I've got drama, can't be stolen
Everybody knows me now.*

David Bowie, *Lazarus*

LISTA OSÓB POJAWIAJĄCYCH SIĘ W POPRZEDNICH TOMACH

Charles

Bywalec parku des Buttes-Chaumont i okolicznych barów. Spotyka Vernona na początku drugiego tomu, gdy ten, chory, z wysoką gorączką, przesiaduje na parkowej ławce. Charles otacza go opieką i zostaje jego przyjacielem. Kiedyś zgarnął główną wygraną w lotto i zdecydował, że nikomu o tym nie powie.

Kiko

Spekulant giełdowy uzależniony od kokainy. Mieszka w ósmej dzielnicy Paryża. Przekonany, że Vernon jest genialnym didżejem, przez pewien czas gościł go u siebie, potem wyrzucił go za drzwi, by w końcu się z nim pogodzić.

Alex Bleach

Wokalista rockowy, który na początku tomu pierwszego umiera w pokoju hotelowym na skutek przedawkowania narkotyków. Dawny przyjaciel Vernona. Nagrał wywiad z samym sobą na dwóch kasetach – przedstawił swoją historię, zwłaszcza konflikt z Dopaletem, i oskarżył Dopaleta o to, że przyczynił się do śmierci Vodki Satany (wielkiej miłości Alexa).

Véro

Na krótko pojawia się w drugim tomie jako partnerka Charles'a. Zawsze trzymała się z dala od grupy Subutexa.

Pamela Kant

Była gwiazda porno, geek. Przyjaźniła się z Vodką Sataną. W drugim tomie brała udział w poszukiwaniach Vernona, a następnie została jego przyjaciółką.

Marcia

Transseksualistka pochodząca z Brazylii. W Paryżu czesze modelki do sesji zdjęciowych. W pierwszym tomie mieszkała w apartamencie Kiko. Gdy Vernon zakochał się w niej do szaleństwa, zniknęła.

Laurent Dopalet

Producent filmowy, pięćdziesięciolatek, ojciec Antoine'a. W tomie pierwszym zatrudnia Hienę, chcąc odzyskać kompromitujące go kasety Alexa Bleacha. Pod koniec drugiego tomu zostaje zaatakowany przez Aïchę i Céleste, które siłą wkraczają do jego domu, by pomścić Vodkę Satanę.

Hiena

Prywatny detektyw. Pracuje na czarno. Została zatrudniona przez Dopaleta, ale zdradziła go i dołączyła do grupy osób skupionych wokół Subutexa.

Olga

Bezdomna kobieta o wybuchowym charakterze, pojawiła się w drugim tomie. Jest zauroczona Subutexem, którego poznała, gdy znalazł się na ulicy.

Xavier

Scenarzysta filmowy. Od dwudziestu lat nie odniósł żadnego sukcesu. Mąż Marie-Ange, z którą ma córkę. Lubi psy. On także dołączył do grupy skupionej wokół Subutexa.

Marie-Ange

Żona Xaviera.

Sylvie

Była dziewczyna Alexa Bleacha. W tomie pierwszym gościła u siebie Vernona, miała z nim krótki romans, a kiedy zniknął bez słowa, zaczęła go zawzięcie poszukiwać. Dołączyła do grupy osób skupionych wokół Vernona w parku des

Buttes-Chaumont. Sylvie jest matką Lancelota, który na początku pierwszego tomu opuścił dom rodzinny, by zamieszkać ze swoją ukochaną.

Emilie

Przyjaciółka Vernona z czasów młodości. Była wówczas basistką, ale zerwała więzi ze światem muzyki. Krótco gościła u siebie Vernona, później uczestniczyła w jego poszukiwaniach, by w końcu dołączyć do grupy osób skupionych wokół niego w parku des Buttes-Chaumont.

Laurent

Vernon poznaje go po eksmisji ze swojego mieszkania. Laurent od dawna nie ma dachu nad głową. To on wyjaśnia Vernonowi, na czym polega życie na ulicy.

Patrice

Wykonuje dorywcze prace, mieszka na odległym przedmieściu, jest wytatuowany, nieokrzesany, czasami gwałtowny. Pod koniec drugiego tomu zakochuje się w Pénélope i dołącza do grupy otaczającej Vernona w parku des Buttes-Chaumont.

Antoine

Kurator sztuki, syn Dopaleta. Informuje grupę o działaniach swojego ojca.

Sélim

Pracownik naukowy, ateista. Był mężem Vodki Satany, z którą ma córkę Aïchę. Nigdy nie wyznał córce, że jej matka była gwiazdą porno. Aïcha dowiaduje się o tym w tomie drugim. Należy do grupy osób otaczających Subutexa w parku des Buttes-Chaumont.

Aïcha

Studentka prawa, młoda praktykująca muzułmanka. Poznała prawdę o śmierci swojej matki, słuchając taśm Alexa Bleacha. Zemściła się na Dopalecie, wdzierając

się do jego domu. Pod koniec tomu drugiego Hiena umieszcza ją w bezpiecznym miejscu, by uniknęła zemsty producenta.

Vodka Satana

Matka Aïchy, niegdyś żona Sélima. Była narzeczoną Alexa Bleacha. Pracowała w branży porno, przyjaźniła się z Pamelą i Danielem. Zmarła w wieku trzydziestu lat po przedawkowaniu narkotyków. Jeśli wierzyć wyznaniom Alexa, zginęła z winy Dopaleta, który obawiał się, że Vodka Satana może wywołać skandal, ujawniając ich związek.

Céleste

Tatuażystka i kelnerka w barze Rosa Bonheur. Jej ojciec, policjant, bywał w sklepie z płytami Vernona Subutexa, którego Céleste rozpoznała w parku. W tomie drugim została przyjaciółką Aïchy i pomogła jej zemścić się na Dopalecie. Hiena ukryła także ją, by nie dosięgła jej zemsta producenta.

Lydia Bazooka

Krytyczka rockowa. Była zagorzałą fanką Alexa Bleacha. Gościła u siebie Vernona, później dołączyła do poszukującej go grupy. Wbiła sobie do głowy, że napisze obszerną biografię Alexa Bleacha.

Daniel

Bliski przyjaciel Pameli Kant. Transseksualista. Czują na wdzięki Céleste, która nigdy nie odwzajemniła jego uczuć.

Dworzec w Bordeaux jest w trakcie renowacji, las rusztowań wypełnia jego trzewia. Na peronie jakiś chłopak w tenisówkach włożonych na bose stopy i przydeptanych na piętach chodzi tam i z powrotem, paląc jednego papierosa za drugim. Rzuca nieprzyjazne spojrzenia przez szyby. Zdaje się czekać, aż ktoś zareaguje, by wtargnąć do pociągu i spuścić temu komuś łomot. Konduktorzy już go zauważyli i stoją przed drzwiami, by nie mógł w ostatniej chwili wskoczyć do środka. W wagonie rozbrzmiewają cztery dźwięki dzingla kolei państwowych, a potem przenikliwy dzwonek zapowiadający odjazd. Chłopak zostaje na peronie i Vernon napotyka jego spojrzenie. Uderza go, jak bardzo jest nienawistne. Jak gdyby to spojrzenie było przeznaczone właśnie dla niego. Jest w nim coś więcej niż żądza mordu, chęć unicestwienia – to uczucie wrogości. Chłopak chętnie zanurkowałby w czasie, żeby móc wyrwać flaki również jego przodkom do siedmiu pokoleń wstecz.

Vernon zagłębia się w fotel, rozprostowuje nogi. Zapomniał, jak bardzo lubi jazdę pociągiem. Uspokaja się, ogarnia go błogostan. Patrzy, jak pejzaż zaczyna przyspieszać. W wagonie panuje nastrój właściwy podróżom kolejowym: zbiorowa zgoda na to, że przez wiele godzin nikt nam nie będzie przeszkadzał, radosne przyzwolenie, że przeniesiemy się z określonej sytuacji w inną. Vernon przywołuje bezładne wspomnienia wigilii Bożego Narodzenia, wyjazdów na wakacje, grupowych wypadów na ten czy inny festiwal albo samotnych wypraw, by spotkać się z sympatią z prowincji. Obrazy zderzają się z sobą i ulatują jeden po drugim niesione tęsknotą, która wydaje mu się dosyć cikliwa. Jego pamięć wypełniają wirujące fragmenty wspomnień bez związku z chronologią. Całe poprzednie życie wydaje mu się obce, stapia się w bezkształtną masę odległych reminiscencji. Nie może wiązać tego zamętu z zażywaniem narkotyków: nie bierze niczego od miesięcy. To przyszło samo z siebie. Zaczął się nudzić, kiedy był naćpany, czekał,

aż działanie narkotyków minie, zadawał sobie pytanie, co mogło mu się podobać w tym stanie otumanienia. Narkotyki służą temu, by chronić nas przed nudą, sprawiają, że wszystko wydaje się zajmujące, są jak smuga tabasco na potrawie bez smaku. Ale Vernon już się nie boi nudy, samotności, ciszy ani ciemności. Bardzo się zmienił. Narkotyki nie są mu już do niczego potrzebne.

Jednak w ostatnich dniach, cierpiąc na straszliwy ból zębów, nałykał się jakichś przeciwbólowych tabletek na opiatkach, których działanie przypominało stan ukojenia po zażyciu marihuany, i to wrażenie, że porusza się w kokonie z waty, sprawiło mu przyjemność. Jest zanurzony w przytłumionym świetle, jakby spłynął na niego obłok, spowijając kontury jego ciała i szczelnie go otulając w każdej sytuacji. Ten ząb dał mu się nieźle we znaki. Zawsze czekał do chwili, kiedy dotkliwy ból nie pozwalał mu zasnąć, nim wybrał się do dentysty. Lecz ten atak był najsilniejszy ze wszystkich. Gdy chory ząb przypadkiem ocierał się o ząb w dolnej szczęce, Vernon czuł się tak, jakby jego ciało przeszywało ostrze szabli, podrywało go do góry i rzucało nim o ziemię. Wrzeszczał, nie mogąc nad sobą zapanować. Olga poradziła, by przepłukał usta mocnym alkoholem, i Vernon, nie mając nic do stracenia, pociągnął łyk wódki – ten anestetyk przez chwilę działał, po czym zwałił go z nóg. Ale nazajutrz do potwornego rwania w spuchniętym dziąśle doszedł kac i Vernon przeżywał istne katusze. Schował się w kącie jak chore zwierzę, zwinął się w kłębek oszalały z bólu.

Ktoś przywołał Kiko. Ponieważ Kiko ma więcej pieniędzy od innych, jest traktowany jak osoba najbardziej odpowiedzialna w grupie. Od razu zareagował: ma kumpla dentystę, zaraz do niego zadzwoni. Konował przefaksował receptę do najbliższej apteki, Pamela wsiadła do samochodu, by pojechać po antybiotyki i środki przeciwbólowe. Po raz pierwszy nagła potrzeba zmusiła ich do nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym.

Potem Vernon połknął wszystko, co mu podawano, bez szemrania. Był pewien, że żaden specyfik nie zdoła położyć kresu tak wielkim męczarniom. Ale po

półgodzinie był zbyt odurzony, żeby odczuwać ból. Tak właśnie przypuszczał. Lepsza od wszystkich tabletek przeciwbólowych okazała się pompa infuzyjna z morfiną. Dentysta, który przepisał mu tak skuteczny narkotyk, od razu wzbudził jego zaufanie. Ząb przestał boleć i Vernon poczuł tak wielką ulgę, że poszedł się położyć i odpoczywał przez trzy dni z rzędu, pozwalając działać antybiotykom, podczas gdy morfina wciągała go w sny rozgrywające się w zwolnionym tempie.

Tymczasem ludzie skupieni wokół niego zaplanowali już podróż do Paryża. Vernon lubi, gdy inni się nim zajmują. Sprawy posuwają się naprzód bez względu na to, czy sam się do tego miesza czy nie. Nie musi chorować, żeby tkwić w beczynności. Kiedy pozwalamy się nieść nurtowi, żyjąc w grupie, stale „coś robimy” – zawsze znajdzie się jakieś koło do wymiany, krzesło, które trzeba naprawić, znajdą się torby do wypakowania, warzywa, które należy przepłukać zimną wodą. A Vernon mówi „przejrzę sobie playlisty” i kładzie się na łóżku. Niesamowite, że nikt nie ma mu tego za złe. Przeciwnie – wszyscy się cieszą, że mogą mu oddać przysługę, okazać sympatię, pomóc. Zasnął więc na boku, czując wreszcie ulgę, a po przebudzeniu dowiedział się, z jakiego dworca ma wyruszyć w podróż, o której godzinie odjeżdża pociąg, podano mu nazwisko dentysty i kod do bramy wejściowej, by mógł się dostać do apartamentu Kiko, który znów udzieli mu gościny.

Po raz pierwszy od ponad roku opuszcza obozowisko. Inni na ogół utrzymują kontakty ze światem zewnętrznym. Ale Vernon nie ma żadnych faktur do opłacenia, rodziny, której mógłby złożyć wizytę, żadnej pracy do wykonania... Toteż już nie pokazuje się w miastach. Nie ma tam nic do roboty. Kiedy mu powiedziano, że wraca do Paryża, by wyleczyć ząb, ucieszył się na myśl, że zobaczy stolicę. Ale się nie spodziewał, że poczuje się tam tak bardzo wyobcowany.

Naprzeciwko niego siedzi szczupła kobieta o długich prostych blond włosach i aparycji burżujki. Ma na sobie nieprzemakalny płaszcz marszczony w talii, botki na wysokim obcasie. Ma też piękne błękitne oczy o magnetycznym spojrzeniu. Jest

po sześćdziesiątce. Zmarszczki na twarzy z pewnością zostały wypełnione, ale dłonie zdradzają wiek. Nosi na palcu diament, może to obrączka. To ujmująca osóbka. Vernon posyła jej nieznaczny uśmiech, a ona z wdziękiem go odwzajemnia. Ma na nią ochotę. Coś go w niej pociąga. Chciałby zaproponować, by wysiedli razem na następnej stacji i poszli do pierwszego z brzegu hotelu.

Odzwyczaj się od towarzystwa kobiet, które nie szaleją na jego punkcie. W obozie nawet dziewczęta, które nie mają najmniejszego zamiaru iść z nim do łóżka, przymilają się do niego i prawią mu komplementy. Ma wyjątkową pozycję, jest traktowany jak guru. To zmieniło jego relacje z osobami płci żeńskiej – teraz wszystkie dziewczęta są jego przyjaciółkami. Mają na niego chrapkę, a on jest osobą usłużną.

Nigdy się nie dowie, czy blondynka zareagowałaby pozytywnie na jego zaloty. Nie obdarzy go tym osławionym, pełnym wdzięczności spojrzeniem po intymnym zbliżeniu. Nie prześpi się z nią: w tej podróży towarzyszy mu Mariana. Jest jego dziewczyną od kilku tygodni, co stanowi swego rodzaju rekord. Nie może się ustatkować, ma za duże wzięcie. Jest mu z kimś dobrze, to mogłoby trwać, ale pojawia się inna dziewczyna, która zasiewa w nim zwątpienie, wytrąca z równowagi i Vernon zmienia zdanie. Młodzi ludzie nazywają to poliamorią. Jeśli dobrze rozumie, chodzi o to, że sypiasz, z kim zechcesz, nie troszcząc się o to, co myśli na ten temat dziewczyna, z którą był wczoraj. Ale Mariana pohamowała jego ciągotki. Weszła w rolę stałej partnerki w zadziwiająco naturalny sposób jak na tak nieśmiałą osobę. Pozwolił na to, bo nie próbuje wchodzić mu na głowę, raczej zapewnia mu wewnętrzny spokój. Podoba mu się. Poczł, że ma na nią ochotę, gdy zobaczył, jak naśladuje Axela Rose'a, miotając się jak opętana z nieistniejącym mikrofonem w dłoni. Potem trochę się w niej zadurzył, kiedy zaczęła tańczyć przy piosence Tiny Turner, świetnie naśladując jej taneczny krok. Pojął, że to koniec łamania damskich serc, gdy wykonała układ choreograficzny do piosenki Missy Elliott. Potrafi też imitować gesty członków grupy metalowej Madball czy Korn – odszyfrowuje w naprawdę magiczny sposób kody rządzące

każdym gatunkiem muzycznym. Jej ciało i muzykę łączy jakaś niewidzialna więź – poświadczająca rozległą kulturę i zadziwiająca w przypadku dziewczyny w tym wieku. Mariana nie ma jeszcze trzydziestu lat. Zna równie dobrze AC/DC, jak M.I.A. Słucha rzeczy, na które Vernon jeszcze nie zwrócił uwagi, i wie, który kawałek wybrać, by go w końcu zaciekawili. Spędzają czas, słuchając płyt, i Vernon ma wrażenie, że znalazł kumpla z prawdziwego zdarzenia, a równocześnie kochankę, która podczas rżnięcia przypomina syrenę – całe jej ciało faluje, wabi, wpada w ekstazę, prowokuje. Mariana wkłada w seks i taniec wszystko to, czego nie wyraża słowami.

Gdy planowano tę podróż, stwierdziła, że będzie mu towarzyszyć, że pojedą autobusem, bo to wyjdzie naprawdę tanio, ale autobus z Bordeaux do Paryża to dziewięć godzin drogi i Kiko powiedział: „Co za gamonie. Życie w średniowieczu czy jak? Po Francji jeżdżą szybkie pociągi TGV, zaraz kupię bilety”. Mariana z nim pojedzie, to było oczywiste. Powiedziała: „Vernon jest zbyt naćpany, by podróżować sam, pomyli perony i wyląduje we Frankfurcie z opuchniętą twarzą”. Kocha Vernona. On to wie. Zgadza się. Czuje ukłucie w piersi. Ulega. Założyła słuchawki, słucha Amy Winehouse i pożera wzrokiem jakieś bzdury w sieci. Nie lubi dyscypliny panującej w obozie, gdzie jest zmuszona obywać się bez netu. Uważa, że to idiotyczna reguła narzucona wszystkim przez starych technofobów. Stosuje się do niej, ponieważ nie ma wyboru. Naprawdę musi jej zależeć na Vernonie, skoro się zgadza na takie wyrzeczenie. Gdy w Bordeaux odzyskała telefon, jej twarz od razu się rozpromieniła. W końcu powróciła do świata.

Vernon widzi przez jej ramię przesuwające się fotografie z Instagrama: mała świnka, dziewczyna leżąca na białym piasku, zielony milkshake, Paul Pogba z nagim torsem wyłaniającym się z mroku, piosenkarka Soko chwilę po przebudzeniu, rysunek anioła zagłady niosącego bombę w ramionach, topy marihuany ociekające żywicą... Wsuwa dłoń w jego dłoń, nie odrywając oczu od ekranu. Vernon czuje, jak fala ciepła wznosi się od wnętrza dłoni do jego barku, potem zalewa całą pierś. Może zwizualizować to doznanie, a nawet powiedzieć,

jakiego jest koloru – ma odcień szmaragdowej zieleni. To nie działanie lekarstw. Jest tak również wtedy, gdy nic nie zażywa. Coś w jego wnętrzu się rozregulowało i nigdy nie powróciło do normy. Zmienił się.

Wysłuchał mnóstwa mniej czy bardziej dziwacznych teorii na temat przyczyn swojej wewnętrznej przemiany, którą wielu od razu uznało za „przebudzenie”. Jedni mówili, że poziom serotoniny w jego ciele nagle poszybował w górę. Dlaczego nie. Teoria hormonalnego chaosu ma swoich zwolenników. Ostatecznie, jak twierdzi Daniel, „jest tyle czynników zaburzających nasz metabolizm, że trudno być czegokolwiek pewnym – ta historia niejako cię zresetowała”. Inni skłaniają się ku tezie, że chodzi o przedwczesny, gwałtowny i paradoksalnie dobroczynny proces przekwitania. Być może... Vernon nie ma wrażenia, by tracił siły witalne, zresztą nigdy nie miał postury drwala. Jego *libido* mogło ulec zmianie, ale trudno to stwierdzić: wcześniej nie żył w otoczeniu dziewcząt ubiegających się o jego względy. Zbyt duże wzięcie zabija pożądanie, nie jest już tak przerażony jak kiedyś, ale to logiczne: zalicza wszystko, co się rusza w obozie. Inni wspominają o przebudzeniu mocy kundalini, by wyjaśnić jego kuriozalne doznania, niecodzienne wizje, odmienne stany świadomości, w których pograża się ni stąd, ni zowąd. Może oddychał zbyt głęboko lub też nie tak, jak powinniśmy to robić – i w jego kręgosłupie uwolniła się tajemnicza energia, wprawiając go w permanentny narkotyczny trans jak po zażyciu kwasu. Najbardziej oryginalni mówią o abdukcji – wizycie pozaziemskich istot, które upatrzyły go sobie na swoje ziemskie mieszkanie. Wspomina się też o innej częstotliwości – rzeczywistość miałaby przypominać odbiornik radiowy, w którym jakaś niebiańska dłoń nagle zmieniła pasmo.

Z początku Vernon sądził, że obóz przyciąga wyjątkowych dziwaków. Po pewnym czasie zrozumiał, że świat jest pełen ludzi o ekscentrycznych poglądach, którzy na pierwszy rzut oka wydają się rozsądni. Tajemnica Vernona sprawia, że mogą dać wyraz swoim groteskowym opiniom. Przy byle okazji słyszy więc o swoim szczególnym dostrojeniu do wibracji kwarcu makrokryształicznego. Cały ten kraj zaludniają fiksaci przeświadczeni, że zmarli są wciąż obecni wśród nas, że

po lesie hasają niewidzialne istoty albo że wystawiając się na działanie odpowiednich fal dźwiękowych, możemy wzmocnić swoje pole magnetyczne. Wystarczy pozwolić tym ludziom wygłaszać ich teorie, by rozpoczęła się podróż w nieznane...

Ludzie z zewnątrz przyjeżdżają do obozu co dwa lub trzy miesiące, by wziąć udział w konwergencjach. Tak właśnie nazwali – choć nikt sobie nie przypomina, by zaproponował ten używany teraz przez wszystkich termin – noc, kiedy Vernon wybiera muzykę, przy której tańczą uczestnicy. Owe konwergencje nadają rytm ich życiu – trzeba znaleźć stosowne miejsce, przygotować imprezę, potem wszystko spakować i przenieść się gdzie indziej. Tak to właśnie wygląda, choć nikt o tym nie zdecydował. Powiedzmy, że dzieje się to jakby samo.

Chętni do wzięcia udziału w konwergencjach już wkrótce byli tak liczni, że trzeba było stworzyć strukturę organizacyjną, by wytypować uczestników, nie przekraczając setki. Ludzie przyjeżdżają na miejsce, niektórzy są naprawdę nieznośni, mówią, że chcieli „tylko zobaczyć”, są nieufni i agresywni, jak gdyby ktoś wciskał im kit, a przecież nikt ich tutaj nie bajeruje: chodzi o to, żeby tańczyć do świtu. I tyle. Nadzwyczajne jest to, co tancerze czują – bez narkotyków, bez żadnych przygotowań, bez sztuczek.

Zawsze znajdzie się garstka niedowiarków, którzy przechadzają się po obozie i zarzekają się jeden przez drugiego, że w to nie wierzą, chcieli się tylko przekonać, że bardzo by się zdziwili, gdyby tej nocy naprawdę coś im się przydarzyło, bo wszystkiego już spróbowali i są zbyt rozbawieni, by ktoś mógł im zamącić w głowie. Ani Vernon, ani nikt inny nie próbuje ich przekonywać. Wystarczy trochę poczekać. Wieczorem na parkiecie stoją z założonymi rękami, z uśmiechem w kąciu ust, zdecydowani nie pozwolić się mamić, nie dać się nabić w butelkę. A dwie godziny później ulegają tej aurze. Nazajutrz nie będą w stanie powiedzieć, w którym momencie stopili się z tłumem, wpadli w jego powolny, powtarzalny rytm. Zwykle to oni są o świcie najbardziej przejęci. Bo

właśnie to, choć nie tylko, dzieje się podczas tych nocy – ludzie przeżywają zbiorowy wstrząs. I właśnie tego szukają podczas konwergencji. Lekkiego, świetlistego zamętu, który sprawia, że po prostu ma się ochotę tu być, zachowując milczenie. Naskórek nie stanowi już żadnej granicy, każdy utożsamia się z ciałami innych, to coś w rodzaju zbiorowej intymności.

I zawsze przy tej okazji Vernon czuje się jak robak w świetle jupiterów. Jest zbyt ważny. Nazywają go Szamanem. Na pozór mówią to żartem. Jednak czuje spojrzenia ludzi na swoich plecach, uwaga innych oplata go niczym bluszcz pień drzewa. Ludzie przyglądają mu się podejrzliwie, zastanawiają się, czy nie jest oszustem, lub wpatrują się w niego urzeczeni, przekonani, że może ich ocalić. Nie bardzo wie, co ma robić, żeby zachować spontaniczność, gdy tak naprawdę wszystko spoczywa na jego barkach. Na szczęście nie jest dość konsekwentny, by zbyt długo się tym przejmować. Myśli: za duży stres, zaraz wykorkuję, a po minucie patrzy na liść na drzewie i to pochłania go całkowicie. Uwalnia go od trosk. Jednak teraz już wie, co znaczy strach przed porażką. Nigdy w życiu nie drżał na myśl o tym, że mógłby stracić wszystko: zawsze był przekonany, że to i tak nie zależy od niego. Teraz może się cieszyć luksusem, choć niematerialnym: śpią w opuszczonych domach, gdy nadarzy się taka okazja, rzadko ogrzewanych, obozują w pobliżu źródeł, gdy nie ma bieżącej wody, i myją się na zewnątrz przy minus siedmiu stopniach, jedzą z menażek – a jednak żyją w luksusie. Są przeświadczeni, że dzielą szczególne doświadczenie, że przydarzyło im się coś magicznego, coś naprawdę ekstra. I Vernon nie chce, by to się skończyło.

Pasażerowie otworzyli laptopy na stolikach. Oglądają filmy, wypełniają tabelki, piszą maile. Inni wpatrują się w ekrany telefonów. Wszyscy są uzależnieni od transmisji danych. Każda z osób, które stać na bilet kolejowy, jest podłączona do sieci. Choć pewien mężczyzna, o kilka siedzeń dalej, około pięćdziesiątki, czyta gazetę jak za dawnych lat. Lekko szturcha sąsiada łokciem, przewracając stronę. Jedynie on nie ogranicza swojego pola widzenia ekranem. Nawet pięcioletni chłopiec nie biega po korytarzu, przeszkadzając wszystkim, bo siedzi jak

zahipnotyzowany przed jakąś kreskówką. Jego matka ogląda to samo co on, tyle że bez słuchawek, nie tracąc ani sekundy na kontemplację pejzażu, a zwłaszcza tego, co ją otacza.

Vernon utracił ten nawyk. Na terenie obozu nie wolno łączyć się z internetem. Zdecydowała o tym paranoja Hieny, która zarządziła, że muszą nauczyć się latać poniżej zasięgu radarów, nie pozostawiając żadnych cyfrowych śladów swoich migracji i rozmów. Można odnieść wrażenie, że przygotowuje grupę do trzeciej wojny światowej, podczas której szczególnie istotne będzie powstrzymywanie się od wysyłania maili. Z początku wszyscy uznali tę regułę za dziwaczny rytuał, którego celem było wpisanie przestrzeni obozowiska w hermetyczną sferę. Po kilku miesiącach Vernon wyczuł, że ludzie zmienili podejście. Dużo się mówiło o aferze Snowdena. Nakaz Hieny nie wydaje się już tak komiczny. Technologia wzbudza coraz większą nieufność i nikt nie uśmiecha się już z przekąsem, wkraczając do wolnego od sieci obszaru.

Gdy wysiadają z pociągu na dworcu Montparnasse, Vernona oszałamia tłum, aż kręci mu się w głowie. Uderza go zwłaszcza zgiełk. Mariana bierze go pod rękę, jakby wyczuła, że czuje się zagubiony. To filigranowa osóbka, ale w jej geście jest coś niezwykle kojącego, jakby ktoś dorosły uspokajał dziecko.

Chodzi nie tylko o to, że się odzwyczaił, miasto też się zmieniło. W ciągu jednego roku napięcie wyczuwalnie wzrosło. Paryż stał się nagle nieprzyjaznym miejscem. Vernon od razu wyczuwa wokół siebie agresję – ludzie są wściekli, nieżyczliwi, gotowi do walki. W korytarzach metra ani jednej uśmiechniętej twarzy, ani jednej osoby, która wydaje się sugerować: nigdzie mi się nie spieszy. Nikt się nie włóczy bez celu, jak oni na terenie obozu. To miasto ludzi dorosłych – nie odzywamy się do siebie słowem, jeżeli się nie znamy, najwyżej po to, by sobie naubliżyć. Z każdej strony atakują go afisze, bezsensowne hasła. Ale dopiero gdy docierają na peron, uświadamia sobie, co mu przeszkadza najbardziej od chwili przybycia. Zapach. Paryż to zbiorowa kloaka – mieszanka zgnilizny w powietrzu przesyconym odorem ludzkich ciał perfum wonią żelaza maszyn i środków

czystości. Vernonowi zaczyna brakować tchu. Od miesięcy wszędzie oddycha pełną piersią, każde nowe miejsce ma własny zapach, który sprawia, że staje się ono czymś wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju. Tu, po raz pierwszy od długiego czasu, nie chce wiedzieć, gdzie jest.

W mieszkaniu Kiko Mariana rozgląda się wokół z podejrzliwą miną, z którą Vernon zdążył się już oswoić. Miną, jaką przybierają osoby nieprzywykłe do zbytków, gdy zetkną się z luksusem: jakby je zanurzono w kotle z wrzącym olejem. Teraz Vernon kładzie dłoń na jej talii z nadzieją, że zdoła jej przekazać trochę spokoju ducha. Ludzie bogaci dobrze wiedzą, co robią, meblując swoje wnętrza, nawet jeżeli zdają się na instynkt – każdy przedmiot krzyczy do tych, którzy nie przywykli do blichtru: „Wynocha stąd, łachmyto!”. Różnica między wystrojem wnętrz w domach kawiorowej lewicy i wielkiej burżuazji sprowadza się do tego, że pierwsi zdają się mówić swym gościom: „czujcie się jak u siebie”, natomiast drudzy wykluczają każdego, kto nie rozumie panujących w ich świecie kodów. Ale Vernon zna to mieszkanie, nie robi na nim wrażenia.

Kiko też bardzo się zmienił. Z wszystkich osób odwiedzających obozy może to właśnie on przeżył najgłębszą transformację. Vernon stał się jego tancerką, jego rozrywką podczas wolnych weekendów. Porzucił giełdę. Niczym facet w kasynie, który wstaje od stolika w chwili, gdy najlepiej mu idzie. *Take the cash and run*. Po czasie nie żałuje tej decyzji – mówi, że trzeba być wariatem, żeby pracować, kiedy jest się bogatym.

Nie tylko on spośród ludzi otaczających Vernona doznał objawienia. Zna innych gości, którzy pewnego dnia, siedząc w basenie wypełnionym wodą z bąbelkami, w cieniu palm, przy bungalowie na rajskim Mauritiusie, przyglądali się dupce swojej towarzyszki i niespodziewanie doznali olśnienia: ich życie jest do bani. Jego jedyną zaletą jest to, że przypuszczalnie wszyscy im zazdroszczą. Ale będąc w tej grupie Kiko odkrył rzecz niesłychaną: nikt nie chciałby się z nim zamienić. Ktoś inny poszukałby może innego otoczenia – towarzystwa ludzi zapewniających mu wewnętrzny spokój. Kiko pozostał. Zmienił strategię.

W pierwszych miesiącach ogarnęło go coś w rodzaju anarchistycznej gorączki. Jakby się uwolnił spod zbyt wielkiej presji. Niektórzy ludzie z wiekiem stają się zagorzałymi konserwatystami. Tymczasem on odkrył w sobie buntownika – długo pozostającego w ukryciu, na cenzurowanym, w uśpieniu – który teraz z wielkim hukiem dochodził do głosu. A raczej nie buntownika, tylko chrześcijanina. Lecz w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa: ta część osobowości Kiko, która kochała Chrystusa i którą zawsze starał się wypierać, nagle zajęła całą przestrzeń. Czuł się z tym dobrze przez pół roku. Stał się nagle do przesady uczynny – dla wszystkich było to megalociażliwe.

Nigdy więcej nie zamierzał pracować, przysięgał, że brzydzi się pieniędzmi, że pozostanie z grupą Vernona, wraz z Olgą oglądał prospekty minivanów, już widział, jak jedzie ich śladem kamperem, ani trochę nie czuł się materialistą. Każdego ranka wpadał na jakiś znakomity pomysł. Sprzeda swoje paryskie mieszkanie i kupi opuszczoną wioskę w Jurze, wszyscy się tam osiedlą i stworzą wspólnotę. To, że hipisom powinęła się noga, nie znaczy, że należy zaniechać takich prób. Wiele planów spaliło na panewce, jednak w końcu udało się je zrealizować. Kiko zna wielu lekarzy i wysoko ceni sobie te znajomości – przekona kogoś, by zamieszkał w wiosce. Dzięki temu zawsze będą mogli odróżnić atak serca od napadu panicznego lęku czy raka od wielkiej krosty. Nie będą musieli przejmować się byle czym. W spokoju dożyją starości.

Jednak wraz z upływem czasu jego zapał osłabł. Miał dość koczowniczego życia, wrócił do Paryża, znów zaczął wciągać kokę i odnowił stare znajomości. Jego fascynacja Chrystusem przygasła. Zainwestował w linię produktów na bazie leczniczej marihuany, w Los Angeles. Nie widywano go już tak często na terenie obozu. Jednak dość regularnie wracał. Całymi wieczorami opowiadał im o swoim projekcie tematycznego parku rozrywki – czeka na francuską ustawę, która jego zdaniem wkrótce zostanie uchwalona. Miałoby to być coś pomiędzy parkiem jurajskim a spa w paryskim hotelu Bristol, jednak wszystko kręciłoby się wokół trawy. Jego szaleństwo jest tak daleko posunięte, że w końcu stał się przekonujący.

W tym parku byłyby liczne jacuzzi, projekcje wideo, seanse jogi przygotowane specjalnie dla ćpunów, trochę sztuki współczesnej, masaże, dużo muzyki i wszędzie muffinki, by walczyć z gastrofazą.

Kiko wrócił do poprzedniego życia, jednak obudził się w nim duch nieposłuszeństwa. Nie jest już skłonny oddawać się czemukolwiek bez reszty. Poświęcać całego czasu, wszystkich myśli, pragnień i przekonań. Nie zamierza już nikomu dowodzić, że w każdej chwili jest gotów wziąć na siebie jakąś dodatkową pracę. Nie przynależy już w pełni do systemu. Uległość nie ekscytuje go już tak jak kiedyś. Daje temu wyraz, wracając do obozu, do ludzi, którzy nie są do niego podobni. Nie znalazł się w punkcie wyjścia – znalazł alternatywną wewnętrzną równowagę, tożsamość naprzemienną.

Zawsze zabiera trochę więcej przestrzeni niż inni, dużo mówi. W obozie cisza jest bardzo istotna. Ale nie dla Kiko. Mimo to nikt się nie skarży. Kiko jest człowiekiem, który potrafi rozwiązywać problemy. Nadużywa swojej pozycji tylko w tym znaczeniu, że zabiera dużo przestrzeni dźwiękowej. W jednej kwestii jest szczery i nie zmienia zdania: tego, co czuje podczas kolejnych konwergencji, nie daje żaden narkotyk. I chce nadal „tam” bywać. Jego ostatni cel – chciałby, żeby Vernon bardziej serio potraktował swoją rolę guru. Kiko zawsze rozpierała ambicja.

Zaprasza ich do kuchennego stołu, otwiera lodówkę i pospiesznie wyciąga wszystko, co się w niej znajduje, jakby morzył ich głód. Otwiera butelkę szampana, a Vernon mówi nie, biorę antybiotyki całkiem mnie rozłoży. Mariana bierze kieliszek i opróżnia go jednym haustem. Jest zamknięta w sobie i zła. Widując Kiko w obozie, nie była świadoma, że jest aż tak bogaty. Domyślała się, że nie żyje tak samo jak inni, bo wymachiwał kartą kredytową, kiedy pojawił się byle problem. Ale nie spodziewała się czegoś takiego, tego luksusu, który jest obelgą dla ludzi do niego nienawykłych. Wierci się na krześle, rzucając dokoła wściekłe spojrzenia. Nawet czerwona lodówka marki Smeg jej przeszkadza, chociaż jej obłe kształty są takie urocze.

Kiko nie może usiedzieć na miejscu – puszcza płytę Erykah Badu, za głośno, pyta, czy chcą jakieś narkotyki, ma nowego dilera, świetnego, nie każe na siebie czekać. Musi znowu napełnić kieliszki – trudno dociec, czego tak bardzo się boi, że musi robić wokół siebie tyle zamieszania. Vernon już przywykł do jego stanu wiecznego pobudzenia.

– Pamiętasz to drzewo w parku z grubymi korzeniami, na których przesiadywałeś? Już go nie ma. Wiedziałeś o tym?

– Jak to?

– Zniknęło na początku lutego.

– Co się stało?

– Wjechała w nie ciężka maszyna i powaliła na ziemię.

– Takie drzewo? Ktoś mógł go nie zauważyć?

– Były tam jakieś roboty. W sumie więcej nie wiem.

To sprawia Vernonowi przykrość. Najtrudniej jest mu się pogodzić z tym, że rzeczy nie trwają w niezmiennym stanie. Wraca myślami do tego wyniosłego jak budynek drzewa, do czasów gdy czuł się jak król, siedząc oparty o jego mocny pień. Mówi:

– Zapytam Charles'a. Od dawna się tam włóczy, zna wszystkich ogrodników... Ostatnio zniknął nam z oczu. Rozejrzę się w jego dzielnicy...

Kiko już go nie słucha. Wygłasza monolog na temat, który stał się jego obsesją: Vernon ma dar. To dar, który trudno opisać słowami. I jego zdaniem problem polega na tym, że Vernon nie dorasta do swojej roli.

– Nie możesz być liderem, nie dając nic z siebie. Zgoda, to działa. Zawsze podczas konwergencji trzymasz się na uboczu, co sprawia, że otacza cię aura tajemnicy. Naprawdę dobra zagrywka. Działasz odruchowo, tak trzeba. Zostawiasz wolne pole ludzkim fantazjom. To coś jak storytelling poprzez pustkę. Dopóki wieczór się nie rozpocznie, nikt dokładnie nie wie, co wielki Vernon Subutex ma w sobie tak bardzo wyjątkowego. OK, to ci dodaje uroku.

Ale Kiko nie sądzi, by to mogło załatwić sprawę. Vernon nigdy nie robi niczego naprawdę ekstra, nie uzdrawia dłońmi, nie nawiązuje kontaktu ze zmarłymi, by przemówili do żywych za pośrednictwem kosmicznej poczty głosowej. Nie traktuje swojej osoby z należytą powagą. Kiko ma wielkie plany. To leży w jego naturze. Nerwowo stuka paznokciem w blat stołu. Ma kolejny pomysł:

– Znasz Konfucjusza? Sądzę, że można wykorzystać tę historię z drzewem... Rzymianie usunęli drzewo, pod którym Konfucjusz wygłaszał swoje mowy. Mówili o tym w radiu. Myślę, że sprawa tego drzewa... Co to było za drzewo, dąb, ty też nie wiesz? Zapytaj Charles'a, jeśli go zobaczysz, mogłoby to nam pozwolić stworzyć twój mit proroka.

– Kiko, znowu słuchałeś France Culture? Daj spokój. Już o tym rozmawialiśmy. France Culture w połączeniu z kokainą daje żałosne skutki. Jestem didżejem, a nie jakimś pieprzonym prorokiem.

– Doksztalcam się, niedojdo, a ty mi ubliżasz. Woleli ściąć drzewo, pod którym nauczał Konfucjusz, by zmusić go do ucieczki, tak wielki miał wpływ na ludzi... To bardzo ciekawe. Można zacząć tak: francuskie władze, zaniepokojone twoją wielką mocą, postanowiły usunąć drzewo, pod którym przesiadywałeś...

– Kiko, przecież mnie znasz, jestem w stanie łyknąć dowolną bzdurę, ale możesz być pewny, że ja i Konfucjusz, nawet jeśli faktycznie ścięli to jego drzewo, to dwie różne sprawy.

– Chcesz mi powiedzieć, że znasz Konfucjusza?

– Nie. Ale tak czuję i mogę ci powiedzieć, że to nie zadziała.

– Tak czuję... Typowe słowa ignoranta. Nie rozumiesz, o co w tym chodzi, ale już jesteś pewien, że nic z tego nie będzie. Długo o tym myślałem, ludziom należy opowiedzieć historię. Sądzę, że powinniśmy skontaktować się z jakąś pisarką. Zacząłem sporządzać listę.

– Nie słuchaj France Culture. Wszystkich tym zanudzasz.

Kiedy Kiko ma wolny wieczór, kupuje dwa gramy koki i z uporem maniaka słucha radiowych podkastów. Zapenia strony notesów dziwnymi uwagami.

A nazajutrz wydają mu się one niezwykle racjonalne – i tym razem przemawia przez niego nie tylko kokaina, ale też jego klasa społeczna, klasa, która uważa, że wszystko jej wolno, i która nie znosi ograniczeń. Toteż nalega:

– Mam zamiar zatrudnić pisarkę, wystarczająco utalentowaną, by nadać temu wszystkiemu odpowiednią formę, lecz niezbyt popularną, bo inaczej zacnie kapryścić i po trzech miesiącach zamęczy nas swoimi durnymi pomysłami.

Mariana przerywa jego monolog, pije trzeci kieliszek szampana i trochę się rozluźnia:

– Dlaczego wolałbyś, żeby to była kobieta? Są bardziej wrażliwe?

– Odłóżmy na bok polityczną poprawność i spójrzmy prawdzie w oczy: utalentowani faceci zwykle mają co robić w życiu... I musielibyśmy wyłożyć niezłą kasę, a dziewczynie wystarczy zaproponować dwukrotność minimalnej płacy i poświęci nam trzy lata swego życia... Tak to wygląda: wytresowano was w ten sposób, byście troszczyły się o innych. To trwa już od dwóch tysiącleci i nie ulegnie zmianie tylko dlatego, że Simone Weil kazała się wam obudzić. Zresztą, mówiąc między nami i nie owijając w bawełnę: Vernon jest przecież prorokiem lachonów.

Już od kilku miesięcy Kiko draży temat. Siedzi przygarbiony nad ekranem laptopa, czytając w Wikipedii biografie proroków. Nigdy wiele nie czytał i robi to na nim kolosalne wrażenie. Wszystko jest już dla niego jasne: Vernon ma dar i wystarczyłoby dobrze zorganizować wspólnotę, żeby osiągnąć nadspodziewany efekt. Mariana opróżnia kieliszek, Kiko trzyma już drugą butelkę w dłoniach, a kiedy korek wystrzela, dziewczyna pyta:

– Po ilu wiekach spisano historię Konfucjusza? To nie takie proste wylansować proroka, prawda?

– Konfucjusz to tylko przykład, jak Mojżesz. Prorocy w starym stylu. Ale im bardziej zbliżamy się do naszych czasów, tym częściej ludzie sami ich fabrykują.

– To tak jak z katedrami, które trzeba było budować przez dziesięciolecia, a dziś centrum handlowe powstaje w trzy albo cztery miesiące?

- Właśnie tak.
- A kogo masz na myśli, mówiąc o nowych prorokach?
- Jeden powinien szczególnie nas zainteresować: Ron Hubbard.

Od miesiący Kiko opowiada każdemu, kto zechce go wysłuchać, o twórcy Kościoła scjentologicznego. Tym razem France Culture nie ma z tym nic wspólnego – to skutek rozmowy z facetem z sąsiedniego fotela podczas lotu z Paryża do Los Angeles.

Kiko wychodzi z założenia, że tym, co powstrzymuje Vernona przed autentycznym wcieleniem się w rolę guru, jest obawa, że tylko męczennik może być dobrym prorokiem.

Właśnie tak zyskuje się pierwszych wyznawców: potrzebny jest akt jawnej niesprawiedliwości. Idealna byłaby tragiczna śmierć. Szczególnie pożądane są też w tego rodzaju historii okrutne tortury. Jednak Kiko rozumie, że Vernon wolałby uniknąć etapu, kiedy na niego pluja, gdy on dźwiga na plecach osiemdziesięciokilogramowy krzyż, by skończyć z przebitym bokiem i konać z dłońmi przygwożdżonymi do tegoż krzyża. Wystarczy spojrzeć, do jakiego stanu doprowadza go bolący ząb, by zdać sobie sprawę, że Vernon nie jest stworzony do tego, żeby cierpieć z godnością. Dlatego Hubbard wydaje się Kiko doskonałym wzorem:

– Wielkie jachty motorowe, niunie w białych spódniczkach, wyśmienita kuchnia... A gość był z początku trochę do ciebie podobny: w wieku trzydziestu lat to był pieprzony loser. Z całym szacunkiem, kiedy miałeś trzydziestkę, też byłeś niewiele wart. Prawdziwa różnica między wami polega na tym, że facet miał motywację. Tego ci właśnie brakuje, Vernon. Silnej osobowości. Weźmy dowolny wyczyn sportowy: pamiętaj, że osiemdziesiąt procent sukcesu to psychika. Jeżeli wzmocnisz swoje morale, będziemy mieli wszystko, czego nam potrzeba: konwergencje będą naprawdę niewiarygodne. Od kiedy te dwie siksy z Bordeaux zmiksowały infrabasy Bleacha, byś mógł je puszczać między numerami jako

dźwiękowe plamy, osiągnęliśmy inny pułap... Bleach nadawałby się na guru. Był przystojny, istnieją setki jego świetnych portretów, a przede wszystkim umarł w cierpieniach, osamotniony. Ubarwiając trochę jego historię, można wręcz powiedzieć, że był człowiekiem wzgardzonym. To ideał. Gdy się porozumiemy co do tej pisarki, trzeba jej będzie powiedzieć, by umieściła go na drugim planie, trochę jak Jana Chrzciciela przed Jezusem. Wiesz, co mam na myśli... Taka subtelna sugestia, by ludzie mogli zadawać sobie pytanie, który z nich dwóch jest prawdziwym prorokiem.

– To znowu France Culture?

– Nie, słucham też radia Courtoisie... Ale posłuchaj, facet, musisz coś z siebie dać. Potencjał, talent, autentyzm to tylko dziesięć procent sukcesu każdego przedsięwzięcia.

– Wyłącz radio, zostaw w spokoju książki. Wyjdź potańczyć. Kup motocykl. Wiesz równie dobrze jak ja, że intelektualny wysiłek to nie twoja specjalność...

Kiko nie jest jedyną osobą w obozie, która wyczuwa podskórne drganie, ma przeświadczenie, że w końcu coś eksploduje, że trzeba „zrobić coś naprawdę wielkiego”. Jedni chcieliby przenieść się do Detroit, inni stworzyć coś na kształt wędrowniej trupy cyrkowej, jeszcze inni odwiedzili jakąś wspólnotę we Włoszech albo wrócili właśnie z Notre-Dame-des-Landes*... Każdy ma jakiś pomysł na dalszy ciąg. Prócz Vernona, który chciałby jedynie, by to trwało – byle jak, bez ustalonej formy, bez zwracania sobie głowy.

Charles, ten stary pijaczyna, zamierza nakręcić film. Wpadł na ten pomysł, gdy kilka koleżanek Pameli przyłączyło się do nich i zawróciło mu w głowie. Lale ze zrobionymi piersiami i paznokciami pociągniętymi lakierem z początku go onieśmiały, lecz wkrótce się zorientował, że jego poczucie humoru i filozofia życiowa robią na nich większe wrażenie, niż mogło mu się wydawać. Punkówki o ciałach kojarzących się z wyuzdaniem. Zaproponował nakręcenie filmowej utopii: dziewczęta uwięzione na bezludnej wyspie, żyjące pośród białych królików

i rozkosznych pudli... W ciągu jednego wieczoru przekształciły ten projekt, sugerując nakręcenie filmu o żywych trupach. Charles słuchał pełen podziwu, z otwartymi ustami, jak jedna z dziewcząt opisuje scenę, w której grzmoci czaszkę ogromnym dildem na fioletowym pasie.

Jednak nie wrócił, tak jak obiecywał, by dopracować ten utopijny projekt. Kiedy Mariana mówi, że ma spotkanie z koleżankami z Montmartre'u, i chwieje się, wstając z krzesła, bo za dużo wypła, Vernon podnosi się, żeby ją podtrzymać. Mówi, że chciałby zajrzeć do Charles'a. Przejdzie się po barach w jego okolicy, stary na pewno będzie w którymś z nich.

* Chodzi o ZAD (Zone d'aménagement différencié) w Notre-Dame-des-Landes – strefę inwestycji pożytku publicznego w pobliżu Nantes, wydzieloną w 1974 roku w celu wybudowania tam w przyszłości lotniska i okupowaną od 2009 roku przez grupy aktywistów antykapitalistycznych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Véro przeciąga dłonią po papierowej torbie, potem starannie składa ją na pół i kładzie na innych. Już nie usłyszy za plecami połajanek starego, który nie może ścierpieć, że tyle wagi przykłada do stosów opakowań, podczas gdy w całym mieszkaniu panuje nieopisany bajzel. Do szału doprowadza go to, że Véro może zapomnieć wyjąć rzeczy z pralki, tak że w niej pleśnieją, ale plastikowe i papierowe worki układa według rozmiarów, kolorów i materiału, z jakiego są zrobione, w ciężkim kredensie w salonie, który opróżniła z wszystkich naczyń stołowych, bo toreb było zbyt wiele. Każdy ma swoje schizy. Brązowy kredens jest pełen opakowań, a Véro czerpie z porządkowania tej przestrzeni wielką i trudną do wyjaśnienia rozkosz. Z jednej strony leżą torebki z folii bąbelkowej, dalej papierowe, małe woreczki z plastiku obok dużych, a w ostatnim sektorze piękne reklamówki, które znajduje na ulicy.

Kupili ten mebel razem, gdy wybrali się kiedyś na przedmieścia na kiermasz Emaus, bo pewien gość, który przychodził do ich baru, czasami tam pracował. To była cała wyprawa, ale wypili kilka aperitifów w ogrodzie i tak się ubzdryngolili, że nie bardzo wiedzą, jak zdołali wrócić. Było lato. Nie pojechali na żadne wakacje. Nigdy nie wyjeżdżali. Trochę zieleni wokół dobrze by im zrobiło, nawet jeśli Véro nie jest szczególną fanką chlorofilu. Ten grat kosztował ich dziesięć euro, kupili go w stanie takiego odurzenia, że byli zaskoczeni, gdy kilka dni później dostarczono im go do domu. Charles'owi ten kredens nigdy się nie podobał. To prawda, że zajmuje bardzo dużo miejsca. I w sumie nie był im do niczego potrzebny. Najpierw włożyli tam talerze i odkładali listy. W końcu to Véro zarekwirowała mebel, by trzymać w nim swoje torby. W kredensie jest mnóstwo szuflad i półek, więc może w pełni zaspokajać swą manię. Charles powtarzał, że w dniu, w którym go kupili, Véro dobrze wiedziała, co robi, że dobrze to sobie wykombinowała. Może miał rację: ludzie działający irracjonalnie są

dalekowzroczni, mają przewagę nad osobami, które funkcjonują normalnie, sięgają myślą dalej. Podobnie jest z alkoholem. Nawet gdy Véro próbuje przestać pić, ma pełną świadomość, że jej mózg robi wszystko, by wplątać ją w sytuacje, w których nie ma wyboru, i dzieje się to na ogół bez jej wiedzy – to znaczy, że ona sama nie podejmuje decyzji, by się napić, tylko przypomina sobie, że musi zadzwonić do starego przyjaciela, który ma kłopoty, a gdy już u niego jest, zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę przyszła tutaj po to, by wychylić dwanaście kieliszków pastisu. Właśnie tak działają mózgi czubków: oszukują sumienie, robią wszystko cichaczem, byśmy mogli otrzymać dokładnie to, o co nam chodziło, i twierdzić, że mieliśmy na myśli coś zupełnie innego.

Teraz może robić ze swoim kredensem, co jej się żywnie podoba. A nawet układać swoje torebki w dowolnym miejscu w salonie, jeśli jej przyjdzie ochota... Już na nią nie będzie wrzeszczał. Koniec z bijatykami.

Stary nie żyje. Trzeba przyznać, że palantowi nawet się to udało, kipnął ni stąd, ni zowąd, nie robiąc hałasu. Pierwsze ostrzeżenie – by wiedział, że coś się szykuje – wczesnym wieczorem: stojąc przy kontuarze, osunął się na podłogę, przez chwilę wił się, leżąc na boku, plując krwią, nim przyjechała karetka. Skorzystał z krótkiego następnego tygodnia, gdy niespodziewanie wrócił do pełnej formy, żeby uporządkować rozmaite sprawy, jak gdyby dobrze wiedział, że żegna się z tym światem. Kolejny nagły atak, przed sklepem spożywczym: tym razem udar mózgu. Poszli tam razem z Véro. Na chwilę przed upadkiem trochę się pokłócili, bo chciała, żeby jej kupił tubkę skondensowanego mleka Nestlé do porannej kawy, a on zrzędził, że nie ma takiej potrzeby, że to pieniądze wyrzucone w błoto, że to jej niszczy żołądek. Stary potrafił wkurzać jak mało kto. Pielęgniarki w szpitalu patrzyły na nich z politowaniem, jak na starą parę, którą śmierć lada chwila rozłączy. Zgoda, jak na parę alkoholików (wystarczyło spojrzeć na ich gęby), ale jednak starszków, którzy do ostatniej chwili trzymają się za ręce, bo Charles kurczowo ścisnął jej dłoń, czego nigdy wcześniej nie robił. Nie odzywał się słowem, ale widziała, że się boi, i nie miała pojęcia, jak zareagować, mówiła tylko:

„Wszystko będzie dobrze, biedaku, wyjdiesz z tego”. I z zewnątrz tak właśnie wyglądali: jak stara para, która się z sobą żegna. Co zresztą było prawdą. Ale harmonijne współżycie nigdy nie było ich mocną stroną.

Po pierwszym ataku, który zdołał przeżyć, rodzina starego nie pojawiła się, by czuć u jego wezgłowia. Siostra wprawdzie dzwoniła, ale gdy dowiedziała się, że doszedł do siebie, nie raczyła przyjechać. Tym lepiej, to idiotka. Barowych kumpli bardziej to obeszło. Stary Michel odwiedził go dwa razy – sprzedał swój bar, ale kiedyś naprawdę się kumpłowali. I tęgi François – przyjaźnili się w końcu niemal od dzieciństwa, on też pochodzi z północy. Ahmed, który pracował w barze des Vosges, gdy było to jeszcze całkiem znośne bistro, też do niego zajrzał. Bardzo się zmienił. Podobnie jak wielu innych. Nie pije już alkoholu i nie śmiał im tego powiedzieć wprost, ale się domyślili – szedł z duchem czasu, zaczął się modlić i świętować ramadan. W dzielnicy trudno teraz nosić tego rodzaju imię i spokojnie popijać piwko, bo zaraz ktoś zacznie ci prawić morały. Inni kompani od kieliszka, kiedy się dowiedzieli, obiecywali, że przyjdą – ale biorąc pod uwagę wiek Charles’a, nie robili sobie wielkich złudzeń: wylew na ogół oznacza komplikacje. I Charles nie kazał im długo czekać. To szczęście, że była przy nim w dniu, kiedy to się stało. Cholera. Stary umarł, trzymając ją za rękę. To była chyba najczulsza chwila w całej ich historii. Nie był pierwszą osobą, która wyzionęła ducha na jej oczach. Ale to robi wrażenie. Pomyślała: właśnie tak to wygląda, już po wszystkim. Umrzeć – to nic takiego. Robimy z tego wielkie halo, a gdy to się przydarza, odczuwamy ulgę.

Nie do wiary, jaki jest rejwach w szpitalu, kiedy już stwierdzą zgon i trzeba opróżnić łóżko. Ani śladu współczucia dla tych, którzy pozostali. Zgoda, dla nich to tylko dodatkowa papierkowa robota, codziennie mają z tym do czynienia, są przemęczeni, jest kryzys i trzymanie w pokoju kogoś, kto oficjalnie zszedł już z tego świata, byłoby nie do przyjęcia – jednak ma się ochotę rozmazać któregoś na ścianie, gdy zaczynają się krzątać wokół umarlaka. Nie dali jej nawet pięciu minut spokoju. To tak ją zszokowało, że zapomniała języka w gębie. Ale odtąd nie może

się uwolnić od nieprzyjemnych myśli – rzucili się na zimnego trupa, jakby to była rzecz bez żadnego znaczenia, warta nie więcej niż zepsuta lodówka.

Spędziła z tym palantem prawie piętnaście lat, co noc słuchała jego głośnego chrapania, a tego wieczoru nie usłyszy, jak się pyrga po domu. Mogli zostawić jej trochę czasu. To kwestia przyzwoitości. Nawet tacy ludzie jak oni chcą powiedzieć sobie do widzenia. Choćby po to, żeby móc w to uwierzyć. Już po wszystkim. Ten ochlapus więcej się nie poruszy, już jej nie zwyzywa, nie walnie pięścią w stół, nie ochrzani, gdy ona zmieni kanał w telewizorze, nie nasika obok miski klozetowej, nie nazwie jej głupią krową, gdy ona powie, że Obama jest czarujący... To koniec. Gdy tylko słyszał o „długu publicznym”, zaczynał intonować *Międzynarodówkę* i nie można już było włączyć telewizora, żeby nie zaczął podśpiewywać. Ale to już skończone. To i wszystko inne.

Nawet jeśli cierpieli biedę, nie narzekała na ich wspólne życie. Była już zbyt stara, kiedy go poznała, by mogła sobie wmawiać, że dla niej jest to coś więcej niż ostatnia deska ratunku. Wiedziała, że znosi go tylko dlatego, ponieważ boi się zostać sama. Dawno wyrosła z wieku, gdy się myśli, że miłość to coś więcej niż pretekst do wspólnego kupowania kuchenek mikrofalowych i samochodów na kredyt.

Stale coś mu wypominała. Zdawała sobie sprawę, że to były głupstwa. A jednak często stojąc przy kuchennym zlewie, wymieniała kolejno, czego u niego nie znosi. Choć doskonale wiedziała, że bez niego wpadłaby w depresję. Jednak od czasu do czasu potrafili śmiać się jak opętani. Bo zachowanie Charles'a nie skłaniało do melancholii. Mogła powtarzać wszystkim dookoła, że jest wręcz przeciwnie, ale ich współżycie nie ograniczało się do ciułania pieniędzy na czynsz i dzielenia na pół kosztów ogrzewania. Na swój sposób nieźle się rozumieli. Véro mogła cisnąć mu prosto w twarz dwunastopak piwa, nigdy się nie skarżył.

Wygląda dłonią różowy plastikowy woreczek, jest tak cienki, że widać przez niego na wylot. Najpierw ciągnie za ucha, by odzyskał kształt, składa go na pół, potem trzy razy w pionie. Kładzie woreczek na innych. Teraz, gdy w sklepach nie dają już torebek za darmo, jej kolekcja zaczyna nabierać wartości.

Charles przepadał za reality show. Im bardziej były głupie, tym bardziej go bawiły. Kiedyś trafił na program o ludziach z zespołem Diogenesa, którzy gromadzą rzeczy, niechętnie wyrzucają przedmioty mogące się jeszcze przydać, cierpią na manię zbieractwa. Zaczął się krztusić, dostał napadu kaszlu, tak bardzo mu było spieszno, żeby wrzasnąć: „Chodź, stara, chodź tu i sama zobacz, jak skończymy, jeśli ci pozwolę na te fanaberie!” – a potem przez trzy dni chodził za nią, by sprawdzić, co właściwie gromadzi. Mówił na nią Diogunia, zdrobnienie od Diogenesa, i próbował ją zmusić, by wyrzuciła torebki i inne rzeczy mogące się jeszcze przydać. Ale to nie ona ma natręctwa, jak to nazywają. To otaczającemu światu odbiło na maksa. Cóż to za mania wywalania wszystkiego do kosza? To, że wszyscy tak robią, nie znaczy, że jest to normalne.

Słucha Barbary. „Powiedz, kiedy powrócisz, powiedz, czy już wiesz”, i łza spływa jej po policzku. Korzysta z tego, że jego już tu nie ma, i puszcza muzykę. Stary nie lubił francuskiej piosenki ani poezji. Z początku myślała, że w gruncie rzeczy nie był w stanie zrozumieć treści, miał na tym tle jakiś kompleks. Później doszła do wniosku, że przede wszystkim próbuje ją wkurzyć, nie chce dopuścić, by w jej życiu zagościło piękno, woli, by siedziała po uszy w smrodzie i brudzie, i nie podoba mu się, że ona ma dostęp do rzeczy trochę piękniejszych niż to, co widzi przez okno na ulicy. W końcu przyjęła do wiadomości, że nie chodzi o żaden kompleks ani o to, by ją zamknąć w granicach szarej codzienności. Charles nie lubił muzyki ani poezji, uważał je za przejaw hipokryzji burżujów. Jej tomiki wierszy Emily Dickinson i Alejandry Pizarnik, jej płyty z muzyką Aznavoura czy Léo Ferrégo to były dla niego śmieci. Żeby burżuje mogli udawać ważniaków. Zasłona dymna. Tak właśnie to widział.

Dla starego Charles’a naga prawda o ludzkości mieściła się w jednym słowie: jatka. Chodziło tylko o to, kto ma prawo poniewierać innych. Cała reszta to były, jego zdaniem, poetyckie rojenia – sposób na to, by zamaskować trupi odór towarzyszący człowiekowi wszędzie. O tak, był mizantropem, to trzeba mu przyznać.

Umieszcza równo złożoną torebkę na stosie innych, ale nie ma czasu zamknąć szuflady, musi biec do kibla. Wymiotuje żółcią. Istne skaranie boskie. Coraz gorzej znosi alkohol. To na pewno stres. Te wszystkie papiery, które trzeba będzie wypełnić.

Otwiera nową butelkę, bo sprawa jest prosta: jeżeli źle się czujesz z powodu przepicia, musisz wypić ciut więcej, by uodpornić kiszki. Napełnia dno kieliszka, żeby zmoczyć wargi. Stary nie żyje, spędziła z nim prawie piętnaście lat, więc nietrudno policzyć: od ponad piętnastu lat codziennie przysięga sobie, że przestanie pić. Mój Boże, jest już na to za stara, to jej wyniszcza organizm. Najlepsze rzeczy w życiu muszą się kiedyś skończyć, na ogół zbyt wcześnie: butelka zawsze była jej najlepszą towarzyszką, jej jedyną miłością – i nawet to w końcu zaczyna być dla niej problemem.

Kiedy była z Charles'em, przez cały czas składała obietnice, których nigdy nie dotrzymała. Skończyć z piciem. Zacząć się doksztalcać. Zwiąć, puścić go kantem, znaleźć kąt tylko dla siebie, zacząć nowe życie. Czasem był tak nachlany, że próbował jej dosiąść, a kiedy jakimś cudem rzeczywiście mu stawał, kopała go, żeby dał jej spokój. To była stara szkoła: zdawało mu się normalne, że ona mówi „nie”, a on wciąż nalega. Dziś ludzie już tacy nie są. Nabrali ogłady. Lecz jego pokolenie to były zwierzęta. Pieniła się, kiedy zdołał jej wsadzić. „Przecież widzisz, że nie sprawia mi to żadnej przyjemności”. Rechotał. „Nie robię tego, żeby ci sprawić przyjemność, muszę zrzucić z krzyża”. Bez żenady. Jak za dawnych lat.

Przed nim gustowała raczej w młodych mężczyznach. Młodych i przystojnych. Przed nim mogła jeszcze czasami wybierać. Ale od kiedy była z Charles'em, zbyt się zaniedbała, żeby otrzymać to, czego naprawdę chciała. Mój Boże, jak ona dziś wygląda. Tragicznie. Miała mu to za złe, a przecież nie była to jego wina. Mówiła, że gdyby z nim była szczęśliwa, zadbałaby o wygląd. Mówiła, że gdyby była sama, trzymałaby fason, odstawiłaby butelkę na parę tygodni, zaczęłaby ćwiczyć, stosowałaby dietę i efekty od razu byłyby widoczne. Teraz, gdy go już nie ma,

będzie musiała znaleźć innego winowajcę. Albo pójść na odwyk. Dziwnie się z tym czuje.

Nadal nie może się temu nadziwić. Czegoś się domyślała. Ale nie spodziewała się takich kokosów. Tym bardziej tego, że stary wariat zawrze z nią związek partnerski, tak by po jego śmierci mogła coś odziedziczyć. Ani tego, że zostawi ten dziwaczny list. Napisany niezdatnym pismem. Jego pismo było jak jego ciało – niezdatne, pofalowane linie, koślawe litery, laski „p” opadające w próżnię, poprzeczne kreski w „t” uciekające w stronę brzegu strony. Niedbałe pismo, które się z sobą kłóci i zdaje się rozpadać. A jednak eleganckie, pismo osoby, która próbowała kiedyś nauczyć się pisać poprawnie. Wyjaśnił jej, o co chodzi, dobrze to skalkulował – kiedy ten stary dureń był na tyle przytomny, by w tajemnicy przed nią wszystko przygotować.

Nie może się nadziwić. Ponad milion. Zdeponowany na koncie bankowym i niemal nietknięty. Nie bardzo wie, ile wynosi podatek od spadku, ale to chyba nie jest jakaś bająska suma, jeżeli się nie myli, straci dwadzieścia procent... Zostanie dosyć, by mieć święty spokój. Od pewnego czasu czegoś się domyślała, ale nie skojarzyła faktów. Kiedy ją poprosił, by postarała się o swój akt urodzenia, po czym poszli do sądu, by sformalizować swój związek, wydało jej się, że chodzi mu o chorobę, że on boi się, że może trafić do szpitala, a jej nie pozwolą przynosić mu papierosów i flaszki. Nalegał, by stało się to jak najszybciej, a ona pomyślała sobie: stary wieprzu, ale masz kaprysy. Ani przez chwilę nie zaświtało jej w głowie, że chodzi o spadek. Jak mogłaby wpaść na pomysł, że ta stara kanalia dysponuje takim majątkiem? Naprawdę to dla niej wielkie zaskoczenie, że zależało mu na tym, by jej coś zostawić. Wie, że nienawidził siostry, może chodziło mu właśnie o to: nie chciał, by to ona po nim dziedziczyła. Wszystko w tej historii jest dla niej zaskoczeniem.

Czułość i wielkoduszność ani trochę nie cechowały ich związku. Trzeba przyznać, że pod koniec życia się zmienił. Nie wtedy, gdy zgarnął główną wygraną. Sprawdziła daty. Gdy trafił szóstkę, to były tenisówki. Najbrzydsze buty, które

człowiek kiedykolwiek wymyślił i które Charles ochoczo kupował. Mówił, że są bardzo wygodne. Pozbiera tę jego kolekcję i wywali na chodnik. Nie, zmienił się później. Kiedy związał się ze swoją paczką.

Gdy przeczytała ten pożegnalny list, wściekła się: jeśli mu tak zależało na tych jego koleżkach, dlaczego jej nie poprosił, po pierwszym ataku, by ich powiadomiła? Nabijała się z niego i tej grupy mieszcuchów, którzy mieszkają na wsi. Ale powinni tu być w jego ostatnich dniach. Może by się zjawili. Z powodów, które pozostawały dla niej niezbyt jasne, im też na nim zależało. To było widać.

Cyganie palą wóz osoby, która w nim mieszkała, w kilka dni po jej śmierci. Żeby dusza tam nie utkwiała, by mieć pewność, że poleci prosto do nieba. Véro rozgląda się wokół – zdziwiłaby się, gdyby stary siedział rozparty w fotelu. Nie ma sensu go palić. Pewnie Charles poszedł od razu do góry, gdy wydał ostatnie tchnienie, nigdy się nie ociągał.

Oczywiście spostrzegła, że w ich domowym budzecie coś się nagle zmieniło. Najpierw jej podejrzenia wzbudziły kurczaki. Charles uwielbiał kurczaki. W niedzielę przyniósł ze sklepu pieczonego kurczaka z różną, tydzień później to samo, w następnym tygodniu znowu. Od razu zapytała: „Kogo naciąłeś na kasę, że pod koniec miesiąca masz jeszcze pieniądze?”. Zaczął kręcić, zaperzył się, w końcu stwierdził, że rzeźnik dał mu kurczaka na kreskę. W Paryżu, w dzisiejszych czasach... Na kreskę. Robił sobie z niej jaja. Pomyślała, że coś wygrał w zakładzie bukmacherskim i chce to przed nią ukryć. Nie po raz pierwszy robił jej taki numer. Później wypatrzył te szmatławe tenisówki. Jak jakaś zakichana zakupoholiczka w rui. Te jego najki Air Max kosztowały trochę więcej niż pieczony kurczak. Zaczęła wiercić mu dziurę w brzuchu – to nie było normalne, trwało już zbyt długo, ta kasa, którą szastał bez opamiętania. Nie puszczał pary z ust. Nawet pijany jak bela, leżąc w kącie toalety któregoś z barów w szczynach i rzygach, co tak bardzo lubił... Gdy trzeba było iść po niego przed zamknięciem lokalu, chrapał w cudzych i własnych płynach ustrojowych, zwinięty w kłębek jak szczeniak, na boku, taki milutki, jeśli pominąć okoliczności i jego zapijaczoną gębę. Próbowwała mu pomóc

– klękała obok niego, by go pogłaskać po czole, i zmieniała ton głosu, tak by zabrzmiała w nim matczyzna troska, żeby rozbroić go i skłonić do mówienia, a kiedy indziej przypuszczała frontalny atak zaraz po jego przebudzeniu, napastliwa i groźna mówiła mu: „Wszystko wiem, ty cholerny draniu!”. Nie puszczał pary z ust. To nie była już ta sama lodówka, pojawiały się w niej rzeczy, których nigdy wcześniej nie kupowali, lecz przede wszystkim miesiąc stracił dawną strukturę: czy był piąty czy trzydziesty pierwszy, stary niezmiennie wspierał się o kontuar bistra i już nie miotał się jak szalony, gdy niespodziewanie przyszła jakaś faktura. Gderał i załatwiał sprawę. Dobrze wiedziała, że to nie jest normalne. Czegoś się domyślała, rzecz jasna. Ale nie takiej sumy.

Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Nigdy nie miała tak wielkiej chęci, żeby z nim porozmawiać, jak teraz, gdy już go nie było. Czemu tak mało wydałeś? Dlaczego zostałeś ze mną? Dlaczego nie poszukałeś sobie jakiejś młodszej, tak jak wszyscy faceci w twoim wieku, gdy do kieszeni wpadnie im parę euro? W barach nie brak młodych kirusek, z taką kasą mógłby wyrwać całkiem niezłą cizię. Véro przegląda się w lustrze i robi jej się przykro. Alkohol dobrze wchodzi do trzydziestki, potem to równia pochyła aż do pięćdziesiątki, a na ostatniej prostej jest najgorzej. Po przejściu menopauzy, mój Boże, wygląda jak maskaron. Obrzmiała czerwona twarz, ciało zdeformowane od picia sikacza, bezmyślne spojrzenie.

Bo trzeba czasu, żeby się wykończyć. Zmierzamy w tym kierunku, to pewne, i dobrze o tym wiemy. Ale trwa to tak długo. To okropne. Z paleniem sprawa jest prosta: gdy zacznie się dziać coś złego, dostajesz kopniaka w tyłek i sprawa załatwiona – lądujesz na cmentarzu. Ale nie z alkoholem. Od chwili gdy lekarz ci powie: „Odstaw to albo umrzesz”, do dnia, w którym faktycznie wyciągasz kopyta, może upłynąć dziesięć długich lat. Wcale nie najlepszych. Véro nie wygląda dobrze. Ona sama, gdyby mogła wybierać, nie byłaby z kimś takim. Nie chciałaby się budzić i patrzeć na swoją gębę na poduszce. Charles też był brzydki. Ale nie

miała nikogo innego, z kim mogłaby pójść do łóżka. Trzeba być pragmatycznym, a ona nie cierpi samotności.

Teraz rozumie. Ten dzień, gdy zaczął rzygać krwią i poszedł do lekarza, ponoć by się dowiedzieć, że to tylko krwotok, nic poważnego, musi tylko jeść krede i gotowane marchewki. Wydało jej się to dziwne, ale on otworzył sobie piwo i stwierdził, że w małych ilościach alkohol mu nie zaszkodzi, a ona nic nie odpowiedziała. Dziś się domyśla, że doktor wcale mu nie powiedział, że to nic takiego. Charles wiedział. Zabił się. Dla tego człowieka milczenie było rzeczą świętą. Nazywają to powściągliwością, ale była to raczej werbalna obstrukcja. Żeby pleść bzdury, otwierał jadaczkę kilka razy dziennie. Nigdy po to, by powiedzieć coś naprawdę ważnego.

Zaciągnął ją do sądu, żeby zawrzeć ten związek. I pewnie wtedy poszedł do notariusza. W liście napisał wyraźnie „mój notariusz”, podając adres i tak dalej. Zadzwoiła tam. Usłyszała, że ma przyjść podpisać jakieś papiery, i z namaszczonego tonu tego mądrali wywnioskowała, że kroi się coś większego. O takiej sumie się nie zapomina, nawet w kancelarii.

Charles prosi ją w testamencie, by podzieliła pieniądze na dwie części – połowa dla niej, połowa dla paczki Vernona Subutexa. Wolnego, kotku... Jeśli tak bardzo mu zależało, by uszczęśliwić swoich nowych przyjaciół, dlaczego ich nie zaadoptował? Właśnie tak by postąpił, pomyślała Véro, gdyby na serio chciał podzielić spadek.

Nie przepadała za jego przyjaciółmi z parku des Buttes-Chaumont. Wkurzało ją, że tak dobrze się z nimi czuje. Co tu kryć. Charles nigdy nie był egzaltowany. Kiedy zaczął się zachowywać jak ostatni kretyn, co było dla Véro zupełnym zaskoczeniem, cieszyć się jak dziecko, że wreszcie ma przyjaciół, że się z nimi spotyka, poczuła się nieswojo. Po pierwsze, była zazdrosna. Widząc, że nagle poczuł się szczęśliwy, gdy ona sama nie miała się czego uchwycić, poczuła się samotna i całkiem do niczego. Zraniło ją też to, że w jego nowym życiu zabrakło dla niej miejsca. To przede wszystkim ją zaniepokoiło. To, co piękne, zawsze w końcu staje się brzydkie i odrażające, w jej wieku ma się już tę świadomość,

i zadawała sobie pytanie, jaki paskudny numer wykręca mu wcześniej czy później, jak załatwić Charles'a. Gdy w pewnym wieku przywiązujemy się i okazujemy to innym, bardzo łatwo nas zranić. Nie mogła znieść, że Charles tak bardzo się poniża.

W ostatnich miesiącach regularnie wsiadał do autobusu i znikał na prowincji, by spędzić z nimi kilka dni. A przecież tego nie znosił – walizek, podróży, wszystkiego, co sprawia, że ludzie muszą spać w jakimś obcym domu.

To zawracanie głowy. Nie wierzy, żeby stary napisał to na poważnie: czy wyobrażał sobie, że Véro naprawdę pofatyguje się do notariusza, wypełni te szpargały, by w końcu podzielić sumę na dwie równe części? Zachowa wszystko dla siebie. Co za idiotyzm! Każdy zachowałby się w taki sposób.

Poznali się z Charles'em w barze. Normalka. Raczej nie mogli się spotkać w kinie, ponieważ żadne z nich tam nie zaglądało. Był zabawny. Bezpośredni. Brzydki jak noc. Véro lubi przystojnych mężczyzn, którzy mają pasję. Uwielbia, gdy mają gładką skórę, są dobrze zbudowani, mają szerokie barki, wypiętą pierś, zarysowane wyraźnie mięśnie ud. Lubi wydatne usta, długie rzęsy, jeśli im nie odbierają męskości, duże dłonie, czułe i władcze. Lubi przyglądać się ratownikom medycznym, gdy biegną w grupie, w krótkich szortach odsłaniających muskularne uda, a gdy się pocą, widać też mięśnie pleców pod tkaniną koszulki.

Charles był paskudny. Nie podobał jej się. Ale się przyczepił. Już od dawna nikt się tak do niej nie przystawiał. Pomyślała: bądź rozsądna, nie licz na nic lepszego. Stary miał przynajmniej gadane. Dała się przekonać i poszła z nim tej nocy. A także w następne. Nigdy nie zrozumiała, co on właściwie w niej widzi.

W tym czasie Véro straciła już pracę w szkole. W oczach Charles'a to było naprawdę coś. „Mistrzostwo świata... Nigdy nie słyszałem, żeby nauczyciela wyrzucono z roboty... Przecież to niemożliwe. Zgwałciłaś całą klasę czy jak?”

Nie została nauczycielką z powołania. Było to naturalne następstwo jej literackich studiów. Zdała egzamin państwowy, bo przecież musiała coś włożyć do garnka. W pierwszym dniu przyszła do szkoły w beżowym prochowcu, który

kupiła specjalnie na tę okazję. Na innych kobietach taki płaszcz prezentował się elegancko, nadając im wygląd prawdziwych, nieco tajemniczych dam. Na niej to była porażka, prochowiec przypominał stary worek na kartofle. Wyglądała jak wariatka, która zbiegła z zakładu zamkniętego. Nic nie trzymało się kupy. Ten płaszcz, buty na płaskim obcasie, które ją urzekły, bo pomyślała o Audrey Hepburn, lecz które na jej stopach wyglądały jak znoszone filcowe kapcie. Idąc pierwszego dnia do tej szkoły, czuła się tak, jakby wchodziła na szafot, przeświadczona, że dzieci dostrzegą jej groteskową sylwetkę, odkryją, że gra komedię. Spodziewała się szyderstw, wyzwisk, tego, że odeślą ją z kwitkiem do domu. A gdy nazajutrz cherubinek siedzący w trzecim rzędzie zaczął przeszkadzać jej podczas lekcji, kazała mu zebrać rzeczy i usiąść w głębi klasy. Spytał: „Bo co?“, a ona spokojnie odpowiedziała: „Bo ci wydrapię oczy pazurami, złotko”. Była pewna, że nie dotrwa do końca tygodnia. Chłopiec uśmiechnął się lekko i wykonał polecenie pośród śmiechów zbulwersowanej i uradowanej klasy. Myślała, że po powrocie do domu poskarży się rodzicom i zawieszą ją w obowiązkach. Nic takiego się nie zdarzyło. A ona przeszła w koledżu do legendy. Stała się groźną panią Breton, nauczycielką języka francuskiego, która jest harda i ustawia niesfornych uczniów po kątach. Której lepiej nie wkurzać. Której jest sprawiedliwa, ale też surowa. To były czasy zupełnie inne niż teraz. Rzadko się zdarzało, by ktoś wyzywał dorosłych. Została dobrą nauczycielką, w każdym razie umiała zaciekawiać klasę nauczonym przedmiotem. Lubiła energię tych dzieci. Później rodzice się zmienili. W latach dziewięćdziesiątych pojawiło się pierwsze pokolenie rozbestwionych kretynów, istna horda degeneratów. Oraz stukniętych rodziców, którzy przychodzili do szkoły, by powiedzieć nauczycielowi, że ich dzieci nie robią postępów w nauce wyłącznie z jego winy. Jak na to zareagować? Dzieciak, który wraca do domu ze złą oceną i słyszy: „Mój skarbie, to na pewno wina nauczyciela”, to dzieciak, z którym trudno sobie poradzić. Poprosiła o przeniesienie do ZEP-u*. Powiedziała, że chodzi jej o premie, ale w gruncie rzeczy nie mogła już znieść tych wszystkich mamusiek i tatusiów ani ich popapranej progenitury, z którą trzeba się

było obchodzić jak ze zgniłym jajem, choć taki dzieciak nigdy nie będzie w stanie nauczyć się niczego o czasie zaprzyszłym.

W latach dziewięćdziesiątych zdarzały się jeszcze dzieci z ubogich środowisk, które wierzyły, że „wiedza to potęga”, a korzystanie ze słownika kiedyś zaprocentuje. Można im było powiedzieć bez zażenowania, że dzięki dobrym studiom zyskają lepsze perspektywy na przyszłość niż po zawodówce ze specjalnością obróbka skrawaniem. Nauczyciele okłamywali te dzieci, sam adres zamieszkania skazywał je w przyszłości na prace dorywcze, ale nie zdawano sobie z tego sprawy. Miała doświadczenie, dzielnie dawała sobie radę na północnych przedmieściach Bourges, gdzie nauczwała. Dobrze znała dzielnice imigrantów. Dziś o takich kobietach ludzie mówią, że puszczają się z Murzynami: cała Afryka przeszła przez jej łóżko, od wschodniej po zachodnią, północna i południowa. Można myśleć, co się chce na temat imigracji, lecz jeśli chodzi o spełnienie kobiet, ci mężczyźni zrobili bardzo wiele dla Francji. To dawało jej pewną przewagę nad niektórymi z kolegów: potrafiła sobie wyobrazić, co te dzieciaki naprawdę mają w głowach. I żaden rodzic nigdy nie przyszedł się skarżyć, że każe uczniom czytać dzieła Chestera Himesa, Edwarda Bunkera czy Calaferte'a, które nie należą do lektur obowiązkowych. Dzieci nie mówiły w domu o lekcjach francuskiego, a rodzice nie interesowali się tym, co czytają. Dzięki temu nikt nikogo nie wkurzał, a niektórzy uczniowie polubili czytanie książek. Potem zaciekawiała ich dziełami Rousseau, pierwszego obrońcy hałustry, i w każdym roku szkolnym przekonywała garstkę swoich uczniów, że biblioteki pewnego dnia mogą im się przydać. Radziła sobie też z tymi, którzy byli oporni na jej nauczanie. W tamtych czasach uczniowie byli hałaśliwi, bardzo żywi i bardzo zabawni. Nauczyła się nie parskać śmiechem, słuchając głupstw, jakie wygadywali. W ich słowach była doza szalonej poezji. Jej problemem stała się hierarchia zawodowa. Oraz internet. Nie musiała czekać na pojawienie się blogów i Twittera, by mieć problemy z siecią. Któregoś wieczoru, po powrocie do domu z zakrapianej kolacji, znalazła mail od dyrektora placówki. Głupka pierwszej wody, jakich produkują taśmowo instytucje publiczne, którego arogancja szła w zawody z brakiem kompetencji. To była inna epoka. Nikomu nie

przyszłoby wówczas do głowy, by kontaktować się z nauczycielem po dwudziestej pierwszej – uważano, że jeśli nie wybuchł pożar, któryś z uczniów nie walczył o życie i nie istniało realne zagrożenie wybuchem jądrowym, po określonej godzinie nie pełniłeś już obowiązków i twoje życie należało do ciebie. To właśnie maile zmieniły tę regułę: szefowie od razu doszli do wniosku, że mogą ci je wysyłać o dowolnej porze. Dyrektor wysłał irytującą wiadomość, wytykając jej jakieś nieistotne spóźnienia i zawracając głowę. Była pijana, kiedy to przeczytała. Od razu odpowiedziała. Miała wenę. Napisała kilka stron wyzwisk, w pełni zasłużonych i wyrażonych szczerze, jak zwykle pod wpływem alkoholu. Pamięta tę scenę, siedziała w kuchni przy czarnym stole z Ikei, na którym stały jasnozielony komputer z oddzielnym monitorem, otwarta puszka piwa, potem druga. Nie odczuwała strachu przed ekranem: przedstawiała swe racje, rewanżując się za lata frustracji, w których musiała znosić tego małego despotę.

Nazajutrz ten dupek po prostu kliknął polecenie „drukuj”, po czym złożył na policji zawiadomienie o kierowaniu gróźb karalnych pod jego adresem i powiadomił zwierzchników z kuratorium. Nie pomyślał ani przez chwilę: to dobra nauczycielka, nie zwolnię jej ot tak. Nie. Mail wywołał skutki przerastające to, czego się mogła spodziewać... Zapewne zadziałała magia słowa pisanego. Została zawieszona w obowiązkach, a wkrótce definitywnie zwolniona. Charles uwielbiał tę historię. Miał jej za złe, że nie zachowała kopii listu, który wywrócił jej życie do góry nogami. Był pewien, że chodziło o wielkie dzieło sztuki, może dzieło jej życia. Nie co dzień mamy okazję powiedzieć, co naprawdę myślimy o naszym przełożonym.

Charles nieźle ją rozbawił, każąc jej iść do jakiejś Emilie, która pracuje przy ulicy Campagne Première, by ta skontaktowała ją ze swoim kumplem Subutexem. Miałyby się pofatygować tam tylko po to, by im przekazać setki tysięcy euro, które wydadzą na jakieś głupoty, podczas gdy Véro ma rozległe plany. Bardzo dobrze pamięta tego Subutexa. Stary zaczął się nagle zachowywać jak facet z piórkami w dupie. Miał teraz kolegów w parku. Od tego się zaczęło. Nigdy tam z nim nie

była. Po pierwsze, nie lubi parków. Za dużo zieleni. Ma gdzieś ocieplenie klimatu i kwestię składowania odpadów nuklearnych. Przez całe życie słyszała, że trzeba konsumować i w ten sposób wspierać krajową produkcję, a teraz zawracają jej głowę, że kupuje rzeczy wytworzone w Chinach... Trudno się w tym połapać. Spowolnienie gospodarcze? Véro to się nie podoba. Ma prawdziwą pasję do soldów, chińskich sklepików w dzielnicy, towarów za pół darmo.

Ma mnóstwo planów. Nie brak jej entuzjazmu. Wokół jest tylu ludzi bez papierów, że chętnie otworzyłaby jakieś schronisko. Oczyma wyobraźni widzi już siebie w stroju siostry szarytki, w starej rezydencji, którą by kupiła. Nie mogąc ich obmacywać, mogłaby chociaż szykować im jedzenie, w razie potrzeby podawać aspirynę albo wypełniać za nich dokumenty. Byłaby im niezbędna. Ogląda to w telewizji: całe łódzie pełne niezłych przystojniaków, niedobitków, którzy po długiej drodze trafili aż tutaj i próbują dostać się do ciężarówek, żeby przekroczyć granicę. Otworzyłaby ośrodek i powiedziała im: „Nie tak prędko, mój mały, zostań tu trochę dłużej, postawię cię na nogi”. Żeby móc na nich patrzeć. Wyobraża ich sobie, tych wszystkich młodych samców, jak krążą wokół niej w salach cuchnących testosteronem. Te krzepkie, zahartowane ciała, ciała morskich rozbitków. Mój Boże, tak bardzo chciałaby się o nich zatroszczyć! Gdyby krajem nie rządili ci cholerni faceci, rozwiązalibyśmy ten problem. Ale wszyscy mają w nosie satysfakcję kobiet. Chciałaby tylko dać im trochę ciepła. Móc grać rolę samicy przy tych facetach z prawdziwego zdarzenia. Teraz, gdy Charles nie żyje, ma dla niego tyle czułości. To byłaby niewdzięczność, gdyby było inaczej, tak dużo jej zostawił.

Byłaby jak Scarlett O'Hara przy drodze do Calais. Wybije im z głowy Anglię, dobrze ich odżywiając, ustawiając wszędzie grzejniki i dogadzając każdemu. Nie obchodzi jej ani trochę, czy są muzułmanami czy chrześcijanami ani czy w wiosce, z której pochodzą, ludzie pocierają kamyki, mówiąc do nich ciociu. To nieważne, do jakiego boga zwraca się mężczyzna – liczy się tylko to, czy potrafi sprawić, że marzysz na jawie, że czujesz się kobietą, że kręci ci się w głowie na samą myśl o tym, co by było, gdyby ktoś taki wziął cię w swoje ramiona.

Mogłaby też otworzyć jakąś szkołę. A nawet wykonać piękny gest, nadając jej imię Charles'a. Szkołę prywatną. Jej uczniowie chodziliby w szarych mundurkach i trzewikach, dzieciaki to uwielbiają. Fąfle lubią cierpieć. Mają to zapisane w swoim DNA. Byłaby to szkoła bezpłatna, ale z egzaminami wstępnymi. Dla najlepszych, wytresowanych do osiągania sukcesów. Czuje się na siłach, by wykształcić całkiem nową elitę, prawdziwą. Nie tych gogusiów z dobrych dzielnic, gdzie liczy się tylko majątek twojego ojca. Pomysłów jej nie brakuje. Zorganizuje obóz treningowy, małolaty będą codziennie pęzały w błocie przy dźwiękach *Marsylianki* i sam zobaczysz, czy nie będą zadowolone. Cztery lekcje łaciny rano, potem nauka literackiego języka arabskiego, do tego szczypta algebry i solidne studia historyczne, a będziecie zdziwieni poziomem absolwentów opuszczających placówkę. Wystarczy spojrzeć na stan dzisiejszych elit, by zdać sobie sprawę, że potrzeba nam innych. Gdzie o pozycji decydują osobiste zasługi. Te maminsynki będą zaskoczone, kiedy na rynku pracy pojawią się jej uczniowie. Kraj potrzebuje świeżej krwi. Popatrz na gęby przedstawicieli elit – najgorsze nie jest to, że są do szpiku kości skorumpowani, lecz to, że są głupi jak but. Z uporem majstrują przy kodeksie pracy, ale chwilka, zakuta pało, jeśli nie masz bladego pojęcia, jak prowadzić biznes, możesz sobie dalej zatrudniać niewolników, twoje obroty i tak nigdy nie wzrosną... Otworzy szkołę. Spośród dzieci, które pieszo przemierzyły Afrykę, a potem przepłynęły tratwami przez morze, wybierze najlepszych, by ich nauczyć reguł gry, jakie panują w kapitalistycznym świecie. I wtedy się okaże... Ma na to środki.

Cholera, gdyby ktoś jej kiedyś powiedział, że Charles zrobi jej taki prezent. Myśli także o klinice odwykowej w Szwajcarii. Oglądała je w internecie, płaci się tam jak za zboże, ale to piękne miejsca. Wróci do lektury Thomasa Manna, tam, na tej swojej górze, poczuje się trochę jak podstarzała Heidi. I wyjdzie stamtąd jak nowo narodzona, z gładką cerą i wypoczętym umysłem. Gotowa zrobić wszystko, co trzeba, by spożytkować te pieniądze w jak najlepszy sposób. Bo jednak się boi, że mogłaby zachorować. Z powodu przepicia, przeżartych jelit, boi się tego, że nie wystarczy jej czasu. Musi o siebie zadbać, rozwiązać ten problem. Ale z takimi

pieniężni nie musi przecież całkiem odstawić alkoholu. Wewnętrzna równowaga pojawi się sama. Na razie skoncentruje się na tak zwanych biodynamicznych winach. Nie należy zrywać z nałogiem zbyt gwałtownie. Wino jest dobre na wszystko.

Dlaczego ludzie sądzą, że przedmieścia to wylęgarnia meneli? To wina prawa Debrégo**. W tamtych czasach, by wkurzyć imigrantów, nie mówiło się o laickości, lecz o walce z alkoholizmem. W barach ludzie rozprawiali o polityce. A w latach sześćdziesiątych nie chciano, by Arabowie toczyli polityczne dyskusje. Mieliśmy sobie wiele do zarzucenia, więc lepiej było zmusić ich do milczenia. Uznano, że w całej Francji trzeba otworzyć bary, a alkoholizm jest rodzajem patriotyzmu. Tyle że nie dla nich. Żadnych rozrywek. Partii kart, żartów przy kontuarze, żadnej osobistej przestrzeni po wyjściu z fabryki. I widzimy skutki. Fakt, to zadziałało. Co jak co, ale Arabom trudno zarzucić nadużywanie trunków.

W renomowanej szkole społecznej integracji ocalonych od nędzy, którą wkrótce otworzy, wieczorem w kantine będzie się podawało wino. Véro nie sądzi, by abstynencja była dobrą rzeczą. Akurat w tym punkcie jest nieprzejednana. Tu faktycznie potrzebna jest krytyka religii. Z facetów trzymany o suchym pysku nigdy nie da się stworzyć narodu. Ani prowadzić wojny czy biznesu. Trzeba wina, piwa, kilku aperitifów, żeby tkanka społeczna się skonsolidowała. Niby jak miałbyś dowieść, że jesteś mężczyzną, skoro nawet nie wiemy, czy dobrze znosisz alkohol? Dlatego te dzieciaki w końcu zaczynają podkładać bomby. Mężczyźni potrzebują alkoholu. Tak było od zawsze w krajach, gdzie panują surowe zimy. Jesteś we Francji, pij. Tu u nas zbyt często pada, by dało się to wytrzymać, nie wypijając wieczorem kieliszka białego wina.

Właśnie zamierza otworzyć swoją drugą butelkę, gdy ktoś dzwoni do drzwi. Nie ma zamiaru otwierać. Już nie podnosi słuchawki telefonu. Nie chce, by ktoś ją wkurzał jakimiś kondolencjami. Człapie w stronę judasza, starając się nie robić hałasu. Ma niezborne ruchy. Sporo wypła. Płaczą jej się nogi i uderza o drzwi, zbliżając się do judasza. Po tamtej stronie na pewno było ją słychać. Od razu go rozpoznaje. Wiedziała, że się zjawi. Jest pewna, że wie o wszystkim. Cholerny sęp.

Charles musiał im powiedzieć. Subutex dowiedział się o śmierci starego i przyszedł po to, co mu się należy. Véro wrzeszczy: „Idź sobie, jestem zmęczona!”, a on mówi: „Od dwóch godzin dzwonię do Charles’a. Nie ma go w żadnym barze, zaczynam się niepokoić. Zachorował?”. Jest dość przystojny. Zwłaszcza oczy ma ładne. I bardzo długie nogi. W wysokich butach przypomina trochę Johnny’ego Hallydaya, wygląda całkiem, całkiem. Jak to mówią, gdyby nalegał, nie wyrzuciłaby go z wyrka.

Véro mamrocze, żeby chwilę zaczekał, i bez pośpiechu wciąga trochę poplamiony bordowy blezer oraz crocsy, które nosi nawet w zimie, ze skarpetami – nie wybiera się przecież na rewię mody, co on sobie myśli, że się wystroi, by mu otworzyć drzwi?

* Zones d’éducation prioritaires – strefy nauczania (utworzone we Francji w 1981 roku), gdzie mieszczą się szkoły podstawowe i średnie wyposażone w dodatkowe środki i obdarzone większą autonomią, by wyrównać szanse edukacyjne uczniów ze środowisk ubogich.

** Francuskie prawo z 1959 roku (od nazwiska Michela Debrégo, premiera i ministra edukacji) ustalające relacje między państwem i szkołami prywatnymi: państwo wspiera je finansowo w zamian za realizację programu nauczania obowiązującego w szkołach publicznych (nauczanie religii jest fakultatywne, a uczniowie wyznający inną religię niż obowiązująca w szkole muszą zostać do niej przyjęci).

– Wszyscy mówią mi tylko o panu, panie Subutex!

Nawet gdyby Vernon był w stanie cokolwiek odpowiedzieć, nie wiedziałaby, jak zareagować. Oślepiiony białym światłem, z szeroko otwartą szczęką, wydaje dziwny gardłowy dźwięk. Ściska dłońmi poręcze fotela z nadzieją, że antybiotyki zrobiły, co do nich należy, i że facet zdoła mu wyrwać ten cholerny ząb. By nigdy więcej już o nim nie myślał. Oby tylko ząb wyszedł wraz z korzeniem, nie rozpadając się na drobne kawałki. Słyszy odgłos narzędzi grzebiących w jego ustach, jakby był starą wypaczoną półką, którą zawzięty stolarz usiłuje naprawić. W ustach Vernona można znaleźć wszystko: korony mostki implanty porcelanę mniej czy bardziej dziwaczne aliaże... Gdyby zsumować poniesione wydatki, okazałoby się, że nosi w dziąsłach ekwiwalent porsche. Dentysta krzywi się, zaglądając do środka:

– Ale bajzel, biedaku... Ma pan szczęście, że znam się na moim fachu, mniej doświadczony kolega mógłby dostać zawału, widząc, co tu się dzieje... Zajmiemy się tym, co nie cierpi zwłoki, Kiko przedstawił mi pańską sytuację. Ale uprzedzam: jeśli zaniedba pan resztę, za chwilę znowu będzie pan skakał pod sufit. Wszędzie widzę problemy.

Mając do dyspozycji to, co pozostawił im stary Charles, mógłby zaproponować innym członkom grupy – nie tylko on ma zęby zżarte przez próchnicę – wspólną podróż na Węgry, żeby za jednym zamachem załatwić całą sprawę. Powinni zatrudnić dentystę w obozie, z obwoźnym gabinetem, i byłoby po kłopotcie. Dentystę i dobrego kręgarza, to by się im przydało – stale nadwyrężają kręgosłupy, nosząc zbyt ciężkie rzeczy.

Dzień wcześniej kilka razy zadzwonił do drzwi Charles'a, myśląc, że jest za bardzo pijany, żeby go usłyszeć, albo że jest nie w sosie, co wyjaśniałoby fakt, że długo nie reaguje... Vernon nie mógł zrozumieć powodów jego zniknięcia. Bez

słowa. Gość, który był z nimi od samego początku i nie przepuścił ani jednej konwergencji. Pomyślał, że może mieć problemy ze zdrowiem. Nie wyobrażał sobie najgorszego. Charles był najstarszy w grupie i nie można powiedzieć, żeby dbał o formę, spożywając warzywa i ryby gotowane na parze. Był alkoholikiem, nałogowym palaczem, prowadził siedzący tryb życia, lubił mięso podlane gęstym sosem i żelki Haribo... Istnieje miejska legenda, która głosi, że prawdziwi alkoholicy nigdy się nie upijają. Ci, których zna Vernon, doprowadzają się do stanu skrajnego upojenia. Tak właśnie było z Charles'em. Dzień, w którym nie zwał się jak kłoda na podłogę, uważał za dzień stracony. Nie po to pił, żeby stać prosto na dwóch nogach.

Véro lepiej znosi alkohol, ale różnica jest bardzo nieznaczna: kiedy mu otworzyła, zahaczała o meble i trzeba się było starać, żeby zrozumieć, co mówi, ale jej słowa były dosyć spójnie, kiedy udało się je rozszyfrować. Nie ucieszyła się z jego wizyty. Nie był zaskoczony. Nigdy go nie lubiła. Kiedy przez kilka dni spał w mieszkaniu Charles'a, mówiła – nie dbając o to, by zamknąć drzwi do pokoju, tak by tego nie słyszał – że wkurza ją jego błazeński wygląd i ma nadzieję, że wkrótce się wyniesie, bo tylko jej zawadza. Charles odpowiadał, że jest starą szajbuską, i próbował wymierzyć jej kopniaka w tyłek, żeby ją uciszyć, ale był w sztok pijany i nie trafiał, zataczał się, próbował przytrzymać się kredensu i w końcu lądował na podłodze. Véro się śmiała. Tworzyli parę, która mogłaby kandydować do niejednego reality show i odnieść sukces, bo w sumie ich relacja to był nieustający spektakl.

Stał jeszcze w progu, gdy Véro powiedziała: „Raczej nie zobaczysz się z Charles'em – nie żyje. Nawet nie przyszlście na jego pogrzeb, dranie, choć zrobił dla was tyle dobrego...”.

Dentysta wykonuje precyzyjny ruch stopą i fotel jedzie do tyłu, po czym obraca się, by zataczając harmonijny łuk, znaleźć się przed ekranem ze zdjęciem rentgenowskim. Vernon zwrócił uwagę, że fotele dentystów wyglądają zawsze znacznie lepiej niż zwykłe fotele. Mówi sobie, że teraz, kiedy ma pieniądze,

mógłby go zapytać o adres sklepu, w którym go kupił, i nabyć identyczny. By móc ślizgać się po pokoju w taki właśnie sposób, odpychając się lekko obcasem od podłogi. Już widzi siebie, jak miksuje muzykę, siedząc na pięknym obrotowym fotelu i krążąc po sali z ramionami uniesionymi do góry, szczęśliwy i aerodynamiczny.

– Amoksylicyna zadziałała, sprawdzimy to na zdjęciu, ale zdaje się, że będzie można usunąć.

Facet ma na nogach tenisówki Pумы. Niebieskie. Nowe. Ma łobuzerski uśmiech. Jest męski i wyluzowany. Zrównoważony. Albo kompletnie stuknięty, nigdy nie wiadomo z ludźmi, których nie znamy. Może to jeden z tych, którzy kładą trupem ostatnie afrykańskie żyrafy. Szaleniec żądny krwi. Na pewno jeździ na motorze. Vernon nie wyobraża go sobie w metrze ani w samochodzie, gdy z uporem maniaka szuka miejsca, gdzie mógłby zaparkować. Ma w sobie zbyt wiele z Indiany Jonesa.

Dentysta przykładła do jego szczęki kawałeczek plastiku, wpycha go zbyt mocno. To niesamowite, jak przedmioty wydają się gigantyczne, gdy mamy je włożyć do ust. Musi pomówić o tym z Pamelą. Czy kiedy laski ssą, mają wrażenie, że połykają Empire State Building?

Dentysta i jego asystentka na chwilę wychodzą z gabinetu, by poczekać, aż rentgen na przegubowym ramieniu zrobi prześwietlenie. Specjalista wraca, niczym prezenter pogody anonsujący odsuwanie się niżu i roz pogodzenia, wskazuje palcem widoczny na ekranie ropień wokół korzenia zęba.

Vernon stara się nie patrzeć na narzędzia dentystyczne. Przedmioty, których w żadnym wypadku nie powinno się wkładać do ust. Zamyka oczy, gdy widzi zbliżającą się igłę strzykawki ze znieczuleniem. Próbuje myśleć o czymś innym. To nie jest zbyt trudne. Tak czy owak, myślami zawsze jest nieobecny.

Musiał zrobić dziwaczną minę, gdy Véro powiedziała mu o śmierci Charles'a, bo nagle złagodniała. Cofnęła się o krok i dała mu znak, by wszedł do środka. Słuchała Christophe'a na cały regulator, *Utracone raje* rozbrzmiewały w mieszkaniu, co zaskoczyło Vernona, bo Charles był jedyną znaną mu osobą, która nie cierpiała muzyki. W obozie tylko on uczestniczył w konwergencjach w słuchawkach tłumiących dźwięki. Z początku zadawał się zatyczkami do uszu. Potem Sylvie powiedziała mu o słuchawkach redukujących hałas i któregoś dnia zaskoczył wszystkich, paradując w bardzo drogich przeciwhałasowych słuchawkach Bose'a, z których był bardzo rad i które sprawiały, że wyglądał jak zataczający się teletubiś. Teraz Vernon rozumie, skąd Charles brał pieniądze na te wszystkie ekstrawagancje.

Véro nalała mu kieliszek białego wina. To nie był odpowiedni moment, by wspominać o antybiotykach, wymawiając się od wypicia alkoholu. Nie byłaby nawet w stanie uchwycić związku między tymi dwoma faktami. Odruchowo zanurzył wargi w płynie i nawet jemu, który się na tym nie znał, coś zaświtało w głowie: to był zacny trunek. Zerknął na etykietkę: chablis. I właśnie wtedy spostrzegł, że obok zlewu stoi rząd takich samych butelek. Jakby Véro przestała się liczyć z pieniędzmi.

Wdowa przyjęła postawę obronną. Nawet kładąc to na karb żałoby, przykrego charakteru i niechęci do niego, musiał uznać, że trochę przesadza. Vernon podejrzewał, że może być zazdrosna. On i Charles przepadali za sobą. W wielkiej przyjaźni jest zawsze coś z miłości, pragnienia wyłączności, bliskości, jakaś chemia tak samo niewytłumaczalna jak cielesne pożądanie. Lubili usiąść obok siebie i komentować, co widzą. Nigdy się ze sobą nie nudzili. Jednak śmierć Charles'a była zbyt wielkim ciosem dla Vernona, by miał się niepokoić złym nastrojem Véro.

Nie wyrzuciła go za drzwi. Bełkocząc, wyrzucała mu coś, czego nie rozumiał, powtarzała, że są bandą łajdaków, że wykorzystali starego i niech się nie zdziwią, gdy ktoś im zakręci kran, jest pewna, że wyciągnęli z niego, ile tylko się dało,

i wspomniała o poważnych konsekwencjach za nadużycie czyjegoś zaufania. Siedziała poirytowana, mnąc wściekle żółtą ceratę na stole. Vernon pozwolił jej się wygadać coraz bardziej zaniepokojony jej zdrowiem psychicznym. Wprawdzie Charles często kupował im zgrzewki piwa, a kiedyś ich rozbawił, wracając z wielką skrzynią sardynek w puszcze, ponieważ był przekonany, że nie ma nic lepszego dla zdrowia. I Vernon faktycznie już mu kiedyś mówił, że nie powinien tak dużo wydawać, że mają zapasy. Ale zarzucać im, że nadużyli sympatii starego, to była jednak przesada.

Charles był prawdziwą duszą towarzystwa. Gdyby utworzyli klub motocyklistów, z pewnością zostałby jego prezesem. Przy całej swej gderliwości darzył ich czułością, co bardzo sobie cenili. Lubił zakpić z tej czy innej osoby w sposób pozbawiony taktu, wykazując przy tym wielki zmysł obserwacji. Potrafił w odpowiednim momencie rzucić trafną uwagę, żart, który ścinał cię z nóg i uświadamiał, że zszedłeś z właściwej drogi. Nikt nie był bardziej opryskliwy, nieufny i krytyczny od niego. Ale był wesoły. I szczęśliwy, że jest częścią ich historii. Wpadał w zachwyty, patrząc, jak podrygują, tańcząc w ciemnościach, a jego entuzjazm uzasadniał ich wspólną przygodę. Charles często chichotał, uśmierzał lęki wyjątkowo komunikatywnym śmiechem.

To było dziwne uczucie siedzieć w tym pokoju z niemiłą starą kobietą. Vernon opróżnił kieliszek. Był pijany. Czy to alkohol uderzył mu do głowy, czy jego umysł wykręcał mu kolejny numer – nigdy się tego nie dowie. Seria przelotnych halucynacji przerwała tok jego myśli. Widział Véro w innych okresach jej życia. W każdym razie wyobrażał ją sobie tak dokładnie, że miał teraz przed oczami kobietę młodszą o trzydzieści lat. Już wtedy niezbyt ponętą, nieładną, ale obdarzoną szczególnym wdziękiem za sprawą bystrego umysłu. Przez kilka sekund na jego oczach ulegała przeobrażeniu. I Véro rzeczywiście zmieniła sposób zachowania. W miarę jak opróżniali butelkę, łagodniała. A nawet wstając od stołu, otarła się o niego. I widział ją – niewolnicę tej zniszczonej twarzy, wyniszczonego i cierpiącego ciała, taką, jaka jeszcze była w swoim wnętrzu. Miała gesty operowej

diwy, wypowiadała głębokie refleksje – reminiscencje innej epoki jej życia torowały sobie drogę do tej smętnej kuchni.

Vernon pozwalał jej mówić. Czy stary miał dość czasu, żeby poczuć lęk? Czy chciał się z nimi zobaczyć? Czy umarł w swoim łóżku? Charles nigdy nie chciał zabrać Véro do ich obozu, ale łączyły ich silniejsze więzi, niż wynikałoby to z jego słów. Stary wszystko skrajnie upraszczał – Véro to stara kłępa, która uczepiła się go, i basta. Jakby postanowił odrzucić wszelką subtelność. By się przed czymś ochronić. Pewnie przed własną inteligencją. Gasił ją. Alkoholem, odmową rozmowy, obscenicznym żartem. I sam przygasał, jakby ktoś wyłączył oświetlenie we wszystkich izbach. Urządzał niekończący się strajk rozumowania. W mniemaniu Charles'a inteligencja to była sztuczka bogatych. Wstrętne oszustwo, które miało tylko maskować ich okropny fetor. To wcale nie było podświadome: bez problemu snuł na ten temat teorie. Nie ma co pajacować, używając okrągłych formułek i wywijając młynki dłońmi: ludzie to durnie. Naprawdę trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby czcić boga, który stworzył takie indywidua. Kłamców, złodziei, pyszałków i arywistów. Wszyscy są tacy sami. Gdy zaczął o tym mówić, nie sposób było mu przerwać. Nienawidził ludzi, którzy wielbią czystość, którzy chcą być bez skazy. Brzydził się prymusami.

Jednak z rzadka Charles dawał się wciągnąć w ożywioną dyskusję, zapominając o tym, że jest starym ochlapusem. Mieli wówczas wrażenie, że widzą, jak jego mocna sylwetka się prostuje – i ten drań przejawiał zadziwiającą kulturę polityczną, zaskakujący zmysł analizy i darzył czymś w rodzaju zranionej, ale wciąż żywej czułości prostych ludzi, obawiając się o ich przyszłość.

Słuchając tego wieczoru słów wypowiedzianych przez Véro, Vernon zrozumiał, że pasowali do siebie lepiej, niż wynikałoby to z opowieści starego. Véro to zrzęda i manipulantka, jak większość alkoholików pod koniec ich kariery. Ale ona też potrafi uchylić na chwilę zasłonę – przejawić ten sam rodzaj inteligencji, która czasem zaiskrzy, oświetlając całe połączenie rzeczywistości, by za chwilę przygasnąć, jakby okaleczanie tego, co w jej wnętrzu świeciło, było kwestią przeżycia.

Vernon czuł się pijany. Dopiero po dłuższym czasie zaczął płakać, stojąc nad zlewem. Nie robiąc z tego historii. Łzy spływały mu po policzkach, a on wpatrywał się w piętrzącą się górę talerzy i szklanek. Już nigdy nie usiądzie obok starego, by słuchać, jak ten kpi ze wszystkiego, co się rusza w obozie.

Ciążyło mu, że się z nim nie pożegnał. Nie rozumiał, dlaczego Charles o niczym im nie powiedział. Ale domyślał się, że stary nie chciał, by dostrzegli jego przerażenie. Ponieważ Vernon był pewien, że musiał się bać. Przypomniał sobie okropne bermudy, które Charles nosił w pogodne dni, blade, owłosione i pokraczne nogi, które prezentował z dumą, a Vernon na myśl o tym, że to wszystko nie będzie już częścią jego rzeczywistości, poczuł, jak ściska mu się serce. Powiedział głośno: „Kurwa, zawsze nosił niewiarygodne buty. Zastanawialiśmy się, skąd właściwie je bierze. Twierdził, że są oryginalne, markowe. Jak dzieciak. Nikt w to nie wierzył. Takie trepy kosztują krocie”. Charles uwielbiał, gdy podśmiewano się z jego żalostnego gustu. Był wniebowzięty, kiedy ktoś drwił z jego obciachowych butów.

Véro dziwnie się uśmiechnęła: „Nie udawaj, że nie wiesz. Inaczej byś tu nie przyszedł. Nie wmówisz mi, że naprawdę ci zależało na tym starym śmieciu. Jesteś na to za młody, masz życie przed sobą. Masz lepsze rzeczy do roboty, niż szukać Charles’a, który nagle zniknął. Wiedziałaś”.

To nie była pierwsza uwaga rzucona przez Véro, z której Vernon niczego nie rozumiał, więc tylko pokiwał głową, czekając na dalszy ciąg. Westchnęła rozdrażniona: „Przestańmy się bajerować. Nie zostawił wiele. Nie wiem, co wam naobiecował, ale was wpuścił w maliny. Przepuścił całą kasę. Kiedy dostanę od państwa, co mi się należy, zamówię nagrobek i nic mi nie zostanie”. Jednym haustem opróżniła kieliszek, nie spuszczając Vernona z oczu. Chciała go wybadać, ale nie rozumiał, o co właściwie jej chodzi. Położył dłoń na jej dłoni, żeby uśmierzyć gniew, który w niej narastał. Uczepiła się jego ramienia i bezwładnie opadła na krzesło. „Poprosił, żebym wam dała połowę. Połowę, wyobrażasz sobie? Nie tak łatwo się dzielić. Trzeba zrozumieć ludzi, którzy mają kasę. Wszyscy to mamy we krwi: nie lubimy się dzielić. Dopiero dziś zobaczyłam to jak na dłoni.

Dzielenie się nie leży w naszej naturze. Ale prawda jest taka, że będę miała niezłego pietra, jeśli nie uszanuję jego woli, do końca życia będą mnie dręczyły wyrzuty sumienia... jak u Dostojewskiego. Nie urodziłam się w bogatej rodzinie. Nie jestem tak bezczelna jak nadziani ludzie. Nie chciałam ci nic mówić, ale mam pietra...”.

Do Vernona zaczęło w końcu docierać, że Véro mówi o spadku. Niełatwo było wyobrazić sobie, że Charles ma jakieś pieniądze na boku, więc spodziewał się najwyżej kilkuset euro i gdyby Véro zechciała dopuścić go do głosu, od razu by ją uspokoił: „Proszę zachować wszystko, co za problem”. Ale się rozgadała i Vernon nie mógł jej powstrzymać.

Kiko jest szalony, ale jednak ma rację. Vernon powinien stworzyć jakiś rytuał, teatralną oprawę, popracować nad gestykulacją. Tak by w kontakcie z nim ludzie tracili rezon i wyjawiali rzeczy, które chcieli ukryć. Umie to robić. U jego rozmówców coś się nagle odblokowuje i płynie potok słów. Vernon działa w ten sposób na niektóre osoby. Otwiera je.

Wszystko mu powiedziała. O wygranej w lotto. Ostatniej woli Charles’a. Vernon myślał w pierwszej chwili, że konfabuluje, ale w tym, co mówiła, wszystko do siebie pasowało. Jak wówczas, kiedy bawiące się dziecko próbuje umieścić sześcian w kwadratowym otworze: wszystko się zgadza. Buty. Zgrzewki piwa, które Charles zostawiał, wyjeżdżając z obozu. Bardzo dobre wina. Słuchawki Bose’a. Fakt, że nigdy nie zdarzyło mu się powiedzieć: „W przyszłym miesiącu się nie zobaczymy, nie będę miał kasy”. To, że nigdy nie wspominał o problemach z opłaceniem czynszu. Rachunków. Vernon przypominał sobie wiele drobnych zdarzeń mogących przemawiać za tym, że stary miał naprawdę spore oszczędności jak na osobę jego pokroju. I niekończące rozmowy z dziewczynami, niegdyś aktorkami w filmach pornograficznych, o owej osławionej produkcji klasy Z. Widzi przed oczami starego, który siedzi wśród nich, z namaszczoną miną jak papież, dopytuje o koszty nakręcenia takiego filmu. I choć Charles uwielbiał naigrawać się z ludzi, wmawianie młodym laskom, że może im pomóc, tylko po to, by były dla niego miłe, nie byłoby w jego stylu. Charles mówił to poważnie.

Véro, znużona rozmową, siedziała, trzymając się za podbródek, z kiejem w ustach, wykrzywając wargi. Dodała: „Jestem naprawdę zdziwiona, że nie poszedł do notariusza, żeby przekazać wszystko na schroniska dla zwierząt. Po to, żeby mnie wkurzyć. Stary bardzo się zmienił. Pod waszym wpływem. Stał się miłszy. Nabrał odwagi. Zrobię tak, jak chciał. Weź mnie z sobą do tego waszego obozu, chciałabym pojąć, skąd mu się to wzięło”.

Czekając, aż znieczulenie zadziała, dentysta inicjuje rozmowę:

– Kiko dużo mi mówił o panu. Powiedział, że jest pan szamanem od winyli, David Guetta mógłby się wypchać sianem... Nie znam się na muzyce i tego typu rzeczach... Od razu zapamiętałem pańskie nazwisko, bo moja siostra ćpała przez dwa lata, to było dwadzieścia lat temu, ale do dziś zażywa subutex. Jest od niego uzależniona. Poza tym daje radę... Niech pan nie zapomni podziękować ode mnie Kiko za to, że przysłał mi takiego pacjenta jak pan: to podręcznikowy przypadek! Nie ma pan w zębach zbyt wielu oryginalnych części, ale proszę, wszystko się jakoś trzyma... Tak naprawdę od dawna powinien pan nosić protezę, a jednak... Czyli że prowizorka...

Vernon rozważa myśl, że Charles zostawił im dość pieniędzy, by mogli chodzić do dentysty co dzień, jeśli im się spodoba, wymienić sobie zęby na złote, gdyby im przyszła ochota... Nie rozumie, dlaczego stary nigdy o tym nie wspomniał. Czuje żal. Chciałby móc poklepać go po plecach, zapytać: „Naprawdę masz zamiar wyprodukować ten kretyński film o zombie?”. Cholera! Traktował tę sprawę poważnie, notując uwagi dziewczyn, zastanawiając się, jak długo potrwią zdjęcia, ile trzeba będzie zapłacić za litry sztucznej krwi i tak dalej, a Vernon nigdy nie spróbował pomówić z nim serio na ten temat. Tyle że stary faktycznie nie miał ochoty na poważne rozmowy.

Kiedy Vernon wrócił do mieszkania po rozmowie z Véro, nic nie powiedział o spadku Marianie, którą zastał już w łóżku wpatrzoną w ekran komórki, jakby chciała nadrobić utracony czas. Właśnie ściągnęła dwanaście nowych aplikacji,

które polecily jej kolezanki, i przygladala sie radarowej mapie ruchu lotniczego z oznaczonymi trasami samolotow przelatujacych po paryskim niebie, ponad ich glowami. Sprawdzala, dokad leca, o ktorej godzinie wystartowaly z lotniska. Byla zachwycona, ze moze to obserwowac.

Vernon powiedzial, ze Charles nie zyje, i rowniez sie polozyl. Mariana nie znala dobrze starego. Dojaczyla do nich dosc niedawno. I dla niej, mlodej dziewczyny, byl tylko starym zulem, za ktorym wszyscy przepadali. Przytulila sie do Vernona i polozyla dlon plasko na jego splocie slonecznym, bez slowa. Vernon poczul to wyraźnie – ze ta dziewczyna koi jego bol.

Nie powiedzial o pieniądzech Kiko, kiedy rano pili razem kawę. Przez chwile trwali w męskim uścisku. Kiko prowadzil z Charles'em niemajace konca rozmowy – makler wyjasnil mu, dlaczego jego zdaniem walka klas stala sie bezcelowa: „Skończyły się czasy, kiedy znaczenie miało zniesienie niewolnictwa, francuski Ruch Ludowy. Dziś nikomu już nie zależy na likwidacji ubóstwa. Kiedyś potrzebowaliśmy taniej siły roboczej, musieliśmy negocjować z wami, ludźmi pracy. Nie mieliśmy wyboru. Lecz w świecie automatyzacji mamy gdzieś proletariat. Pozbędziemy się was. Nie mówię o strzelaniu do tłumu podczas manifestacji, to zawsze robiono. Nie, to będzie masowa eksterminacja. Jesteście bezużyteczni. Pozostaliście daleko w tyle. Nadal rozumiecie jak w czasach taty Marksa, gdy klasa robotnicza była nieodzowna, by ludzie tacy jak ja mogli kumulować zyski. Może postęp naukowy sprawi, że nadal będziemy prowadzili niewielką hodowlę silnych proletariuszy, żeby pobierać od was krew, narządy i kawałki skóry, by wasze kobiety służyły nam za surogatki, a nasze po porodzie nie traciły figury... Choć, prawdę mówiąc, dzięki biodrukarkom i inkubatorom nowej generacji będziemy mogli się bez was całkowicie obyć. Zlikwidujemy was. To pragmatyczne. Stwarzacie zbyt wiele problemów, nie wnosząc zbyt wiele. Dlatego jest to nieuniknione: wykreślimy z mapy ubogie warstwy społeczne”. Ten tok rozumowania wydawał się staremu Charles'owi całkowicie logiczny, więc potakiwał zachwycony, że w końcu znalazł bystrego i szczerego rozmówcę:

„Sugerujesz, że powinniśmy uprzedzić bieg wydarzeń i odkurzyć gilotyny?”, a Kiko zaprzeczał, potrząsając głową: „Gdybyście byli do tego zdolni, już dawno byście to zrobili. Ale czujecie respekt do ludzi dominujących. Spójrz, jak biedacy uwielbiają Putina. Nie twierdzę, że macie to zapisane w genach, ale to bardzo stare dziedzictwo. To coś w rodzaju kulturowego kodu, więc nie zdążycie się usamodzielnąć. Nauczono was kochać przywódców”.

Mogli tak rozmawiać w nieskończoność. Kiko od razu spytał, czy ktoś się wszystkim zajął i opłacił pogrzeb, a Vernon pominął to pytanie milczeniem. Słowem nie wspomniał o spadku. Przeraził się tak wielkiej sumy pieniędzy. To zbyt wielka zmiana. Pomyślał o obozie takim, jaki pozostawił, o życiu, jakie wiedli od kilku miesięcy, i nagle zapragnął objąć ramionami czas i go unieruchomić. Jest zbyt wcześnie, by wywracać wszystko do góry nogami.

Ten kurewski zgrzyt. Zapomniał o dźwięku, jaki wydaje korzeń zęba wyciągany z dziąsła – czuje tylko grube paluchy dentysty, które w nim szperają. Ale słyszy. Wszystko. Okropne skrzywienie maltretowanego dziąsła. Ząb nie wyszedł od razu, trzeba było wyciągać szczypcami ukruszony korzeń. Przeżywał już takie sceny na innych fotelach, w innych gabinetach... Tyle już ich odwiedził... Nikt w jego rodzinie nie ma mocnych zębów. A częste picie z całą pewnością nie polepszyło sprawy. Oddycha głęboko, lecz w tych okolicznościach trudno mu się odprężyć.

Mógłby nikomu nic o tym nie mówić. Już nigdy więcej nie odwiedzić Véro. Albo zostawić kasę uśpioną na koncie, odłożoną na czarną godzinę, jak zrobił Charles, i dokonywać tylko drobnych zakupów. Tak postąpiłby prawdziwy lider. Ale jak mówił Kiko, Vernon nie ma cech prawdziwego przywódcy.

O tym, co się dzieje na świecie, dowiadują się w obozie dzięki nowym przybyszom. Wiedzą na przykład o wydarzeniach w Grecji. Vernona zastanawia nie tyle brutalność, z jaką Europa pcha ten kraj do zguby, ile milczenie wybrańców ludu. Dlaczego ci ludzie, kiedy dochodzą do władzy, przestają mówić prawdę?

Dlaczego nie siada przed mikrofonem, żeby powiedzieć po prostu: oto, jak do tego doszło; oto, jak broniłem idei, którą uważałem za słuszną, i jak mnie przekonano, bym poprowadził mój kraj do rzeźni. Przecież kryje się za tym pewien *modus operandi*. Czy na twoich oczach zgwałcono twoją żonę i słyszałeś, jak twój czteroletni syn wrzeszczy, poddany torturom? Powiedz nam, co się stało? Z całą pewnością ich upokorzono. Wstydzą się mówić o tym, co się im przydarzyło. Jak zostali zmuszeni. Jak mocno przyparto ich do muru. Ludzie sprawujący władzę nie mówią prawdy. Nigdy. Powinien wziąć z nich przykład. Wrócić do obozu i wszystko przemilczeć. Ludzie sprawujący władzę nigdy nie mówią prawdy, bo dzięki temu mogą po cichu podejmować decyzje. Nawiazują prywatne rozmowy ponad głowami ludzi. Kombinują coś w swoim gronie. Ale on nie jest człowiekiem sprawującym władzę. Nie potrafiłby okłamywać ludzi ze swego otoczenia. Bo wówczas cała ta historia zmieniałaby smak – on sam przestałby wierzyć, że przeżywają coś naprawdę ważnego.

Dentysta wstaje, odsuwa lampę dłonią i gasi ją. „Jest pan wolny, to koniec”. Podaje mu kubeczek z białej tektury, wypełniony różowym płynem, żeby przepłukał usta. Vernon wstaje z fotela, kręci mu się w głowie. Nie śmie dotknąć językiem miejsca po zabiegu.

Taksówka czeka na niego przed bramą. Widząc, że Dopalet z trudem przechodzi przez jezdnię, kierowca wysiada, by mu otworzyć drzwi. To niesamowite, jak taksówkarze z korporacji G7 zrobili się uczynni, od kiedy w Paryżu pojawiła się aplikacja Uber i grunt zaczął się im palić pod nogami. Zatem kij pozostaje najlepszą metodą, jeżeli chcemy zmienić coś na lepsze.

Producent lokuje się na tylnej kanapie ostrożnie, jakby był poparzony. Siedzi pochylony do przodu. Gdyby jego plecy niechcący musnęły oparcie, zawyłby z bólu. Każdy kolejny seans jest bardziej bolesny niż poprzedni. Trudno mu pojąć, że niektóre osoby wystawiają się na torturę igły, nie będąc do tego zmuszonymi. Gdyby miał wybór, nigdy nie poddałby się takiemu zabiegowi.

Zrezygnował z jazdy skuterem – po trzech godzinach tatuowania jest zbyt skołowany, żeby móc prowadzić. Jego tors, mocno ściśnięty celofanem, przypomina pieczeń. Skóra jest rozpalona. Czuje pod folią mieszankę krwi i tuszu wżerającą się w ciało. Jest coraz gorzej i to wszystko szybko się nie skończy. A przecież tym razem wziął środek rozluźniający mięśnie, dwie tabletki przeciwbólowe i bromazepam. Tatuażysta nasmarował mu plecy maścią znieczulającą. To nic nie daje. Na dźwięk igły kuli się i zaciska zęby. Za godzinę tej jatki buli dwieście euro. Gotówką. Kiedy pomyśli, że zmuszał swoje dzieci, by skończyły studia – podczas gdy wystarczyłoby im nauczyć się kolorować rysunki i kupić maszynkę do tatuażu... Dwieście euro za godzinę, więcej niż za wizytę u psychoanalityka. A tatuażysta twierdzi, że daje mu rabat, bo to duży wzór... Ma go w garści. I dobrze o tym wie. Co trzy kwadransy robi sobie przerwę na papierosa i przegląda esemesy. Dlaczego miałby sobie tego odmawiać? Pauzy nie są odliczane od ceny seansu... Dopalet nie ma nic do powiedzenia. Tatuażysta musi skończyć pracę nad jego plecami. A studio ma tę zaletę, że jest czynne także wieczorem, kiedy jest tu jedynym klientem. Nie ma najmniejszej chęci spotkać

w tym miejscu nie wiadomo kogo i musieć się tłumaczyć, co właściwie tu robi. Co dwa tygodnie producent zamawia taksówkę i jedzie do północnego Paryża z duszą na ramieniu. Do dzielnicy, do której nigdy nie zagląda, w pobliżu metra Crimée. Okolicy przygnębiającej i brzydkiej, mijając sklepy z tandetą, podejrzaną żywnością i obskurne bary.

Tatuażysta lubi muzykę techno. Transową – która zagłusza myśli. Zaprogramowany automat perkusyjny, który wystukuje diabelski rytm, do tego dwie nuty z syntetyzatora, w kółko, godzinami. Dopalet grzecznie spytał, czy mógłby posłuchać muzyki, która mu odpowiada – przyniósł płytę ze ścieżką dźwiękową z filmu *Wszystkie poranki świata*, uwielbia Marina Marais’go. Ale tatuażysta stwierdził, że to go za bardzo „wnerwia”. Tak właśnie się wyraził. Marin Marais go „wnerwia”. Jak na to zareagować? Dopalet musiał zapomnieć o swoich utopijnych muzycznych gustach i potulnie słucha okropnej sieczki puszczonej przez tego głaba.

To Antoine, syn Dopaleta, znalazł mu tego geniusza. Zaprezentował mu go jako wielkiego artystę. Wychwalał jego talent i dyskrecję. Gość jest Polakiem. Ma wygląd płatnego zabójcy. Przypuszczalnie nie rozumie zbyt dobrze po francusku. To zmniejsza ryzyko, że mógłby komuś powiedzieć o kliencie, który zjawił się w jego studiu z wytatuowanym na plecach napisem „gwałciciel”. A sądząc po jego gębie, jest całkiem możliwe, że nie rozumie, jak bardzo kompromitujący jest wydźwięk tego słowa. Może doszedł do wniosku, że Dopalet wyszedł po długiej odsiadce z więzienia, gdzie jakiś świr wytatuował mu ten napis siłą. Gdy facet miał po raz pierwszy okazję ocenić rozmiary katastrofy, rzucił fachowym okiem na tatuaż i pokręcił głową. Cwaniaczek wszystko dokładnie wymierzył i zaproponował na początek kilka seansów z użyciem lasera, by jak najwięcej wytrzeć, nim zrobi nowy tatuaż. Wygląda jak przygłup, ale ma niesamowitą żyłkę do interesów: zainwestował w laser do usuwania tuszu, zainstalował go w swoim przybytku. Ten pieprzony oszust każe Dopaletowi płacić bająnskie sumy za każdy taki seans. Bo ponoć ta maszynka kosztuje majątek... Jeśli chodzi o ból, wycieranie rysunku można porównać do obdzierania żywcem ze skóry – taka sama

przyjemność. Polak mu przysiągł, że dzięki temu pierwszy tatuaż będzie zupełnie niewidoczny. Trzeba przyznać, że efekty można już zauważyć. Tatuażysta odwzorował rysunek wybrany przez Dopaleta z katalogu wystawy malarza Hokusai: japoński wojownik powalający na ziemię wielkiego węża-smoka. Są ze sobą spleceni w bezlitosnej walce. Nie jest to dzieło Hokusai, ale rysunek był częścią jego wystawy w Grand Palais. Tatuażysta zalecał wybór rozbudowanego wzoru i Dopalet od razu pomyślał o tej ilustracji, która przykuła jego uwagę, gdy dreptał pośród tłumu na ekspozycji dzieł japońskiego mistrza. Tak właśnie wygląda całe jego życie – to bezlitosna walka z potężnymi wrogami. Nadszedł czas, by w końcu zmiażdżyć te demony. Przestać się bać. Lecz gdy wybierał ten motyw, nie wiedział, że każdy szczegół, najmniejsza łuska na ciele bestii, każdy, nawet najłżejszy, cień na zbroi wojownika przeniknie w jego skórę za cenę piekielnych cierpień. A najgorsze jest jeszcze przed nim: całość trzeba będzie jeszcze pokolorować. Czasem wydaje z siebie jęk, a tatuażysta się krzywi, jakby ktoś nie pozwalał mu się skupić na pracy. Wtedy Dopalet przywołuje w myślach przyjemne obrazy, próbuje wyobrazić sobie swojego prześladowcę zanurzanego w kotle z wrzącym olejem, stopniowo, od palców stóp po szyję. To mu pomaga. Jednak to wciąż za mało.

Antoine twierdzi, że Polak jest uznanym artystą, biorącym udział w międzynarodowych konwentach tatuażu. Jego syn zawsze taki był, nawet jako dziecko. Zawsze wyraża się w tak górnolotny sposób, że ma się chęć powiedzieć mu coś, co by mu poszło w pięty. „Międzynarodowe uznanie”. Nie zesraj się czasem. Dopalet nie miał zamiaru opowiadać synowi o tym, co się zdarzyło. Nie są sobie dość bliscy, by miał mu się zwierzać. Producent woli ukrywać swoje rany. Wie, że syn uważa go za niezniszczalnego, że darzy jeszcze ojca dziecięcym podziwem – podziwem, który sprawia, że czasem bywa agresywny. Z Antoine'em zawsze jest obawa, że nagle go poniesie, że zacznie perorować o swych zasadach moralnych i pleść wierutne brednie. Antoine uwielbia prawić morały, jakby był jakimś pieprzonym intelektualistą, tyle że w ich rodzinie nikt nigdy nie filozofował, więc bredzi coś sam do siebie i tylko się ośmiesza. Antoine byłby zdolny bronić

dwóch świrusek, które wtargnęły do domu, na przykład pod pretekstem, że gdy były małe, spędzały wakacje zbyt blisko miejsca swojego zamieszkania albo że w szkolnej stołówce żałowano im frytek. Antoine często sprawia wrażenie osoby, która na dobre utkwiała w socjalistycznych mrzonkach z lat osiemdziesiątych, choć jest przecież zbyt młody, by je naprawdę pamiętać. Jednak Dopalet najbardziej obawiał się insynuacji małego, że jego ojciec zrobił coś, czym zasłużył na taką karę. Antoine nie ma poczucia rodzinnych więzi. Nie potrafiłby stanąć po stronie ojca tylko z tego prostego powodu, że płynie w nich ta sama krew. To niewdzięcznik. Dzieci, cóż za szczęście! Opłacasz im najlepsze szkoły, korzystają z twojego notesu z adresami, kupujesz im mieszkanie, a one odnoszą się do ciebie tak, jakbyś je gwałcił przez całe ich dzieciństwo...

Jednak tym razem Antoine zachował się jak prawdziwy syn. Wyczuł, że ojciec jest w tarapatach, lecz nie skorzystał z okazji, by go zniszczyć, tylko okazał bliskość i dodał mu otuchy. Często go odwiedzał, był serdeczny i przejawiał troskę. Toteż Dopalet się przed nim otworzył. A syn nie próbował go zranić. Przeciwnie – wykazał wiele zrozumienia. Tak że ojciec zgodził się rozpiąć koszulę i pokazał synowi tę haniebną ranę. Od chwili gdy to się zdarzyło, nikt nie widział jego pleców, prócz żony, która dezynfekowała ją przez kilka pierwszych wieczorów. Kładzie się spać w T-shircie. Naciąga szlafrok, wychodząc spod prysznic. Nie pokazuje się już z nagim torsem. Żegnajcie sauny, żegnaj basenie w hotelu Costes i Wyspy Kanaryjskie w lutym... Teraz, jeśli zdarzy mu się przygodny flirt, pieprzy się, nie zdejmując koszuli. Ale zaufał synowi, pokazał mu tatuaż. I miał rację. Antoine powiedział: „To okropne, tato, co ci się przydarzyło”. Żadnych niezręcznych pytań. Potraktował swojego ojca jak ofiarę, której nie wypytuje się o przyczyny agresji. To była piękna chwila. I właśnie jego syn wpadł na genialny pomysł: że powinien to zakryć. To było oczywiste. Ale Dopalet na to nie wpadł. Nagłe wtargnięcie do jego domu tak bardzo nim wstrząsnęło. Po raz pierwszy syn miał okazję wesprzeć swojego ojca. Nawet jeśli Dopalet co dwa tygodnie musi cierpieć katusze, nawet jeśli przeklina pieprzonego tatuażystę, ma świadomość, że

przestał być bierny, przestał być ofiarą. A za kilka tygodni odnajdzie poczucie osobistej godności. Bo na to zasłużył, zapłacił własnym ciałem.

Po tym traumatycznym przeżyciu Dopalet czuł się zdruzgotany. Niespodziewane najście, pozbawienie wolności, poddanie torturom... Stał się kimś innym. Nie mógł spać. Musiał się wyprowadzić. Nie czuł się już bezpiecznie we własnym mieszkaniu. Dopiero po kilku miesiącach zdołał przespać noc. Podskakiwał, słysząc byle szmer. Ma szумы w uszach. Jakby wszędzie towarzyszył mu rój zwariowanych cykad, co sprawia, że nie potrafi znieść ciszy. Jego nastrój się zmienił. Utracił entuzjazm. Ma problemy z koncentracją. Nie może już czytać. Musiał kogoś zatrudnić, by głośno deklamował mu tekst scenariuszy, z którymi koniecznie musi się zapoznać.

Zdarzają mu się napady niekontrolowanej złości. Lęki, nad którymi nauczył się panować, wymknęły się spod kontroli. Tej nocy coś w nim pękło. Wie, że gdyby ktoś przebadał jego mózg, natrafiłby na strefy uszkodzonych neuronów, jak po wyjątkowo gwałtownym urazie wewnątrzczaszkowym. Odwiedzał specjalistów. Mówił im, że był sam w domu, gdy dokonano włamania. Nie wspomniał, że był to akt zemsty, że jakieś dwie smarkule wdarły się do jego mieszkania, żeby mu dać nauczkę, że uznały go za winnego i chciały wymierzyć mu sprawiedliwość. Mówił: „myślałem że zaraz umrę byłem związany nic nie mogłem zrobić czułem że mój mózg zaraz eksploduje”. Terapeuci traktują go serio. Wszyscy dobrzy psychiatrzy wiedzą, że włamanie skutkuje głęboką traumą u ofiary. Nie ma terminu, którym można określić te symptomy, więc używają słowa wyrażającego najlepiej ten barbarzyński czyn – słowa „gwałt”. To całkowita destrukcja wiary w to, że nasza sfera intymna jest bezpieczna. Jego ciało zostało sprofanowane.

Ni stąd, ni zowąd zalewa go fala współczucia dla skrzywdzonych kobiet, obrzezanych czy oszpeconych kwasem za odmowę zamążpójścia. Rozpoznaje się w świadectwach kobiet, które zostały zgwałcone, chociaż pół roku wcześniej wydałyby mu się one po prostu obrzydliwe. I rozpoznaje się też w słowach

mężczyzn niesłusznie oskarżonych o molestowanie, kiedy jedyną ich winą było to, że dali wyraz swojemu pożądaniu. Tęskni do czasów, gdy mężczyźni i kobiety potrafili nawzajem dawać sobie przyjemność. Ludzie sądzą, że radykalne feministki nienawidzą mężczyzn, ale w rzeczywistości nie cierpią one innych kobiet, które potrafią żyć z mężczyznami. Dopalet uwielbia kobiety. Lubi patrzeć na ich nogi, gdy idą ulicą, podoba mu się to wygięcie stóp, gdy paradują na wysokich obcasach, łagodne głosy i to, że potrafią wcielić się w rolę dziwki z miną udzielnej księżnej. Podoba mu się, że tak cenią sztukę uwodzenia. Szanuje tajemnicę ich erotycznych uniesień, a jeszcze bardziej niepokojący sekret obdarzania życiem. Kocha kobiety i poznał wiele cudownych istot rodzaju żeńskiego. Lecz nie może już znieść purytańskich zasad narzuconych przez feministki. Teraz mówi to bez ogródek. Ma już dość zwieszania nosa na kwintę, żeby uniknąć konfliktów. Znoszenia tyranii tych feminazistek, które nie potrafią kochać ani zaakceptować miłości i starają się unicestwić wszelkie formy libertynizmu decydujące o magii tego kraju. Ma już tego powyżej uszu. Nie zamierza milczeć z obawy, że kogoś urazi. Jest zdecydowany oddawać pięknym za nadobne. W każdej sferze życia.

Ten akt agresji miał nie tylko negatywne skutki: znudziło mu się być grzecznym. Nie chce już ulegać. Dość zamykania ust i godzenia się z rzeczami nie do przyjęcia. Koniec z wielkoduszością, którą okazywał latami, z tym wysiłkiem, by być poprawnym i przypadkiem nikogo nie zranić. Nie ma już sił udawać, że wszystko jest w porządku. Gdyby był bardziej stanowczy, nie tak tolerancyjny, bardziej szczery z samym sobą, nigdy nie utrzymywałyby z Vodka Sataną na pół przyjacielskich relacji. Mógłby ją zerznąć na jednym z libertyńskich wieczorów, ale nigdy nie dyskutowałby z tą wariatką. Od tego się zaczyna. Od tej kretyńskiej myśli, że można się spoufalać z ludźmi z niższej warstwy społecznej. Biedni mają bogatym za złe właśnie to, że dali radę tam, gdzie oni sami ponieśli porażkę. Właśnie. To wszystko przez zazdrość. Ta napaść miała swą dobrą stronę: raz na zawsze pozbył się socjalistycznych słabostek. Nie zmienia to faktu, że nadal popiera lewicę, tyle że nie zamierza dłużej być frajerem. Zaczął myśleć trzeźwo.

Czuje wściekłość, wściekłość ofiary, której gorzkiego smaku dotąd nie doświadczył. Stał się innym człowiekiem. Zdecydowały o tym okoliczności.

Napaść, zamach z siódmego stycznia, napięta, przygnębiająca atmosfera, gwałtowny kryzys uderzający w branżę filmową – Dopalet przeżywa jeden stres za drugim, nie mając nawet czasu, żeby nabrać tchu. Całymi miesiącami trzyma się nad tym czy innym projektem, po czym się okazuje, że musi je porzucić. To dobre projekty, zawsze miał wyczucie. Ale jeśli nagle nie zaświta nam w głowie myśl, by nakręcić komedię o zamożnej rodzinie goszczącej w swoim domu nielegalnych imigrantów z Afryki, nie znajdziemy funduszy. Sam już nie wie, na co miałby postawić, nie nadaje już na tej samej fali co ludzie podejmujący decyzje – dystrybutorzy filmów i producenci telewizji cyfrowej zachowują się jak zagubione króliki, które biegają jak oszalałe w świetle reflektorów i nigdy nie sposób przewidzieć ich reakcji. Jego rozmówcy są tak samo bezradni jak on sam – nikt nie wie, co ludzie chcieliby zobaczyć w kinie, i rządzi zasada zerowej tolerancji: byle niepowodzenie i spadają głowy. W tych warunkach trudno zasugerować partnerom, by podjęli ryzyko... W całej swojej karierze Dopalet nie był tak źle traktowany. Przez ludzi, którzy też nigdy nie doświadczyli tak wielu frustracji i upokorzeń. A przecież miał już okazję poznać gorzkość dotkliwej porażki, niepowodzeń podczas festiwalu w Cannes i kilku filmowych premier, które okazały się kompletnym fiaskiem – nie urodził się wczoraj. Ale nigdy nie osiągało to aż takich rozmiarów. Ludziom ziemia usuwa się spod stóp i nie mają już czasu na zbędne uprzejmości. Czuje się jak człowiek wyrzucony za burtę.

Zdumiewają go własne reakcje na wydarzenia. Jest w nim jakaś mroczna, dogłębna niezgoda na świat. Jego refleksje są odrażające. Ma tego świadomość. Do ludzi, którzy go prowokują, żywi narastającą wrogość. Ma obsesję na punkcie Żydów. Od niedawna. Po raz pierwszy w życiu dopuszcza do siebie nienawistne myśli, choć dotąd ten temat był dla niego nieprzekraczalnym tabu.

Tu też znudziła mu się polityczna poprawność. Nie będziemy przez całe stulecie przepraszać za zbrodnie popełnione przez innych. Zresztą rozmawia

z młodymi ludźmi i jest oczywiste, że nie pozwolą dłużej wodzić się za nos: koniec ze złą złą milczenia, z tematami tabu i przesadną ostrożnością. W radiu, w telewizji, w prasie, podczas uroczystych kolacji żydowscy intelektualiści zachęcają do wojny. Dopalet przypomina sobie wywiad z Céline'em, który oglądał wiele lat temu w domu swojego adwokata. To było w czasach przed pojawieniem się internetu, tego rodzaju rzadkie dokumenty przechowywało się na kasetach VHS. Céline mówił: „Zobaczcie, Żydzi sprowokują następną wojnę światową, sami zobaczcie”. I Dopalet czuł się zażenowany, że jego gospodarz pokazuje mu coś takiego. Te słowa nie zrobiły na nim wówczas szczególnego wrażenia, kojarzyły mu się z całkiem inną epoką, z szaleństwem – z impasem historii. Jednak to zdanie starego autora jakoś go naznaczyło. Często do tego wraca. Teraz te słowa nabrały innego sensu. Żydzi to naród wojowniczy. Naród despotów.

Dopalet należy do pokolenia, które głosiło hasło „nigdy więcej wojny” – pokolenia wychowanego na filmach wojennych, po których obejrzeniu ludzie zadawali sobie pytanie, jak można było do tego dopuścić. Potem jego sposób myślenia ewoluował. Nie jest żądny krwi. Jeszcze nie zwariował. Chciałby tylko móc mówić prawdę we własnym kraju, na przykład o tym, jak trudno produkować filmy, kiedy jest się gojem. Tylko tyle. Oni codziennie zabierają głos, mówią o Francji, jak gdyby ten kraj do nich należał, jakby mieli do niego pełne prawo. I w tym kraju chrześcijanie, jak on, są tolerowani wyłącznie pod warunkiem, że zginają kark.

Gotuje się ze wściekłości, gdy gdzieś usłyszy Zemmoura*. Jest wszędzie: jeśli nie wypowiada się na falach znanej rozgłośni radiowej, pisze artykuł do któregoś z wysokonakładowych dzienników albo jest gościem jednej ze stacji telewizyjnych. Od czasu brutalnego wtargnięcia do jego domu w Dopalecie coś pękło: nie zamierza dłużej być potulny. Czuje, jak narasta w nim zapiekła nienawiść, i dziwi się, jak jest silna. To przypuszczalnie nawrót tego wszystkiego, co długo starał się w sobie tłumić... Najbardziej kłopotliwe jest to, że ta nienawiść sprawia mu przyjemność. Jakby wyczuwał energię płynącą z głębi tej ziemi, którą przez tyle dziesięcioleci starano się ignorować – energię w pełni francuską, patriotyczną,

potężną i przebogata. Ma świadomość, że są to skandaliczne myśli. Ma pięćdziesiąt lat, przez całe życie mu powtarzano, że nie wolno dopuszczać do siebie takich myśli. Ale gdy kiedyś, jadąc autem, usłyszał Zemmoura w radiu i po raz pierwszy w życiu zwrócił się do kierowcy: „Ten głupi parch mógłby się wreszcie zamknąć i pasać kozy w kraju swojej mamy!”, poczuł się tak, jakby w końcu utracił dziewictwo. Przeszedł go dziwny dreszcz. A gdy to minęło, poczuł przyjemność, bo szofer, który wcale nie był Arabem, uśmiechnął się do niego. Dopalet zachował się w końcu jak mężczyzna.

Nie lubi też Arabów, tak samo jak Żydów. Kiedy bierze taksówkę i jedzie aleją de Flandre, by zagłębić się w okolice metra Stalingrad, nie ma najmniejszej chęci wysiąść, by wypić kawę między koszernym sklepem, meczetem i księgarnią, w której królują dżalabije i modlitewne dywaniki... Ale ma gdzieś Arabów. Widuje ich tylko wtedy, gdy jedzie na seans tatuażu, a wówczas myśli o czymś zupełnie innym. Natomiast na polu zawodowym żydowskie lobby nieraz zalało mu za skórę. Wcale się nie krępuje, próbując narzucić swą dominację.

Nigdy nie interesował się zbytnio polityką. Kino nie jest prawicowe ani lewicowe. Nie czyta pierwszych stron gazet – od razu przegląda ostatnie, poświęcone kulturze, tylko to go zajmuje. Choć tak naprawdę czyta wyłącznie artykuły na temat kina i telewizji. Brakuje mu gazet. W sobotnie popołudnia udawał się do angielskiej księgarni WHSmith przy ulicy de Rivoli, by kupić egzemplarz „Vanity Fair”, „Rolling Stone” albo „Entertainment Weekly” i przejrzeć je w niedzielę, w łóżku. Oglądał fotografie. Czytanie po angielsku sprawia mu trudność, chciał tylko się zorientować, o czym się tam pisze. Tablet to co innego. Nie można przy nim wypocząć. Natomiast lektura gazet była odprężająca. Gdy już je wydrukowano, nie poruszały się. Można było odłożyć dziennik na bok i wrócić do niego po dwóch miesiącach, niczego to nie zmieniało. A czytanie artykułu w dwa miesiące po jego publikacji wcale nie wydawało się dziwne. Internet jest jak wojna. Odpala tablet i od razu jest w samym sercu konfliktu – za każdym razem gdy czyta artykuł na swoim iPadzie, musi w końcu sięgnąć po jakiś środek przeciwlękowy.

Kolejna dobra strona traumatycznych przeżyć: mniej czasu spędza w pracy. Ma więcej czasu dla siebie. Właśnie w przestrzeni tego depresyjnego Leserstwa rodzą się dobre pomysły. Stan przygnębienia, nuda, dni spędzane na sofie sprzyjają myśleniu. I już od dawna nie pozwalał sobie na leniuchowanie.

W pierwszych dniach po napaści był wystraszony, siedział za zaciągniętymi storami, lizał rany. Amélie, jego żona, starała się go wspierać. Ta przykra sytuacja zbliżyła ich do siebie. Nie zadawała pytań. To właśnie w niej lubił. Znała swoje miejsce. Jego żona miała w sobie coś z Anne Sinclair – inkasowała ciosy z podniesioną głową. Jednak było mało prawdopodobne, by Amélie nie podejrzewała, że źródłem tego wszystkiego jest seksualna przygoda. Gdyby go zapytała, Laurent przysięgłby, że to nieprawda: był jej to winien. Nawet z głową pod gilotyną wypierałby się zdrady. To naprawdę cudowne, że ta zazdrosna i dumna kobieta nie zadała mu żadnego pytania na ten temat.

Amélie zwolniła na kilka dni kucharkę, poprosiła sprzątaczkę, by nie wchodziła do jego gabinetu, karmiła go, ocierała mu pot z czoła, stawiała go na nogi. Przygotowywała w piekarniku grube steki wołowe, które kupowała w sklepie Desnoyera, zwanego rzeźnikiem gwiazd, soląc w ostatniej chwili, doskonale wiedziała, jak należy je piec. To niespodziewane najście jakby ją pobudziło. Wydymała usta pociągnięte jaskrawoczerwoną szminką, spinała włosy w kok i trzymała się bardziej prosto niż zwykle. Coś między Charlize Theron z *Mad Maxa*, gdy chodzi o determinację, Umą Thurman z *Kill Billa* dyszącą żądzą zemsty i Sabine Azémą z filmu *Sala oficerska* ze względów estetycznych – Amélie jest do niej podobna fizycznie, też ma pociągłą twarz – lecz zwłaszcza z uwagi na całkowite oddanie. Czasem wolałby nawet, by mniej się angażowała. Jej wsparcie było cenne, ale sposób, w jaki mówiła o „ich wspólnej” zemście, trochę go przerażał. Rzecz jasna, zemści się. Zmyje tę zniewagę. Lecz to była jego sprawa. Amélie jest córką wojskowego. Gdy mowa o represjach, ma rozległe plany – zanadto jak dla niego. Opisał jej Aïchę, dziewczynę w chuście na głowie. Nie precyzując, że kiedyś dobrze znał jej matkę. Amélie wpadła w nieopisaną wściekłość – by zaspokoić swoją żądzą odwetu, zaczęła się domagać głów

wszystkich paryskich muzułmanów – to znaczy muzułmanów z całego regionu paryskiego, a nawet z Tours, Lille i Metz. Jej Paryż poszerzał granice, w miarę jak narastała jej złość. A gdy mówiła o „głowach”, należało brać to dosłownie, miała na myśli ścięte głowy, ociekające krwią, trzymane za włosy – jak na obrazach w Luwrze czy w filmach Mela Gibsona. To nie był żaden symbol. W pierwszej chwili spodobała mu się jej bezgraniczna empatia. Ale dość szybko wyczuł, że w słowach żony brzmi zarzut: jakby mu chciała powiedzieć, że brak mu męskiej stanowczości. Nie przeszkadzało jej, że ze względu na dyskrecję nie miał ochoty składać skargi na policji. Ale nie mogła znieść, że nie chodzi po mieście z szablą w dłoni.

Natomiast Dopalet chciał tylko dopaść parę szajbusek, które mu to zrobiły, by zafundować im podobny seans. Żeby poczuły to samo co on. By mógł sobie powiedzieć: nigdy tego nie zapomną. Oko za oko. Ząb za ząb. W końcu to on jest ofiarą napaści, może robić, co chce. Zemści się na swój sposób. Zemsta to sprawa prywatna.

Z początku sądził, że łatwo je namierzy. Słyszał wiele dobrego o płatnych zbirach, przybyłych ze Wschodu, i kilka zdjęć tych dziewczyn, którym oszpecono twarze lub tylko przetrącono kolana, załatwiłoby sprawę i byliby kwita. Ale nie znalazł tych dziuń. Zatrudnił najlepszych detektywów. Wrócili z kwitkiem. Angażując niebagatelne środki, Dopalet mógł prześledzić ich szkolne drogi, poznać stare adresy i nazwiska dawnych przyjaciół, przeczytać zamieszczane przez nie w internecie posty, dowiedział się też sporo o ich rodzinach. Ale nie interesowały go, do kurwy nędzy, ich drzewa genealogiczne. Amélie była innego zdania. Amélie twierdziła, że jeśli dobierze się do ich rodzin, smarkate dostaną za swoje. Dopalet jest bardziej pragmatyczny. Chce uderzyć mocniej. I w odpowiednie miejsce. Chce dostać je w swoje ręce. I nawet jeśli jest człowiekiem wystarczająco szlachetnym, by im kiedyś przebaczyć, musi się najpierw upewnić, że nigdy nikomu nie powiedzą tego, co – jak im się wydaje – wiedzą na jego temat. Nie boi się policyjnego śledztwa. Te zdarzenia są zbyt odległe. Boi się plotek. Trzeba je

uciszyć. A kiedy je dopadnie, dostanie to, czego szuka od wielu miesięcy: wyznania Bleacha. Kiedy je znajdzie, wszystko się ułoży.

Wysiada z taksówki przed swoim domem. Kilka tygodni temu wprowadził się do trzynastej dzielnicy. Po raz pierwszy w życiu mieszka w nowym budynku. Zajmuje piękne mieszkanie, dość małe, ale dobrze urządzone, z widokiem na Sekwanę i przeszkloną Bibliotekę Narodową. Musi przemierzyć cały Paryż, by dostać się do swojego biura w ósemce. Chciał przenieść się do dzielnicy, z którą nie wiązą go żadne wspomnienia. Zamierza budować swoje życie od nowa, pójść naprzód. Amélie zachowała przestronny apartament przy bulwarze Saint-Michel. Nie miał czasu przywiązać się do tych ścian – nie zdążyli się tam jeszcze urządzić, gdy podjęli decyzję o separacji. Miała już tego dość. Zrozumiał, że Amélie potrzebuje oddechu. Teraz jego ataki wściekłości niszczą wszystko, czego tylko się tknie. Któregoś dnia powiedziała: „Musimy zrobić sobie przerwę”. Zna te słowa, zwykle to on je wypowiada. Przerwy nie istnieją. Kiedy coś się stłucze, nie da się tego skleić.

* Éric Zemmour – francuski pisarz, eseista i dziennikarz polityczny pochodzenia żydowskiego i berberyjskiego, wielokrotnie sądzony za nawoływanie do nienawiści rasowej.

Vernon patrzy na przesuające się za szybą samochodu konstrukcje z prefabrykatów zwieńczone krzykliwymi logotypami, parkingi, tablice reklamowe ustawione między słupami wysokiego napięcia. Szeregi smętnych budynków, przygnębiająca architektura oparta na materiałach pozbawionych wdzięku, krajobraz, w którym nic nie jest nas w stanie urzec. Przemierzali podobne strefy w każdym miejscu, w którym obozowali. W okolicach Saint-Brieuc czy w Perpignan takie same hipermarkety, Go Sport, Boulanger, Auchan, Decathlon, Jardiland, Darty, takie same obiekty z ekologiczną żywnością, identyczne wielkie powierzchnie, gdzie w cenach fabrycznych sprzedaje się obuwie i artykuły dla majsterkowiczów. Wjeżdżają na rondo, na którego środku króluje niezwykła rzeźba, urągająca zdrowemu rozsądkowi: ogromne grzyby trzymają się za ręce, tańcząc farandolę.

Nagle Vernon się rozczula, patrząc na tę żalosalną scenerię, a Jésus w tej samej chwili stwierdza: „To wszystko jest tak brzydkie, że musi coś oznaczać”. Mariana mówi: „Tak – wchodzimy w ciebie bez mydła”, i wszyscy parszczą śmiechem. Véro usiadła z przodu. Trzyma na kolanach wielką plastikową torbę, jasnozieloną w wielobarwne kwiaty, nowiutką, która kontrastuje z jej powierzchownością. Gdy stanęli przed samochodem, powiedziała, że ma chorobę lokomocyjną i nie może siedzieć z tyłu. Ale Vernon zauważył, że omal nie padła trupem na widok Jésusa, ich kierowcy. Tak naprawdę chciała usiąść obok niego, by sycić się jego widokiem, zerkając na niego ukradkiem. Podczas podróży pociągiem Vernon zwrócił uwagę, że Véro ma skłonność do patrzenia w pustkę z otwartymi ustami, co nadaje jej nie tyle idiotyczny, ile niepokojący wygląd, zwłaszcza że bezgłośnie porusza wargami, jakby mówiła coś sama do siebie.

Oświadcza rzeczowym tonem, jaki przybiera czasami, gdy podejmuje poważne tematy: „Francja znajduje się w czołówce Europy, jeśli chodzi o dewastację

obszarów podmiejskich, to rak, który ją toczy. A przecież kiedyś był to piękny kraj. Deweloperów nic a nic nie obchodzi, czy centra handlowe będą funkcjonalne czy nie, podnoszą wartość nieruchomości przez operacje księgowe... To absurd. Rządzą nami idioci”. Czasem jej się to zdarza, przemawia, jakby była sumienną urzędniczką merostwa. A zaraz potem znowu pogrąża się w milczeniu, z rozchylonymi ustami, gotowa połykać muchy, pogrążona w myślach.

Vernon usiłuje zrozumieć, w jaki sposób deweloperzy mogliby podnieść wartość nieruchomości przez operacje księgowe... Jak nadać większą wartość tym okropnym hangarom? Szybko daje sobie z tym spokój. Myśli o Charles’u. Potrafił wpaść w nieopisaną wściekłość, mówiąc o technokratach, którzy dewastują wszystko, co działało w tym kraju, żeby zgarnąć premię. Napady złości starego robiły wrażenie. Wpadał w słowotok, używając obelżywego żargonu z dawnych lat. Niektórzy ludzie psują klimat, kiedy się denerwują, zbijają z tropu postronnych świadków, nie dopuszczają nikogo do głosu. Charles był ich przeciwieństwem. Rozwiązywał języki i budził chęć do działania.

Vernon przygląda się profilowi Mariany. Dziewczyna z zamkniętymi oczami nuci półgłosem *Satellite of Love*. Na jej wargach błąka się nieznaczny uśmiech. Gdy na nią patrzy, chęć buntu wygasa. Mariana uosabia niemal bolesną czułość, podszytą jasnym przecuciem, że nic nie będzie trwało. Jest tylko przemijanie. Każdą chwilą trzeba się delektować ze względu na nią samą – piękno skazane na unicestwienie.

Nie miała ochoty wyjeżdżać z Paryża. Nie chciała zostawiać przyjaciółek i barów, w których lubi przesiadywać. Martwi się też o pieniądze – opłaca czynsz, podnajmując swoje mieszkanie przez Airbnb, koleżanka ma klucze i dostaje ustalony procent od wynajmu. Ale Mariana musi poszukać jakiejś pracy. Nie wyobraża sobie, by mogła żyć jak oni – z tego, co zostawiają ludzie przyjeżdżający na konwergencje.

Vernon powiedział, że może dołączyć do nich później, ale zależy jej, by z nim być. Niepokoiłaby się, wiedząc, że jest sam. To nie zazdrość. Jest mało

prawdopodobne, by Vernon nawiązał intymne relacje z Véro. Nie w tym rzecz, że jest brzydka, ale naprawdę potrafi wszystkich wkurzyć. Stale się skarży. Była zawiedziona, że nie jadą wagonem pierwszej klasy, gdy tylko Mariana się oddaliła, żeby kupić bilety, zaczęła gderać: „Stary zostawił wam tyle szmalu, a zachowujecie się jak ostatnie kutwy”, co Vernon potraktował jak żart, taszcząc jej walizy, bo Véro bolą plecy i nie może dźwigać. Véro nieustannie narzeka. Później poszło o cenę piwa w wagonie restauracyjnym. Istny skandal. Co nie przeszkodziło jej zamówić także croque monsieur, który zasmrodził cały wagon. Nie dostała jeszcze ani centyma ze spadku, ale szasta pieniędzmi, jakby parzyły jej palce. Mówi, że nie chce kopnąć w kalendarz, zanim wszystko przepuści.

Vernon próbował ją przekonać, by poczekała do najbliższej imprezy i zobaczyła, jak to naprawdę wygląda. Ale się uparła i nie było wyjścia. Od chwili wyjazdu z obozu Jésus powstrzymywał się od komentarzy, jednak z jego twarzy można było wyczytać dezaprobatę. Przywykł do tego, że ludzie na niego patrzą. Jego niewiarygodna uroda zapiera dech w piersiach. Jednak sposób, w jaki Véro dyskretnie mu się przygląda, z osłupiałą z wrażenia miną, musi być dla niego zaskoczeniem. Może nawet trochę go niepokoi.

Między jedną imprezą a drugą w obozie zostaje cztery lub pięć osób, inni kursują, i choć nie ma wyraźnego zakazu zapraszania tu obcych, niemal nikt tego nie robi i stało się to czymś w rodzaju niepisanej reguły. Jésus jest chłopakiem Pameli, należy do grona stałych bywalców. Pamela od razu wprowadziła go do ich paczki. Był surferem, nim został jej asystentem w pełnym wymiarze godzin. Przywykł do wędrownego trybu życia. Jest od niej dziesięć lat młodszy i pochodzi z Kenii. Vernon to sprawdził – jego uroda nie ma nic wspólnego z miejscem, w którym się urodził, jest czymś wyjątkowym. Tak jak czymś wyjątkowym wydaje mu się fakt, że chłopak jest surferem i Afrykaninem, choć w sumie się na tym nie zna. Jeśli Jésus nie siedzi za kierownicą obozowego auta, przez cały dzień jeździ na rowerze. Wszystko, co robi, staje się zajmujące z uwagi na jego naprawdę idealne ciało. Pamela nie ma prawa jazdy, jest czystej krwi paryżanką. To on prowadzi

starego volkswagena polo w kolorze butelkowej zieleni. I to też robi dobrze. Na terenie obozu nie tylko dziewczęta pożerają go wzrokiem – wyróżnia go nieskazitelne piękno, jak w pierwszym dniu stworzenia, piękno, które nie może się opatrzyć. Poza nim i Marianą stałymi mieszkańcami obozu są założyciele grupy: Hiena, Olga, Pamela i Vernon. Rzadko jest ich szóstka. Są też starzy bywalcy: Kiko, Sylvie, Emilie, Patrice czy Antoine, odwiedzający ich regularnie. I dwie dziewczyny zajmujące się nagłośnieniem, które przyjechały z Bordeaux już na pierwszą imprezę i zostały upoważnione przez grupę do pracy nad taśmami Alexa. Nim się pojawiły, Vernon nauczył się dość nieudolnie miksować fragmenty tych taśm z muzyką, którą puszczał. Dziewczyny dobrze się znają na nagraniach binauralnych i znacznie ulepszyły efekt końcowy. Wykonują niewiarygodnie precyzyjną robotę. Vernon zawsze lubił przyglądać się pracy speców od dźwięku – pasjonują się niuansami, które są niepojęte dla ogółu śmiertelników. Dziewczyny zjawiają się bez uprzedzenia między jednym koncertem a drugim. Z perspektywy czasu wydaje się dziwne, że przez długie miesiące uwagę grupy skupiały kasety z wyznaniem Bleacha, podczas gdy autentyczną wartość miała jego praca nad tymi dziwnymi plamami brzmieniowymi, które nie posiadają struktury melodycznej, nie są złożone z możliwych do rozróżnienia dźwięków – ale robią wrażenie na słuchaczach. Teraz wszyscy są o tym przekonani. Lydia Bazooka spisała z taśm słowa Bleacha. Wbiła sobie do głowy, że napisze książkę na jego temat, ale żaden wydawca nie jest nią zainteresowany. Pracuje nad nią od dawna. Nikt z otoczenia nie może zrozumieć, dlaczego zabiera jej to tak dużo czasu.

Vernonowi odpowiada to życie we wspólnocie. Rzadko dochodzi do dysput. Z początku tak, nawet ustalenie codziennego menu mogło wymagać dwóch godzin negocjacji, nim zdecydowali, czy zjedzą ryż z sosem pomidorowym czy tuńczyka z kukurydzą. Później zrobili postępy – nauczyli się milczeć. W życiu wspólnoty cisza ma nieocenioną wartość. Ale kiedy Vernon pomyśli, że mieliby w gronie dziesięciu osób debatować, na co przeznaczyć pół miliona euro... Nie ma pewności, czy łatwo by się dogadali

Z trudem zniósł porozumiewawcze spojrzenie Véro, kiedy ją poprosił, by nikomu nic o tym nie mówiła. Na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiezek, jakby chciała powiedzieć: „Wy, hipisi, zawsze macie ten sam problem. Dopóki nie ma co jeść, pieniądze w ogóle was nie obchodzą, ale kiedy trzeba się podzielić kasą, od razu robi się młyn”. Ma gdzieś, co myśli o nich wszystkich, a także o nim samym.

Samochód zjeżdża z głównej drogi. Jésus twierdzi, że ma fotograficzną pamięć, w każdym razie ma GPS wbudowany w mózg – zawsze gdy się gdzieś na dłużej zatrzymują, już po dwóch dniach wie, jak tam wrócić z dowolnego miejsca, nie potrzebując wskazówek. Przemierzają wioski i pola. Véro mówi: „O, krowy. Od lat ich nie widziałam. Nie wyjeżdżałam z Paryża od... O, kurwa, już sama nie wiem. Nie lubię krów. Przypomina mi się dzieciństwo, spędzałam wakacje na wsi u ciotki. Musiałam rano wyganiać krowy na łąkę, a wieczorem przypędzać je z powrotem, z kijem w ręce. Bałam się. Krowy zawsze mnie przerażały. Wiem, mają piękne oczy... Ale ich nie znoszę”. Potem się nagle odwraca i marszcząc brwi, pyta Vernona, jakby w jej głowie te rzeczy miały z sobą logiczny związek: „Mam nadzieję, że w tej waszej grupie ludzie nie chodzą na golasa? Bo cię uprzedzam: nie zamierzam ściągać z siebie ciuchów”. Vernon od razu jej odpowiada: „Wiesz, u nas każdy robi, co chce”, ale widząc jej uśmiech, mógłby się założyć, że w głębi duszy Véro miała nadzieję, że kiedy tylko dotrą do obozu, Jésus rozbierze się do rosołu. Jednak Véro mówi z powagą: „Bo kiedy byłam młoda, odwiedziłam jedną komunę. Nikt mnie nie uprzedził. Ale gdy tam przyjechałam, wszyscy byli nadzy. Wyobraź sobie, że spędziłam tam cały tydzień i prawie nic nie jadłam. Tylko pomyśl – dwanaście osób przy stole, cycki i jaja na wierzchu... Gdy ktoś ci podaje sałatę, od razu tracisz apetyt”. Potem milknie. W aucie rozbrzmiewają pierwsze takty piosenki *Personal Jesus* w wersji Johnny’ego Casha, a Mariana, która zna ją na pamięć, wychyla się do przodu i śpiewa do ucha kierowcy. Dobrze się rozumieją, często spędzają czas razem. Vernon zamierzał być zazdrosny, ale ten chłopak jest naprawdę wyjątkowy. Jak miałby powiedzieć swojej dziewczynie: „Zakazuję ci iść z nim do łóżka, nawet gdybyś miała okazję”. Nie jest tolerancyjny

i nie fantazjuje o żadnym trójkacie, po prostu ten facet jest wystrzałowy. Nawet lesbijki separatystki chcą się przespać z Jésusem. To jedyna osoba w obozie, którą otacza grono groupies jeszcze bardziej zmotywowanych niż fanki Vernona. Faceci też chcą się przespać z Jésusem. Z Pamelą tworzą zadziwiającą parę.

Od kiedy z nim jest, wygląda jak bogini. Chyba że tak bardzo służy jej obozowe życie. Szybko się w nim odnalazła. Ich życie polega na tym, że szukają miejsca na założenie obozu, żeby pozostać tam przez kilka tygodni, przygotować imprezę, potem wszystko uprzątnąć i przenieść się gdzie indziej. Vernon gra rolę artysty – pozwala transportować się z miejsca na miejsce. Pamela ma genialny zmysł organizacyjny. Bierze na siebie niewiarygodną ilość obowiązków i wywiązuje się z nich naprawdę wzorowo. Gdy zaczynają się konwergencje, jest w swoim żywiole, zmienia się w dyżurnego ruchu: wskazuje ludziom drogę, mówi im, gdzie mają rozbić namioty, odczytuje listę rzeczy dozwolonych i niewskazanych w obozie, sprawdza, czy nikt nie ma przy sobie telefonu, przedstawia rozkład dnia, ośmiela najbardziej zagubionych, uspokaja najbardziej pobudzonych i daje jakieś zajęcie najbardziej obrotnym. A kiedy trzeba wszystko rozmontować, historia się powtarza: kto czym się zajmuje, kto z kim wyjeżdża, jakim samochodem...

Vernon wysiada z auta i przeciąga się. Otacza ich sfera szczekających psów. Véro trwa w bezruchu, struchlała: „Nie mówiliście mi, że macie tu psiarnię. Nie znoszę kundli”. Mariana otwiera bagażnik i wybucha śmiechem: „Ależ z ciebie mimoza, nie lubisz krów, nie przepadasz za psami...”.

Olga i Xavier adoptowali siedem psów. Ocalając je przed pewną śmiercią, jak twierdzą oboje. Olga je karmi i przywraca do zdrowia. Ale choć podporządkowuje sobie ludzi w sposób zupełnie naturalny, nie ma pojęcia o tresowaniu psów. Toteż robią, co chcą. Na szczęście są spokojne. Czasami Xavier mówi: „Zostaję przez kilka dni, więc trochę je podszkolę”, i zaczyna wydawać im komendy pięknym, donośnym głosem, który naprawdę brzmi jak głos zawodowego tresera. Ale nie

robi to żadnego wrażenia na sforze. Gdy Mariana zobaczyła je po raz pierwszy, oznajmiła: „Kurwa, nawet wasze psy są upolitycznione, walczą z tyranią ludzi o prawo do całkowitej swobody”, co oczarowało Olę, która odtąd pozostawia im jeszcze większą wolność. Wydaje im polecenie, psy patrzą na nią zdziwione, niekoniecznie oporne czy zbuntowane, po prostu zaskoczone, że zmieniła ton. Gdyby zmierzyć czas, okazałoby się, że zachowuje powagę przez jakieś pół minuty, po czym osuwa się na kolana, kładzie się na plecach i skręca się ze śmiechu wśród zwierząt, którym powtarza: „Cóż to za piękne oczy! Mój Boże, jakie jesteście cudowne”. Kiedy chce coś naprawdę uzyskać, wyciąga herbatnika – można odnieść wrażenie, że ma w kieszeniach stale uzupełniane zapasy biskwitów – i dzięki temu prowadzi zwierzę ku obranemu celowi. Wszyscy już przywykli do życia pośród psów, do rzucania piłki po sto razy dziennie pitbullowi choremu na artretyzm, do tego, że gdy tylko ktoś poruszy talerzem, zjawia się nigdy nienasycony west, że trzeba głaskać sznaucera po brzuchu, brać na kolana pieska chihuahua, bo jeśli nie, będzie bez końca ujadł, ponieważ nie lubi siedzieć na podłodze, czy uspokajać eleganckiego białego charta, którego grupa punkówek przywiozła z Hiszpanii, wiedząc, że Olga przepada za psami.

Olga przeżywała już lepsze i gorsze okresy w obozie – w pierwszych miesiącach z zadziwiającą, wręcz niepokojącą energią rzuciła się w wir prac budowlanych i w środku nocy można było usłyszeć, jak piłuje drewno. Mniej piła i zmieniła się w niestrudzonego cieślę, a rumiane policzki bardzo ją odmłodziły. Coraz bardziej tyła. Pracowała wprawdzie bez chwili wytchnienia, jednak zaglądała także do spiżarni, żeby podjadać chipsy. Nie myśląc o innych mieszkańcach obozu, którzy również je lubią.

Potem, ni stąd, ni zowąd, ta wielka radość i optymizm wyraźnie ją znużyły. Zaczęła gderać, że potrzeba jej więcej chipsów i piwa. A także bijatyk. Że ma dość tej powszechnej zgody. Że się nudzi. Odłożyła na bok młotki, gwoździe oraz inne narzędzia i nikt więcej nie widział, by majsterkowała. „Już mnie wkurza ta cała reedukacja, człowiek idiociej”. Ale nie zamierza opuszczać obozu. I nikt nie pragnie jej odejścia. Olga pełni bardzo istotną funkcję: kto inny miałby usuwać

maruderów? Wprawdzie nie cieszy się autorytetem u psów, ale gdy chodzi o istoty ludzkie, nie pominie żadnej okazji, żeby wzbudzić respekt.

Po każdej konwergencji sytuacja wygląda tak samo jak pod koniec domówki: zawsze zostają trzy czy cztery osoby, które nie zamierzają się zbierać, i nie wiadomo, co robić, bo chciałoby się trochę ogarnąć mieszkanie i pójść spać. Olga ma wrodzony talent do usuwania intruzów. Nie podnosi głosu. Nie posuwa się do rękoczynów. Gdy tylko dojdzie do wniosku, że czas pakować bagaże, zawsze osiąga swój cel. Odgrywa rolę jednoosobowej służby porządkowej. Jest tak nieprzewidywalna, że zawsze zbija słuchaczy z tropu, zwłaszcza że wyłuszcza swoje teorie w sposób niezwykle poważny. Naśladując Xaviera, powtarza hasła skrajnej prawicy albo przyznaje rację młodym anarchistom, którzy się uskarżają, że taniec to za mało, i sugeruje im, że powinni nakłaniać kobiety w wieku reprodukcyjnym, żeby robiły sobie USG i usuwały płody rodzaju męskiego. Mniej samców, mniej wojen. To wydaje się jej oczywiste. Dziwi ją, że żadne społeczeństwo nie wciela tego w życie. Dopóki kobiety będą rodziły chłopców, świat pozostanie kloaką. Olga jest przekonana, że to rozwiązałoby sprawę.

Rzecz jasna, ludzie szybko przestają z nią dyskutować. Naprzykrza się im do skutku. Bierze także w obroty tych, którzy czekają na wizytę istot pozaziemskich. Mówi tonem nieznoszącym sprzeciwu: „Żadna forma kosmicznej inteligencji nigdy nie nawiąże kontaktu z ludźmi. Ludzki język jest zbyt ubogi. Kosmici prędzej znajdą wspólny język z delfinami, psami albo orłami. Ale na pewno nie z ludźmi. Kto chciałby mieć cokolwiek wspólnego z taką rasą?”. Wizje polityczne Olgi są tak skrajne i absurdalne, że budzą oburzenie. I tylko ona wie, jak wpłynąć na Pamelę. Gdyby pozwolić nawiedzonej brunetce robić, co jej się żywnie podoba, przez cały dzień ćmiłaby szałwię – ma niepokojący pociąg do hipisowskich praktyk, które nazywa „pogańskimi rytuałami”. Olga przykróca jej cugli. Tak bardzo skupia na sobie jej uwagę, że płasanie przy pełni księżyca schodzi na drugi plan. Toteż nawet jeśli nie wytwarza już taboretów i zajmuje się tylko psami, niczym więcej, Olga ma swoje miejsce w obozie. Bez niej zalałaby ich fala niepożądanych gości.

Olga zbliża się do nich, uspokaja psy. Véro się krzywi: „Może je pani zamknąć? Kilka lat temu spaniel ugryzł mnie w twarz, panicznie boję się zwierząt”. Olbrzymka wzdycha, już poirytowana: „Spaniel? Chyba tylko tobie zdarzają się takie rzeczy”. Vernon wyjaśnia sytuację: „To Véro, dziewczyna Charles’a”. „Żona. Byliśmy w formalnym związku”. A Olga od razu zwraca uwagę na czas przeszły: „Rozstaliście się?”. Wtedy Vernon ucina rozmowę: „Charles nie żyje”.

Z olbrzymki opada napięcie. Jakby pozostał tylko jej szkielet i to nieruchome spojrzenie. Barki jej opadły. Vernon kuca między psami i głaszcze je po kolei. Wie, że Olga zaraz się rozpłacze. Łatwo się rozczula. Jest wzruszająca, kiedy jej się to zdarza. Zawsze robi dziwne wrażenie, gdy ta krzykaczka nagle się rozkleja. Véro odchodzi na bok obstąpiona przez sforę psów, czując narastające emocje, które nie wróżą niczego dobrego. Olga chwyta Vernona za ramię, pyta go, co się stało. Opowiada. Ale nie mówi o pieniądzach. Myśli sobie, że lepiej będzie zaczekać do kolacji, gdy wszyscy będą siedzieli przy stole.

Stary uwielbiał Olgę. Zawsze przywoził z sobą butelkę pastisu, by przyrządzać jej „kawę z prądem”, którą tak bardzo lubi. Mówił, że zawdzięcza tę recepturę pewnemu rockmanowi z lat dziewięćdziesiątych, z którym spotykał się w kawiarni La Fontaine w okolicach placu Bastylli. Ta mieszanka wprawiała ich w niewiarygodne stany i wymiotowali na terenie całego obozu jak pijane króliki.

Sélim przemierza podwórze i zatrzymuje się przy nich, przybierając pozycję samolotu. To dziwny widok – patrzeć, jak ten dojrzały mężczyzna biegnie z rozłożonymi szeroko ramionami, na nieco ugiętych nogach, jakby naśladował piłkarza, który strzelił gola, a po dotarciu do nich zastyga w bezruchu, wymachując najpierw jedną, potem drugą nogą do tyłu, jakby niezdarnie i w dość ryzykowny sposób próbował tańczyć ska.

Sélim jest na ogół poważny. Parę miesięcy temu jego córka Aïcha zniknęła bez śladu i chociaż regularnie się z nim kontaktuje, i Sélim wie, że wszystko u niej w porządku, zżera go niepokój. Ale wczoraj rozmawiał z córką przez telefon –

mówi o tym, zataczając pętle wokół grupy – odniósł wrażenie, że dziewczyna jest w dobrej formie.

Sélim rzadko rozmawia z Aïchą. To Hiena znalazła schronienie jego córce. I trudno powiedzieć, by Hiena żartowała, mówiąc o niezbędnych środkach bezpieczeństwa. Postawiła weto wszelkim próbom komunikowania się przez internet, na przykład przez umieszczanie komentarzy na blogu.

Jej zdaniem tylko ostatnie ofiary losu, fujary i debile wyobrażają sobie, że można wymieniać wiadomości w necie, nie dając się namierzyć. Sélim pomyślał, że mógłby nawiązać z nią kontakt przez darknet, i od razu usłyszał: „A jak podczas rewizji wyjaśnisz, że masz sieć Tor w komputerze? Już przy Linuxie twierdzą, że masz coś do ukrycia... Pozwól małej żyć. Jest jej dobrze. Przestań się niepokoić”.

Vernona zaskoczyło, że Hiena zdecydowała się z nimi zostać. To był jej pomysł, by obywać się bez łączy internetowych, zakazać używania komórek – wszystkiego, co pozostawia ślady. Nikt sobie nie wyobrażał, jakiego nabierze to znaczenia.

Kiedy tylko ma wolne na uczelni, Sélim dołącza do nich, ciągnąc za sobą dwudziestokilogramową walizę pełną książek, skserowanych plików i czasopism. Lokuje się w jakim kącie, który nazywa swym biurem, i nikt więcej o nim nie słyszy, ale on się cieszy, że tu jest. Ma niezwykłą zdolność całkowitego pograżania się w pracy, tak jak inni odurzają się alkoholem. Ale dziś jest w stanie euforii. Toteż wykonuje ten cudaczny taniec, tak się na nim skupiając, że nie od razu dostrzega zalaną łzami twarz Olgi oraz Véro, która robi urażoną minę, bo psy nadal tu są. Vernon mówi: „Charles umarł”. Potem przedstawia Sélimowi Véro i odnosi wrażenie, że przypadł jej do gustu. Zaczyna do niego docierać, że Véro jest rozpalona jak żar ogniska.

Cała radość Sélima nagle się ulatnia. Zrobił z siebie pajaca. Każdej napotkanej osobie, która zadaje mu pytanie, jak było w Paryżu, Vernon odpowiada: „Charles zmarł kilka dni temu. Przedstawiam ci Véro, jego dziewczynę”. A ona go poprawia: „Żonę. Byliśmy w formalnym związku”. Vernon powiadamia o tym Antoine’a, który słucha Tupaca, siedząc w samochodzie – zepsuł się parę dni temu,

ale radio wciąż działa. Mówi o tym Sylvie, która rozwiesza bieliznę – zawsze gdy przyjeżdża do obozu, odgrywa rolę dobrej mamy i jeśli nie gotuje, musi gdzieś posprzątać... Lepiej nie przechodzić zbyt blisko, bo zaraz cię zhaltuje i zmusi do roboty. Zawiązała na włosach czerwoną bandanę, jest bez makijażu. Odchyła głowę do tyłu, słysząc przykrą nowinę, teatralnie, w przesadny sposób. Ale szczerze. Stary jej pochlebiał. Ona pierwsza bierze Véro w ramiona, mówiąc, że jej przykro. Potem trzeba powiedzieć o tym Xavierowi: „Kurwa, tylko nie to!!! Tak bardzo będzie go nam brakowało... Przecież był jeszcze młody...”. Tego rodzaju refleksje, pomyślał Vernon, uświadamiają nam, żeśmy się zestarzelili.

Pamela już o tym wie, gdy docierają na podwórze fermy. Przez chwilę stoi bez ruchu, ale gdy Sylvie wraca ze spiżarni – miejsca gdzie gromadzą wszystko, co na odjeźdźnym zostawiają im ludzie – niosąc kilka butelek najlepszego wina, Pamela wstaje i odchodzi. Vernon idzie za nią. Słyszy za plecami, że inni otwierają butelki i piją zdrowie Charles’a.

Pamela usiadła ze skrzyżowanymi nogami na materacu w pokoju. Słucha *The Hanging Garden The Cure* i je grube białe chipsy o smaku krewetkowym. Okruchy przyklejają się jej do podbródka i Vernon odruchowo zbiera je palcami. Dziewczyna nie płacze. Pyta: „A jak twój ząb? Udało się go wyleczyć?”. Vernon siada obok niej i opowiada o wizycie w Paryżu, o wykorzenionym drzewie w parku des Buttes-Chaumont, o Kiko i picciu szampana, ludziach w mieście, które wydało mu się smutniejsze niż kiedyś. Potem Pamela mówi obojętnym tonem: „A czy wdowa chciała się z nami zobaczyć?”. Wtedy Vernon odwraca głowę w jej stronę, lekko skręcając szyję, i słyszy trzask kilku kręgów, jakby był zardzewiały. „Charles był milionerem. Wygrał na loterii. Zostawił nam połowę kasy. Jeżeli wdowa faktycznie zechce się z nami podzielić. Nie bardzo wiem, co mam o tym myśleć”. Nadal przeżuwa, nie spuszczaając z niego oczu – potrzebuje czasu, by zrozumieć, co przed chwilą powiedział.

- Na loterii? I nic nam nie powiedział?
- Chyba nie mówił o tym nikomu. Milion, może dwa, sam nie wiem.
- I dlatego ją tu przywiozłeś? Bałeś się, że może gdzieś nawiać ze szmałem?

- Nie. To ona się uparła.
- Napisał w testamencie, że chce nam dać pieniądze?
- Zostawił list. Tylko list.
- Co za kurwa. Nigdy nie dostaniemy tego, co się nam należy. Miałeś rację, że ją tu przywiozłeś.

Pamela przechyla się w stronę Vernona, kładzie mu dłoń na szyi i opuszkami palców pieści jego kark, lekko uciskając, po czym całuje go w skroń i Vernon ma dość czasu, by poczuć jej zapach, lekką woń prażonych migdałów. Szepcze mu do ucha: „Charles nie chciałby, żebyś robił taką minę. Komuś o tym mówiłeś?”. „Dopiero mam zamiar”. „Jesteś smutny?” „To był mój przyjaciel”.

Nie mówi, o czym myśli. Myśli, że nikt nie jest godny zaufania. Nigdy. Żadna grupa. I właśnie to jest najtrudniej pojąć. Że jesteśmy lokatorami danej sytuacji, nigdy właścicielami.

W dniach poprzedzających wyjazd Stéphanie zawsze bardzo się stresuje. Wie, że wszystko będzie dobrze, że nie ma powodu do obaw. Lecz jakaś niewidzialna siła powoduje, że nawet najbardziej absurdalne rzeczy wydają się jej możliwe. Nie ma zamiaru nigdy więcej wyjeżdżać na wakacje, co jej przyszło do głowy, by spędzić czas z przyjaciółmi, myśl, że zostawi puste mieszkanie, nie daje jej spokoju, jeszcze nie jest gotowa, musi spakować walizki, wydrukować bilety, całe jej życie wydaje się jej totalną katastrofą, musi wykonać nadludzki wysiłek, by wziąć się w garść i przypomnieć sobie, że samobójstwo nie jest jedynym rozwiązaniem. Nikt nie targa się na swoje życie tylko dlatego, że musi na kilka dni polecieć do Barcelony. Jednak trzeba będzie wsiąść do samolotu, a zwłaszcza nie zapomnieć o paszporcie młodego, wyjazd na weekend to jeszcze nie jest powód, żeby z sobą skończyć.

Pralka mruczy w kuchni. Mrożony zielony groszek się gotuje i pięć przenikliwych dźwięków stopera obwieszcza, że trzeba zdjąć garnek z palnika. Jest gorąco, mimo otwartych okien nie ma żadnego przewiewu i Sylvie ledwie dyszy. Lista rzeczy, które powinna zrobić przed wyjazdem, się wydłuża i ogarnia ją lęk, bez żadnego sensownego powodu.

Gdyby nie Lucas, wszystko by odwołała. Wysłałaby esemesa: „mam straszne rozwolnienie nie mogę się ruszyć z domu sorry”. Każdy przecież zrozumie, że w przypadku ataku sraczki jesteśmy uziemieni. Tak by jej ulżyło, gdyby zrezygnowała. Cena biletów była śmiesznie niska, może je stracić bez żalu. Ale dla Lucasa ten wyjazd to prawdziwe święto. Sprawić synowi zawód to jeszcze nic takiego – w życiu doświadczy jeszcze wielu rozczarowań, więc niech się przyzwyczajają – ale Stéphanie się obawia, że jego ojciec zrobi z tego aferę. A Max jest zdolny do wszystkiego, kiedy chce się odegrać.

W chwili gdy kupowała bilety, głos rozsądku ją przestrzegł – uważaj, zawsze tak robisz, pakujesz się w coś, co dla innych jest proste, ale dla ciebie bardzo skomplikowane – lecz go nie posłuchała. Cierpi na chorobę dwubiegunową. Sama postawiła sobie taką diagnozę, przeglądając internet. Kiedy jest w stanie euforii, nie potrafi zatroszczyć się o siebie taką, jaka będzie w drugiej fazie – o dziewczynę, którą dręczą stany lękowe.

Siedziała z trzema koleżankami w małym dwupokojowym mieszkaniu – stiuki na suficie, wąski kominek w salonie, lśniący parkiet i kwitnące geranium na balkonie z widokiem na szare, kryte łupkiem dachy. Upijały się białym winem, wyciągnęły zestaw do karaoke i śpiewały *Papa Don't Preach*. Klasyk podczas tego rodzaju wieczorów. Stéphanie chwyciła mikrofon, by wykonać *Bitch Better Have My Money*, uwielbia karaoke. A sąsiad zadzwonił domofonem, prosząc, żeby ściszyły muzykę. Twierdził, że pukał do drzwi, ale nie usłyszały. Wieczór był skończony.

Pénélope niedawno przeszła operację, okazało się, że ma mnóstwo polipów w jajowodach. Poszła na rutynową kontrolę, chciała zajść w ciążę z Patrice'em, swoim narzeczonym. Zrobili jej trzy małe dziurki w brzuchu, przez które wprowadzili mechaniczne ramiona. Włożyła szare dresowe spodnie i fioletowy kaszmirowy sweter, związała włosy i zarzuciła płaszcz, by pojechać do nich taksówką, chociaż nie miała kasy i mieszka daleko, ale dobijało ją to ciągle siedzenie w domu. Te wieczory stały się rytuałem dla całej ich czwórki od chwili, gdy poznały się podczas konwergencji w Bussang.

Widywały się w każdą środę wieczorem. Pénélope, operowana przed trzema dniami, piła jedno piwo za drugim, za każdym razem mówiąc, że „to ostatnie”. Była niespokojna. Chciała się wygadać. Bała się, że może nie zajść w ciążę. „Sperma Patrice'a będzie musiała zasuwać jak łódź wikingów, żeby dotrzeć do moich komórek jajowych. To prawdziwy tor przeszkód: moje jajowody przypominają labirynt”.

Stéphanie miała kłopoty ze zrozumieniem, co właściwie lekarze jej powiedzieli. Pénélope zmieniała wersję kilka razy w ciągu wieczoru. Marie-Ange i Sylvie pocieszały ją – w jej wieku i przy dzisiejszej technologii znajdzie się przecież jakiś sposób, by pomóc biednym plemnikom dotrzeć do zacisznego portu. Stéphanie postanowiła być szczerą: „To się może udać, ale nie zapominaj, że wcale nie musisz być matką, by spełnić się jako kobieta... Niech ci się nie wydaje, że to sama rozkosz”.

Stéphanie kocha swojego syna. To dzieciak pełen radości życia, który ma mnóstwo kolegów i daje radę w szkole. Zawsze utyłła się jak świnia, ale to dobry chłopak, Stéphanie ma szczęście. Jednak gdyby musiała jeszcze raz podejmować decyzję, nie miałaby dziecka. Gdyby położyć na jednej szali koszty, jakie musiała ponieść, a na drugiej zyski, sprawa byłaby oczywista. Gdy musisz sama co miesiąc opłacić wszystkie rachunki, już trzeba się nagłówkować, a kiedy dodasz do tego smarka, to istna katastrofa. Od kiedy wkroczył w wiek dorastania, stała się automatem do powtarzania „nie”. Nie będzie żadnych tabletek, nie będzie smartfona, nie będzie koncertu Maître’a Gimsa ani koszulki Barcy... Traktuje swoją matkę jak maszynkę do robienia pieniędzy. Stéphanie widzi, że jej koleżanki, które nie mają dzieci, wiodą przyjemne życie. Wylegają się w łóżku, wychodzą, kiedy chcą, jeśli im przyjdzie ochota, by spędzić dzień w skarpetkach, oglądając serial *Kochane kłopoty* i wcinając pianki, to tylko ich sprawa... Gdy masz dzieciaka, codziennie musisz obierać warzywa, których on w dodatku nie lubi, sprzątasz po nim, sprawdzasz, czy odrobił lekcje, chodzisz do jego nauczycieli, pierzesz, prasujesz, zawozisz go na treningi piłki nożnej... Lucas ma czternaście lat. Każdego dnia opróżnia zawartość lodówki. Zawsze jest głodny. Co na to poradzić. Rośnie tak szybko, że Stéphanie wydaje fortunę na jego buty. Nie może go ochrzanić, gdy palcami zaczyna dotykać czubka, a przecież mógłby w nich jeszcze pochodzić. Faceci rozrastają się na wszystkie strony. Od kiedy jest nastolatkiem, Stéphanie nigdy nie wie, jak będzie wyglądał rano przy śniadaniu. Jednego dnia rośnie mu nos – paf – miał taką anielską buźkę i nagle wygląda jak Quasimodo, innego dnia wyskakują krosty... Co możesz z tym zrobić. Widzisz

rozmiary katastrofy, ropne wypryski na całej twarzy, rozbijasz skarbonkę, by pójść do dermatologa, a gdy ci przepisze maści droższe niż przeciwmarszczkowe kremy La Prairie, musisz je wykupić. Potem przychodzi kolej na dentystę, który oznajmia, że twojemu skarbowi krzywo rosną zęby i trzeba mu założyć aparat ortodontyczny. Drogie to jak cholera, ale wszystkie wyrostki je noszą. Nie możesz pozwolić, by miał krzywy zgryz tylko dlatego, że trzeba wymienić pralkę, bo stara już nie odwirowuje. Później musi mieć okulary. Negocjujesz cenę oprawek, ale przecież nie możesz pozwolić, by cała klasa pluła na twoją pociechę, bo ma tandetne binokle, więc bulisz... Tymczasem ty nie kupiłaś sobie nowych butów od 1997 roku. Ale cóż, dzwonisz do banku i prosisz o kredyt. Czy masz pieniądze czy nie, rachunek jest taki sam. Ostatnio zaczyna mu się zmieniać głos. Nie rozpoznaje go, kiedy do niej dzwoni. Z trudem powstrzymuje śmiech, gdy coś mówi. Kurwa, nie nazywają tego czasami niewdzięcznym wiekiem?

Stéphanie pracuje w ośrodku przymusowego leczenia od uzależnień. Kiedy nakryją kogoś z narkotykami w kieszeni i sędzia wyśle go na leczenie, ten ktoś trafia do jej gabinetu. Widuje tam najrozmaitszych ludzi, od gogusia z dobrej rodziny, którego złapali, kiedy wciągał koks, po cwane go diler, którego potraktowano jak zwykłego konsumenta. Ale nie, nie może w nagłym przypadku zostać w pracy o dwie godziny dłużej, nie, nigdy nie ma czasu, by zjeść kolację z ekipą terapeutów, nie, nie może się ubiegać o wyższe stanowisko, bo musiałaby podróżować i zostawać na nadgodziny. Nikt nigdy nie pomyślał, żeby ją awansować. Samotna matka – wszyscy dokładnie wiedzą, co to znaczy. Chyba że mieszkasz obok swoich rodziców i możesz często podrzucać im dzieciaka. Ale to akurat nie jest jej przypadek. W dniu, w którym została matką, klamka zapadła – nie będzie żadnych awansów. Gdy o tym opowiada, zawsze znajdzie się jakaś matka, która twierdzi, że wcale tak nie jest, że to kwestia organizacji. To nieprawda. Stéphanie jest bardzo dobrze zorganizowana. Ale dziecko oznacza dwadzieścia godzin dodatkowego tyrania w tygodniu i tego nie unikniesz. Przecież nie może zorganizować się tak, żeby nie spać w nocy.

Gdy wyrzuciła to z siebie, Marie-Ange szeroko otworzyła oczy. Co miało znaczyć: macierzyństwo to świętość, tak bardzo uszczęśliwia kobiety. Łatwo jej mówić, kiedy jest z facetem. Xavier nie pracuje. Zresztą pomówmy też o facetach... Śmiało, zakochaj się, kiedy masz dziecko w domu. Bzykasz się w czasie godzin lekcyjnych, a jeśli twój facet pracuje... cóż, możesz zapomnieć o bzykaniu. Poza tym Lucas nie lubi facetów, z którymi ona sypia. I Stéphanie nie może powiedzieć, by był szczególnie zaborczy. Chciałby, żeby znalazła sobie kogoś na stałe. W sumie jest rozsądny – bo Stéphanie sprowadza do domu samych nieudaczników. W przypadku konfliktu interesów między facetem, który ci się podoba, a twoim synem nie wyrzucisz za drzwi swojej latorośli. Jest przekonana, że gdyby nie miała dziecka, z kimś by się związała. Dziewczyny były oburzone, że mówi takie rzeczy. Lecz jest po prostu szczerą, to wszystko. OK, nigdy nie jesteś sama. Ale właśnie: nigdy nie jesteś sama. Marie-Ange i Sylvie patrzą na nią, jakby chciały powiedzieć, że jest wyrodną matką i powinna się wstydzić. Ma to w nosie. Już do tego przywykła. Stéphanie jeszcze dorzuciła do pieca, pytając Pénélope: „Jesteś szczęśliwa ze swoim facetem? Tak? Cóż, musisz wiedzieć, że wszystko, co lubisz z nim robić, się skończy, kiedy urodzisz dziecko. Rodzina to śmierć związku”. Potem umilkła, bo Marie-Ange spojrzała na nią tak, jakby ją chciała udusić. Inne kobiety nie potrafią być w tej kwestii szczerą. Macierzyństwo jest jak obrzezanie – laski czują się w obowiązku sprawdzić, czy wszystkie inne kobiety mają to już za sobą.

Potem umilkła, ponieważ komunikat został odebrany. Sprawiała, że atmosfera zrobiła się napięta, toteż wrzuciła wsteczny bieg – doprowadziła koleżanki do śmiechu. Wspomniała o nowej manii Lucasa, która polega na tym, że stale się brandzluje. Dziewczyny były zszokowane, ale też rozbawione. To prawda. Od roku należałoby codziennie zmieniać pościel Lucasa. Kupuje chusteczki higieniczne w kartonowych pudełkach i ustawia je wszędzie, bo inaczej wycierałby się o byle co. Biedaczek, musi być wykończony. Nie wchodzi już do jego pokoju bez pukania. Czasami ma z niego ubaw, kiedy przez dziesięć minut siedzi w toalecie po bardziej pikantnej scenie w jakimś filmie. Zagląda do jego komórki, żeby

sprawdzić, czy nie dostaje napastliwych esemesów od kolegów ze szkoły – boi się, by nie padł ofiarą mobbingu. To ją prześladowa. Lucas jest grzecznym chłopcem, nie potrafi się bronić, fizycznie ani słownie. Sprawdza to więc. Boi się, że jakiś kretyn z klasy mógłby sfilmować go obnażonego, gdy robi jakieś głupstwa, po czym stałby się pośmiewiskiem szkoły. Tak właśnie się dowiedziała, że ogląda porno, historia jego aktywności w Google to prawdziwa encyklopedia hardcorowych filmów. Ojciec Lucasa mówi, że nie powinna szperać w jego rzeczach, że narusza jego prywatność. Że nie wie, co dla chłopaka znaczy wiek dojrzewania.

Jedynie kiedy śpiewa, Stéphanie ma pewność, że się akurat nie trzęsie – nie potrafi robić dwóch rzeczy naraz. Lucas fałszuje. Ile piosenek istnieje na tym świecie? Przynajmniej cztery miliardy... Cóż, on śpiewa *Marsylianę*. I robi coś w stylu „tadam, tadam”, trochę jak w rodzinie Addamsów, po czym przechodzi do jakiegoś numeru Maître’a Gimsa.

Rozluźniła atmosferę historiami o masturbacji syna. Marie-Ange miała łzy w oczach, tak ją to rozśmieszyło. Spytała: „Ale dlaczego śpiewa *Marsylianę*?”. „Z powodu 7 stycznia*. Stał się patriotą. Po zamachach wrócił megadumny ze szkoły i pochwalił się, że uczcili je minutą ciszy, a on ani drgnął. Powiedziałam: »Mam nadzieję. Może mam ci pogratulować?«. Trzeba przyznać, że do jego szkoły chodzą niezłe ziółka... Można się przestraszyć. Gdy był jeszcze w podstawówce, bawił się w swoim pokoju z kolegami z klasy i nagle usłyszałam, jak wrzeszczy: »Uważaj, jestem dzielny jak Mohammed Merah**!«, tak jak mógłby powiedzieć, że jest papieżem czy Batmanem. Nigdy tego nie zapomnę. Weszłam do pokoju i powiedziałam: »Możesz to powtórzyć?«. A mój synalek, spokojny, uśmiechnięty, zadowolony z siebie, powtórzył mi tę bzdurę: »Jestem dzielny jak Mohammed Merah«. Przyniósł to ze szkoły. Nie spodziewał się, że tak źle na to zareaguję. Niezłe natarłam mu uszu i możesz mi wierzyć, zrozumiał, że przesadził. A ci dwaj kumple byli do niego podobni – wystarczyło na nich spojrzeć, by mieć pewność, że żaden nie usłyszał tego w swoim domu”. Od tego dnia za każdym razem gdy Stéphanie widzi w telewizji Latifę Ibn Ziaten***, woła Lucasa i każe mu się

przed ekranem. A potem go sprawdza: „Nadal uważasz, że ten debil, który zabił jej syna, jest dzielny?”. A jedynym efektem jest to, że jej syn, myjąc zęby, śpiewa *Marsyliankę*. W sumie trzeba docenić Maître’a Gimsa. Przynajmniej kiedy śpiewa, nie oddaje się samogwałtowi.

Marie-Ange, która nie miała już siły się śmiać, zapytała: „Do szkoły twojego syna chodzi dużo szumowin? Nigdy nie pomyślałaś o tym, żeby go przenieść do prywatnej?”. A Stéphanie kręci głową: „W mojej rodzinie wszyscy chodzili do szkół publicznych. Zresztą nie mam pieniędzy, żeby płacić za szkołę, ale nawet gdybym srała kasą, mój syn nie poszedłby do prywatnej. I jeśli myślisz, że twoja córka nie będzie tak porąbana jak on, bo ją pošlesz do szkoły Najświętszej Marii Panny, jesteś w błędzie... Zacznie ci recytować cytaty z *Mein Kampf* i też będziesz miała problem. Nie trzeba było rodzić dzieci, żyjemy w okropnych czasach. Ciągłe wracamy do punktu wyjścia”.

Marie-Ange nie pozwoliła jej na tym zakończyć rozmowy: „Nie zgadzam się z tobą. Właśnie dlatego ludzie tacy jak my powinni mieć dzieci – ponieważ inaczej je wychowujemy, a świat potrzebuje ludzi wykształconych”. Stéphanie nie dodała nic więcej. Ale mąż Marie-Ange to przecież zwykły faszol, a ona nie ma wrażenia, by brakowało takich osobników, wręcz przeciwnie. Powiedziała Pénélope, co miała jej do powiedzenia – nigdy nie wiadomo, może coś do niej dotrze. To tak, jakbyś dostała dwadzieścia lat bez zawiasów. Na tym polega prawdziwa różnica między mężczyznami i kobietami.

To Max chciał dziecka. To był jego pomysł. Urodziła. Ale on jest ojcem, tylko kiedy ma czas. W sumie trochę rzadziej niż co drugi weekend. Podobnie z alimentami: płaci, kiedy może. A całe jego otoczenie mu tego winszuje: „Kurwa, tak dobrze zajmujesz się synem”. Raz w miesiącu zabiera go na mecz bokserski, na koncert, do Disneylandu, gdy akurat pracuje tam jego kolega i może ich wpuścić za darmo... I jeśli ktoś spyta Maxa o opiekę nad synem, odpowie: „Daję radę”. Ale gdyby jakaś kobieta traktowała swoje dzieci tak samo jak Max swojego syna, miałyby non stop policję i pracowników socjalnych na głowie. A ci pracownicy wszędzie mają wtyczki.

Pénélope zmieniła temat: „Ale psia pogoda, jutro też będzie padać, mam już tego dość”. A Marie-Ange dodała: „Z wielką chęcią spędziłabym weekend w Barcelonie”. Sylvie stwierdziła: „Wiecie, że z dużym wyprzedzeniem można kupić bilet lotniczy nawet za trzydzieści euro?”, a Stéphanie rzuciła: „Od lat chcę tam pojechać. Siostra Maxa mieszka w Barcelonie, ma syna w wieku Lucasa, tyle razy go zapraszała, żeby pokazać mu Camp Nou. Ale moim zdaniem nie jest dość zaradny, bym mogła go wysłać samego... Za bardzo bym się bała, że ten mały palant wyląduje w Bamako...”.

I właśnie w ten sposób się w to wpakowała. Dziewczyny sprawdzały ceny biletów, pootwieraly notesy, żeby znaleźć weekend, który wszystkim pasuje. Stéphanie zrobiła to samo.... Mimo cichego głosu rozsądku.

Czuły się jeszcze jak we wnętrzu gorącej kuli zanurzone w klimacie panującym na konwergencjach. Stéphanie trafiła tam przypadkiem. Zjadła kolację z Olivierem, chłopakiem, którego poznała dwadzieścia lat temu w Angers, gdy jeszcze studiowała i nie przepuszczała żadnego koncertu Les Thugs, Casbah Coffee Club czy Cut The Navel String... A on włączył się z ludźmi z wytwórni płytowej Black & Noir i trochę się w niej podkochiwał. To były przyjacielskie spotkania wieczorami, flirt, który się nigdy nie skonkretyzował, który mógłby ulotnić się z czasem i zniknąć. Ale gdy zamieszkała w Paryżu, spotkali się przypadkiem w klubie Cantada. Olivier pracował w wytwórni Radical Production i kumplował się z Maxem, którego niedawno poznała. Olivier był teraz spełnioną głową rodziny, lecz w przeciwieństwie do sporej liczby byłych adoratorów, którzy stracili z nią kontakt, kiedy przestali wiązać z nią jakiegokolwiek plany, Olivier był nadal bardzo przyjacielski. Odtąd regularnie jadali razem kolacje, bez żadnych dwuznaczności, czego Stéphanie żałowała. Któregoś wieczoru Olivier długo jej opowiadał o konwergencjach Vernona Subutexa, a Stéphanie słuchała go trochę znudzona. Miała wrażenie, że Olivier przechodzi kryzys wieku średniego, przeżywa okres wewnętrznego zamętu, tęskniąc do rave'ów, tarzania się w błocie i łykania ecstasy. Myślała sobie: to głupie, lepiej zrobiłbyś coś naprawdę odłotowego i zdradził żonę

ze mną... Olivier był zaproszony na najbliższą imprezę. Cieszył się z tego jak dziecko. Powiedział jej, że przeprowadzają tam bardzo ostrą selekcję, bo organizatorzy nie chcą znaleźć się w gronie czterystu przypadkowych osób. „Magia przestałaby działać”. Obecne czasy należą do VIP-ów, ludzi mających dostęp, którzy cenią w tym właśnie to, że inni go nie mają. I nagle oświadczył: „Jadę tam dziś wieczorem, samochodem, chcesz się wybrać ze mną? Wolno mi zaprosić jedną osobę. Masz prawo jazdy i chyba znasz trochę prowincję? Będziemy prowadzili na zmianę. Jedziesz?”. I było to tak nagłe, tak pozbawione sensu, że Stéphanie nie miała czasu się przestraszyć. Przeszli bez żadnych etapów pośrednich od atmosfery kolacji w gronie dorosłych osób do chaosu młodości, zajrzała tylko do domu, żeby wziąć dwa T-shirty i majtki, a on zapalił lekkiego skręta „na drogę” i była w tym jakaś żywiołowa radość, przyjemna, idiotyczne uczucie wzajemnego porozumienia, jakie towarzyszy takim eskapadom.

Czuła się upojona wolnością, tą lekkością, która cechowała jej życie przez lata i którą całkiem już zapomniała. Gdyby dał jej czas na zastanowienie, wycofałaby się – myśl, że miałyby przez całą noc prowadzić samochód, by potem tańczyć wśród pól, wydałaby się jej kompletnie absurdalna. Ale ją namówił. Zostawiła w domu komórkę, tak jak ją poprosił. W pierwszej chwili spanikowała – gdyby coś stało się Lucasowi, nikt nie mógłby się do niej dodzwonić... Ale Olivier ją uspokoił, powiedział: „Przez całe życie nie mieliśmy telefonów, a tam jest to regułą – nikt nie robi tam sobie zdjęć, nie wchodzi do internetu. To ważne”. Trochę ją to zirytowało. „Przepraszam, jak mogłam pomyśleć, że mój syn jest ważny”. A on wzruszył ramionami. „Ja też mam dzieci. Przez dobę nie będzie mógł się z tobą połączyć. Pamiętasz, nasi rodzice nie wydzwaniali do nas co godzinę i nie cierpieliśmy specjalnie z tego powodu”. Umilkła. Zdenerwował ją. Ale gdy puścił Bee Geesów, abdykowała i zaczęła śpiewać w samochodzie. Trudno się obruszać, słuchając *Stayin' Alive*.

Jechali przez całą noc. Potem przerzucili się na Curtisa Mayfielda. Olivier kupił na stacji benzynowej okazały zapas gorzkiej czekolady. Wyjaśnił jej, że każdy z uczestników zostawia coś dla „wspólnoty”, co zechce. Mówił: „Czekolada jest

dobra, zawiera magnez i dobrze się przechowuje”. Później się zatrzymali, by przespaciać się przez kilka godzin w samochodzie, a ona poczuła się zawiedziona, że jej nie objął ramieniem i że nie zrezygnowali z całej tej konwergencji, żeby pomówić w jakimś hotelu o geopolityce, ale była zbyt wykończona, by zafiksować się na swojej frustracji.

Wjechali do miasta około południa, przy bezchmurnym niebie. Na twarzy Oliviera widać było wyraźne oznaki zmęczenia, to go postarzało, Stéphanie uznała, że dobrze tak wygląda. Zostawili samochód na płatnym parkingu i poszli na plac przed dworcem kolejowym.

Należało zaczekać na jedną z trzech zdezelowanych gablot, które zapewniały ruch wahadłowy między obozem a dworcem. Toteż czekało się długo, zważywszy, że było wielu chętnych. Siedząc na ziemi, opychali się croissantami. Stéphanie zastanawiała się, kiedy ostatnio siedziała w ten sposób, nie mając nic do roboty. To było zabawne. Już teraz coś się działo. Dziecięca radość. Uczestnicy rozpoznawali się, uśmiechali do siebie. W latach dziewięćdziesiątych Stéphanie była na kilku imprezach rave. Zachowała z nich dobre wspomnienia. Uwielbiała MDMA. Już tego nie bierze. Za bardzo bolała ją głowa, gdy narkotyk przestawał działać. Trzeba było trochę zaczekać, by zrozumieć, dlaczego wszystkie nowe narkotyki są tak niebezpieczne. MDMA wywołuje stany depresyjne. Dokładne przeciwieństwo początkowego uczucia euforii. Niebezpieczny bumerang.

Kiedy dotarli na miejsce imprezy, nie była zaskoczona widokiem rozbijanych wokół namiotów, spokojem ludzi, zadowolonych, że się tu znaleźli. Znała te klimaty. Potrzeba trochę czasu, żeby rozszyfrować tłum, z początku dostrzega się tylko mnogość jednostek. Stopniowo zaczęła zauważać detale. W większości byli biali, ale nie wszyscy, jak na festiwalu techno czy koncercie rockowym. Jeśli chodzi o wiek, był dość zróżnicowany. Widziała tam wielu swoich rówieśników, ale też ludzi młodych, a nawet starców – osoby idące niepewnym krokiem, które ktoś podtrzymywał za łokieć i pomagał im usiąść. Było trochę więcej kobiet niż mężczyzn, co od razu zestresowało Stéphanie – jeśli jest to kobieca impreza, jakim

cudem miałyby być genialna. Genialne są tylko imprezy z udziałem facetów – to wręcz tautologia.

Na szczęście była też kompensacja w postaci kilku dorodnych okazów. A nawet niespotykanych – na przykład czarny chłopak o fascynującym spojrzeniu i idealnie wyrzeźbionym brzuchu, który zrobił na niej niesamowite wrażenie i od razu poczuła, że znalazła się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie.

Stéphanie rozpoznała starego krytyka muzycznego, którego nie widziała od dawna, przywitali się. Spacerował po trawie w wypastowanych wysokich butach i dopasowanej dwurzędowej kurtce, łysy, ale zadbany. Mówił jej o smugach chemicznych, wskazując białe linie na niebie, i była zaskoczona, że facet jego pokroju wierzy w tego rodzaju spiskowe teorie. Zapytała go: „Naprawdę myślisz, że celowo nas zatruwają i to w sposób tak jawny, kiedy o wiele łatwiej byłoby dodać czegoś do wody?”. Dziennikarz odparł: „Tak, właśnie to jest niesamowite, że w dzisiejszych czasach nawet się z tym nie kryją. I niby co możemy na to poradzić?”.

Przechadzała się po obozie, a Olivier zasnął pod jakimś dębem. Minęła dwóch czterdziestoletnich punków, jeden miał pomarańczowy grzebień, drugi czerwonego irokeza z czarnymi odrostami, dwóch zapuszczonych facetów. Bluza koloru khaki, rozczłapane trampki, stare wyblakłe tatuaże. Widząc ich, pomyślała: proszę, typowe punki z psami. Kiedy się do nich zbliżyła, tkwili w uścisku, całując się namiętnie. Zatem ich duet nie był aż tak typowy.

Nie było żadnego baru. Nikt niczego tam nie sprzedawał, ani alkoholu, ani kiełbasek merguez, ani T-shirtów. To, plus brak telefonu, którego od czasu do czasu odruchowo szukała w kieszeni, wydało jej się trochę niepokojące. Jak zabić czas, gdy nie możemy się napić, kupić czegoś do jedzenia czy zajrzeć do komórki? Ludzie tak poważnie traktowali ustalone zasady, że zaczęła zadawać sobie pytanie, czy nie trafiła do sekty. Żadnych selfie, wystukiwanych ukradkiem esemesów... Potrzebowała czasu, żeby nazwać to, co w tym nastroju poprzedzającym imprezę najbardziej ją nurtowało: błogi spokój. A wraz z błogim spokojem pojawia się niewinność: być spokojnym znaczy wierzyć, że wszystko się ułoży. Nieznajomi

uśmiechali się do siebie. Ludzie rozmawiali ze sobą, nic o sobie nie wiedząc, jakby powrócili do czasów dzieciństwa i nagle znaleźli się na koloniach. W tej wspólnotowej aurze było coś staroświeckiego, co przypominało festiwale z lat siedemdziesiątych.

Rozpoznała Patrice'a, którego nie widziała od czasów, gdy sympatyzowała z Maxem. Zawsze był seksowny. Nawet bardzo seksowny. I niewiele się zmienił. Przedstawił jej swoją dziewczynę Pénélope, a Stéphanie otaksowała ją wzrokiem: zbyt ładna, za młoda, za bardzo wyluzowana. Żadnych szans, żeby zbajerować go na jej oczach. Z braku laku wcieliła się w rolę kumpelki. Pénélope nie znała obozowiska. Zaczęły razem szukać ustronnego miejsca dla dziewcząt: toalet kompostujących na skraju pola. Normalne w tych warunkach. Okazało się, że są całkiem przyzwoite – wchodząc do środka, nie dostawało się mdłości. Wszyscy byli tak bardzo odpowiedzialni i zdyscyplinowani, że nikt nie nasikał obok kuwety. Cały ten ład zaczynał ją przerastać.

Pénélope powiedziała, że dla niej również jest to pierwsza impreza, ale że przed miesiącem odwiedziła obóz. „Gdy jest tu siedem czy osiem osób, panuje oczywiście inna atmosfera...” „Ale co wtedy robią? Nic z tego nie rozumiem. Grają w karty? Hodują owce? Czym się właściwie zajmują?”

Pénélope nie potrafiła precyzyjnie odpowiedzieć na to pytanie... „Są trochę jak bezrobotni... Dyskutują, przyrządzają posiłki, naprawiają samochód... Zwłaszcza Patrice się tym zajmuje. Zna ich od dawna. Mówi, że konwergencje są naprawdę magiczne. Przekonał mnie do wyjazdu, gdy powiedział, że przypomina to trochę lewitację. Że trzeba to przeżyć”. Stéphanie przyszło do głowy, że może być z tym tak jak z przereklamowanym filmem: słyszysz, że jest genialny, a kiedy go obejrzysz, jesteś rozczarowana, zwłaszcza że narobiono wokół tyle szumu...

Marie-Ange i Sylvie położyły się na fioletowym pareo z motywem indyjskich słońi pod jaskrawożółtym parasolem. Pénélope przedstawiła im Stéphanie, a ta usiadła obok. Nie znała tu zbyt wielu osób... Nieopodal ludzie skupiali się

w małych grupkach – nie próbowała dociekać, w jakim celu, nie była tego ciekawa. Nie zamierzała dołączać do żadnej grupy wsparcia. Ani przeżywać zbiorowej hipnozy. Olivier gdzieś zniknął, a chętnie powiedziała by mu coś do słuchu. Co to właściwie za miejsce? Sylvie nie chciała w niczym uczestniczyć, podobnie jak ona. Stéphanie spędziła popołudnie, słuchając opowieści o życiu w obozie. Sylvie może o tym mówić przez cztery godziny i nawet nie przyjdzie jej do głowy, by cię zapytać, czym ty się zajmujesz. I właśnie wtedy wszystko się zaczęło, to dziwne oszołomienie ludzką bliskością – tego popołudnia, z trzema siedzącymi na trawie dziewczynami, które przed chwilą poznała. Wyczuwały w tej sytuacji coś z atmosfery dzieciństwa – znowu ten błogi spokój, sposób, w jaki na siebie patrzyły, żartowały.

Gdy zapadł zmierzch, nikt nie zapalił światła. Dziewczyny rozmawiały w półmroku. Nie było na tyle ciemno, by ktoś mógł się potknąć, zderzyć z niewidoczną przeszkodą, lecz trzeba było uważać, by dostrzec zmianę wyrazu twarzy, intonacji, czyjeś poruszenie.

Tłum powoli gromadził się w rozległych wnętrzach dawnej drukarni, gdzie rozgrywało się coś w rodzaju przygotowanej wcześniej ceremonii. Ogromna hala była pogrążona w półmroku. Stéphanie odizolowała się od otoczenia. Ponieważ nie było dokładnie widać, co robią inni ludzie, tkwienie na uboczu nie było tak krępujące jak zwykle – nie musiała się zastanawiać, co inni o tym pomyślą, nie bała się, że Olivier mógłby ją zobaczyć z daleka i pomyśleć: „Biedaczka, nie potrafi się integrować!”, albo że jakaś obca kobieta mogłaby ją oceniać: „To dlatego, że nie jest już taka ładna, nikt się nią nie interesuje i siedzi sama w kącie”. Wystarczyło, siedząc na kocu, oprzeć się lekko o ścianę i od razu znikać. Pomyślała o słowach piosenki Thiéfaine’a: „samotność już nie jest wstydliwą chorobą”, i zapragnęła spędzić ten wieczór, zamykając oczy, zasypiając – żeby odzyskać siły po nieprzespanej nocy, a rano stąd wyjechać. Nie wierzyła w magię tego zgromadzenia, tak jak nie dawała wiary teorii chemicznych smug, wspomnianych przez krytyka rockowego, którego rozpoznała w oddali: obracał się powoli wokół

własnej osi jak stary derwisz w transie. Z wielkich kolumn poustawianych bezładnie pod ścianami wydobywały się intrygujące, miękkie dźwięki techno, fale, które od czasu do czasu łaskotały jej lędźwie, gardło albo splot słoneczny... Mikrofon przechodził z rąk do rąk, ludzie przygotowali krótkie wiersze lub lapidarne manifesty polityczne. Nie zwracała uwagi na słowa. Nie miała za złe Olivierowi, że przywiózł ją tutaj, bo ta wyprawa dobrze jej zrobiła, czuła się, jakby opuściła dom przed wieloma dniami. Ale nie rozumiała, dlaczego jechał przez całą noc, żeby słuchać młodzieńczej poezji przy dźwiękach syreny okrętowej czy odgłosach trzęsienia ziemi. Pewnie się zdrzemnęła. Rozpoznała pierwsze takty piosenki *Roadhouse Blues*. A potem nie słyszała już nic, aż do całkowitego przebudzenia. W budynku rozbrzmiewał głos Grace Jones. Środek sali się zaludnił – gromadziły się tam i przemieszczały ciemne sylwetki, niektóre powoli, inne jeszcze trwając w objęciach lub zataczając kręgi jedna wokół drugiej. I wtedy zobaczyła – nie tak wyraźnie jak podczas wzrokowych halucynacji wywołanych przez LSD czy grzyby, lecz jednak zobaczyła, nie mogąc stwierdzić, że spała, bo ta iluzja trwała wystarczająco długo, by mogła to sobie w pełni uświadomić – rozmyte fale światła wokół ludzkich ciał i rozpięte sznury energii falujące między jedną osobą a drugą. Uważa się za osobę racjonalną. Nie spodziewała się, że mogłaby ujrzeć, bez żadnych narkotyków, barwne taśmy wiążące ludzi ze sobą.

Nie lubi wróżenia z kart, nie wierzy w zaświaty, nie sądzi, by można było rzucić na kogoś urok. Ale widziała, jak w ciemnościach rysowały się rzeczy, które nie istnieją. A najbardziej niepokojące było to, że nawet nie pomyślała, nie podjęła decyzji, żeby się podnieść z koca – po prostu nagle stała wyprostowana, wznosząc ku niebu otwarte dłonie, z idiotycznym uśmiechem przyklejonym do warg. Tańczyła. I nie dotykała nikogo, nie ocierała się o inne ciała, a jednak знаła to uczucie – szczytowała. Nie miało to żadnego związku z miłością fizyczną, a jednak był to najbardziej niewiarygodny seks, jakiego doświadczyła.

Wstał dzień, a ona nadal tańczyła. Bardzo łagodnie wychodziła z transu, podobnie jak inni. Odnalazła Oliviera, uśmiechnęła się do niego, a dwieście

kilometrów dalej, gdy mknęli w stronę Paryża, bo wcześniej zaczynała pracę, uświadomiła sobie, że ten uśmiech wciąż gości na jej ustach. Ten osobliwy stan spokojnej euforii nie opuszczał jej przez wiele dni. A kiedy Pénélope zaproponowała jej spotkanie z innymi dziewczynami na drinka w mieszkaniu Sylvie, od razu się zgodziła.

Pralka dzwoni, sygnalizując zakończenie programu. Stéphanie odkłada gazetę i odruchowo wstaje, by służyć domowi. Spełnić jego czasochłonną zachciankę, by ktoś się nim zajmował. Napełnia miskę mokrą bielizną i niesie ją, by rozwiesić pranie w pokoju, przy oknie. Niepokoi się również dlatego, że po raz pierwszy od czasu separacji z Maxem planuje wyjazd z ojcem swojego syna.

Po powrocie z konwergencji znajdowała się jeszcze w odmiennym stanie świadomości, gdy Max odprowadził Lucasa do domu. Jej eks, jak zawsze domyślny, zagadnął: „Widziałas się z kimś w ten weekend...”. Opowiedziała o dziwnym wypadku z Olivierem. Max słuchał jej, robiąc komiczne grymasy, powiedział: „Co to za historie w stylu New Age? Nie sądzisz, moja droga, że najwyższy czas zastanowić się nad swoim życiem?”. Rzadko przepuszczał okazję, by dać jej do zrozumienia, że ma kiepską pracę, że powinna zacząć życie od nowa, urodzić kolejne dziecko, bo w przypadku kobiety czas jest nieubłagany, wziąć się w garść i tak dalej. Max ma wyjątkowy dar do demolowania twojej wiary w siebie, by zaraz potem zacząć cię pocieszać – jedno i drugie robi doskonale.

Dwa tygodnie później wrócił, by zabrać Lucasa, i powiedziała mu o weekendzie w Barcelonie. „Zgadnij, z kim tam lecę? Pamiętasz Xaviera? Wybieramy się razem, to znaczy z jego dziewczyną. I z dziewczyną Patrice’a. Pamiętasz Patrice’a? Ale on z nami nie jedzie, jest zapracowany”. I wbrew wszelkim oczekiwaniom Max oświadczył: „Bardzo bym chciał pojechać razem z wami. To bardzo dobrze zrobiłoby Lucasowi, gdyby od czasu do czasu mógł nas zobaczyć razem. Już od tak dawna nie jesteśmy ze sobą, nie sądzę, by miał jakiegokolwiek złudzenia... Ale przynajmniej mógłby się przekonać, że jego rodzice są jednak sobie bliscy i czasem mają ochotę wspólnie spędzić czas. Nie uważasz,

że to byłoby dla niego korzystne? Gdyby zobaczył, że dorośli ludzie mogą utrzymywać relacje nie tylko w ramach klasycznej rodziny”.

Nie chciała, by Max dołączył do ich grupy. To był absurdalny pomysł. Niepokojący. Ale Max nie należy do osób, które przejmują się czyjąś odmową. Za każdym razem gdy czyta w internecie artykuł na temat perwersji narcystycznej, myśli o ojcu swojego syna. Taka osoba zawsze w końcu dostaje to, czego chce.

Perwersja narcystyczna... To pojęcie dokładnie określa jego sposób działania, a jednak nic o nim nie mówi. Max był czarujący. Dowcipny, na poziomie, oryginalny, inteligentny i bardzo wnikliwy. Mógł podjąć dowolny temat i dzięki swoim rozległym lekturom ukazywał zagadnienie w zdumiewającym świetle, zawsze trafiając w sedno. Spoglądał na świat z góry lub z ukosa – i wyciągał wnioski, jakich nikt by się nie spodziewał. Stéphanie wiele mu zawdzięcza. Wyrobiła się dzięki niemu. Max był wymagający i wyrozumiały zarazem. Gdy się poznali, bardzo w nią wierzył, wspierał ją, popychał ją do przodu, ośmielał. Potem się zniechęcił. Zawiodła go, ale nadal był dla niej serdeczny. Chociaż zdystansowany. Jakby był z kimś, kto go niezmiernie nudzi, z osobą, której zachowanie przestało go bawić. Nie stanęła na wysokości zadania. To ją wewnątrz rozbiło.

Wcale nie chodzi o to, że miłość jest ślepa. Widzimy, co się dzieje. Wiemy, że jesteśmy wykorzystywani. Nasza analiza jest trafna. A jednak zostajemy. Właśnie to trudno pojąć. Stéphanie nie mogła sobie powiedzieć: któregoś ranka przejrzałam na oczy, zrozumiałam, że się z nim męczę, więc postanowiłam odejść. Wszystko od dawna było jasne. Miała tysiąc dowodów na to, że ten facet ma toksyczną osobowość. Ale miłość nie ma wiele wspólnego z bilansem zysków i strat – nie mówimy sobie, muszę z tym skończyć, bo mi to nie służy. Być żoną Maxa znaczyło więcej od bycia szczęśliwą. Ponieważ był naprawdę cudowny. Nie zostajesz z „narcystycznym socjopatą” dlatego, że stale masz do czynienia z emocjonalną huśtawką i jesteś pogubiona. Zostajesz z nim, bo cenisz go bardziej od wszystkich mężczyzn, których poznałaś wcześniej, i wszystkich mężczyzn, których poznasz później. Zostajesz, ponieważ wiesz, że masz szczęście, mogąc

obcować z jego inteligencją, jego siłą. Zostajesz, ponieważ wiesz, że gdy poznałaś takiego mężczyznę, zawsze później będziesz się trochę nudziła. Dużo z nim wycierpiała. Zdradził ją, upokorzył, oszukał, wbił jej do głowy, że jest do niczego... A jednak było warto.

Lucas wcale nie skakał pod sufit na myśl o tym, że ojciec poleci z nimi do Barcelony, uznał nawet, że to trochę nieprzyzwoite jechać tam w towarzystwie obojga rodziców. Toteż Max wiele mu naobiecował – rollercoaster w parku PortAventura, mecz, jeśli uda się kupić bilety... Obietnice, których nie dotrzyma. To w jego stylu. Kiedy mówi: „Spędzimy wspaniały weekend!”, jest szczery. Jest przekonujący. Potem się wycofuje, a ponieważ czuje się winny, gdyż zawiódł czyjeś oczekiwania, robi się agresywny. Wynajduje powody, które mogłyby go usprawiedliwić. Ale Lucas jest jeszcze zbyt mały, by nie ufać własnemu ojcu. Czuje się jak dziecko we mgle.

Słucha radia, rozwieszając bieliznę. Mówią o kutrze, który w nocy z 18 na 19 kwietnia zatonął u wybrzeży Libii. Osiemset ofiar. Dwudziestu ośmiu ocalałych rozbitków. Mówią o Syrii, Erytrei, Somalii, Libii. Kartografia terroru. W ośrodku, w którym pracuje, pojawiają się czasem uchodźcy. Przyłapani z crackiem. Głosy ekspertów, omawiających tę morską katastrofę, ani drgną. To już przyzwyczajenie. Niedawno miała w gabinecie chłopaka, zaledwie dwudziestoletniego. Nauczył się francuskiego w ośrodku detencyjnym zaraz po przybyciu. Opowiedział jej o gehennie swoich rodziców. O sumie, jaką musieli zapłacić przemytnikom. Była roztrzęsiona. Dziwiło ją, że tak szybko nauczył się mówić po francusku. Interesują go legalne papiery. Nie odwyk. Nic nie może dla niego zrobić. Tak, to już przyzwyczajenie. Choć pamiętamy czasy, gdy byliśmy przekonani, że ludzkie życie ma jednak jakąś wartość.

Tej wiosny Stéphanie wsypała pokaźną dawkę nawozu do doniczki stojącej na malutkim balkonie. Roślina zmieniła się w krzew obsypany różowym kwieciem. Płatki są znacznie bledsze niż w ubiegłym roku.

* Chodzi o głośny atak terrorystyczny na redakcję tygodnika „Charlie Hebdo” dokonany 7 stycznia 2015 roku przez braci Chérifa i Saïda Kouachich. Dwa dni później Amedy Coulibaly zabił cztery osoby w koszernym markecie w południowo-wschodniej części miasta.

** „Zabójca na skuterze”, który w marcu 2012 roku zaatakował między innymi szkołę żydowską w Tuluzie. Zastrzelony podczas próby aresztowania.

*** Matka Imada Ibn Ziatena, podoficera armii francuskiej zamordowanego przez Mohammeda Merahę. Po śmierci syna utworzyła stowarzyszenie, którego celem jest niesienie pomocy młodzieży z trudnych dzielnic, krzewienie ideałów laickich i wspieranie dialogu między religiami.

Czy ktoś mógłby mu wyjaśnić, dlaczego producenci ubrań przyszywają metki, które cię drapią w okolicach pasa? Jakby przeprowadzali specjalne badania, żeby wybrać tkaninę, która najbardziej da ci się we znaki. I nawet jeżeli skupiając się na maksa, wytniesz tę cholerną metkę nożyczkami, tuż przy materiale – nadal będzie drapała. Xavier chciałby spotkać łajdaka, który to wymyślił, i połamać mu obie nogi, by zobaczyć, czy nadal go to bawi, że zatruwa życie ludziom kupującym ciuchy.

Musiał koniecznie kupić jakiś T-shirt, bo spakował do plecaka nieodpowiednie rzeczy. Nie wyobrażał sobie, jak gorąco może być wiosną w Barcelonie. Wziął cienki sweter i dżinsową bluzę, nie spodziewając się takiego upału. I teraz, o dziesiątej rano, snuje się po deptaku w centrum miasta. Nie czuje się wyobcowany: szyldy wyglądają tak samo jak na jego ulicy. Wszędzie ten sam chłam, gdziekolwiek byś pojechał. Tyle że tu trzeba by przeprowadzać kursy dla uczestników ruchu pieszego, bo nie da się iść, nie zderzając się co chwila z jakimś stukniętym turystą. Przemieszczają się stadnie, trzeba czekać dziesięć minut, żeby przejść przez ulicę. Głównie Niemcy, Chińczycy, Rosjanie... Same paskudne gęby. Kto wie, czy rządy nie przeprowadzają selekcji wśród swoich obywateli, by potem całymi tysiącami zrzucić ich nad Barceloną. Najgorsi są Francuzi, i wcale go to nie dziwi. Są bardziej hałaśliwi, bardziej aroganccy i bardziej agresywni od innych turystów. Wolaliby nie wracać. Jest mu przykro, że jest częścią tej hordy pasożytów.

Xavier czeka na chodniku z suką, a Marie-Ange i ich córka robią zakupy w małym markecie prowadzonym przez Pakistańczyka. Przygląda się ludziom wewnątrz, którzy stoją do niego profilem przed wysokim regałem z masłem i śmietaną. Są pogrążeni w lekturze. Gdyby ich postawić przed kolekcją dzieł zebranych Tołstoja, nie mogliby ustać w miejscu, ale zakup litra mleka wymaga od nich wyraźnie pełnej koncentracji. Inna sprawa, że pewnie przyjemnie jest postać

przy chłodziarce. Co za idiotyzm przyjeżdżać do tego miasta na wiosnę. Panuje niemiłosierny skwar. Xavier nie cierpi słońca. Ma za swoje.

Marie-Ange wbiła sobie do głowy, że zjedzą obiad w mieszkaniu wynajętym przez Pénélope i Sylvie. Wszyscy siedzieli na tarasie, pod wielkim parasolem, na uroczym, spokojnym placu. Xavier dostrzegł już w karcie potrawy z grilla i właśnie zamierzał coś sobie zamówić, gdy panie doszły do wniosku, że wolą zdrową żywność. Boją się przytyć. To prawda, że tu używa się dużo oleju. Ale wystarczyłoby rano pobiegać przez pół godziny i nie przybyłby im nawet gram. Zamiast tego musiały perorować przez czterdzieści pięć minut, żeby ustalić, co która z nich ma kupić, by przyrządzić wspólny posiłek – i teraz Xavier stoi przed witryną sklepu i czeka, aż to się skończy.

Potrzebuje trzech godzin, żeby kupić brokuł i tuzin jajek. Zna swoją żonę. Czyta etykietkę na każdym produkcie. Jest w stanie nauczyć się obcego języka tylko po to, żeby wkurzyć sprzedawcę. Tymczasem on rozpływa się z gorąca, a suka stoi z wywieszonym ozorem. Xavier co chwila dotyka dłonią asfaltu, by się upewnić, że nie poparzy sobie poduszczyk. W mieście jest dużo psów. Zadaje sobie pytanie, jak to wytrzymują. Jego suka wciąż rozgląda się za cieniem, jak potępiona dusza.

Nie cierpi upału, gdyż upał powoduje, że ludzie się rozleniwiają. Ale skwar jest też przyczyną poważnych problemów ze stylem: śmieszne kapelusiki, koszarne okulary, za krótkie szorty, byle jakie obuwie. Ten groteskowy taniec, mieszanina najbardziej tandetnych rzeczy wytworzonych przez ludzi. Wokół niego tłumy przygłupów, grupy zalanych w trupa małolatów, kaszaloty w pareo, dzieci przybierające kabotyńskie pozy przed obiektywem i ich stuknięci rodzice, mastodonty opychające się kolorowymi lodami... I największy z absurdów, najbardziej rozpowszechniony: turystyka na rolkach. Wypożyczają rowery, hulajnogi, deski, cokolwiek, byleby się toczyło, żeby się popisywać z zadufanym uśmiechem na twarzy, omal nie przewracając wszystkiego na swojej drodze...

Ostatnio jego żona zaczęła się skarżyć, że Xavier wścieka się na wszystko, co go otacza. O co właściwie jej chodzi? Nie widzi całego tego syfu? Może ma

klaskać w rączki? Przecież nie będzie siedział cicho i patrzył na ludzi, myśląc: są nawet czyści, spoko, albo: nikogo nie mordują, to miłe z ich strony. Życzliwe spojrzenie na świat oznacza zero zabawy.

Nienawidzi luksusowych jachtów, stojących rzędem po drugiej stronie bulwaru, w porcie. Rzyga nimi, nie cierpi ich tak bardzo, że rozkoszuje się swoją furią. Kiedy był mały, ludzie przechadzali się wzdłuż nabrzeża portów jachtowych i przystawali, żeby popatrzeć na łajby bogatych. Były obietnicą podróży w dalekie strony, symbolem prawdziwego zbytku. Dziś biedni ludzie już się nie zatrzymują. Luksus dołuje ich na każdym kroku – jakby zainkasowali potężnego haka w żołądek. Niby o czym mieliby marzyć? Kiczowata flotylla, wszystkie wyglądają jak wielkie domy z plastiku. Jediną zaletą tych gównianych kryp jest to, że wszyscy wiedzą, ile kosztują. Zdaniem Xaviera każdy, kto wydaje pieniądze na zakup czegoś takiego, powinien przejść badania psychiatryczne. Chłuba jednego procenta ludzkości. Wszystkie te jachty, ustawione rzędem, są do siebie podobne. Różnią się tylko wielkością. To dzięki gabarytom można powiedzieć sąsiadowi: „Popatrz, mam więcej szmalu niż ty”. Na wszystkich łajbach widnieje taka sama bandera. Bandera tych, którzy nie płacą podatków, którzy otwierają konta offshore, którzy kombinują, którzy nie podlegają powszechnemu prawu. Bandera jednego procenta ludzi i ich dworu. Właściciele urodzili się w najrozmaitszych krajach, są to Chińczycy, Arabowie albo Rosjanie, ale wszyscy żeglują pod taką samą banderą. Język banku jest metajęzykiem. Zyskał pozycję światowej nowomowy. W porównaniu z nim boskie prawo to była partanina, marne rzemiosło, byle kto mógł się prześliznąć przez oka sieci. Język banku to coś zupełnie innego. Nikt nie może się od niego uwolnić.

Gdzie są ci pieprzeni terroryści, gdy ich potrzebujemy? Nie mogliby tu przyjechać, żeby rozwalić to wszystko w drobny mak? Jedną łajbę po drugiej, byłby pokaz fajerwerków. Gdybyśmy mieli jeszcze za mało dowodów na to, że to skończeni idioci, że ci, pożałuj Boże, bojownicy apokalipsy są bezużyteczni, ten byłby najlepszy: potrafią siać terror, ale nie są w stanie zaatakować tego, co jest prawdziwą zakałą świata. Gdyby się tu zjawili, żeby to wszystko rozpirzyć, Xavier

nie byłby z pewnością jedyną osobą, która by pomyślała: cóż, należy ich zrozumieć... Nawet tacy faceci jak on musieliby przyznać, że jest w tym jakaś idea, jakiś pomysł, plan.

Przed rzędem jachtów czterech czarnych przysiadło na murku z wielkimi reklamówkami z Lidl'a między nogami. Czekają, aż policja się oddali, żeby rozłożyć na ziemi prześcieradła i sprzedawać tandetny towar. Fałszywe najki, podrabiane torebki Chanel. Biedacy robią dobrą minę do złej gry. Nikt mu nie wmówi, że nie byłoby im lepiej tam, skąd przyjechali. Ile może zarobić sprzedawca lewych adidasów? Ile wysyła rodzinie pod koniec miesiąca? Któż to może wiedzieć... Dzień wcześniej na plaży jakaś Chinka, wycieńczona nieustannym pełzaniem po piasku, wymasowała stopy Marie-Ange. Xavier zadawał sobie to samo pytanie – ile wysyła do swojego kraju pod koniec miesiąca?

Lewacy nie rozumieją jednego: to, że Xavier ośmiela się myśleć, że tym cudzoziemcom byłoby lepiej u siebie, nie znaczy, że nie potrafi sobie wyobrazić ich nędzy, nieludzkich warunków, w jakich żyją, że go to nie obchodzi. Eksportowanie biedy do krajów, które same nie dają już sobie rady, to absurd. To nie jest przyjemna myśl, lecz sama się narzuca.

Lewacy to prawdziwa plaga podczas konwergencji. Każdy paraduje z miną kierownika rejonu, który nigdy nie jest zadowolony z pracy kasjerek. Obruszają się, gdy ktoś taki jak on ośmiela się powiedzieć, że chrześcijaństwo i muzułmanie nie powinni koegzystować. Czy oni się integrują? Przecież widać to jak na dłoni: jedni nienawidzą drugich. Nie chcemy żyć razem. To nieprawda, że wymieszane kultury żyją w pełnej harmonii pośród szczebiotu radosnych kolorowych dzieci. Gołym okiem widać, że wcale tak nie jest. Lecz nie chcą o tym słyszeć. Zatrzymali się na reklamie Benettona z lat osiemdziesiątych i nie są w stanie się od tego uwolnić. Jednak kiedy się ich posłucha – a jak tego uniknąć, skoro bez przerwy kłapią dziobem – szybko dochodzi się do wniosku, że jest to tylko kwestia przyklejania odmiennych etykietek. Oni sami mają zwykle tylko jedno w głowie: ustalić parametry definiujące ich wrogów. Tych, z którymi nie mają chęci rozmawiać,

tych, którym odmawiają szacunku, tych, którzy są niebezpieczni, winni. Tych, których nie zamierzają słuchać. Oni też pragną wojny. Tyle że nie chcą strzelać do tych samych ludzi. Różnica jest zasadnicza, lecz producenci broni nie mają powodów do zmartwień. Właściciele jachtów nie muszą się niczym przejmować. Wszyscy chcą kupować ich broń. Lewacy nie przyjmują do wiadomości, że muzułmanie i chrześcijanie nie mogą zbyt długo żyć jedni obok drugich, nie lejąc się po pyskach. Szukają innych wrogów. Tyle że w gruncie rzeczy wszyscy są z sobą zgodni: trzeba wykluczyć nieczystych, podejrzanych, odebrać im prawo głosu. Stworzyć kategorię potencjalnych ofiar. Granice się zmieniają, ale funkcja straży granicznej pozostaje niezmienna. Zawiera się ona w słowach „Wynocha, nie chcę cię tutaj widzieć!”. Jedynym ważnym kryterium jest to, kogo umieszczamy w obozach. Kogo wolno nam torturować, uśmiercać. Kto zasługuje na wykluczenie. Jedni mają dość swoich szefów, inni Kameruńczyków, ci nie mogą już znieść macho, a tamci Cyganów, są tacy, którzy tropią we własnym gronie antysemitów, inni wszędzie widzą kryptogejów... Ale każdy chce być bardziej święty od papieża. Każdy chce być nieskazitelny. Jediną rzeczą, która nas interesuje, jest legitymizacja przemocy. Musimy zawsze walczyć o słuszną sprawę. Bo przecież chcemy unurzać ręce we krwi, ale zachowując czyste sumienie. To jedyna różnica między psychopatą a politycznym działaczem – psychopata olewa to, czy stoi po właściwej stronie. Zabija bez wstępnych ceregieli, to znaczy nie tracąc czasu na sprowadzanie swej ofiary do roli potwora. Natomiast politycy robią to z zachowaniem reguł: najpierw propaganda, dopiero potem jatka.

Lecz w gruncie rzeczy każdy chce żyć w zamkniętym kręgu. Zadawać się tylko z ludźmi podobnymi do siebie. Nie z obcymi. A najlepszym cementem konsolidującym grupę jest zawsze wspólny wróg. Xavier nie jest idiotą. Najbogatsi ludzie we Francji głoszą hasła, które są mu bliskie nie dlatego, że nagle stali się szczerymi patriotami. Raczej mają interes w tym, by zwykli ludzie zaczęli się uważać za rodowitych Francuzów, którzy padli ofiarą fanatycznych imamów, nie za biednych roboli wywłaszczonych przez jeden procent. Nie wierzy w islamizację Francji. Czy to nie jest przypadkiem pedalska teoria spiskowa? Mężczyźni, którzy

żyją z kobietami hetero, wiedzą, że białe uświadomiły sobie potrzebę prokreacji. Wystarczy spojrzeć na Marie-Ange – chce mieć drugie dziecko. Nie chodzi o ich emocjonalne potrzeby, wystarczy im jedno. Ona po prostu wie. Będzie wojna i jeśli nie wydamy na świat małych żołnierzyków, przegramy ją z kretesem. Toteż kobiety rodzą jak królice...

Problemem nie jest dzietność. Problemem jest francuski Kościół. Gdyby religia chrześcijańska bardziej się szanowała, ciapaci już dawno by się nawrócili i przestrzegaliby postu, a nie ramadanu. Rzeczywisty problem to zanik prawdziwej żarliwości wśród dzisiejszych chrześcijan, nie pełne meczety. Xavier nie jest głupi. Potrafi wyciągać wnioski. Kościół powinien był wznosić katedry na przedmieściach francuskich miast już pół wieku temu. I wysyłać tam najlepszych księży. Gdyby zrozumieli, na czym polega ich rola, mogliby sobie po kątach ścisnąć ministrantów, to nie byłby wielki problem. Pomagać ubogim. Opanować teren. A zamiast tego... Ci durni chrześcijanie skupili się w najbogatszych dzielnicach i odprawiają tam msze po łacinie. Jak wytłumaczyć fakt, że w departamencie Seine-Saint-Denis nie ma żadnych katolickich skautów? W bazylice Saint-Denis* widzi się tylko turystów. Nawet Afrykanie zmieniają religię. Oto, do czego doszło.

Kiedy Sélim mu mówi, co czuje, gdy jego córka o szóstej rano oddaje się ablucjom, po czym zakrywa głowę do modlitwy (dziewczyna, która przed trzema miesiącami słuchała Avril Lavigne i Miley Cyrus), serce mu się kraje. Kiedyś mogłoby się to przydarzyć także jego córce. Coraz częściej słyszy tego rodzaju historie. Bezproblemowa dziewczyna wraca któregoś dnia ze szkoły zakochana w niejakim Karimie i bum... Koniec z żelkami Haribo – ponoć zawierają świński tłuszcz, koniec z McDonaldem – olej, na którym smażą frytki, jest zanieczyszczony, koniec z sosem winegret – ocet zawiera alkohol, koniec z błyszczkiem do ust – bo porządna dziewczyna się nie maluje. Córka Sélima pytała nawet imama, czy może nadal jeść sushi. Bo w ryżu jest ocet. Miała szczęście: imam powiedział, że tak, japońska kuchnia nie jest problemem dla islamu. Gdyby coś podobnego przytrafiło się jego małej... Co można na to

poradzić? Xavier często rozmawia o tym z Sélimem, twierdząc, że zamknąłby córkę w domu, ale to wcale nie jest takie proste. Kiedy rozmawiają, wspomina swojego brata. Mówi Sélimowi: „Spójrz, byłoby jeszcze gorzej, gdyby uzależniła się od heroiny. Pięć modlitw dziennie albo pięć heroinowych strzałów – mimo wszystko religia wyrządza mniej szkód. Dilerzy się nie zmienili. To pewne, że dzieci tych, którzy w latach osiemdziesiątych sprzedawali herę, noszą dzisiaj brody”.

Toteż kiedy Xavier jest z córką, zwraca większą uwagę na kwestie religijne. Jeśli jest podczas weekendu w Paryżu, nie przepuszcza niedzielnej mszy. Zapisał ją na religię. Nie można wymagać od dzieci, by wierzyły wyłącznie w duchowość samsunga.

W obozie rozmawia z ludźmi, którzy mają odmienne poglądy niż on. To sprawia, że się zmienia. Ale czułby się źle, gdyby nie pogardzał pętakami, których tam spotyka. Ci goście go nie lubią. On też ich nie lubi. W czym problem? Nienawiść jest ożywcza. Wystarczy wejść na Twittera, by zrozumieć, że wszyscy jej potrzebują. Wzajemne kpiny, wyzwiska poprawiają samopoczucie. Wyrównują czakry, jak powiedzieliby obozowi hipisi... Bo tę wesołą ferajnę tworzą nie tylko lewacy, ale też najrozmaitsi druidzi. To niesamowite, ilu oszołomów ściąga do obozu. Jest w czym wybierać. Otyli idealiści, czerwone lesby, zgorzkniali anarchiści, punki, które wykładają na jakimś uniwersytecie, polityczne kurwy, transy o cechach macho, wszyscy głęboko przekonani, że istnieje inny poziom rzeczywistości i drzwi, które do niego prowadzą.

Nie podziela poglądu, że trzeba postawić tamę rasizmowi. Że u jego podłoża leży strach przed innymi ludźmi, których nie rozumiemy... Co za palant wymyślił to hasło? Z pewnością jakiś mydłek z ENA**... W każdym razie ktoś, kto nie ma bladego pojęcia, o czym mówi. Nienawiść rodzi się w bezpośrednim kontakcie. Czujemy głęboką odrazę tylko do tych, z którymi mamy do czynienia na co dzień. Czy kiedykolwiek we Francji słyszeliśmy o rasistowskich ruchach wymierzonych

w obywateli Peru? Nigdy. Jest ich za mało. Mamy gdzieś Peruwiańczyków, nie znamy ich. Czy paryżanin gotuje się w środku na widok Latynosa? Natomiast muzułmanie to coś zupełnie innego... Problem polega na tym, że wszyscy mają ich dość. Biali chcą mieć prawo pogardzać Arabami. Zawsze tak było. Trudno przyjąć do wiadomości fakt, że dziś jest odwrotnie. Że mogą zjawić się w dowolnym miejscu i nas terroryzować. To nie jest przyjemna myśl, kiedy jesteś biały. Po pierwsze dlatego, że nie jesteś do tego przyzwyczajony. Po drugie: jak w tych warunkach poczuć swoją wyższość? Jakim cudem mielibyśmy uniknąć kryzysu, skoro pozwalamy się poniewierać ludziom, których przez całe wieki trzymaliśmy w szachu?

Ludzie przyjeżdżający do obozu nie chcą tego wszystkiego zrozumieć. Gdy tylko Xavier stwierdzi: „jestem rasistą”, wszyscy patrzą na niego, jakby był opóźniony w rozwoju. Nie jest idiotą: to oczywiste, że Sélim jest lepiej wykształcony i bardziej rozgarnięty niż większość wyborców Marine Le Pen. Ale to wyjątek, który potwierdza regułę. W gruncie rzeczy wyższość białego człowieka bierze się z podporządkowania sobie ciapatych. Moja wartość dodana wynika z twojego niedostatku. Mogę czerpać radość z tego, że jestem biały, tylko wtedy, gdy tysiącami toniecie na pełnym morzu i nikt się tym nie przejmuje. To nie jest sprawa osobista. Każdy rasista ma jakiegoś afrykańskiego przyjaciela. Nie upadli na głowę. Dobrze wiedzą, że są wyjątki.

Mówią mu: „Rasizm to idiotyzm, do niczego sensownego cię to nie doprowadzi, to jakiś koszmar”. Może, ale na razie to go bawi. Kiedy czeka przed sklepem na swoją żonę, dostrzega sto metrów dalej grupy nastolatków, którzy nie pochodzą z południa Hiszpanii, lecz są Arabami z Francji i przyjechali tu na weekend. Niech pięknoduchy się nie oburzają: widać ich z daleka. Zawsze i wszędzie muszą robić bajzel. I dobrze się czuje z tym, że ich serdecznie nie cierpi. Przynajmniej się nie nudzi. Owszem, jest już za stary, by się podniecać myślą, że może dojść do wojny. Odwaga i męstwo to jedno, ale nie o takiej przyszłości marzył dla swojej córki. Myślał raczej, że pojedzie na studia za granicę, a potem

zamieszka gdzieś w pobliżu, gdy zdecyduje się założyć rodzinę. Nie będzie tak, jak sobie wyobrażał. Przynajmniej co do tego wszyscy się zgadzają.

Czasem zadaje sobie pytanie, czy naprawdę nie wierzy w żadną lepszą przyszłość. Gdy Marie-Ange go pyta: „Właściwie co cię tak bardzo ciekawi w tych imprezach?”, odpowiada ze śmiechem, że skoro niektórzy grają w golfa, on może chyba w niektóre weekendy potańczyć w gronie przyjaciół. Zawsze musi odgrywać rolę zblazowanego gościa. Nie chce, by ktoś go przyłapał na tym, że buja w obłokach. Toteż bagatelizuje sprawę. W obozie spotyka kumpli. Obozowe życie go odpręża, dotlenia się z dala od miasta... Lecz pewna skryta myśl wydrążyła już sobie tunel. Doświadczają tam czegoś naprawdę wyjątkowego. Te konwergencje są przesycone magią, która przenika każdego. Przyjeżdżają tam bardzo szczególnie ludzie, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego, lecz instynktownie starają się znaleźć wspólny język. I choć Xavier nie mówi o tym nikomu, gdzieś w głębi duszy czuje, że może któregoś dnia powie swojej córce: „Jednak odnaleźliśmy inne możliwości. Szczeliny. Przez które można przejść. Przygotowaliśmy ci miejsce, gdzie będziesz mogła żyć całkiem inaczej”.

Przygląda się włóczędze, który leży na ławce i chrapie pośród tłumu turystów. Typ jest mniej więcej w jego wieku. Xavier myśli o Laurencie. Kloszardzie z parku des Buttes-Chaumont. Był jednym ze stałych mieszkańców obozu, na samym początku, kiedy niektórzy z nich postanowili zostawić wszystko, zrezygnować z dotychczasowego życia. Laurent nie miał mieszkania, podjęcie decyzji było w jego przypadku łatwiejsze. Dobrze się zintegrował, tak samo jak Olga, kolejna kloszardka. Laurent często jeździł do Notre-Dame-des-Landes, wciągnął się w politykę. Przykro było na niego patrzeć. Ludzie się skarżą, że Xavier jest trudny, ale Laurent to dopiero nieokrzesany gbur... Rasista, tak jak on, i żłób jakich mało. Zachowywał się jak ostatni menel, łągał jak z nut, byle mieć święty spokój. A jednak był w obozie i tyrał jak wół, dobrze traktował psy i lubił gotować. Do wszystkiego dodawał za dużo cebuli, ale był częścią krajobrazu. To on przywiózł wyrażenie „prowizoryczna kwatera”. Xavier patrzył niechętnym okiem na jego wyjazdy w okolice Nantes, bo w tamtej strefie squatują punki chodzące z psami na

sznurku, a Laurent łatwo ulega wpływom... Zawsze gdy stamtąd wracał, trzeba było rozmawiać z nim przez trzy godziny, zanim się otrząsnął. A któregoś dnia zniknął. To Emilie przypadkiem go odnalazła. Pod filarami napowietrznej linii metra przy placu de Stalingrad. Leżał na kracie wentylatorni. W oparach alkoholu. Gdy chciała z nim porozmawiać, zwyzywał ją. Nie chciał do nich wrócić. Mówił, że ich nie cierpi. Nikt nigdy się nie dowiedział, co mu się przydarzyło podczas ostatniej podróży. Lecz próba uwolnienia się od dawnego życia wyraźnie go przerosła. Potem coś podobnego przydarzyło się Oldze. Została z nimi. Ale jakby na znak solidarności z Laurentem na tym poprzestała. Xavier dobrze się z nią rozumie. Z powodu psów. W niczym się nie zgadzają, ale to bez znaczenia, bo kiedy trzeba nakarmić sforę, nie liczą się poglądy polityczne. Właśnie w takich momentach uświadamiamy sobie, że to, co myślimy, nie jest najważniejsze. Liczy się to, czy dwie osoby mogą coś zrobić razem, nie skacząc sobie do oczu. A akurat z Olgą potrafią się dogadać. Od dnia, kiedy Laurent zaczął wydzierać się na całą ulicę, że nie chce mieć nic wspólnego z pajacami z obozu, Olga się zmieniła. Xavier ją rozumie. Właśnie to łączy Laurenta i Olgę: czują pewne opory przed wchodzeniem w bliższe relacje z wszystkimi członkami grupy.

I słusznie mają się na baczności... Xavier stara się o tym nie myśleć, jednak po ostatniej wizycie w obozie ma głębokie poczucie zażenowania. Coś jest nie tak. Po wizycie u dentysty Vernon wrócił z Paryża z tą koszmarną wdową. Wieść szybko się rozeszła – Charles umarł – i każdy musiał się jakoś pogodzić z jego odejściem. Vernon powiedział: „Musimy pomówić”. Wszyscy siedli przy stole. To nie było normalne. Gdy wszystko jest w porządku, nie gromadzimy się, by „coś przedyskutować”. Dzieje się tak, gdy zamierzamy się rozstać. I wówczas padły słowa o spadku. To znaczy o potencjalnym spadku – obiecany. Bo na razie nikt nie położył pieniędzy na stole.

Spadkobiercą powinien zostać Vernon. To logiczne, w końcu to on jest szefem. Nawet jeśli brakuje mu charyzmy. A może właśnie dlatego, że brak mu charyzmy, bo w gruncie rzeczy ta banda nieudaczników nie zniosłaby dominacji prawdziwego

lidera. Trzeba im właśnie takiego dziwołaga, bo dzięki temu mogą bez skrępowania oddawać się swym obsesjom. I jakoś to funkcjonuje, mimo wszystko udaje im się z sobą współżyć.

Natychmiast posypały się kretyńskie pomysły. Olga proponowała, żeby kupić kampery, dzięki temu naprawdę przypominaliby cygański tabor. Sylvie mówiła o wyremontowaniu starej farmy z uprawną ziemią dokoła. Xavier pomyślał, faktycznie pomysł godny arystokratki, zawsze marzyła im się jazda na traktorze. Patrice już zaczął fantazjować o roku słodkiego nieróbstwa, mówił, że gdyby dobrze się zorganizowali, mogliby ruszyć w podróż dookoła świata, wszyscy, wziąć rok wolnego i urządzić konwergencje w kordylierach Andów... Myśl, że przez cały rok nie będzie się widział ze swoimi dziećmi, nie wydawała się go niepokoić. Vernon stwierdził, że Charles chciałby pewnie wyprodukować film o żywych trupach, tak często o tym rozmawiał z zakręconymi dziewczynami, za którymi przepadał. Zerkał na Xaviera, pewnie wyobrażając sobie, że on poprze ten pomysł – miałby wówczas okazję napisać scenariusz. Ale nie. Film o nagich zombie, które pożerają wszystko, co tylko się rusza, przykro mi, to nie dla mnie. Nie mam dwudziestu lat. I nie mam zamiaru pracować z dziewczynami, które były kiedyś aktorkami porno albo prostytutkami. Zachowanie monogamii i bez tego jest trudne. Daniel, który dopiero co przyjechał do obozu, nie rozumiał, na czym polega ich problem: trzeba zainwestować wszystko w nagłośnienie. Bo przecież muzyka jest dla nich najważniejsza. Hiena zabrała głos jako ostatnia, czekała, aż zapytają ją o opinię, by stwierdzić: „Należy pójść za przykładem starego Charles’a: umieścić wszystko na koncie i o wszystkim zapomnieć. Z pewnością nadejdzie chwila, gdy te pieniądze naprawdę nam się przydadzą. Ale na razie... Dobrze jest tak, jak jest. Nie widzę powodu, żeby cokolwiek zmieniać”. Patrice od razu podzielił jej zdanie. Nastąpiła chwila wahania. Hiena dodała: „Nikt nie wie, gdzie przebywamy. Mało kto wie, co robimy. To ważne. Jeśli zaczniemy wydawać pieniądze, wrócimy do punktu wyjścia, a wszyscy dobrze wiemy, jak to jest z pieniędzmi: nigdy nie ma ich dość. Toteż za dwa miesiące jedynym naszym zmartwieniem będzie to, jak zdobyć ich jeszcze więcej”. Pamela pocierała dłonią skronie, było widać, że to wszystko ją

niepokoi: „Można się obyć bez ubezpieczenia, ale nie róbmy też z tego religii... Można też ewoluować. Nikomu to nie zaszkodzi”. Wtedy Olga, która wciąż myślała o swoim cygańskim taborze, wtrąciła: „Nie da się ukryć, że już teraz trudno to wszystko ogarnąć, co chwila jeden czy drugi głupek mówi, co powinniśmy robić, więc jeśli gruchnie wieść, że mamy setki tysięcy euro do wydania, będziemy mieli kłopot. Proponuję przepuścić wszystko w ciągu jednego tygodnia. Zakładamy konto, naciskamy wdowę tak długo, aż odda, co nam się należy. I wtedy pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... Wydajemy kasę. Przynajmniej będzie zabawa”. Olga przeprosiła się z wdową i stworzyły nietuzinkowy duet. Zaczęły rozmawiać o ośrodku dla uchodźców i schronisku dla psów. Xavier nie mógł powstrzymać się od uwagi: „Zwariowałaś, Syryjczycy od razu zjedliby te twoje psy. To byłby otwarty konflikt”. Wahała się przez sekundę, nie wiedząc, czy mówi serio, a potem parsknęła śmiechem. „Najgorsze jest to, że masz rację! Ci faceci przeszli prawdziwe piekło i trudno będzie im wytłumaczyć, że powinni być mili dla naszych pociech”.

Zrobił się bajzel. Wszyscy zaczęli jeden przez drugiego rozwijać swoje pomysły. Nikt się nie denerwował, bo nikt nie zwracał uwagi na to, co mówią inni. Nie miało to nic wspólnego z atmosferą panującą w obozie. Przypominało raczej dyskusję dowolnej grupy osób, które nie są ze sobą w żaden sposób związane.

Marie-Ange wychodzi ze sklepu z dwiema ogromnymi torbami. Mała ma w ustach czerwonego lizaka. Je za dużo słodczy. Xavier nic nie mówi. Podaje smycz córce i chwyta obie torby. Jest już prawie czternasta. Na posiłek trzeba będzie jeszcze długo poczekać. Kurwa, jak on nie znosi weekendów spędzanych z przyjaciółmi. Ale zaciska zęby. Niczego nie daje po sobie poznać. Ma nadzieję, że wkrótce będzie po wszystkim.

Marie-Ange idzie mu zwykle na rękę. Gdy Xavier wyjeżdża do obozu, organizuje swój czas tak, by móc zajmować się małą. Czasami z niego drwi, z jego namiotu i rave'ów, ale nie próbuje go zranić. W tej wojnie obowiązują pewne reguły. Marie-Ange mówi, że nie rozumie, co on właściwie robi z tymi

patałachami, ale widzi, że to mu służy. Mówi mu: „Wiesz, niektórzy co tydzień płacą po sto euro za seans, żeby sobie ulżyć... A ty, cóż, wydajesz tylko parę euro na autobus, jeszcze nie jest najgorzej...”. To dla niego ważne, że jego żona potrafi zaakceptować coś, czego nie rozumie. Kurwa, jakie to smutne, ta ich wzajemna pobłażliwość. Zastąpiła miłość. Pozostał szacunek, pragnienie, by druga osoba czuła się w związku dobrze. Życzliwość. To lepsze niż nienawiść. Ale też nie tak silne. Oboje noszą żalobę, żalobę po czasach gdy się naprawdę kochali, kiedy w to wierzyli.

Xavier jest jej wierny. To nie takie łatwe. Czasem trudno mu zapanować nad pożądaniem. Pragnieniem czegoś innego. Podczas konwergencji słucha czasami rozmów młodych ludzi na temat związków poliamorycznych. Nadstawia ucha. To dzieci rozwiedzionych par, które za nic nie chciałyby powtórzyć historii swych rodziców. Toteż zastanawiają się, co zrobić, by pogodzić pociąg seksualny z jakąś trwałą relacją. To lewicowa idea: sprawdza się wyłącznie na papierze.

Xavier pozostaje wierny, ale od ponad roku nie dotknął swojej żony. Jest wierny ich układowi – wierny wspólnemu mieszkaniu, czułym porannym gestom, rozmowom po kolacji. Jest wierny podziałowi rodzicielskich obowiązków wobec córki. Wie, że to nie może trwać. I to go przeraża.

Vernon kolekcjonuje dziewczyny, a Xavier zadaje sobie pytanie, czy on też znalazłby w tym przyjemność. Ten drań nie przestaje. Zadufana sportsmenka, włoska księżniczka o wyglądzie supermodelki, drobna blondynka, tak miła, że to stawało się nudne, ale słodka jak cukiereczek, hermafrodyta z ogoloną głową, o soczystych wargach i wielkich jasnych oczach, która nigdy się nie uśmiechała, Wenezuelka zgrabna jak Miss Świata, która mogła przez całą noc mówić o Chávezie, gdyby jej tylko pozwolić... Jedna zastępowała drugą i nie robiły z tego dramatu. Ostatnia w kolejce została z nim na dłużej. Dziewczyny się dziwią, bo wcale nie jest z nich wszystkich najładniejsza. Ale faceci się domyślają, co Vernon w niej widzi: ta mała daje mu spokój ducha. Xavier też byłby szczęśliwy, gdyby miał u boku tego rodzaju laskę. Kurwa.

Wchodzą do mieszkania, które Pénélope i Sylvie wynajęły przez Airbnb, w pobliżu portu. Dziewczyny okupują kuchnię. Od razu zabierają małą do siebie, a Xavierowi świta myśl, że chyba by wolał, żeby jego córka nie musiała stale przesiadywać w kuchni, kiedy już dorośnie.

Otwiera piwo i czeka, patrząc na ulicę. Piszczą, skrobią warzywa, śmieją się jedna przez drugą, ktoś puszcza płytę Marianne Faithfull, śpiewają fałszywie, przygotowując jakieś jaskie danie, co w najlepszym razie zajmie im dwie godziny. Patrzy na turystów spacerujących z rozłożonymi planami miasta. Zjawia się Stéphanie z Maxem, swoim eks, są zachwyceni piękną pogodą i palmami. Wracają z plaży, wszędzie naniosą piasku. Przynieśli całe naręcza butelek i paczek chipsów, co wprawia Xaviera w nieco lepszy nastrój – wie, że gdyby powiedział Marie-Ange, że skoczy po piwo, od razu przybrałaby zatroskaną minę, jak zawsze gdy się obawia, że za dużo wypije i wywoła skandal w obecności przyjaciół. Cieszy go, że wybrali dobre chipsy, faliste, jego ulubione. Czuje, że Max szuka jego spojrzenia. Od chwili gdy weszli do mieszkania, chce się z nim zakumplować. Miał trafne przeczucie: gdy tylko Stéphanie znika w kuchni, Max siada obok niego. A przecież wyraźnie widać, że Xavier nie ma ochoty na rozmowę. Chce coś zjeść. Niech to się wreszcie skończy. Ale Max ma to w nosie, mówi mu o problemach z gościem, od którego wynajęli mieszkanie i z którym bez przerwy się kłóć. „Wczoraj przed wyjściem otwieram okno, żeby trochę przewietrzyć, bo w jego mieszkaniu czuć wilgoć jak cholera, i co znajduję wieczorem po powrocie? Liścik, żebyśmy więcej tego nie robił, w dodatku napisany łamaną francuszczyzną. Jeżeli facet nie zna tego języka, dlaczego pisze do mnie po francusku? Czy ja rozmawiam z nim po hiszpańsku? Nie, wczoraj wieczorem, kiedy znalazłem tę kartkę, poszedłem do niego i powiedziałem, co o tym wszystkim myślę, po francusku, nie po hiszpańsku, ale możesz być pewien, że mnie dobrze zrozumiał i dziś zostawi moje okno otwarte na oścież. Sukinsyn. Bierze od nas sto pięćdziesiąt euro za dobę za dwupokojowe mieszkanie i nie mogę otworzyć okna?”

Xavier nie rozumie, dlaczego Max przyjechał tutaj ze swoją eks. Ten temat zaprzęta Marie-Ange. Wieczorami uwielbia dywagować na temat innych par. Xavier ma wrażenie, że w ten sposób roztrząsa ich własne problemy, tyle że nie wprost. Poprzedniego wieczoru w nieskończoność drążyła temat: „Myślisz, że Max jest amatorem odgrzewanych kotletów? Podrzućli nawet Lucasa jego siostrze... To dosyć dziwne, nie? Nie sądzę, by Stéphanie była zainteresowana. Albo coś przed nami ukrywa... Skąd miałabym wiedzieć?”. Xavier chciał pójść spać, ale po raz trzeci musiał jej odpowiedzieć, co wie na temat Maxa. Nie zna go osobiście. Ale w środowisku rockowym kojarzą postać Maxa. Był menedżerem Alexa Bleacha. Legendarnym – jak McLaren, Kim Fowley czy Marsu... Tym, który zrobił z mało znanego wokalisty gwiazdę. Był też znanym oszustem. Barwną postacią, której Xavier zawsze starał się unikać. Był zaskoczony, że Stéphanie nie powiedziała kumpelkom, że ojciec jej syna miał swoje chwile chwały. Tyle że było to na początku lat dziewięćdziesiątych... Stéphanie nie jest szczególnie błyskotliwa i zawsze musi skupiać na sobie uwagę, jest strasznie gadatliwa, to go męczy.

Xavier nie szuka kontaktu z Maxem. Dzień wcześniej wypytywał go o konwergencje, nie kryjąc, że chciałby zostać tam zaproszony, i Xavier wolał zmienić temat. To naprawdę nie jest osoba, którą chciałoby się zabrać z sobą do obozu. Szemrany menedżer, mitoman, impertynent, człowiek, który nie wzbudza zaufania... Nie. Woli grać rolę artysty i pociągać piwo z butelki, spoglądając przez okno. Śledzi wzrokiem grupę dziewcząt, wyglądają młodo, szturchają się łokciami i zbyt głośno się śmieją. Niektóre są w kusych szortach i na wysokich obcasach, mają niewiarygodne nogi, wąskie biodra i duże piersi. Przypominają postaci z pornograficznych mang, nogi do szyi, mała dupka i obfite piersi. Trzymają w dłoniach telefony, jak kiedyś trzymało się fajkę – jest pewne, że jeśli któraś z nich spróbuje zrobić zdjęcie, każda przybierze odpowiednią pozę, jak wszystkie dzisiejsze małolaty – usta w ciup, wciągnięte policzki i dwa palce w kształcie litery „v”. Max także się im przygląda:

– To te małe tak na ciebie działają? Przypominają mi mażoretki. Pamiętasz mażoretki? Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Zastanawiałeś się, dlaczego

w sex shopach możesz kupić kajdanki i stroje pielęgniarek, ale nie uświadczysz tam kostiumu mażoretki?

* Bazylika św. Dionizego w Saint-Denis na przedmieściach Paryża, od VI wieku miejsce pochówku królów Francji.

** École nationale d'administration – francuska uczelnia wyższa, w której kształcą się elity polityczne kraju.

Mathilde bombarduje go esemesami. Jest wściekła, że wyjechał na wakacje z matką swojego syna i nie chce jej zaprosić. Jest za młoda, by to zrozumieć. Max próbował jej wszystko wyjaśnić, spokojnie i uprzejmie. Ale ona nie chce o niczym słyszeć. Widać lubi być zazdrosna. Gdy czuje się upokorzona, beczy jak rozkapryszone dziecko, które nie dostaje wszystkiego, czego chce. Skarży się, że ona nie ma żadnych wakacji, że chciałaby zobaczyć Barcelonę, pisze, że w Paryżu jest szaro, i wstawia płaczące emotikonki. A kiedy widzi, że Max nie ustępuje, nie pisze do niej: „Kochanie, zaraz ci kupię bilet, przyjeżdżaj!”, zaczyna ją ponosić. Wysłała mu wiadomość, że jest pewna, że sypia ze swoją starą, że ją od niej woli, że jest pieprzonym zbokiem, i cały szereg bzdur, które sobie wymyśla przez ten nudny weekend. Wyciszył swoją komórkę. Jeśli się trochę podręczy, to jej nie zaszkodzi. Bardziej się przywiąże. Tych kilka dni, które spędzi sama w swojej kawalerce, przeżuwać pytanie, czy jej czasem nie zdradza, wróżąc z kart i wydzwanając do koleżanek, sprawi, że zwiąże się z nim bardziej, niż gdyby obsypał ją prezentami. Wie, że Mathilde przez całą noc będzie się ośmieszala, wysyłając mu te okropne wiadomości. I że to zniszczy coś między nimi. Odtąd będzie miał dla niej trochę mniej szacunku. Szkoda. Ale naprawdę musiał spędzić ten weekend w Barcelonie. Nie chce wchodzić w szczegóły, ale to było nieodzowne. Jeżeli ona nie rozumie tego, że mężczyzna w jego wieku musi być niezależny, to trudno.

Mathilde jest czarująca. Ma trochę za krótkie nogi, zbyt wydatny nos, sugerował jej już operację, ale ona obawia się, że to będzie bolało. Jest ambitna. Ale brakuje jej najważniejszego, siły przebicia. W dzieciństwie była zbyt rozpieszczana. Myśli, że można osiągnąć sukces bezboleśnie. Bardzo ją lubi. Ale potrzebuje też więcej luzu. Mathilde mieszka w małej klitce przy metrze Pereire, w martwej dzielnicy na obrzeżach miasta. Toteż stale przebywa u niego. Z początku tak nie było. Była bardziej samodzielna. Sporo się natrudził, żeby ją

zbajerować. Każda historia ma podobny przebieg: walczy o dziewczynę, którą sobie upatrzył, a kiedy ta ulega, zaczyna go to krępować.

Wolał, gdy pracowała jeszcze w CSA*– oglądała programy i zaznaczała w odpowiednich rubrykach, czy była w nich dostateczna liczba Arabów i kobiet. Robiła to jakiś czas, po czym jej podziękowano, zbyt długo pracowała na umowę na czas określony i musieliby dać jej stałe zatrudnienie, żeby ją zatrzymać. Gdy powiedziała Maxowi, że została wylana z pracy i że teraz zostanie piosenkarką w pełnym wymiarze godzin, złamała mu serce. Wiedział, że od tej chwili nie będzie już tak wesoło. Jest od niej o dwadzieścia lat starszy. Zna się na muzyce. Mathilde jest z nim ze względu na swoją karierę. Wmówiła sobie, że jest w nim zakochana, bo nie chce przyjąć do wiadomości prawdy – gdy taka ładna sztuka sypia ze starym zgredem, to nigdy nie jest bezinteresowne. Interesuje ją jego notes z adresami. Bardzo chciałby jej pomóc. Ale Mathilde nie jest dość utalentowana.

Nadal mu się podoba. Tyle że go już męczy. Ta dziewczyna to chodząca naiwność. Wierzy, że gdyby między nimi było coś nie tak, Max by jej o tym powiedział. Z jednej strony go drażni, z drugiej podoba mu się ta miłość małolaty wpatrzony w niego jak w obraz. Wiara w niego i wielkie jasne oczy wyrażające podziw. Śmierdzi mu z gęby. Mathilde jest niewzruszona. Jej uśmiech jest godny Oscara. Mówi mu: „Jesteś piękny”. Wie, że jest brzydki jak noc. Wzrusza go, że dziewczyna zmusza się do kłamstwa. Jak mógłby jej uwierzyć? Kiedy ma taką gębę. Spuchniętą, starą, zniszczoną. Ale przepełnia go wdzięczność. Mathilde wpatruje się w niego wielkimi zielonymi oczami o rzadko spotykanym odcieniu. Które robią na nim tak wielkie wrażenie. Chciałby zdobyć się na odwagę i zaproponować jej, że ją zwiąże, włoży jej knebel w usta i będzie się nad nią pastwił na tym tandetnym dywanie, który króluje na środku pokoju. Wie, że by odmówiła. Nie ma szczególnego talentu do seksu. Trudno jej pójść na całość. Nie czuje perwersji. Chciałby, żeby sobie pozdzierała kolana, rżnąc się na czworakach. Rzadko trafiała mu się dziewczyna, która do tego stopnia racjonuje seks. To też zaczyna go już męczyć. Nie może stale błagać. Mathilde studzi wszelkie zapęły.

Max chciałby uwierzyć, że coś naprawdę w niej jest, że zrobi z niej wokalistkę. Ma ładny głos. Całkiem nieźle się rusza. Ale jej piosenki nie powalają. Jest przeciętna. Nie potrafi wejść w numer. Nie umie pisać, ale nie chce nikogo prosić o teksty, bo liczy na prawa autorskie i tantiemy. Układa na komputerze krótkie refreny, które są nie najgorsze. Lecz czegoś jej brakuje. Nie ma ani talentu, ani osobowości wielkiego artysty. Myśli, że wystarczy pokiwać się na boki z miną lachociąga i sprawa załatwiona: będzie jak Beyoncé.

Maxowi zdarzały się w życiu znacznie lepsze chwile. Alex to była sceniczna bestia, w czasach gdy był jego menedżerem. Podczas koncertów menedżer mieszał się z publicznością i krzyczał z radości między numerami. Wydawał z siebie przeciągłe, szalone wrzaski – nie chodziło o podgrzanie atmosfery, to było szczere: przepadał za swoim wokalistą. Talent łatwo rozpoznać, kiedy ma się ucho. To coś oczywistego. Tęskni za tamtymi czasami.

Mathilde nie jest dość wyuzdana, nawet kiedy udaje dziwkę. Nie jest dość wulgarna. Raczej potulna. Podpatruje modne sceniczne ruchy i stara się je odtwarzać. Jest uparta. Nieudolna i konsekwentna. Max chce ją przekonać, by śpiewała covery. *Bébé Vampire* Lio, mogłoby coś z tego być. Nikt nie pamięta jej świetnej pierwszej płyty. Może najlepszej płyty w dziejach francuskiej piosenki. Mathilde chce, by jej pomógł, ale nie chce posłuchać jego rad.

Publiczność się zmieniła. Kiedyś to była prawdziwa jazda. Młodzi ludzie, naćpani, dzicy, zbuntowani. Wychodzili półzywi, z obłędem w oczach. Koncert angażuje dwie strony. Alex był dobry, bo miał dobrą publiczność. Miał wymarzonych fanów. Nie było to zasługą Maxa, po prostu myślał o tych dzieciakach. Przejmowali się polityką, ale nie były to żadne łajzy, słuchali rzeczy najbardziej ekscytujących, szukali nowych płyt, które wstrząsnęłyby nimi do głębi. Trzeba ich było zobaczyć po koncercie, gdy czekali za kulisami, aż Alex przyjdzie się z nimi przywitać.

Z Mathilde jest to trochę trudniejsze... Jej fanki to piętnastoletnie smarkule, głupiutkie i cyniczne, do których trudno dotrzeć mężczyźnie w jego wieku. Publiczność ulotna, wymagająca, dumna ze swego braku ogłady. Wyłonić się

z zamętu, jaki panuje na YouTube, to niełatwa sztuka. Wprawdzie zainwestował kilkaset euro, kupując tysiące lajków i followersów, by wylansować klip do jej piosenki. Podobno w Bangladeszu potrafią to robić ręcznie. Co za dno. Ale to nie wystarczy, by wypromować artystę. To byłoby zbyt proste. Wrzucił też do sieci parę artykułów podkreślających sukcesy Mathilde – ma jeszcze trochę kontaktów w prasie... Ale nie zdołał wytworzyć wokół niej prawdziwego szumu. Nic dziwnego: żeby osiągnąć sukces, trzeba naprawdę mieć coś do sprzedania...

Nigdy później nie poczuł tej chemii, jaka istniała między nim i Alexem. Mieli wszystkie atuty w rękę, tworzyli niewiarygodny tandem. Zgarnęli całą pulę. Mój Boże, ale się obłowili! A kiedy było trzeba, potrafili grać w ciemno. Max miał niezłą gadkę, dobre pomysły, wiedział, jak działa system, jak rozmawiać z producentami, dziennikarzami, organizatorami tras... A Alex był piękny, miał głos, teksty, osobowość. Naturalną zuchwałość – chłopak żył w poczuciu zagrożenia. Chciał coś osiągnąć, był gotów odrąbać sobie siekierą dłoń, byleby zapełnić halę Bercy. Ale zerwanie z własnym środowiskiem nigdy nie jest łatwe i nienawidził samego siebie za to, że odniósł triumf. To napięcie sprawiało, że wszystko, co robił, było zajmujące. Siedem lat wspólnego windowania się w górę – wszystkie drzwi kolejno się otwierały. Max, który dał z siebie wszystko, trochę zwolnił tempo. Popełnił kilka niewielkich pomyłek. Menedżerowi niczego się nie wybacza. Artysta może sobie robić, co chce. Ale wystarczy, że menedżer choćby raz się potknie, a już domagają się jego głowy na tacy.

Max popełnił drobny nietakt na polu finansowym... Nie miał nic do powiedzenia na swoją obronę. Przyznaje się do błędu. Przejął kody i hasła bankowe wokalisty i nie uprzedzając nikogo, dokonał kilku skromnych przelewów na własne konto. Nic wielkiego. Alex popełniał mnóstwo błędów. W swoim paranoicznym szale całkiem zapominał, że jego menedżerowi też należy się coś od życia. Na przykład o tym, że Max zgarbia okruchy i dosłownie przymiera głodem, nie mogąc wyżyć z tego, co zarabia na ich współpracy. Na pewno nie w Paryżu. Żyjąc na pewnym poziomie, co jego przypadku było nieodzowne. Max faktycznie popełnił błąd, osobiście sporządzając umowy i nie zapewniając sobie godnych udziałów

w zyskach. Dostawał ochłapy. Alex ćpał bez umiaru. Ktoś inny posunąłby się znacznie dalej, a on tylko skubnął sobie czasami parę tysięcy euro z konta swojego podopiecznego.

Nigdy, ale to nigdy nie podpisał niczego, co mogłoby postawić wokalistę w złym świetle, nawet jeśli on sam mógłby na tym skorzystać. Zawsze na pierwszym miejscu stawiał karierę Alexa. Zresztą z chwilą gdy Bleach postanowił wyrzucić go za drzwi – sam był skończony, to proste. Wprawdzie kontynuował karierę, wypuścił jeszcze kilka niezłych piosenek, ale maszyna pracowała na jałowym biegu. Warto było się wściekać z powodu kilku przelewów i robić z igły widły? Szukał pretekstu, by usunąć pierwszego menedżera i sprzedać się wielkiej agencji koncertowej. Za radą swojej wytwórni płytowej. Temu durniowi nie przyszło do głowy, że jeśli wszyscy chcą się pozbyć Maxa, to właśnie dlatego, że pracował zbyt dobrze i to przez niego nie mogli się dostać do bestii. Wszyscy mieli interes w tym, żeby go wykopać. Był twardy, lojalny i wymagający. Był wizjonerem. Jednak Alex dał się wciągnąć w ich intrygi.

Menedżer jest architektem dzieła, pod którym nie ma prawa złożyć swojego podpisu. W konstrukcji postaci Alexa Bleacha piosenki, tak jak ich wykonawca, były zaledwie jednym z komponentów – budulcem. Artyści o tym wiedzą. I doprowadza ich to do wściekłości. Rzecz jasna, menedżer nie może nic zrobić, jeśli nie dysponuje dobrymi utworami. Ale bez jego fachowej wiedzy, bez koordynacji wszystkich elementów i wysiłków, by wtłoczyć los w ramy spójnej opowieści, nic się nie wydarzy. To, co zrobił dla Alexa, było nadzwyczajne. A dziś figuruje w biografii jako drobny oszust. Jakby był anonimową osobą, która wykorzystwała swojego przyjaciela artystę. I nawet nie spróbował pomówić o tym z Alexem. Odszedł z podwiniętym ogonem. Nigdy do niego nie zadzwonił, by mu powiedzieć, że tego żałuje.

Mathilde nie interesuje się tą historią. Powinna wiedzieć, że trzeba śledzić kariery innych, by mieć wyobrażenie, jak to funkcjonuje, i unikać tych samych

pułapek. Lecz Alex jest dla niej przebrzmiałym wokalistą z całkiem innej epoki. Nie znajduje się w kręgu jej zainteresowań.

W jej obecności Max niczego nie bierze. Również dlatego od czasu do czasu musi trochę odetchnąć. Można się starać, ale bez przesady... Gdy są w Paryżu, cierpliwie czeka na chwilę, gdy Mathilde musi wyjść na jakieś spotkanie, macha jej ręką z balkonu, by mieć pewność, że wsiada do taksówki. Dziewczyna zatrzaskuje drzwi, a on już dzwoni do Vince'a, diler, by powiadomić go, że ma zielone światło, wyciąga sól i bierze się za czyszczenie fajki. Fajeczka cracku wieczorem, żeby się rozluźnić. To też trochę jej wina, że Max się narkotyzuje, gdy tylko ma okazję – Mathilde nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo dusi się w tym związku. Na szczęście nie ma kluczy. Jeśli przypadkiem wróci wcześniej, niż zapowiedziała, Max pędzi na klatkę schodową i wysyła windę na dwudzieste piętro, po czym odpowiada jej przez domofon. Wie, że będzie musiała odczekać dobrych pięć minut, nim winda zjedzie na parter – dzięki temu ma czas, żeby wszystko schować. To jeszcze prawie dziecko. Niczego nie podejrzewa, kiedy go widzi na czworakach w salonie, w poszukiwaniu kamyka, który upuścił na podłogę. To mania wszystkich palaczy cracku. Wie, że żaden kamyk nie wpadł mu za mebel. Ale nie może się powstrzymać. Potem Mathilde idzie się położyć przeświadczona, że szukał okularów.

Nie chce palić przy niej. Kamyki traktuje się dzisiaj jak heroinę w latach osiemdziesiątych – to narkotyk tabu. Zawsze lubił dragi dla dorosłych. Ale Mathilde by tego nie zrozumiała. Lub chciałaby spróbować, a on nie jest skurwielem, nie chce jej w to wciągać.

Zrobił jej jazdę z powodu ecstasy. Brała tego za dużo, kiedy się poznali. Nie była świadoma, że się uzależnia. Zawsze kiedy gdzieś wyszli, „musiała coś zarzucić”. Niszczyła sobie zdrowie. A kiedy przyćpa, całuje się z byle kim. Tak właśnie ją poznał. Kleiła się do niego, zanim poznała jego imię. Namówił ją więc, żeby to rzuciła. I by uciąć wszelkie dyskusje, Max ćpa, gdy jej nie ma. To przywraca mu równowagę. To jego mała przyjemność. W gruncie rzeczy już za tym nie przepada. Ale gdy tylko Mathilde się oddali, przygotowuje fajkę. Na tym

polega istota twardych narkotyków: myślimy tylko o tym, żeby znowu przygrzać, a kiedy to zrobimy, uświadamiamy sobie, że chcieliśmy czegoś innego. Zawsze poszukujemy wrażenia, jakie mieliśmy za pierwszym razem, wspomnienia prawdziwego odlotu. Które nigdy nie wraca. Jednak ponawiamy próbę.

Dobrze się rozumie ze swoim dilerem. Znają się od dawna. Vince musi być wtyczką. Przemierza Paryż wzdłuż i wszerz na rowerze, z plecakiem pełnym towaru, jaki tylko można sobie wyobrazić. Od lat. I nikt go nie niepokoi. Co roku znika na kilka miesięcy – jeździ na rozmaite festiwale, na narty. Ostatnio wbił sobie do głowy, że skończy z dilowaniem i wróci na dobrą drogę. Mówi, że się przekwalifikuje. Twierdzi, że nie jest uzależniony, że odkłada pieniądze. Ale zawsze sam więcej brał, niż sprzedawał. Jego ostatni pomysł to firma oferująca klientom płatności zbliżeniowe. Kumpluje się z pewnym gościem, pewnie swoim klientem, który zmontował w domu takie urządzenie. Coś w stylu Apple Watch, tyle że zgrabniejsze, bardziej eleganckie i możesz je ładować komórką. Vince jest przekonany, że będzie mógł sprzedawać swój zegarek wraz z aplikacjami dla festiwali muzycznych. Odbierasz smartwatcha i już nie potrzebujesz pieniędzy. Max słucha go z zatroskaną miną. Doprawdy, niektórzy goście nie mają pojęcia o interesach. Niby po co ktoś miałby kupować urządzenie podobne do Apple Watcha, ale od niego gorsze, skoro może mieć oryginał? Z pewnością na festiwalach można wiele rzeczy poprawić, ale po co skupiać się na czymś, co nikomu nie przysparza problemów? Załóżmy, że nie masz karty płatniczej – wówczas tak, mógłbyś płacić, używając zegarka, bo to bardziej praktyczne niż noszenie przy sobie gotówki, ale jeśli nie masz karty płatniczej, to znaczy, że nie masz kasy, więc coś takiego jest poza twoim zasięgiem. A gdyby nawet udało mu się dowieść, że ma to jakiś sens – jak przekonać agencje koncertowe, by wyprodukowały tysiące jednorazowych, współpracujących ze sobą urządzeń mobilnych? To pozbawione sensu. Typowe rozumowanie po zażyciu cracku: neurony się zderzają, ale nie są w stanie wytworzyć spójnej myśli. Max powstrzymuje się od komentarza. Nie warto marnować śliny, żeby przekonać ćpuna, który jutro nie będzie pamiętał ani jednego słowa z tej rozmowy. Dragi

impregnują mózg. Nic nie pozostaje w pamięci. Nic nie wpływa na tok myślenia. Dlatego teoria Burroughsa jest absolutnie słuszna: narkomani zatrzymują się w wieku, w którym zaczęli brać. Kiedy więc Vince powraca do swojej myśli o bezkontaktowych płatnościach, Max opowiada mu swoje wspomnienia. Z festiwali Les Vieilles Charrues, Trans Musicales, Les Eurockéennes... Zaliczył wszystkie w czasach Bleacha.

Kiedy widzieli się ostatnim razem, Vince opowiadał mu o przedziwnej imprezie. Gdzieś w Wogezach. To było coś w rodzaju free party. Podwieźli go samochodem, a potem przez pół godziny trzeba było iść pieszo na miejsce spotkania. Vince'a zaprosił tam jakiś kumpel i skorzystał z okazji, żeby sprzedać trochę towaru. Kumpel go wprawdzie uprzedził, że to nie jest najlepsza miejscówka, ale Vince wziął cały plecak speedu i dropsów, bo nie wierzył, że mogą istnieć imprezy bez dragów. Mówił: „Byłem spokojny, nigdy nie widziałem rave'u, na którym ludzie nie potrzebują żadnych narkotyków. Tam gdzie zbiera się parę osób, muszą być narkotyki. Chyba że są to Światowe Dni Młodzieży, ale i tam... Jestem pewien, że jeśli masz dobry towar, upłynnisz go nawet harcerzom... Ale gdy dotarliśmy na miejsce, zostałem sam jak palec... Nikt nie chciał robić ze mną interesów. Zagadywałem to tego, to owego... Ludzie nawet nie reagowali agresją, po prostu nie byli zainteresowani. Powtarzali jak mantrę: »Mamy lepszy odlot bez niczego«. Nigdy nie słyszałem głupszej odpowiedzi. Nie było tam tłumów, ale jednak zebrało się jakieś dwieście osób... Długo musiałem drałować po jakichś wertepach i nie zamierzałem wracać w środku nocy. Postanowiłem przespać się na miejscu. Puszczali jakąś dziwną muzykę, w sumie całkiem znośną. A potem zaczęli kłaść się na ziemi po mojej lewej i po prawej stronie, jak na zajęciach jogi... Nie było światła. Przypomniało mi się przedszkole i pora leżakowania. Wiesz, co mam na myśli. Nie pamiętasz? Nie znosiłem leżakowania, kiedy byłem mały. W ogóle nie lubiłem spać. Zatem też się kładę, niby co miałbym robić? A oni zaczynają deklamować wiersze. Wystraszyłem się, kurwa... Chciałem już wziąć ecstasy, ale pomyślałem, że w tej atmosferze skończy się to bad tripem... Czekałem, aż to

wszystko się skończy, dźwięki z syntezatora i kretyńskie wierszyki... Wszyscy wokół zaczęli tańczyć, ślamazarnie, niezdarnie. To było jakieś chore. Tyle że po godzinie, mniej więcej... Nie powiem ci dokładnie, ile czasu minęło, bo się wyłączyłem... Nie przypominam sobie, żebym wstawał czy postanowił się do nich przyłączyć... Jednak gdy odzyskałem przytomność, tańczyłem. Tańczyłem jak nigdy dotąd. Moje palce u stóp tańczyły, moje włosy tańczyły, moje nozdrza tańczyły... Byłem podłączony. Nie przychodzi mi do głowy żadne inne słowo. To się różniło od fazy, jaką masz po grzybkach, ale było podobne... Widziałem strumienie światła wychodzące z dłoni, które splatały się ze światłami innych. Nazajutrz rozmawiałem z nimi na ten temat. Uważają, że to coś w rodzaju zbiorowej hipnozy. Masz wrażenie, że jesteś zupełnie normalny, tyle że słyszysz, jak szumi krew wtłaczana do serca laski, która stoi trzydzieści metrów dalej. Przysięgam.

Zrobiło się jasno, a ja wciąż tańczyłem, nie przestawałem ani na chwilę, chyba żeby się odlać, ale bardzo rzadko... Wszyscy byli w tym stanie. Nawet kiedy ucichła muzyka, czułem, że jestem w głowach innych ludzi, w ich skórze, w brzuchach i w każdej nucie, w każdym instrumencie. Słyszałem ciszę emitującą dźwięki... To było naprawdę mega. Znaleźli coś innego. Modyfikują dźwięk. To pewne. A rano: prawdziwy Woodstock, chłopie. Całusy, pieszczoty, wielka gromada pluszaków, tak to wyglądało. Didżej był spoko, puszczał niezborną muzę, a jednak wszystko grało – ale kiedy pomyślę o jego setliście, wiesz, to była dobra setlista, tyle że nie mogła wprowadzić ludzi w taki stan... Subutex, znasz to nazwisko? Tam jest uwielbiany. Ma *feeling*. Niezły *look*, coś między Bruno Marssem a Keithem Richardsem. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Powiesz mi: »Całe szczęście, bo straciłbyś robotę«. Wyobrażasz sobie? Masz kopa, nie potrzebując żadnego towaru? Nawet więcej: masz odlot, ale najlepsze okazuje się zejście... To już nawet nie konkurencja, to całkiem inna koncepcja... Z chęcią bym to powtórzył, ale gość, z którym tam pojechałem, zniknął jak kamfora. Dźwięk zastępujący narkotyk, masz pojęcie? Do tego doszło, chłopie. Tak będzie wyglądało teraz nasze życie. Miksowanie fal oddziałujących na korę mózgową.

Niczego nie jesteś świadomy – wszystko kryje się w dźwiękach. Chyba że rozpylają gaz. Ale gdybyś nawdychał się jakiegoś gazu, miałbyś pewny zwał. Zobaczysz, że w przyszłości będą to sprzedawać – klucze USB z takim miksem. I odpowiednie kolumny”.

Max pozwalał mu pleść androny. Dopóki Vince był w jego mieszkaniu, palili jego kamyki. Nie wierzył w tę jego historię o ravie, na którym nikt niczego nie bierze. Wyjaśnienie nie było skomplikowane: Vince tak dużo ćpał, że wszystko mu się pomieszało. A jednak Max aż podskoczył, słysząc nazwisko Subutexa. Pamiętał sprzedawcę płyt. Alex lubił otaczać się loserami. Vernon był jego kumplem. Z tych, co to proszą cię o wejściówkę dla VIP-ów, a przecież nikt nie wpuściłby ich za kulisy... Zapamiętał Subutexa zwłaszcza dlatego, że jakieś dwa lata temu pewna ładna lesba o trochę zniszczonej twarzy, dokładnie w jego guście, zwróciła się do Maxa, ponieważ w całym Paryżu szukała Vernona... Zabawne, że jego nazwisko znów się pojawiło. Laska przedstawiła się jako Hiena. Z chęcią by ją stuknął... Zawsze czuł miętę do lesb. Kiedyś był już w łóżku z dwiema kobietami, które pieściły się na jego oczach. Ale nigdy nie miał dwóch prawdziwych lesbijek. Dilda na pasku, fisting, naprawdę obleśne rzeczy. Często oddaje się takim marzeniom. Później myślał o Hienie. Wyobrażał sobie scenariusze, w których wychodzili razem wieczorem, upatrywali sobie jakąś niunię, ona ją uwodziła, przyprowadzała do jego mieszkania. W tych fantazjach Hiena była jego suką, aportowała zdobycz. A potem rozgrzewała dziewczynę w jego obecności, posuwała ją, on delektował się tym widokiem, a w końcu rozkazywał, jednym skinieniem, by mała nadstawiła mu tyłek lub otworzyła usta. Były różne warianty tego scenariusza, ale wszystko sprowadzało się do jednego: to było niezapomniane przeżycie.

Max przeszedłby nad tym do porządku dziennego, gdyby kilka tygodni później Stéphanie nie opowiedziała mu identycznej historii. Którejś niedzieli, gdy odprowadzał Lucasa do domu, przyniósł ze sobą butelkę japońskiej whisky, którą dostał w prezencie – nie chciał jej pić z Mathilde, która lubi tankować, ale jej to nie służy. Stéphanie była w znakomitej formie, jak laska, którą ktoś przez cały

weekend obracał. Zadał jej pytanie. Zawsze trzeba na nią uważać – mogłaby związać się z recydywistą, który ma dwanaście gwałtów na swoim koncie, i nie dostrzec żadnego zagrożenia.

Zabrało im sporo czasu, nim nawiązali normalne relacje po rozstaniu. Oboje zajmowali się małym i w końcu jakoś się to ułożyło. Stéphanie ma z sobą mnóstwo problemów, jest rozchwiana emocjonalnie, niewdzięczna, stale się o coś obwinia, dręczą ją rozmaite obsesje i lęki... Ale jest matką jego syna. Toteż nie zrywa z nią kontaktu. Po separacji najtrudniej pogodzić się z tym, że druga osoba nie może znaleźć szczęścia. Max ma świadomość, że zostawił Stéphanie na lodzie. Chciałaby, żeby do siebie wrócili. To niemożliwe. Za późno. Jest mu przykro. Z jej powodu. Często z nią rozmawia, gdy odprowadza Lucasa. Jest taka samotna.

Tego wieczoru pociągnął ją za język: „Co ci się przydarzyło, że w niedzielę wieczorem wyglądasz tak kwitnąco?”. Kiedy zaczęła opowiadać o genialnej nocy, podczas której tańczyła na łonie natury, nadstawił ucha. Jest stuknięta, zgoda. Ale niczego nie bierze. I zaczęła nawijać tak samo jak Vince: niesamowita eksterioryzacja, ciemność, wrażenie, że przenika się w ciało grupy... Max nie wspomniał, że jego diler mówił mu o tych wieczorach. Jeśli powiesz Stéphanie, że coś cię interesuje, zrobi wszystko, byś niczego więcej się nie dowiedział. Nadal kocha Maxa. Oczywiście, że nigdy nie poznała faceta na jego poziomie. Do dziś ma do niego żal. Nie do końca jej ufa.

Toteż kiedy wspomniała o weekendzie w Barcelonie i zadała mu pytanie, czy pamięta Xaviera – nie, nie pamięta wszystkich anonimowych postaci, które w latach dziewięćdziesiątych chodziły na te same koncerty co on – i gdy w trakcie rozmowy dotarło do niego, że Xavier jest jednym z organizatorów tych dziwacznych imprez... natychmiast postanowił skorzystać z okazji. Instynktownie. Powiedział: „Barcelona? A gdybym poleciał tam z tobą? To by nam dobrze zrobiło, gdybyśmy powłóczyli się trochę razem, nie uważasz?”.

Xavier to nie jest sympatyczny facet. Od początku tego weekendu ignoruje Maxa. Je jak świnia, schylony nad talerzem, ma grube paluchy. I głębę typowego Francuza: wygląda jak wieśniak, którego rodzice byli zbyt blisko z sobą

spokrewnieni. Nos jak kartofel, cienkie włosy, zaniedbane zęby. Max nie cierpi ludzi o takim wyglądzie.

Poruszał najróżniejsze tematy, żeby go ugłaskać. Odgrzebywał, cierpliwie, rozmaite wątki, które mogłyby zaciekawić tego zgorzkniałego muła. I wreszcie po kilku puszkach to się wreszcie stało: Xavier stwierdził, że napisał scenariusz filmu o Drieu la Rochelle'u, a teraz się waha, czy napisać scenariusz filmu o Georges'u Bernanos. A Max powiedział: „Uwielbiam *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*”. Nie tylko go nie czytał, ale nie miał bladego pojęcia, o czym jest ta książka – znał autora dzięki Pialatowi i jego skandalicznym słowom wygłoszonym podczas festiwalu w Cannes: „Ja też was nie lubię”**. Ale wtedy smutas się rozchmurzył. Miał ogromną ochotę opowiadać o sobie, wystarczyło uważnie słuchać, by odniósł wrażenie, że znalazł bratnią duszę.

Tego wieczoru Max zaciągnął go do ogromnego, ekscentrycznego klubu, gdzie didżejka Black Madonna porwała tłum do tańca. „Wieczór w męskim gronie”. Xavier był już zalany, wyszedł z nim, by nie słuchać paplaniny dziewcząt. Snuli się po wypełnionej po brzegi sali, potem Max kupił gram speeda i poszli do toalety – mała kreska na przełamanie lodów. Xavier trajkotał jak najęty. W końcu znaleźli się na dachu, palili papierosy. „Całkiem jak w Nowym Jorku”, stwierdził ten ignorant, którego stopa pewnie nigdy tam nie powstała. Rozmawiali o Bobie Dylanie, którego obydwaj nie znosili. Ale gdy tylko Max zagadywał go o konwergencje, Xavier puszczał to mimo uszu.

Jednak zdarzył się cud. Noc była ciemna, ani śladu księżyca. Stali na dachu, który oświetlał pomarańczowy neon. I Max zaczynał już tracić nadzieję, gdy spostrzegł, że Xavierowi zmienia się wyraz twarzy na widok grupy małychat dyskutujących zawzięcie gdzieś za ich plecami. Ładne siksy, wytatuowane, wyzywające i bardzo hałaśliwe. Jedna z nich wpatrywała się uporczywie w Xaviera. Max wyciągnął z kieszeni telefon. Myślał, że ten kutafon próbuje ją wyrwać, i nie chciał przeszkadzać. To był dobry pomysł.

Udając, że odsłuchuje wiadomości głosowe, zaszedł ich od tyłu. Słyszał, co mówili. Nic z tego nie rozumiał. Ale nie chciał uronić ani słowa. Xavier był zbyt

pijany, by się przejmować tym, że ktoś może ich podsłuchiwać. Dziewczyna miała na imię Céleste. Z rozmowy wynikało, że nie powinno jej być w Barcelonie. Znała członków tej słynnej grupy i w rozmowie padło nazwisko Subutexa. Wyglądało na to, że ich spotkanie jest dla Xaviera niesłychanie ważne. A Maxa rzadko zawodził instynkt: fakt, że właśnie teraz znalazł się dokładnie w tym miejscu, dla niego również był bardzo istotny.

* Conseil supérieur de l'audiovisuel – państwowa instytucja powołana w 1989 roku mająca gwarantować swobodę wypowiedzi we francuskich stacjach radiowych i telewizyjnych.

** Podczas gali wręczenia Piałatowi Złotej Palmy za film *Pod słońcem szatana* (1987) – w reakcji na gwizdy dziennikarzy.

Mrówka biega zygzakiem po białej kartce notesu. Pamela nie może się skupić. Patrzy na liście falujące w świetle. Kilka dni temu odkryła ten drewniany stół, stojący pod ścianą domu. Wprawdzie się trochę chybotął, ale był jeszcze dość solidny, porośnięty gęstym jasnozielonym mchem. Jésus pomógł jej znieść go kilkaset metrów dalej, na skraj lasu. Pamela zeszła tam z zeszytami pod pachą i zimną kawą, bardzo gorzką, w czarnej filiżance, na której widniał srebrny napis „Star Wars”. Przed nią, jak okiem sięgnąć, identyczne drzewa, posadzone gęsto. Trzeba podnieść głowę, żeby zobaczyć światło. Obejrzała zbyt wiele horrorów. Wie, co się przydarza dziewczynom, które zapuszczają się w takie odludne miejsca. Podskakuje, słysząc najłżejszy szmer i nie potrafiąc odnaleźć jego przyczyny.

Odczuwa coraz silniejszą potrzebę, żeby się z tego wszystkiego wycofać. Przestać przejmować się konfliktami i tym, do czego mogą doprowadzić. Wyobraziła sobie ich grupę jako zwichrzoną czuprynę, którą należałoby co rano czesać, żeby wygładzić włosy splątane podczas snu poprzez sam kontakt i wzajemne oddziaływanie. Większość czasu zajmuje jej słuchanie ludzi, zapobieganie niepotrzebnym kłótniom. Wie, jak to robić. Właśnie to tak bardzo podobało jej się dotąd w obozie: znalazła tu swoje miejsce, dokładnie wie, co ma robić. Wszyscy mówią o magii, o magicznych konwergencjach, magicznych tanecznych nocach, magicznym grupowym porozumieniu. Lecz za tą magią kryje się codzienny trud. Kuchenne zaplecze, podkasane rękawy i prawdziwy zapieprz. Robota dla kobiety. Efekty są niewidoczne, ale absolutnie niezbędne. Bez żadnej gratyfikacji. Wprawdzie Pamela nie ufa feministkom, jednak ich hasła zaprzatają jej głowę. Tak naprawdę wszystko zaprzata jej głowę. Z początku to lubiła. Teraz to też ją męczy. Ma zbyt wielki zamęt w głowie. Jakby znalazła się w głębi lasu: tyle dźwięków, których nie potrafi zidentyfikować.

Słyszysz w oddali głosy dziewczyn z Bordeaux, które przyjechały wcześniej niż zwykle, jakby coś przeczuwały. Dwie niunie z dobrych domów, wyjątkowo puste, zapatrzone w siebie i przekonane, że zawsze mają rację. Jedna mówi: „Chyba mam za dużo cukru w organizmie, jestem zupełnie skonana”. Pewnie zjadła pół rogalika. Mają obsesję na punkcie wagi. Rozmawiają wyłącznie o jedzeniu. O cukrze, tłuszczu. O produktach bio. O glutenie. Nie spożywają posiłków razem z innymi. Gdy widzą, że Pamela je kawałek chleba, robią takie miny, jakby się masturbowała na stole. Skąd się biorą takie idiotki? Jak się wpaja to poczucie przynależności do wyższych sfer? Pamela nie ma pojęcia, jej zbzikowana matka ledwie wiązała koniec z końcem i w żadnym mieszkaniu nie zagrzała miejsca dłużej niż przez rok. Nigdy nie pracowała. Kiedy Pamela, będąc młodą dziewczyną, zaczęła grać w filmach pornograficznych, miała wrażenie, że dokonała rozsądnego wyboru, że w przeciwieństwie do matki znalazła swoje miejsce w życiu. Nie trwało to zbyt długo. Z uczuciem ulgi opuściła wynajmowane mieszkanie, oddała klucze i przepadła bez śladu. Opłacanie rachunków co miesiąc to coś, co ją przerasta. Nie potrafi nawet zrozumieć, jak innym się to udaje.

Ten rok minął nie wiadomo kiedy. Wciągnęła się w wir zajęć. Poszukiwanie dogodnego miejsca, zakładanie obozowiska, przygotowania do imprezy, przyjmowanie ludzi, potem sprzątanie, pakowanie bagaży, by zacząć wszystko od nowa. Słucha Tuxedomoon. *Bombay Tension*, na czerwonym discmanie. Nigdy nie używała tego typu odtwarzaczy CD, jest na to zbyt młoda. Słucha The Nomads, The Saints, And Also The Trees. Muzyki, której nie znała i z którą zaczyna się oswajać. Miała dobry kontakt z chudym, nerwowym chłopakiem, który pozostawił w obozie swoją kolekcję płyt. Chodził w obcisłej czarnej kurtce teddy i nowych conversach tego samego koloru. Przez dwie godziny opowiadał jej o Londynie lat osiemdziesiątych, gdzie pracował w jakiejś restauracji na King's Cross. Poczuli się nieswojo, gdy spostrzegł, że w obozie nie pije się alkoholu. Rozglądał się za piwem i Pamela dała mu kilka puszek, żeby się uspokoił. Nowi przybysze często panikują z tego powodu. Ale szybko do tego przywykają. Konwergencje przeobrażają ludzi.

Śmierć Charles'a wszystko zmieniała. Pozostawiony przez niego spadek wszystko zmienił. Tak wielka suma. Doszło do nagłej utraty sterowności. Karkołomnej beczki. To było przeciwieństwo tego, co się dzieje podczas konwergencji: destabilizacja, która nie prowadzi jednak do niczego dobrego. Na pewno nie do harmonii. A był to dopiero początek.

Pamela dała się ponieść mrzonkom, zanim do niej dotarło, co się naprawdę dzieje. Fantazjom o tym, co można by poprawić, o lepszej logistyce, komforcie, zyskanym czasie... A kiedy Hiena stwierdziła, że lepiej nie tykać tych pieniędzy, Pamela się obruszyła.

Już od kilku tygodni czuła się zmęczona. Jésus powtarzał: „Odpocznij, przestań być nadgorliwa”. Daniel powtarzał: „Dam ci klucze, spędzisz dwa tygodnie w Paryżu – ja mogę przenieść się do Elodie. Powinnaś zmienić otoczenie”. Vernon powtarzał: „Weźcie samochód i jedźcie z Jésusem nad morze. Masz tyle kontaktów, na pewno znajdziesz jakiś dom w Bretanii, gdzie posiedzicie sobie dziesięć dni... My damy sobie radę”. Sylvie nic jej nie powiedziała, ale zaraz po przyjeździe do obozu szukała pomarańczy, by jej zrobić sok. W sumie wszyscy sugerowali Pameli, że powinna odpocząć. Lecz ona nie słuchała. Nie wyobraża sobie, jak wszystko miałoby funkcjonować, gdyby jej zabrakło.

Pamela się zmienia. Na przykład zawsze cieszyło ją prowadzenie kantyny. Na terenie obozu jest wydzielone miejsce, gdzie każdy z uczestników coś im pozostawia. To utrwalony zwyczaj. Dzięki temu mają co jeść. A także pokaźny zapas nowych skarpetek i T-shirtów. W kantynie można znaleźć wszystko. Pierzynę, bryłkę kwarcu różowego wielkości pięści, sól himalajską, baterie, opakowanie paracetamolu, konserwy, butelkę meskalu, świece, tabliczki czekolady, nożyce, wieczne pióro, harmonijkę ustną, statuettę najświętszej Marii Panny z Guadalupe... Pamela sortuje przedmioty, układa je w pudełkach, inwentaryzuje. Czerpie dzieciinną radość z pakowania tych rzeczy. Kiedy Laurent był jeszcze w obozie, robili to razem, jakby mieli uprzywilejowany dostęp do jaskini Ali Baby. Zakasywał rękawy, otwierał butelkę wina, wsuwał krótki ołówek za ucho i spisywał wszystko, co Pamela wkładała do kartonów. Nigdy naprawdę

nie uczestniczył w konwergencjach – taniec w ciemnościach to nie była jego specjalność. Ale było widać, że dobrze się z nimi czuje. Mówił bardzo głośno. Za dużo pił. Sposób, w jaki droczył się z dziewczynami, nie zawsze był zabawny. Jednak Pamela nigdy nie poczuła się w jego obecności nieswojo, będąc z nim w kantynie, a przecież często to były ciasne pomieszczenia. Ten gbur, zdolny położyć dłoń na tyłku nieznannej sobie niuni, nigdy nie wykonał względem niej żadnego niestosownego gestu. Brakuje jej go. Jego odejście bardzo ją poruszyło. Tak się śmiali na widok skrzynki sardynek w puszcze. Zastanawiali się, co za wariat mógł przywieźć ją do obozu. Nigdy się nie dowiedzieli. Laurent nie będzie się już zajmował kantyną. Odtąd sama króluje nad tymi skarbami. To ją przestało bawić. Mogłaby kogoś poprosić, żeby ją zastąpił. Byle kogo, to nie jest skomplikowane. Olga by się do tego nadawała. Ma obsesję na punkcie chipsów i fistaszków. Ktoś jej powiedział, że orzeszki ziemne należą do tej samej rodziny co fasola i że są dobre dla zdrowia. Na dzień przed imprezą staje przed drzwiami do kantyny i radzi ludziom, którzy tam zagląдают: „Następnym razem pomyślcie o fistaszkach. Mają największą wartość odżywczą”.

Kiedy Vernon wymienił sumę, jaką pozostawił im Charles, Pamela od razu pomyślała o supermarkecie. Nigdy by nie wpadła na to, że będzie to pierwszy obraz, jaki narzuci jej wyobraźnia: wózek wyładowany po brzegi. Ale nie byle czym – produktami, które sama by wybrała i kupiła. Uświadomiła sobie, że od kiedy skończyła z filmami porno, nigdy nie weszła do sklepu, dając sobie *carte blanche*. I że jej tego brakuje. Nagle zapragnęła być w mieście, oglądać telewizję, chodzić w ładnych sukienkach. Kupić drugi samochód. Żeby już nie musieli za każdym razem szukać dodatkowego środka transportu dla przyjezdnych, a po zwinięciu obozu zastanawiać się, kto się zajmie przewozem rzeczy zgromadzonych w kantynie i całej reszty. Nie łamać już sobie głowy, czym przetransportować kołdry, poduszki i plecaki. Mały dostawczy samochód, którym można by także odwieźć ludzi na dworzec. Ułatwić sobie życie. Skrócić dyskusje. Zakup drugiego auta to naprawdę minimum. I własne nagłośnienie, żeby już nie być uzależnionym

od dziewczyn z Bordeaux. Faktycznie nieźle miksują. Ale mogliby się obyć bez nich.

Gdy Hiena powiedziała: „Nie bierzmy tych pieniędzy”, Pamela poczuła się tak, jakby dostała w twarz. Na oczach wszystkich. Powinna była zrozumieć, że jej reakcje nie były adekwatne do tego, co się naprawdę stało. Wie, że nikt nie chciał jej upokorzyć. Nikt nie powiedział niczego złego na jej temat. A jednak poczuła się zagrożona, zdradzona. Wiedziała, że jej odbija. A jednak poczuła ucisk w gardle, serce zaczęło jej łomotać, a w oczach stanęły jej łzy – choć sama nie wiedziała, czy to złość, smutek czy lęk. Vernon nie stanął w jej obronie. Nikt nie wypowiedział słów, na które czekała: „Pamela daje z siebie więcej niż my wszyscy i dzięki niej wszystko działa. To ona powinna podjąć decyzję”. Kwestia tego, kto w ich grupie ma decydujący głos, nie pojawiła się nigdy wcześniej. Tematem nawet najbardziej ożywionych dyskusji był zwykle jadłospis. I udawało im się porozumieć. Wygrywał ten, kto w danej chwili był najbardziej zmotywowany: jeśli miał chęć na kartofle, jedli kartofle. Kiedy Pamela i Jésus wyjeżdżali na rekonesans – żeby odwiedzić miejsca, które ktoś im zasugerował – nikt nigdy nie podważał dokonanych przez nich wyborów. Ta rozmowa toczyła się w mroku. W ciemnościach lepiej wyczuwamy obecność osoby, która siedzi obok. Vernon wydał jej się wycofany. Jego obecność na ogół była niemal niedostrzegalna, z wielką łatwością przechodził od jednej osoby do drugiej, jakby był wyposażony w bardzo wrażliwe czułki. Tego wieczoru, gdy rozmawiali o spadku, był bardzo daleko. W końcu Pamela odchrząknęła i wymamrotała: „Za dużo w tym wszystkim emocji, dobranoc, pójdę się przekimać”. Ale wszyscy dobrze ją zrozumieli. Ona też poczuła się w tej sytuacji dziwnie. Była wściekła.

Dołączyła do Jésusa i Mariany, którzy palili trawę przywiezioną z Paryża. Słuchali piosenki *Jardin d'hiver*, śpiewając ją razem z Luz Casal. Véro była z nimi, siedziała jak facet, z rozstawionymi nogami, opierając łokcie na kolanach. Pamela była pewna, że gdy tam weszła, dostrzegła błakający się na jej wargach nieprzyjemny uśmiech. Jakby wszystko wiedziała. Jakby sprawiało jej to przyjemność. I po raz pierwszy od bardzo dawna Pamela zadała sobie pytanie, jaką

właściwie odgrywa tutaj rolę. Nie miała chęci podchodzić do swojego chłopaka, żeby go objąć w talii – był pochłonięty dziewczyną Vernona. Nie miała im nic do powiedzenia. Poszła się położyć, bez słowa. Z niewidzialnym kamieniem zawieszonym na szyi.

Kiedy nazajutrz Pamela wstała, wydawało jej się, że jest wypoczęta. Potem przy śniadaniu słuchała Xaviera, który rozwodził się nad swoim nowym pomysłem: chodziło o darowizny dla starych rockersów, ludzi, którzy przez całe życie byli oddani sprawie, jeździli na *tournee*, nagrywali muzykę, udzielali wywiadów, ale nigdy nie zbili kokosów i po sześćdziesiątce ledwie wiązali koniec z końcem, chociaż nadal grali. Xavier był zachwycony tą swoją ideą. Zamierzał sporządzić listę słabo wynagradzanych podstarzałych muzyków, by rozdzielić między nich pieniądze. Pamela uświadomiła sobie, że wcale jej nie przeszło, gdy nagle poczuła nieprzewartą chęć, żeby mu złamać szczękę jednym uderzeniem kolana.

Hiena usiadła obok niej. Powiedziała: „Tak szybko wczoraj wyszłaś... To, co mówiłam, nie było wymierzone przeciwko tobie, wiesz? Chciałam tylko powiedzieć, że na razie jest dobrze tak, jak jest. To delikatna sprawa. Musimy chronić to, co dotąd udało nam się zrobić”. Ale Lydia wtrąciła się do rozmowy. Zapaliła skręta. Była jedenasta rano. Już była naćpana, wysławiała się z trudem, miała zgaszone spojrzenie. Całkiem skołowana. „Co drugi to poeta... A deszcz może spadać. Dlaczego nie moglibyśmy poszaleć w luksusowym hotelu i przepuć całą kasy za zdrowie starego?” Pamela odburknęła: „Bo jeszcze mamy rozum”. I wstała. Lydia wcale się tym nie przejęła i parsknęła śmiechem: „Charles by się ze mną zgodził, nie wydaje wam się?”.

Vernon bronił pomysłu, żeby nakręcić film, o którym Charles tak często rozmawiał z adeptkami pornobiznesu. Każda z dziewczyn nakręciła dwa czy trzy filmy wideo i ogłasza się na Facebooku jako „gwiazda porno”. Film o zombie. Nikt nigdy nie traktował tego projektu poważnie. Zabawne w tym wszystko było jedynie to, że każda chętnie wcielała się w rolę zombie. Wystarczyło o to poprosić dziewczyny z pornofilmów, a efekt przypominał otwarcie puszkę Pandory:

zaczynały wykrzywiać twarze, wydawać z siebie okropne dźwięki, niezdarnie przestępując z nogi na nogę. W sztuce robienia z siebie błazna były niezrównane.

Pamela była gotowa negocjować: drugi samochód, a za resztę pieniędzy można nakręcić film. Jeśli Charles'owi faktycznie podobał się ten pomysł. Xavier studził zapąły. „Nie macie pojęcia, jaki się zrobi bajzel, na nic innego nie będzie już czasu. I nie wyobrażacie sobie, ile to kosztuje... Za czterysta tysięcy euro, jakie otrzymamy w najlepszym razie, nie uda się nakręcić nawet krótkiego metrażu”.

A Pamela, którą wkurzała każda tego rodzaju uwaga, czuła, że traci nad sobą kontrolę. Zwykle taka nie jest. Inaczej by jej tu nie było. Nawiedzały ją dawne demony, które straciła z oczu już jakiś czas temu. Vernon, który stał nad zlewem, płucząc filiżankę po kawie, powiedział:

– Nie przejmuj się zbyt tym spadkiem. Niech to się samo toczy. Nawet nie wiemy, czy naprawdę cokolwiek dostaniemy.

– Véro coś ci mówiła?

– Nie, ale widać, że to przeżuwa. Rozumiem ją: wedle prawa należy jej się wszystko.

Tymczasem Véro zwinęła manatki. Tego samego wieczoru. Bez słowa wyjaśnienia. Spędziła popołudnie, upijając się żubrówką z Jésem i Olgą. Widząc, jak idzie chwiejnym krokiem, rozbawiona, podtrzymywana przez dwoje kompanów, żeby nie zwała się na któryś namiot w drodze do toalety, Pamela pomyślała, że Vernon się myli, że w istocie rzeczy Véro się asymiluje. Powiedziała sobie nawet w duchu: mam nadzieję, że nie zechce z nami zamieszkać, bo za nią nie przepadam. Za jej żalobą krył się jakiś fałsz. A przecież upiła się na wesoło, zaczepiała każdego, kto przechodził w zasięgu jej ramion, by obsypywać go pocałunkami, wyznaniem miłości. Przesadzała. Musiała skupiać na sobie uwagę. Nawet jej radość była agresywna.

W porze kolacji słuch o niej zaginął, z początku wszyscy myśleli, że upadła gdzieś w kącie i przetrawia alkohol. Ale Xavier przeszukał obóz – jej plastikowa

torba i walizka zniknęły. Musiała oddalić się pieszo. Albo schowała gdzieś telefon i wezwała taksówkę.

Nie rozmawiali o tym. Jak gdyby każdy, tak samo jak Pamela, wstydził się swoich niewczesnych myśli. To było coś w rodzaju zbiorowego kaca. Tej nocy nikt nie spał spokojnie. Potrzebowali czasu, by sobie uświadomić, że dali się ponieść bezsensownym mrzonkom.

Dziewczyny z Bordeaux odczekały dwa dni, a potem narobiły niezłego bajzlu w obozie. Skorzystały z nieobecności Hieny i Olgi, które pojechały do miasta z chorą suką. Gdyby były na miejscu, wszystko potoczyłoby się inaczej. Pamela to wie. Nie może sobie tego wybaczyć. Okazała się słabym ogniwem.

Dziewczyny rwały sałatę, siedząc przy stole na tarasie, a Pamela parzyła kawę. Rzuciły sobie porozumiewawcze spojrzenia i zaczęły ją wkręcać:

– Jak sądzisz, czy to możliwe, że Vernon porozumiał się z Véro, a ta się szybko zmyła, żeby to on zgarnął całą kasę? Wszyscy zadają sobie to pytanie, ale nikt nie śmie z tobą o tym porozmawiać.

– „Wszyscy”? To znaczy kto?

– Nie chcemy nikogo sypać. My w to nie wierzymy. Po co Vernon miałby robić coś podobnego?

Pamela powinna była zignorować ich słowa. Ale usiadła obok, wzięła nóż, żeby im pomóc. Najgorsze jest to, że w pierwszej chwili próbowała je uspokoić.

– Skąd przyszedł wam do głowy taki scenariusz? To niezbyt podobne do Vernona...

– Tyle kasy może zmienić człowieka...

– Dlaczego w takim razie tu zostałeś? Skubnęłabyś czterysta tysięcy euro i siedziała tu z przyjaciółmi, których wystawiłaś do wiatru?

Wzruszyły ramionami, udając beztroskę, jakby ta rozmowa była bez znaczenia.

– Nie wiem... Najpierw pieniądze muszą trafić na konto. Zresztą Vernon w ten sposób ucina wszelkie dyskusje. Myśli, że skoro nie uciekł, nikt nie będzie go

podejrzewał... Tak tylko mówię, nic konkretnego... Powtarzam tylko to, co tu i ówdzie słyhać...

Pamela dobrze wie, dlaczego dwie dziewczyny z Bordeaux obwiniają Vernona. Od kilku miesięcy analizują, miksują i przetwarzają dźwięki Alexa, co podsunęło im myśl, że cały sekret konwergencji kryje się właśnie w tych brzmieniach. Że Vernon jest tylko miernym didżejem, nieciekawym zgreдем wykorzystującym naiwność całej grupy. Są przekonane, że każdy mógłby to robić. Że to zwyczajne marnotrawstwo powierzać prowadzenie imprez facetowi, którego uważają za zwykłego gamonia. Niezbyt męskiego. Za bardzo biernego.

Toteż przeszły do ofensywy z nadzieją, że zdołają naruszyć spójność grupy. Chcą wykorzystywać taśmy Bleacha podczas innych wieczorów. Już próbowały przekabacić Kiko. Pozbyć się tej bandy oszołomów i ich beznadziejnego guru, by przejść na wyższe obroty. Źle wybrały swój pierwszy cel: były makler jest fanatycznym wielbicielem Vernona. Ale nie dały za wygraną. Chcą nawiązywać do idei konwergencji. Chcą stworzyć mityczne wydarzenie, ale bez fatalnego guru, który im tylko zawadza.

Pamela wiedziała o tym wszystkim. Szykowała sałatkę z pobłażliwym uśmiechem na twarzy, pewna, że te ich gierki nie robią na niej wrażenia. Myliła się. Ta myśl już kołatała się po jej głowie. A jeżeli? A jeżeli? A jeżeli Vernon dogadał się z Véro?

Nic nie odróżnia dnia takiego samego jak inne od dnia, w którym wszystko zaczyna się walić. Z perspektywy czasu Pamela stara się odtworzyć godziny poprzedzające dramatyczne zdarzenia. Na próżno usiłuje znaleźć jakiś element, który pozwoliłby jej zrozumieć, co się właściwie stało. Jednak najbardziej uderza ją to, że wszystko wydawało się całkowicie normalne. Tyle że jad podejrzania już sączył się w jej żyłach.

To ona zagadnęła Vernona. Niczego się nie spodziewał. Siedział ze słuchawkami na uszach, obok leżały woreczek z bateriami, ładowarka i cała

kolekcja przestarzałych iPodów – ludzie chętnie powierzają mu stare iPody ze swoją ulubioną muzyką. Zapisywał w notesie tytuły kawałków, które go zaciekały. Mariana leżała na brzuchu pogrążona w lekturze powieści Zadie Smith. Pamela zwróciła się do niego: „Robimy herbatę, musimy coś omówić, przyjdiesz?”.

Że niby chciała wyjaśnić całą sytuację. Wynajdujemy sobie szlachetne powody i zakładamy je sobie na twarz jak maskę – żeby nie widzieć niskich pobudek, które nami kierują. Jésus ją ostrzegł: „Nie możesz przyzwalać na to, by ludzie powtarzali takie pomówienia. Porozmawiaj z nim, a sama przekonasz się, że to kompletne bzdury”. Ale Pamela go nie posłuchała: „Nie, musi się oczyścić z podejrzeń w obecności wszystkich, bo inaczej całymi tygodniami będziemy rozmawiali o tym za jego plecami”.

Tym, czego w gruncie rzeczy szukała – choć dotarło to do niej dopiero wtedy, gdy już doprowadziła do tej przykrej sceny – była zemsta. Vernon nie wsparł jej podczas rozmowy o spadku. Chciała mu dopiec. Odpłacić pięknym za nadobne.

Vernon niczego się nie spodziewał. Wysłuchał ich, zrozumiał, że mówią o tym już od jakiegoś czasu. Nie odpowiedział od razu. Ma spowolnione reakcje. Nigdy nie wiadomo, czy dlatego, że jest idiotą, czy może jest zbyt mądry, by działać pochopnie. Poczł się dotknięty. Pameli było wstyd, że postawiła go w takiej sytuacji, gdy zobaczyła, jak zmienia się jego spojrzenie. Nigdy nie widziała go w takim stanie, od miesięcy, które spędzili razem. Zapytał nienaturalnie spokojnym tonem: „Chciałaś, żebym powiedział przy wszystkich, że nie dogadałem się z Véro za waszymi plecami?”, a potem wstał, nie udzielając żadnej odpowiedzi i na nikogo nie patrząc.

Cisza jest jednym z elementów obozowego życia. Spokój ludzi, którzy nie odczuwają potrzeby rozmowy, przebywając ze sobą. Ale ta cisza była wyjątkowa. Nawet dziewczyny z Bordeaux nie śmiały jej przerwać. Wszyscy mieli świadomość, że coś się wydarzyło, coś bardzo brzydkiego. Poczłwszy od Pameli, która pomyślała o tym, by udać się za Vernonem do jego kanciapy i się

wytłumaczyć, lecz tego nie zrobiła. Nie można narobić głupstw, a zaraz potem stwierdzić, że jest nam z tego powodu przykro.

Siadła na uboczu. Słyszy dobiegające z dala wybuchy sztucznego śmiechu – podobnie zachowują się niektóre pary, które całują się na pokaz, by wszyscy wokół myśleli, że jest im ze sobą dobrze. Słyszy, że ktoś wykrzykuje jej imię, poznaje głos Lydii. Domyśla się z jego tonu, że coś jest nie tak. Każde działanie wywołuje skutki. Od chwili gdy napotkała spojrzenie Vernona podczas tej ponurej, upokarzającej sceny, wie, że nie będzie w stanie zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

Vernon podróżuje z paszportem innej osoby. Od dawna nie ma żadnych dokumentów i raczej nie wyrobi nowych, zważywszy, że brak mu niezbędnych papierów. Teraz, gdy musi polecieć gdzieś samolotem, nazywa się Nicolas Nil. Facet przyjechał na jedną z konwergencji, stwierdził: „Uwielbiam sposób, w jaki ustawiasz brzmienie!”, a dwie minuty później, gdy rozmowa zesłała na techno rave’y, które urządza się na pustyni, i Vernon powiedział: „To musi być coś, ale nie mogę wyjeżdżać za granicę, więc nigdy tego nie zobaczę”, Nicolas zaproponował, że pożyczy mu swój paszport. Gość był megazmotywowany, choć Vernon odrzucił propozycję, uznając to za lekką przesadę. Nicolas nazajutrz wyjechał, lecz jego paszport został. Napisał kilka słów na skrawku papieru: że ważność paszportu wkrótce dobiegnie końca, ale że wyrobi sobie nowy, jeśli zajdzie potrzeba, a tymczasem „Enjoy”. Nie po raz pierwszy Vernon jest zaskoczony niezwykłym gestem nieznanym sobie osób po zakończeniu imprezy.

Nie są do siebie podobni. Nicolas ma zęba, jest korpulentny i o pięć lat młodszy od Vernona. Ale ma jasne oczy, pochodzi z Kaukazu i w chwili gdy robił sobie zdjęcie, nosił bujną brodę, więc uwagę przykuwają zwłaszcza jego oczy, nawet nie bardzo widać, że zezuje. To z powodzeniem mógłby być Vernon, gdyby Nil swego czasu przeszedł na drakońską dietę. Kiedy za pierwszym razem okazał paszport do kontroli, zadrżał, ale urzędnik nawet nie zmarszczył brwi.

Vernon idzie za Marianą przez hol lotniska. Uwielbia patrzeć, jak ona się porusza, wyprostowana i nieustannie czujna. Jej oko jest jak skaner, ma świetny zmysł orientacji, nawet nie musi zwalniać, by dostrzec ich lot na ekranie. A przecież niewiele spała tej nocy, mogłaby się uskarżać, powłóczyć nogami i już nawet nie wiedzieć, co tu właściwie robi. Jednak dziarsko idzie od punktu odprawy bagażu do ruchomych schodów pewna siebie, zadowolona, że się tu znalazła. Uwielbia podróżować, wsiadać do samolotu, odkrywać nowe miasta, rozmawiać

z nieznanymi. Odzyskała swoją komórkę i Vernon jest pod wrażeniem, widząc, jak posługuje się aplikacjami – Mariana potrafi znaleźć dobrą restaurację w dowolnym miejscu na świecie, miejsce parkingowe w Berlinie lub w ciągu kilku minut mieszkanie, by zatrzymać się na noc. Ma nawet aplikację, która wskazuje najlepsze miejsca w samolocie. W każdej chwili jest w stanie wskazać aktualne położenie międzynarodowej stacji orbitalnej. Nie zawsze jest to do czegośkolwiek przydatne, ale bawi Vernona, który zaczyna teraz lepiej rozumieć, dlaczego tak cierpiała zmuszona obywać się bez telefonu na terenie obozu.

W niemającej końca kolejce do kontroli bagażu stoją za jakimś gościem z sumiastymi wąsami w stylu José Bovégo*. Vernon szturcha Marianę łokciem: „Myślisz, że dobrze by mi było z wąsami?”, a ona marszczy nos: „Nie znoszę się całować z wąsatymi typami”. „Znałaś ich wielu?” „Jednego i wystarczy. Strasznie drapie”. Vernon czuje lekkie nudności, wieczorem za dużo wypił. Nudził się. Napełnił sobie kieliszek tylko trzy albo cztery razy, ale jego żołądek odwykł od alkoholu lub coś mu zaszkodziło. Obudził się przymulony. Tak jak każdego ranka potrzebował kilku sekund, żeby sobie przypomnieć, że nie jest już z grupą. Jego umysł wciąż stawia opór – chce wierzyć, że to tylko zły sen. Że wszystko wróci do normy. Pokój hotelowy. Przestronny. Podwójne bordowe zasłony. Trzeba było przyjąć do wiadomości, że to wszystko się wydarzyło. Wyjechał. Nagle, pod wpływem impulsu, który chciałby uznać za intuicję. Wyobrażał sobie, że będą go chcieli powstrzymać, że nie pozwolą mu na to. To wszystko wydawało się nie do końca realne. Pamela go zawołała, spytała, czy ich oszukał. Poczł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. To niesamowite, jak kruche jest ludzkie zaufanie. Dzielił z nimi tak wiele rzeczy – a wystarczyła jedna uwaga, by poczuć, że to koniec. Nie było już tam dla niego miejsca.

Wrócił do swojego pokoju. Nic nie powiedział Marianie. Było mu wstyd z powodu tego, co się wydarzyło. Wstydzł się za nich. Słuchał Syl'a Johnsona pogrążony w myślach. Potem położył dłoń na ramieniu Mariany. „Mam ochotę się zwijsać”. Mówiąc to, zrozumiał, że tak właśnie uważa. Odwróciła głowę w jego stronę, robiąc zabawny grymas: „Co się stało?”. Vernon uświadomił sobie, że

trudno mu wyrazić, co naprawdę myśli. Niesnaski, zamieszanie. Wprawdzie przez te dwa lata zdarzały się kryzysy w tej ich łataniej rodzinie, ale nie umiał wyjaśnić, dlaczego doszło do tej sceny.

Nie chodziło o honor. Nie było to też zmęczenie. Okłamał Marianę, uśmiechnął się, udając beztroskę: „Nie wiem, pewnie chodzi o ten nasz wypad do Paryża. Mam zamiar się stąd ulotnić. Pojedziesz ze mną?”. A ona uklękła na łóżku i wybuchła śmiechem: „Pojadę tam gdzie ty... Ale dokąd ty się wybierasz?”. Obojętne. Po prostu zamierzał odejść. To był szalony pomysł. Nie miał ochoty z niczego się tłumaczyć ani czekać, aż wszystko się ułoży. Czuł, że nadeszła chwila, żeby spakować bagaże i ruszyć prosto przed siebie. Ot tak. Przynajmniej w tym momencie to wydawało mu się oczywiste.

Boli go brzuch. Przepuszcza grupę panoszących się Rosjan, którzy doszli do wniosku, że zbyt długo zdejmuje z siebie kurtkę, i jako pierwsi chwytają plastikowe kuwety. Mariana wzdycha. Nie lubi, gdy ktoś wcina się do kolejki – to kwestia zasad. Vernon uśmiecha się do niej.

Dzień wcześniej siedzieli do trzeciej rano w mieszkaniu drobnej blondynki. Przypominała Amerykankę z seriali z lat osiemdziesiątych – malutki nosek, blada cera i słodki głos, nie do końca dojrzały. Zaprosiła wszystkich do siebie, by kontynuować imprezę po występie Vernona. Mówiła: „Chciałabym wyjechać z Francji, tu nie ma żadnej przyszłości dla młodych, ale nie mogę tego zrobić ze względu na dzieci”. Była kasjerką, skarżyła się, że bolą ją plecy, bo musi nosić ciężkie zgrzewki wody. Że ludzie są coraz bardziej agresywni, że ma już serdecznie dość ich nieustannych fochów. Wyjęła butelkę niewiarygodnie dobrego rumu, który palił przełyk i rozgrzewał całe ciało. Jej mieszkanie było niemal puste. Wszystko było tam nowe. Niedawno rozstała się ze swoim chłopakiem, który nie był ojcem jej dzieci. Widząc je na fotografii wiszącej w przedpokoju, Vernon doszedł do wniosku, że dziewczyna musi mieć więcej niż trzydzieści lat, na które wygląda: jej dzieci na pewno chodzą już do liceum. Przez cały wieczór wdzięczyła się do niego, to było przyjemne. Była ujmująca. Przyzwalał na to. Mariana rozmawiała w kuchni

z chłopakami. Nie jest zazdrosna. Powtarza: „jestem najlepsza, ale nie jedyna”, a Vernon rozumie to tak, że nie zamierza być całkowicie wierna. Wypił za dużo rumu i nie mógł iść prosto, gdy pieszo wracali do hotelu przez puste o tej porze ulice Montpellier. Słyszał, jak obcasy jego butów z cholewami stukają o bruk.

Gdy tego ranka obudził się w pokoju, był sam. Mariana wyszła na spacer. Zawsze tak robi. Rano bardzo lubi być sama. On także. W wielu rzeczach są zgodni i nie muszą sobie niczego wyjaśniać. Było wpół do jedenastej i poczuł się głodny – poprzedniego dnia nic nie włożył do ust. Zaczął się rozglądać za kartką, na której podają godziny serwowania śniadań, ale miał mętlik w głowie i dopiero po jakimś czasie zdołał przeczytać „w tygodniu do dziesiątej”, toteż pomyślał: zadzwonię i zamówię śniadanie do pokoju, może się jeszcze uda. Lecz długo nie mógł znaleźć numeru do recepcji, a telefon w ogóle nie był wpięty do gniazdka, długo się za nim rozglądał, ale bezskutecznie. Miał pecha. Było zbyt późno. Szeroko rozsunął story, zobaczył wewnętrzne patio hotelu, nic szczególnego. Wziął prysznic. Gdy chciał włożyć skarpetki, wpadł w przygnębienie – załatywały jakimś starym zwierzęciem i tylko miał nadzieję, że podczas lotu sąsiadowi nie będzie to przeszkadzało. Nie ma za dużo bielizny na zmianę. W obozie prał skarpetki z dnia na dzień. Podczas *tournée* to bardziej skomplikowane. Jeżeli można tym mianem określić ich włośćkę.

Wyjechali, a Mariana uświadomiła sobie, że to ostateczne rozstanie, dopiero gdy znaleźli się w autobusie jadącym do Paryża. Ogrzewanie było włączone na maksa, a kierowca stwierdził, że termostat się zepsuł i nic na to poradzi. Mariana postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Anulowała rezerwację jakiejś holenderskiej pary, która miała zatrzymać się u niej przez tydzień, i pojechali prosto do jej mieszkania. Vernon usiadł przed telewizorem z tabletem na kolanach i siedział tak trzy dni z rzędu, milcząc, pochłonięty artykułami i różnymi głupstwami, które oglądał na dotykowym ekranie. W tym czasie Mariana stawała na rżęsach, żeby wyszukać sale, w których mógłby wystąpić, niezbyt od siebie odległe, tak by nie miał wrażenia, że się tuła po mieście. Powiedziała mu, że

wszyscy słyszeli o Vernonie Subutexie, że to nie było trudne. Jej gorączkowa aktywność wydała mu się trochę niepokojąca, aż w końcu zrozumiał, że Mariana dobrze wie, co robi. Znała o wiele więcej osób, niż mógł się spodziewać.

Stale sobie powtarza, że to był dobry pomysł, żeby opuścić obóz i ruszyć w nieznane. Mówi sobie, że nigdy nie należy spoczywać na laurach. Że stagnacja jest wrogiem przebudzenia. Wspomina Olgę, która po powrocie od weterynarza stanęła jak wryta, widząc go z podróżną torbą na chwilę przed wyjazdem: „Ale wrócisz przed następną imprezą?”. On wzruszył ramionami: „Znajdziecie jakieś zastępstwo. Wszyscy wiemy, że nie jestem niezastąpiony. Powodzenia”.

Tak właśnie się to skończyło. Nie zadał sobie trudu, by się z wszystkimi pożegnać. Jésus zostawił ich na dworcu autobusowym. Rozplakał się. Ale Vernon nie uronił łzy. Nie chciało mu się płakać. Musiał się stamtąd zwijać. Nadal się zastanawia dlaczego. Coś się popsuło. Albo naprawdę oszalał. Bo od chwili wyjazdu nie było ani jednego dnia, w którym czułby się dobrze. Mariana poszła za nim, nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi. Kiedy go zapytała: „Dlaczego nie powiedziałeś, że wyjeżdżasz tylko na kilka dni?”, odparł: „Musiałem się wydostać z tej strefy zbytniego komfortu” – i słysząc samego siebie, zadał sobie pytanie, co się właściwie z nim dzieje.

Odtąd zdaje się na nią. Mariana jest genialnym impresariem. Vernon nigdy nie podejrzewał, że potrafi wszystko tak dobrze zorganizować. Kiedy mają dwa wolne dni, szuka mieszkania do wynajęcia i spacerują po nieznanym miastach, opychają się pizzą i oglądają seriale w telewizji. Rzadko się kochają. Vernon nie myśli o seksie. W jego głowie kłębi się tyle erotycznych wspomnień, że odbiera terażniejszość jako coś w rodzaju *déjà vu*. Wszystko przemija, myśli, i ostatecznie nie ma większego znaczenia.

Wędruje z dworców na lotniska wraz z duchami przeszłości. Można wyrzucić fotografie, pozbyć się przedmiotów, zostawić gdzieś stare ubrania – dawne życie miesza się z obecnym i Vernon słyszy lament minionych zdarzeń, które nie chcą zostać złożone w ofierze. Pulsują wyparte ze świadomości, lecz powiązane z nią

siecią niewidzialnych korzeni. Jego przeszłość staje się uciążliwa. Gdy analizuje swoją obecną sytuację, wszystko wygląda dobrze. Zarabia niezłe pieniądze. Ludzie go dobrze przyjmują. Poznaje nowe miejsca. Mariana nad nim czuwa, a on lubi z nią być. Ale krwawi z powodu martwych historii, tuli do piersi tak bliskie sercu niewidzialne włoki, jest niepocieszony. Od jakiegoś czasu czuje, że czegoś mu bardzo brak.

Teraz rozumie, że podjął decyzję, jeszcze zanim Charles umarł i przed zdradą Véro. Wydaje mu się oczywiste, że „należało tak zrobić”, choć nie wie, skąd wziął mu się ten pomysł. Poczucie braku rozdziera mu serce i czuje się tak, jakby miał czarną dziurę w świadomości, krater, który pochłania wszystko. Trudno mu się pogodzić, że odtąd będzie żył bez tego płomienia. Ale musiał to zrobić. Bo potem przyszloby znudzenie. Czasem rozdrapuje jeszcze świeżą ranę, słuchając piosenki Miosseca *Je m'en vais*, „odchodzę przedwcześnie, odchodzę, nim jeszcze cię zdradziłem”, i jego serce krwawi. Zresztą od chwili odejścia bardzo wielu piosenek nie może już słuchać bez uczucia, że się rozpada na dwoje. Czuje ogromny żal, ale się nie cofnie.

Wczoraj w mieszkaniu ładnej blondynki chłopak, który pracuje dorywczo przy obsłudze spektakli, opowiadał: „Nie mogę już nawet wejść do furgonetki”. Od kilku miesięcy nie jest w stanie zarabiać w ten sposób. To go przerasta. Gość mówił, sącząc rum ze szklanki: „Mam dziewczynę. Chcę być z nią jak najczęściej. Nie mógłbym już spakować rzeczy i wyjechać. Spędzić całego dnia w samochodzie. O dziesiątej rano zamykają przesuwane drzwi i czuję się tak, jakbym siedział w więzieniu. Kiedyś bawiły mnie drobne kradzieże na stacjach benzynowych. Teraz nie mam ochoty tam wchodzić nawet po to, żeby się wysikać. Rozładunek, ustawianie sprzętu, chwila wytchnienia za kulisami. Nie mogę już patrzeć na hotele Ibis. Marzyłem o takim życiu, uwielbiałem je, lubiłem to, co robię. Aż któregoś dnia nagle poczułem do tego niechęć. Wolę zostać w domu z dziewczyną”. A Vernon chciał przycisnąć go do piersi. Przez cały dzień zachowuje się jak facet, który daje radę, swobodny, beztroski gość. Jednak

wstrząsają nim silne emocje. I z jakiegoś powodu, którego nie potrafi wyjaśnić, nie czuje się na siłach, by nawiązać kontakt z osobami z obozu i spytać: gdzie jesteście? Przeczytał gdzieś, że kontakt z jego grupą podnosi ludziom poziom oksytocyny. Wie, że to prawda: sam odczuwa brak tego hormonu.

Drażni go jaskrawe oświetlenie lotniska. Kolejka posuwa się wolno. Ludzie stojący za nim sięgają po białe pojemniki. Niektórzy nie są przyzwyczajeni do tego rodzaju sytuacji. Inni są bardzo sprawni, już stoją w skarpetkach, jedną dłonią rozpinają pasek, trzymając w zębach kartę pokładową. Padają absurdalne pytania typu „Czy ma pan szampon albo pastę do zębów?”, na które każdy odpowiada jak najbardziej serio: „Przecież wiem, że nie można zabierać wody kolońskiej na pokład”. Nowicjusze i kobiety, które miały nadzieję, że tym razem ktoś zapomni prześwietlić ich bagaż, teraz gorączkowo szperają w środku, szukając flakonu, który trzeba będzie zostawić w punkcie kontrolnym, choć kilka metrów dalej, po drugiej stronie bramek, można kupić podobny i wejść z nim do samolotu. Absurd tej sytuacji jest tak oczywisty, że nie szokuje nikogo. To strefa tresury grupowej. Vernon przypomina sobie określenie „zachowania stadne”, które wielokrotnie słyszał na terenie obozu w odniesieniu do pewnej grupy społecznej. Podążanie za tłumem. Tam, pozbywając się przed rentgenem swojego ciężkiego skórzanego pasa, potem opierając się o brzeg taśmy do skanowania bagaży, by ściągnąć przedpotopowe czerwone buty, poczuł się tak, jakby go pozbawiano zbroi, poddając jakiemuś dziwnemu rytuałowi. Zachowania stadne. Musi iść naprzód w skarpetkach jak inni pasażerowie, których poddano tej samej upokarzającej procedurze. Kontroler wskazuje bagaż i zaprasza jego właściciela do siebie, by wypatroszył go zgodnie z regulaminem. Na małych ekranach kontrolnych widać walizki jak rozplątane ciała, pełne dziwnych form o czarnych lub pomarańczowych konturach. Bezpieczeństwo jest tutaj kwestią drugorzędą. Wszyscy wiedzą, że nie można go zagwarantować. Tak naprawdę liczy się dyscyplina. To, by ludzie posłusznie wykonywali każde polecenie, bez dyskusji.

Vernon siada na podłodze, żeby włożyć buty, wokół nie ma już żadnego wolnego krzesła. Poczekalnie są pełne. Jest wiele opóźnionych lotów, pasażerowie, którzy mieli odlecieć kilka godzin temu, nadal tu koczują. Słońce nieoczekiwanie nieco rozjaśnia hol. Przez szyby widać ogromny kołujący samolot, który szuka dla siebie miejsca. Mariana wyciąga z torby tabliczkę czekolady, narzekając, że na tym terminalu nigdzie nie można zapalić.

Mają napięty grafik na kilka najbliższych tygodni. Lecą do Liverpoolu, gdzie Vernon będzie miksował na dachu opuszczonego hipermarketu. Ma gotowe playlisty na dziesięć kolejnych wieczorów. Tyle ich przygotował w obozie. Wyrwany ze swojego naturalnego środowiska, nie wzbudza sensacji. Ale też nie zniechęca ludzi. Młodzi, którzy nie znają jego minilegandy, zastanawiają się, co tu robi ten nieznany nikomu ramol, i łykają ecstazy, czekając na prawdziwe techno.

W samolocie, pomimo starań aplikacji SeatGuru, Vernon nie czuje się komfortowo. Ma za długie nogi i jego kolana wbijają się w oparcie fotela przed nim. Jakieś dziecko płacze. Vernon rozpoznaje faceta z sumiastymi wąsami, który siedzi trochę dalej. Rozwiązuje sudoku na ostatniej stronie jakiegoś magazynu. Ma owłosione dłonie. Mariana testuje aktualne filtry na Snapchacie i pokazuje mu swoją twarz z kocimi uszami.

Myśli o Pameli. Przeprowadza z nią w wyobraźni rozmowy trwające całymi dniami. Czasem Mariana go na tym przyłapuje, wychodzi spod prysznic, a Vernon mówi coś sam do siebie. Tłumaczy Pameli, co się stało, choć w rzeczywistości nie próbuje nawiązać z nią kontaktu. Jak ktoś tak bystry i wrażliwy jak ona mógł sobie wyobrazić, że oszukuje przyjaciół, żeby zgarnąć schedę? Jakaś część jego samego nadal próbuje wierzyć, że to się kiedyś zmieni. Że wszystko wróci do normy. Że uda im się wymazać ten przykry epizod i znowu będą razem, jak kiedyś.

O trzeciej w nocy, zanim do tego doszło, zerwała się burza, wpatrywali się w białe apokaliptyczne błyski rozdzierające niebo – nie podejrzewając, że cokolwiek zapowiadają. Nie mogąc znowu zasnąć, słuchał pierwszej płyty Velvet Underground – i po czasie pomyślał, że może to również było zwiastunem

katastrofy. Jeśli Lou Reed miałby być emisariuszem losu, z pewnością nie przynosiłby radosnych nowin.

Do głosu dochodziły utajone siły. Pamela nie czuła się dobrze. Nie cierpi, gdy ktoś jest wobec niej nieuczciwy. Poczła się zdradzona, gdy Véro wyjechała. Pamela nie znosi uczucia porzucenia. Vernon nie chciał się w to zagłębiać. Teraz, dzień po dniu, próbuje zrozumieć. Każdy zareagował na to na swój sposób. Instynktownie. Inteligencja pozwala usprawiedliwić podjęte decyzje dopiero po czasie. Używamy jej, by opowiadać sobie możliwy przebieg danego wydarzenia.

Udajemy, że wszystko jest dla nas jasne, całkowicie spójne. Ale prawda jest taka, że nie działamy z rozmysłem. To wszystko.

* José Bové – francuski rolnik, polityk i działacz alterglobalistyczny znany z rozmaitych aktów nieposłuszeństwa obywatelskiego.

– Jesteś pewna, że nie czułabyś się lepiej w trampkach?

Emilie zapina klamerkę szpilek. Zdumiona, zerka w stronę Sylvie. To oczywiste, że dobrze w nich wygląda. Potrzebuje kilku sekund, by zrozumieć, o co jej chodzi. Wydyma policzki i stwierdza:

– Jeśli będę musiała biec, to je zdejmę.

Prostuje się, szuka płaszcza i nagle zmienia zdanie:

– OK, ściągnij windę, już idę. Chyba zwariowałam. Włożę najki.

– Od trzynastego ani razu nie wyszłam na obcasach. Już dawno nie chodziłam tak długo na płaskim, chyba że na wakacjach, kiedy wkładam klapki. Boję się, że kręgosłup może nie wytrzymać, bo już się odzwyczaiłam... Ale otwieram szafę, patrzę na czółenka, myślę o Bataclanie* i biorę sportowe buty.

– Wkurzasz mnie, nie pomyślałam o tym, a w dodatku uwielbiam te szpilki, wyglądałam w nich jak Jennifer Lopez.

Sylvie powstrzymuje się od uwagi: „Lepiej tak tego nie podkreślać”. Emilie ma grubą dupę, to fakt, ale nawet gdyby włożyła dwunastocentymetrowe szpile, nikomu nie skojarzy się z Jennifer Lopez. Ktoś śmierdzący potem i przetłuszczonymi włosami jechał przed nimi windą. Krzywią się, zamykając drzwi, i cisną się w maleńkiej kabinie. Emilie zatyka nos, Sylvie ciągnie swe rozważania:

– Rzecz jasna, jest mało prawdopodobne, żeby w niecałe trzy tygodnie po Bataclanie zaatakowali Bercy...

– Wiesz, że nie nazywa się już Bercy?

– Po co ktoś zmienił nazwę, którą wszyscy znają? Pewnie jakiś idiota.

– Będą nas przeszukiwali z dziesięć razy, zanim tam wejdziemy. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby zabili Madonnę?

Na ulicy panuje przenikliwy chłód, jak zwykle w Paryżu przed świętami Bożego Narodzenia, i idąc w stronę metra, wpychają dłonie głęboko do kieszeni. Mówią tylko o tym. Od trzech tygodni wszyscy mówią tylko o tym. To w pewnym sensie urzędza Sylvie: gdyby nie te zamachy, Emilie opowiadałaby w kółko o swoich sprawach sercowych. Trzy miesiące temu poznała chłopaka. Wygląda jak pracownik jakiejś korporacji i trzeba być wyposzczonym na maksa, by się z czymś takim wiązać, ale Emilie jest zakochana. I zaczyna to być nieznośne. Jest w stanie po raz dziesiąty opowiedzieć tę samą historię. Są tacy ludzie: wybierasz się gdzieś z nimi i czujesz się tak, jakbyś był terapeutą.

Dostrzega swoje odbicie w witrynie. Pierwszy raz w życiu Sylvie idzie na koncert w trampkach. Gdy była bardzo młoda, lubiła nosić niskie conversy na bose stopy, odsłaniając kostki – w stylu Jane Birkin. Ale już od niepamiętnych czasów nie stara się wyglądać jak lolita. Jej sylwetka wydaje jej się smutna. Nogi są jakby krótsze. W czółenkach może robić wszystko – zbiec po trawiastym zboczu, iść pewnie po oszronionym chodniku, wdrapywać się na skalne rumowisko czy zbiegać po schodach – ma w sobie coś z Tiny Turner. To kwestia przyzwyczajenia. Jej nogi dobrze się czują na wysokim obcasie, łydki nie drżą, oko z daleka dostrzega każdą pułapkę: kratę wentylacyjną metra, kostkę brukową, śliskie podłoże. Niczego się nie obawia. Oprócz tych skurwysynów integrystów. Wygrali. Musi mieć pewność, że będzie w stanie biec, by mieć odwagę wyjść z domu. Bo w gruncie rzeczy to wcale nie jest żart: po trzech tygodniach od zamachu wciąż się boi, jak wszyscy paryżanie. Swoją drogą, jej białe pepegi Fila są śliczne.

Emilie znowu rozprawia o swoim związku. Poznała w obozie faceta, który szukał basistki. Emilie mu podpasowała. Stwierdziła, że na pierwszej próbie omal się nie poryczała, tak wielką radość sprawił jej powrót do dawnych klimatów. Lecz na dzień przed ich pierwszym supportem, który mieli zagrać w klubie Petit Bain, jej chłopak powiedział: „Nie mogę przyjść, mam umówioną kolację”. A gdy zaczęła nalegać, uprzejmie dorzucił: „To śmieszne w twoim wieku. Nie chcę cię oglądać w tak groteskowej sytuacji”. Emilie opowiadała tę historię wiele razy i z początku Sylvie próbował taktownie dać jej do zrozumienia, co ona o tym

myśli: to idiota. Nie zwracaj sobie tym głowy. Trafiłaś na kompletnego przygłupa. Nic dziwnego: jest ich na pęczki. Ale Emilie czekała piętnaście lat, zanim zdołała wyrwać w miarę znośnego faceta – choć to pojęcie względne, powiedzmy, faceta, który zechciał z nią być – nie przyjmuje zatem niczego do wiadomości. Za dwa tygodnie znajdzie jakiś powód, żeby przestać grać w zespole, i tak się skończą nieprzyjemne dyskusje.

Na peronie metra Sylvie wyciąga telefon i ucina tę rozmowę: „Zrobimy sobie selfie?”. Ustawia korygujący filtr na dziesiątkę i unosi dłoń, żeby zmieścić w kadrze ich twarze. Wie, pod jakim kątem musi ustawić komórkę, żeby wyglądać korzystnie, mieć szczupłe policzki i wydatne wargi. Dostrzega małolatę, która patrzy na nie z wyraźną dezaprobatą, jakby chciała powiedzieć: „Stare pudła jeszcze się mizdrzą do zdjęcia”. Ale ma ją w dupie. Na swoim Instagramie ma mnóstwo zdjęć, na których jej twarz w niczym nie przypomina jej prawdziwej facjaty, ale jeśli ta mała źmija sądzi, że Sylvie ma wyrzuty sumienia, sprawiając sobie przyjemność... Zaczekaj, aż będziesz w moim wieku, dzieciно, zobaczymy, czy nie polubisz filtrów.

Kiedy Max przysłał jej esemesa, proponując dwa bilety na koncert Madonny, przez głowę Sylvie przebiegły rozmaite myśli – przede wszystkim zaskoczenie, że o niej pamięta, radość, że może się wyrwać z domu i ofiarować coś fajnego Emilie na jej urodziny, bo przecież jest spłukana i każdy prezent stanowi dla niej problem, silne emocje związane z tym, że znów pójdzie na koncert Madonny i przypomni sobie poprzedni, uświadomi sobie, jak wiele w tym czasie zmieniło się w jej życiu i jak wielu rzeczy z przeszłości potwornie jej brakuje... Zresztą wygląda na to, że ta resztką, która jej pozostała, wkrótce również zniknie. Obóz był ostatnim miejscem, w którym czuła, że naprawdę żyje. To też się zawaliło. Ale gdy Max przysłał jej tę wiadomość, która sprawiła jej tak wielką radość, ani przez chwilę nie wyobrażała sobie, że w dniu koncertu wyjdą obie na miasto, mając wrażenie, że jest to akt oporu...

Wieczorem 13 listopada włączyła telewizor. Co chwila przeskakiwała z kanału na kanał, czekając, aż zacznie się program *Tego wieczoru lub nigdy*, by zobaczyć, kogo tym razem zaprosili do studia. Olga, która od pewnego czasu u niej pomieszkiwała, akurat gdzieś wyszła. Sylvie nie zrozumiała od razu. Z początku myślała, że chodzi o jakieś gangsterskie porachunki. A nazwa restauracji, którą przecież znała, w sumie niewiele jej mówiła. Z początku. Trochę z nudów włączyła radio, France Info. Ale już nigdy nie zapomni tej nocy. Z powodu samotności. Chociaż dostała wiele esemesów. Wszyscy pytali – gdzie jesteś, wszystko w porządku? Odezwał się Xavier, potem Patrice, później Olga, która pożyczyła od kogoś telefon i utkwiała w barze w okolicach placu Republiki, następnie Daniel, który znał jakiegoś faceta uwięzionego na dachu Bataclanu, Sélim, którego studentka zatrudniła się jako kelnerka w restauracji Petit Cambodge i który nie wiedział, czy tego wieczoru poszła do pracy. A Sylvie, z telefonem leżącym na kolanach, wysyłając wiadomości, zaglądając co chwila na Facebooka, przy włączonym telewizorze, z odbiornikiem radiowym pod ręką, rozplakała się. Nagle zrozumiała, że nazajutrz nie pojedzie autobusem do obozu, by pomówić o tym z innymi. Łzy spływały jej po policzkach i to przynosiło jej ulgę.

Z rosnącym niepokojem czekała, aż Laurent, jej syn, odpowie na esemesy, a powtarzane jak mantra zdanie: „nie ma żadnego powodu, by stał się jedną z ofiar”, wcale nie uśmierzało jej lęku.

Nie wiedziała, że spędza weekend w Normandii. Był w kinie, dopiero po dłuższym czasie odezwał się, żeby ją uspokoić. Teraz on był pełen obaw, prosił: „Nie wychodź z domu, nikt nie wie, co się dzieje”. Na koniec napisał: „Kocham cię”. To jej sprawiło przyjemność, ale znowu się rozplakała. Szlochała po trosze z każdego powodu. Z powodu Lancelota, który wysłał jej miłe słówko. Choć ostatnio stale się na nią złości. Dobrze wie, o co mu chodzi – od kiedy się przeprowadziła, nie może na nią patrzeć: na nią w tym obskurnym dwupokojowym mieszkanku. Samotną, starzejącą się, bez perspektyw. To zbyt skomplikowane. Woli się na nią boczyć. Jej też jest przykro z jego powodu. Sama widzi, jaki jest smutny. Nic mu się nie układa. Ani na studiach, ani z dziewczyną, ani z kolegami.

Zawsze kiedy go widzi – zatem niezbyt często – mówi mu, że wszystko się ułoży, że to tylko chwilowe. Lecz wcale nie jest o tym do końca przekonana. Widzi, w jaki sposób wkracza w dorosłe życie. I nie jest pewna, czy ten mężczyzna dobrze się w nim urządzi. Nie może się z tym pogodzić, że jej dziecko nie ma w życiu szczęścia. Płakała więc jak bóbr, czytając czułe esemesy od swojego syna.

Kompletnie się rozkleiła i wysłała zapewnienia o swojej miłości wszystkim ludziom, których poznała w obozie i do których miała numery. Wszystkim. A im bardziej płakała, tym bardziej ich kochała. Wszystkich, kurwa, wszystkich. Kiedy się obudziła, poznała liczbę ofiar. Zabrakło jej już łez. Rozmowa na WhatsAppie przeciągnęła się do świtu. Olga wciąż była uwięziona w barze. Policja zablokowała dzielnicę. Mówiła, że dzieciaki płaczą, młodzi chłopcy. A ona próbuje podnieść ich na duchu. I po raz pierwszy tej nocy Sylvie się uśmiechnęła. Wyobraziła sobie tych młodych ludzi, którym Olga stara się dodać otuchy, i ta sytuacja jednak ją rozbawiła. Dla kogoś, kto jej nie zna, sposób rozumowania olbrzymki może być naprawdę zdumiewający – to coś w rodzaju gwałtownej semantycznej erupcji.

Sylvie była jedną z nielicznych osób, które nazajutrz wyszły ze swoich domów. Można było odnieść wrażenie, że to połowa sierpnia, gdy Paryż pustoszeje, tyle że bez słońca. Wygasłe miasto. Zmasakrowane. Ból był wyczuwalny, rozpięty od ściany do ściany. Ale do każdej mijanej osoby można się było uśmiechnąć. To było tak wzruszające, że nie spacerowała długo – musiała wrócić, żeby się rozpłakać. Zwykle gdy jest na ulicy i jest tak przybita, że łyzy podchodzą jej do oczu, szuka jakiegoś kościoła. To jedyne miejsce, gdzie można wejść, usiąść i płakać i gdzie nikomu to nie przeszkadza. To także jedyne miejsce, gdzie kobieta może pozostać dłużej sama i żadnemu dziwnemu typkowi nie przyjdzie do głowy zamęczać jej rozmową. Lecz tej soboty Sylvie nie miała odwagi, żeby płakać w kościele.

Po powrocie do domu ujrzała Olgę w różowej podomce, w której wyglądała jak Barbapapa. Właśnie wyszła spod prysznic. Nie spała przez całą noc. Ale rozpierała ją energia. Ochrzaniała przez telefon Xaviera, mocno gestykułując: „Pogięło cię czy co? Ludzie jeszcze nie wyszli z sali koncertowej, a ty już zamieszczasz na Facebooku komentarz »Przyjmujcie więcej uchodźców«? Nie

zadzwoiłam do ciebie od razu, bo utknęłam w barze i nie chciałam straszyć ludzi, ale kto by pomyślał, że z ciebie taki dupek. Nie masz serca czy masz kłopoty z głową? »Przyjmujcie więcej uchodźców«. Co chciałeś przez to powiedzieć, patafianie? O co ci chodzi, czubku? Co ci się roi w tej pustej łepetynie, gdy piszesz takie rzeczy? Należy zabić wszystkich uchodźców! Za mało ludzi zginęło? Jeszcze nie masz dosyć? Musisz z siebie wyrzucić te swoje frustracje, bo jeszcze nie jest dość smutno, jeszcze nie dość ponuro? Kurwa, Xavier, odjęło ci rozum...». A gdy już objechała go z góry na dół, nie dając mu dojść do głosu, zakończyła rozmowę słowami: „OK, do wieczora, tak, widzimy się wieczorem”, po czym się rozłączyła i zadała pytanie: „Może wieczorem spotkalibyśmy się wszyscy u ciebie, co o tym myślisz? Sytuacja jest nadzwyczajna... Chyba powinniśmy się zobaczyć, nie?”. Sylvie szeroko otworzyła oczy: „Wszyscy? To znaczy kto? Mieszkanie jest za małe. Olgo, kogo jeszcze tu zaprosiłaś?”. Zaprosiła wszystkich. Cały obóz. I wpatrywała się w Sylvie szczerze zdziwiona, nie rozumiejąc, dlaczego w tej niewielkiej przestrzeni nie miałyby się zmieścić jakieś dwadzieścia osób. „Nieważne, czy wszystkim będzie wygodnie. Chodzi o to, żebyśmy byli razem... Bo stało się wielkie nieszczęście. Brak mi słów. Gniewasz się, że ich zaprosiłam, nie spytawszy cię wcześniej o zgodę? Jestem kompletnie rozbita, to była okropna noc, czułam się jak jakaś terapeutka, zajmując się wszystkimi dokoła. Francja nie jest gotowa do wojny, wiem, co mówię...”

W pierwszej chwili Sylvie poczuła irytację. Ale potem uznała, że to był dobry pomysł. Olga miała rację – teraz bardzo potrzebowali bliskości.

Sylvie jeszcze nigdy nie zorganizowała tutaj imprezy. Ze wstydu. Bo to zwykłe, nieciekawe mieszkanko z niskim sufitem. Bo umeblowała je byle jak. Bo ulica jest brzydka, pozbawiona wdzięku, a na klatce schodowej zalatuje zupą jarzynową, jedzeniem biedaków. Bo diler z szóstego piętra blokuje drzwi wejściowe i narkomani sikają obok windy. Gościła u siebie Olgę, która zajęła sofę. Wiedziała, że Olga nie będzie zwracała na to wszystko uwagi. Jest przyzwyczajona. W jej oczach ten ogólny syf to nic nadzwyczajnego.

Sylvie zrobiła naleśniki, a okoliczności były tak niezwykle, że spróbowała nutelli, którą przyniósł Xavier. Mój Boże, od bardzo dawna nie miała w ustach czegoś tak tłustego. Od kiedy zaczęła przechodzić menopauzę. W sumie to było dosyć proste: przestała się odżywiać. O dziwo, nie czuje się osłabiona. Jej przyjaciółki mówią, że po pięćdziesiątce kobietom w zupełności wystarcza pięćset czy sześćset kalorii dziennie. Nie wie, czy to prawda. Ale nawet stosując dietę anorektyczki, nie traci grama na wadze. Nie wolno jej przytyć. Nie ma pieniędzy, by odświeżyć swoją garderobę.

Około dwudziestej Pamela zapytała: „Gasimy światło?”. I nagle poczuli się może nie do końca tak samo jak kiedyś, ale jakby odżyło w nich poczucie wspólnoty. Przez okno widać było sierp księżyca, świetlistą rysę w ciemnościach. Patrice zapytał: „Wiecie coś o Vernonie?”. Wszyscy o nim myśleli, lecz nikt nie ośmielił się wymienić jego imienia. Dla Patrice’a był to najlepszy wieczór od chwili, gdy rozwiązali obóz.

Spotyka się z tymi samymi ludźmi co kiedyś – ale nikogo do siebie nie zaprasza. Kłamie. Mówi, że się przeprowadziła, bo bez Lancelota źle się czuła w tamtym mieszkaniu. Że było dla niej za duże, że chciała zmienić coś w swoim życiu, że uwielbia swoją nową dzielnicę. Opowiada, że znalazła ładne dwa pokoje w pobliżu Le Marais. Mieszka niedaleko metra Parmentier. Mówi swoim przyjaciółkom: „Wkrótce was zaproszę, jak skończę się urządzać”. Dla jej przyjaciół utrata społecznej pozycji to powód do hańby. Ona sama też tak myślała, z początku. Jednak nie bawi się już tak dobrze, kiedy się z nimi spotyka.

Rozmowy się nie zmieniły. To jej ucho jest teraz bardziej wyczulone. Słowa, na które kiedyś nie zwróciłaby żadnej uwagi, teraz ją irytują. Przy stole zawsze znajdzie się ktoś, kto zacznie opowiadać o jakimś nieudaczniku, który przeniósł się na wieś i woli żyć z zasiłku, niż poszukać pracy. Każdy z jej zamożnych przyjaciół zna jakiegoś cwaniaka, lenia, darmozjada. Jest ich co niemiara. Nie kiwnie taki palcem i zgarnia tysiąc pięćset euro miesięcznie. To marnotrawstwo pieniędzy. Jeszcze dwa lata temu Sylvie też miała na podorędziu swojego biedaka, męża

kobiety, która u niej sprzątała – facet od lat zbija baki w domu i wie, jak wyciągać pieniądze od państwa. Ale od kiedy nikt już u niej nie sprząta i musiała sama postarać się o zasiłek, wie, że zamożni ludzie przy kolacji opowiadają sobie banialuki. Nie marnotrawi pieniędzy od chwili, gdy każda faktura działa na nią jak cios w splot słoneczny. Nie śmie uderzyć pięścią w stół i powiedzieć: „Na Boga, przestańcie opowiadać głupoty, spróbujcie wyciągnąć jakieś pieniądze od państwa, zobaczcie, jak żyją te wasze niedołęgi, te wasze darmozjady... Zobaczcie sami, jak łatwo się żyje za mniej niż tysiąc euro miesięcznie”. Lecz milczy. Zawsze miała tyle do powiedzenia, a teraz dowiaduje się, co znaczy upokorzenie. Poza tym zna tych ludzi: rzeczywistość niewiele ich obchodzi. Liczy się tylko to, co sobie mówią nawzajem przy butelce dobrego wina. Ona też taka była. Podzielała poglądy tej lewicy. Która nie ufa biednym. Która ich nawet lubi, ale zbyt dobrze ich zna i nie ma co do nich złudzeń. Nie bądźmy naiwni. Tych ludzi trzeba po prostu dobrze wytresować. Bo ci biedacy są niewdzięczni jak psy. Gryzą rękę, która ich wykarmiła. Nabrali złych nawyków. To wina bogatych. Byli dla nich zbyt szczerzy.

Sylvie również przez długie lata wierzyła, że ktoś taki jak ona nigdy nie upadnie tak nisko, by zarejestrować się w urzędzie pracy. To nie była złośliwość czy pogarda dla innych. Po prostu była głęboko przekonana, że jest naprawdę zaradna. Nie zdając sobie sprawy, że w gruncie rzeczy uważa ludzi, którym powinna się noga, za niezbyt obrotnych. Jak gdyby piękne mieszkanie, zakupy w Le Bon Marché, korzystanie z taksówek i wybór dobrej szkoły dla syna zawdzięczała swoim niepodważalnym zaletom.

Kiedy straciła wszystko, nad jej życiem zawisły ciężkie chmury: niewiele z niego zostało. Próbowwała, pukała do wszystkich drzwi, wysyłała listy, składała oferty – chciała być bileterką, freelancerką, babcią klozetową, tłumaczką, asystentką, ekspedientką, podejmować dorywcze prace... Lecz równie dobrze mogłaby oszczędzić sobie tych wysiłków, zostać w łóżku i drapać się po tyłku, spoglądając w sufit, bo nie znalazła żadnego zajęcia. Ani na pół etatu, ani na czarno, ani jako opiekunka do dziecka. Nic. Toteż zaczęła patrzeć inaczej na

swoich współtowarzyszy z obozu. Oni się nie zmienili. Tylko do niej dotarło, że zawsze miała na ich temat wyrobioną opinię. Tak głęboko zakorzenioną, że nawet nie była tego świadoma. Nim doświadczyła społecznej deklaszacji, była przekonana, że Vernon, Lydia, Xavier, Patrice i inni to przemili ludzie, ale w gruncie rzeczy niezbyt zapobiegliwi. Że brak im siły przebicia. Że mogliby się trochę bardziej postarać. Och, nie miała im tego za złe, lecz tak naprawdę gdzieś w głębi duszy wierzyła, że jeśli w życiu lepiej jej się układa, to dlatego, że na to zasługuje. Zdarzało się jej powiedzieć: „wiem, że jestem w lepszej sytuacji”, lecz w jej mniemaniu nie była to cała prawda. By uzupełnić tę myśl, należałoby dodać: „ale gdybym musiała zaczynać wszystko od nowa, wiedziałabym, co zrobić, by nie utracić żadnego z moich przywilejów”. Utożsamiała się z komfortem. Z tym, że wszystko jej łatwo przychodzi. Można by dojść do wniosku, że życie samo zadbało o to, żeby jej uświadomić, jak bardzo się myliła.

To, co się wydarzyło w jej życiu osobistym, zbiegło się w czasie z przemianami w skali całego kraju: w ciągu roku cały jej świat legł w gruzach. Wszystko zaczęło się z chwilą odejścia Lancelota. Jej były mąż oświadczył, nie owijając w bawełnę, że odtąd nie zamierza dawać jej ani centyma. Miał prawo tak powiedzieć. Tyle że ona się tego nie spodziewała. Zawsze wydawało jej się czymś zupełnie naturalnym, że będzie jej pomagał, dopóki ona będzie tego potrzebowała. Jakby jakaś niepisana umowa, nierozzerwalne porozumienie sprawiało, że nigdy nie zachowa się w nieelegancki sposób, pozostawiając ją samą sobie. Wychowała jego syna. Włożyła w to wiele trudu. Była jego pierwszą żoną. Na całe życie. Jednak on widział to inaczej. Wspominał o kryzysie, podatkach, ciężkim życiu. Ani centyma, i to z dnia na dzień. Sylvie pojechała do swojej matki, żeby przedstawić jej tę sytuację. Myślała, że będzie mogła z wyprzedzeniem skorzystać z prawa do spadku. Dostać niewielką część, by przetrwać ciężką chwilę, unikając przy okazji płacenia podatku. Póki jej sytuacja się nie unormuje. Spodziewała się, że wyjdzie stamtąd z dwudziestoma czy trzydziestoma tysiącami euro, które będzie wydawała w sposób bardzo roztropny. Ale wbrew wszelkim oczekiwaniom matka tylko mruzczała coś pod nosem, obiecała, że zobaczy, co mogłaby dla niej zrobić, i prawie

wyrzuciła ją za drzwi. Kilka dni później trafiła do szpitala. Sylvie uświadomiła sobie po czasie, że udar mózgu, który był przyczyną jej śmierci, musiał mieć związek z tą prośbą. Nie mogła mieć wątpliwości. Wyrzucała to sobie, ale nie mogła wątpić. W ciągu kilku dni straciła swoją mamę.

Od chwili gdy Sylvie dowiedziała się o jej śmierci, rano budzi się w pościeli mokrej od potu. Paradoksalnie, jest to nawet przyjemne uczucie. Ma wrażenie, że oczyściła się ze swoich lęków. Jednak niezbyt praktyczne – czasem musi wstawać w środku nocy, żeby zmienić pościel. Musiała się wszystkim zająć. Niesamowite, ile trzeba wykonać papierkowej roboty po czyimś zgonie. Jej ojciec dobiega dziewięćdziesiątki, nie jest już w stanie zamknąć kont bankowych. Na brata nie mogła liczyć, mieszka w Australii i przyjechał tylko na krótko na pogrzeb. Siedziała przy sekretarzyku w salonie, gdzie zawsze siadała jej matka, gdy przeglądała rachunki, co często się zdarzało, bo zawsze to właśnie ona zajmowała się domowym budżetem. Miała do tego talent, tak przynajmniej mówiło się w jej rodzinie. Z początku Sylvie myślała, że niezbyt dobrze rozumie. Tak wiele kont bankowych, nie widziała żadnego sensu, by gromadzić tony papieru. Rozbawiona, choć trochę skonsternowana i rozczulona tą drobiazgową buchalterią matki, uznała pierwszy kredyt rewolwingowy, na jaki natrafiła, za jakieś dziwactwo. Przy drugim zadała sobie pytanie, co matce przyszło do głowy. Ale im bardziej zagłębiała się w te papiery, im więcej otwierała teczek, coraz lepiej zapoznając się z interesami matki, tym wyraźniej widziała całą tę finansową konstrukcję: obłądny montaż, zawiłą kombinację, w której jedne kredyty spłacały inne kredyty – służące do spłaty kolejnych zobowiązań. Spędziła wiele dni, rozszyfrowując sterty dokumentów, przerażona rozmiarem katastrofy. Jej matka, ta poważna, wręcz surowa kobieta, ta wielka dama, która zawsze wskazywała granicę między tym, co wolno, a tym, co karygodne, okazała się kimś w rodzaju genialnej hochsztaplerki. A ojciec, upijający się likierem Fernet-Branca i łykający proszki uspokajające, nie wiedział o niczym. Rozglądała się po szykownym apartamencie, wspominała swoich szczęśliwych rodziców w tej scenerii godnej królewskiego pałacu.

Wertowała rachunki. Brakowało setek tysięcy euro. Wszystko dla utrzymania pozorów. W ich rodzinie były też inne sekrety, które nigdy nie wychodziły poza ściany domu: ciężka ręka jej ojca, kiedy za dużo wypił – u innych ludzi mówiłoby się o domowej przemocy, u nich mówiło się, że „bywa stanowczy”. Matka od czasu do czasu uderzała czołem o drzwi, jakaś gałąź zadrapała ją w oko albo upadła na schodach. Ale wszystko było w porządku. Budowla wciąż stała. Zagłębiając się w niewiarygodny labirynt długów, jaki cierpliwie budowała jej matka, Sylvie zrozumiała: nic nie funkcjonowało, została tylko fasada. Wszystkie te kombinacje, by nie sprzedawać porsche cayenne i nie rezygnować z karnetu na mecze Sporting Clubu, na które jej ojciec i tak od lat już nie chodził. Sylvie na próżno łamała sobie głowę, nie była w stanie ogarnąć finansowych machlojek matki. To było zbyt złożone. Zadzwoiła do brata, powiedział, że teraz nie może przyjechać i żeby sprzedała wszystko. Był zawiedziony. On też liczył na ładny spadek. Sylvie zdobyła się na odwagę i powiedziała o wszystkim ojcu, który zwyzywał ją od kłamczuch i ostatnich idiotek. A kilka tygodni później jednak do niej zadzwonił, gdy otrzymał pierwsze wezwania od komorników. Wróciła, żeby sprzedać samochód i wypełnić wniosek o upadłość konsumencką.

Ojciec patrzył na nią tak, jakby była ostatnią kanalią. Był przekonany, że ukradła jego pieniądze. A przecież powinien był wiedzieć. Sylvie nie rozumiała, jak mógł się nie domyślić, że od dwudziestu lat pieniądze wypływają i nie ma żadnych wpływów. Nawet ludzie bogaci są w stanie pojąć to proste równanie. Trzeba go było wysłać na południe, do jego siostry, która mieszka w Awinionie. Potem słuch o nim zaginął.

Sylvie i Emilie docierają do ogrodzenia hali Bercy, jest tam niewielu ludzi jak na wieczór tuż przed koncertem. Ochroniarz o fascynującej urodzie tłumaczy nowo przybyłym, że tłum nie powinien się gromadzić na ulicy, stałby się zbyt łatwym celem w przypadku serii z broni automatycznej – i wskazuje dłonią nieistniejący samochód, który mógłby zwolnić w tym miejscu, a ktoś siedzący w środku mógłby otworzyć ogień – więc wszyscy muszą wchodzić do hali od tyłu, od strony parku. Emilie i Sylvie, choć się nie umówiły, stoją przed ochroniarzem, wielokrotnie

słuchając jego wyjaśnień. To nie tylko wyjątkowy przystojniak, ale świetnie wszystko tłumaczy i jest czarujący. W końcu ściągają na siebie jego uwagę i nie wypada im pozostawać tu dłużej.

– Kurwa, skąd oni wytrzasnęli takiego faceta? Widziałaś, jaki jest *sexy*?

– Nie mamy do niego żadnych dodatkowych pytań?

– Niestety nie.

– Jestem pewna, że gdyby Madonna go zobaczyła, od razu zaprosiłaby go za kulisy.

Kilka metrów dalej faceci w odblaskowych żółtych kamizelkach machają latarkami, wykrzykując, w którą stronę ma się kierować tłum. Już mają zachryplę głosy. Paryż jest inny niż zwykle. Ludzie zapomnieli o arogancji. Bez szemrania słuchają poleceń. Trzeba dość długo iść. Nikt się nie uskarża. Można by ich przeczołgać dookoła dzielnicy i żaden paryżanin by nie zaprotestował.

Idą przez park, na tyłach Bercy, i stają w kolejce. Każdy myśli zapewne o tym samym. Czy ten rów nieopodal jest dosyć głęboki, żeby się w nim schować? Gdyby snajper ukrył się na tym balkonie, wysoko nad tłumem, jak długo by to trwało, nim zdołano by go zneutralizować?

Max przysłał wiadomość, jest już na miejscu, szuka ich. Sylvie obawia się z nim zobaczyć. Kiedy zaproponował jej te bilety, zadała sobie pytanie, czy ją podrywa. Nie miała ochoty iść z nim do łóżka. Ale poczułaby się nieswojo, gdyby on o tym myślał i na jej widok powiedział sobie: o nie, jednak za bardzo się postarzała. Ona raczej nie będzie rozczarowana: Max nigdy nie był adonisem. Brzydcy faceci na ogół ładnie się starzeją. Co z tego, że był nieurodziwy, i tak wyrywał laski. Przystawiał się do niej, kiedy była z Alexem. I mu uległa. Jest typem kochanka, którego młoda dziewczyna się trochę wstydzi, bo wcale nie jest seksowny. Ale był przekonujący. Nigdy nie powiedział niczego niestosownego i nie miała w stosunku do niego szczególnych obiekcji – nie traktowała go nawet jak faceta, z którym mogłaby pójść do łóżka. Wchodzili po schodach do sali koncertowej Élysée Montmartre, to trwało bardzo długo, bo wszyscy rozpoznawali

Maxa i każdy miał mu coś do powiedzenia. Potem zostawił ją na chwilę przed sceną, szepcząc jej na ucho: „Nie powinienem nawet o tym myśleć, ale, kurwa, jak ja uwielbiam twój zapach. Ależ mam na ciebie chrapkę” – i zniknął za kulisami. Sylvie uznała, że to było wstrętne i całkiem nie na miejscu. I bardzo ekscytujące. Że ośmielił się to powiedzieć. Bezczylnym, łobuzerskim tonem, niskim i pewnym głosem. I jeszcze tego wieczoru, podczas drugiego numeru, ssła go w kiblu, a on trzymał ją za włosy, mówiąc, żeby się postarała. Po dwudziestu latach na myśl o tym nadal czuje się oszołomiona. To się nigdy nie powtórzyło, nie wracali do tego. Ale zawsze darzył ją szczególnymi względami i był dla niej miły. A kiedy Alex ją porzucił, był jedną z nielicznych osób z jej otoczenia, które okazały jej troskę. Max nigdy później nie związał się z żadnym artystą pokroju Alexa. Z mniejszym czy większym powodzeniem nadal funkcjonuje w branży muzycznej. Sylvie słyszała, że czasem zajmuje się karierą młodych piosenkarzy, którzy brali udział w programach telewizyjnych typu talent show. Stracili się z oczu. Ale Max znów się pojawił, w okolicznościach wręcz niewiarygodnych, gdy poleciała na weekend do Barcelony z Xavierem i Pénélope... Tak się składa, że Stéphanie, była żona Maxa, przyjechała na jedną z konwergencji i Sylvie się z nią zaprzyjaźniła... Toteż znów nawiązali kontakt i obiecali sobie, że się umówią na drinka. Po czym zaproponował jej dwa bilety na koncert, bo trochę mu ich zostało...

Poznaje go z daleka. Po sposobie chodzenia, który zawsze był trochę dziwny – jakby za chwilę miał upaść do przodu. Lecz zwłaszcza po kolorach. Co za bezguście. Ma na sobie fioletową błyszczącą marynarkę ze srebrnym kołnierzem. Masakra. Max zawsze pozował na dandysa. Ale kompletnie nie zna się na kodach obowiązujących w modzie. Jego ciuchy są zbyt obcisłe i wygląda w nich jak związany baleron. Witają się, ona przedstawia mu Emilie – rozmawiają przez chwilę o ich niezwykłym przypadkowym spotkaniu. Kolejka posuwa się wolno, powietrze jest lodowate. I po pięciu minutach powraca temat zamachów. Terror przeniknął w ich ciała jak dłoń aktora w szmacianą pacynkę. Tyle że Max nie zdradza żadnych oznak zaniepokojenia. Przeciwnie – ta sytuacja zdaje mu się odpowiadać, ekscytować go. To pirat, zawadiaka, facet potrafiący skorzystać

z totalnego zamętu. A Sylvie zna dość faktów z jego życia, by wiedzieć, że nie udaje. Max nigdy nie skapcaniał, nigdy się nie ustatkował. Pozostał małym agresywnym punkiem z przedmieścia – na którym akty przemocy nie robią wielkiego wrażenia, ponieważ to jego żywioł. W tej atmosferze ogólnego chaosu czuje się jak ryba w wodzie. Zapala papierosa i odpowiada Emilie, która go pyta, czy od dawna znają się z Sylvie: „Nie podam dokładnej daty, bo oboje poczulibyśmy się staro... Ale już wtedy była naprawdę zabójcza”. I dodaje, zwracając się w stronę Sylvie: „Niewiele się zmieniłaś, teraz wyglądasz jeszcze bardziej zniewalająco”. Bierze ją pod łokieć, jakby prowadził ją na parkiet na jakimś balu. Sylvie uśmiecha się do niego, starając się nie pokazać, jaką przyjemność sprawiło jej to, że z nią flirtuje. Komplementy, które jej szepcze do ucha, wywołują taki sam efekt, jakby zanurzała się w jacuzzi, które masuje jej ciało i ją odpręża. Już dawno nikt tak jej nie nadskakiwał. Z wdzięcznością przytula się do niego.

Max opowiada jej o Alexie. Mówi, że w tak ciężkich chwilach żałuje, że nie może z nim porozmawiać. Widzi, że Emilie marszczy nos, gdy wspomina, że podczas konwergencji korzystają z taśm Alexa. Ale Max obejmuje ją w talii – to elegancki, bardzo swobodny gest. Chce zwrócić jego uwagę. Mówi długo, aż czuje lekki zawrót głowy. Ma świadomość, że mówi rzeczy, których Max nie musi wiedzieć. Ma chęć opowiadać o tym, czym był dla niej obóz. Bo to jedyna rzecz w całym jej życiu, która nie była godna pożałowania. Wylewa z siebie potoki słów i wreszcie go rozśmiesza, zaczyna go ciekawić.

* Sala koncertowa w jedenastej dzielnicy Paryża, gdzie 13 listopada 2015 roku doszło do ataku terrorystycznego.

„*You're either the butcher or you are the cattle*”.

Mężczyźni na kolanach, z rękami związanymi z tyłu, są zarzynani nożem, jeden po drugim. Dopalet zadaje sobie pytanie, całkiem poważnie: czy wolałby umrzeć z gardłem poderżniętym nożem przez jakiegoś kanibala czy żeby horda zombie wyżarła mu wnętrzności? Postawił laptop na kuchennym blacie, rozmraża w mikrofalówce porcję ryżu po kantońsku. Nie spuszczaając ekranu z oczu, otwiera butelkę coli zero i napełnia szklankę z kruszonym lodem na dnie. Właśnie takie pytania padają w serialu *Walking Dead*: zarznąć czy wypatroszyć? Trzeba być cholernym masochistą, żeby oglądać takie potworności – na ten serial składają się odrażające sceny krwawych orgii i wrywania wnętrzności, które trzymają widza w stanie skrajnego napięcia, i pojawiające się z rzadka kretyńskie metafizyczne dialogi, napisane zapewne przez jakiegoś leszcza, który przez całe życie żywił się pączkami i wertował komiksy, nigdy nie wychodząc ze swojego pokoju. Jednak serial *Walking Dead* fascynuje Dopaleta. Ogląda go po raz drugi. Kiedy zaczyna myśleć: już w porządku, przywykłem, już się nie boję jak na początku, jakaś okropna scena sprawia, że znów czuje się jak przerażone dziecko, zaciska zęby urzeczony i zniesmaczony zarazem.

Nie poszedł dziś do biura. Wczoraj także nie. Rozmawiał przez telefon ze swoją asystentką. Powiedział, że ma lumbago, że lekarz polecił mu przez kilka dni nie ruszać się z domu. Najprostsze rzeczy stają się skomplikowane. Tylko w mieszkaniu czuje się dobrze, coraz mniej chętnie wychodzi. Potrzebuje czyjś wsparcia. Wszyscy dotychczasowi terapeuci go zawiedli, nie ma ochoty do nich dzwonić. Dosłownie zżera go lęk na samą myśl, że ma otworzyć pocztę elektroniczną. Gdy się do tego zmusi, przekazuje wszystkie wiadomości kolegom – mówi sobie, powinien w końcu zaufać swoim współpracownikom. Ale nie jest już

w stanie nikomu odpowiedzieć wprost. Lekkie stuknięcie palcem w lewy róg dotykowego ekranu i poczta zostaje opróżniona.

Kiedy ostatnio przychodził do biura, robił to tylko po to, by zmylić podejrzenia. Popychał drzwi wejściowe, a na jego wargach wykwiłał automatyczny uśmiech. Nikt nie może się domyślić, że jest pogrążony w depresji. Niczego po sobie nie pokazuje. Gawędził przez kilka minut to z tym, to z owym, po czym zamykał się w gabinecie, prosząc, by mu nie przeszkadzano. Całymi godzinami oglądał na YouTube stare filmy wideo z Johnem McEnroe, w słuchawkach, by nikt za drzwiami nie wiedział, że szef jest kompletnie rozkojarzony, że goni resztką sił. Jest to winny swojej ekipie: złudzenie, że ktoś trzyma jeszcze stery. Pod koniec popołudnia wyłaniał się z gabinetu, zmyślał, że ma jakieś ważne spotkanie, żeby usprawiedliwić tak wczesne wyjście z biura. Ma tego pełną świadomość. Coś jest z nim nie tak. Ale przecież nie zacznie szukać psychoanalityka w sieci. I nie chce dzwonić do przyjaciela, by mu kogoś polecił. Nie ma żadnych przyjaciół. Wszyscy znani mu ludzie skakaliby z radości, gdyby się dowiedzieli, że już po Dopalecie.

Zombie pożera jelita swej ofiary, jego wrzaski wypełniają kuchnię zmieszane z upiornym trzaskiem chipsów Lay's. Kiszki leżą na podłodze porozwijane, lśniąco, zakrwawione. To historia jego życia. Chwila nieuwagi i wróg już leży na tobie – szarpie ci skórę zębami, zjada cię żywcem, napawa się twoją agonią. Miliony widzów serialu rozpoznają się w tej sytuacji – nigdy nie masz chwili wytchnienia, nie możesz się zatrzymać. Niebezpieczeństwo czyha na każdym kroku. Taka jest rzeczywistość. Nie ma żadnego pewnego schronienia, jedynie krótkie chwile, żeby zaczerpnąć tchu. Świat na zewnątrz to koszmar. Gdy tylko okażesz słabość, od razu cię osaczą i rozszarpią na strzępy, zjedzą żywcem, by się posilić twoimi wnętrznościami. Może scenariusz tego serialu faktycznie napisał jakiś stuknięty Jankes, ale jego przesłanie jest uniwersalne: musisz zabijać, zanim ciebie zabiją. Jeżeli zadrży ci ręka, jeśli się zawahasz, zginiesz. Wzniosłe uczucia są nic niewarte. Jesteś rzeźnikiem albo mięsną krową. Nie ma tu miejsca na żadne subtelności. Aby przeżyć, musisz być gotowy na to, by zabijać.

Dopóki Dopalet nie musi wychodzić z domu, nie czuje się najgorzej. Nie nudzi mu się. Przy pierwszej kawie puszcza serial, snuje się w dresie po domu. Przypomina to stan hipnozy. Stara się trzymać nieprzyjemne myśli na wodzy, skupiając się na perypetiach bohaterów serialu. Wie, że asystentka nie uwierzyła w tę historię z lumbago. Chciała organizować spotkania przez Skype'a, chciała wysłać mu mailem całą dokumentację. Nie ustąpił. Wymówił się. W biurze ludzie zaczynają inaczej na niego patrzeć. Ma świadomość, że za jego plecami mówią o jego dziwnym zachowaniu. Na szczęście wkrótce jest Boże Narodzenie. Przez jakiś czas będzie miał święty spokój.

W tym roku córka go nie odwiedzi. Jedzie do rodziny matki. Skorzysta z okazji, żeby trochę odetchnąć, odzyskać równowagę. Za kilka dni będzie znacznie lepiej. Jutro zamierza pobiegać. Prawie codziennie wsiada na rower treningowy, oglądając któryś odcinek. To dzięki ciału wkrótce dojdzie do siebie. Umysł posłucha jego głosu. Musi zadzwonić do coacha. Kilka miesięcy temu zawiesił treningi.

Bardzo by chciał wyprodukować serial. Lubi tę atmosferę na planie. Jest stała grupa ludzi, regularny rytm. I wszystko samo się kręci. Bez końca. Nigdy nie jesteś sam. Nie musisz tracić czasu na zbędne rozmyślenia. Wszyscy się tobą zajmują. Nie jesteś zdany na łaskę losu.

Kiedy był młody, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Chłopcy tacy jak on chodzili do filmoteki. Oglądali cykle filmów Kurosawy, Pasoliniego, Wendersa, potem całymi godzinami toczyli dyskusje. Dopalet udawał, że w nich uczestniczy. Nigdy nie był intelektualistą. Co miesiąc czytał „Cahiers du cinéma”*, ale nic z tego nie rozumiał. Wychwytywał fachowe terminy, gotowe formułki, starał się zapamiętać nazwiska, żeby podczas rozmowy nie wyjść na ignoranta. Dziś młodzi ludzie nie zwracają sobie głowy takimi rzeczami. Gdy mają dość siedzenia przy konsoli i ogrywania frajerów z internetu, oglądają megabrutalne filmy. Nikt już nie uważa się za intelektualistę. To przeżytek. Mają rację. Jaki niby sens miało to bicie piany?

Dopalet chętnie by zrealizował jakiś dobry pomysł na serial. Ale Francuzi to muły. Czasem ktoś mu pokaże jakiś dobry *pitch*, rozmawia ze scenarzystami, którzy próbują go bajerować w jego gabinecie, jest pod wrażeniem, mówi: „OK, trzeba to napisać”. A pół roku później na jego biurku ląduje kolejna wariacja na temat Julie Lescaut**. Bez względu na to, co mu wcześniej naobiecowano, zawsze kończy się to tak samo. Julie Lescaut ze starym kałachem to nieodzowny element scenografii. Typowy francuski serial. A on chciałby zaważczyć i zrealizować jakiś dobry projekt. Gdyby ktoś jeszcze nadawał na tych samych falach, wszystko wyglądałoby całkiem inaczej. Dałby z siebie wszystko. Zapomniałby o lękach, zamachach, rozczarowaniach, zdradach. Mógłby przenosić góry. Gdyby tylko ktoś miał podobną pasję. I przyniósł mu dobry projekt.

Kino w swojej dotychczasowej postaci jest skończone. Ludzie tacy jak on są w stanie zawieszenia. On przynajmniej ma tego świadomość. Wygląda to dokładnie tak jak w *Walking Dead*: na świecie są dwie kategorie ludzi – ci, którzy rozumieją, że toczy się wojna, i ci, którzy trzymają się kurczowo swojego dawnego życia. Wiele osób z jego środowiska z uporem maniaka wierzy, że wszystko będzie wyglądało tak samo jak kiedyś. Ale to bzdura. Nie może zdobyć pieniędzy na realizację swoich projektów. A przecież nie podejmuje bezsensownego ryzyka – postawił krzyżyk na filmach autorskich, na zbyt zawiłych scenariuszach, na ambitnych projektach, których nikt nie zechce oglądać. Nie zamierza się ubiegać o Złotą Palmę w Cannes. Interesuje go tylko *box office*. Myśli o dobrym castingu, o komedii, filmach familijnych. Ale to za mało.

Po co ludzie mieliby iść do kina, żeby obejrzeć jakiś francuski film? Wolą zostać w domu. W internecie mają wszystko, czego im potrzeba. On robi tak samo. Też ściąga filmy. Nie mamy wyboru: przecież nie będzie czekał pół roku, żeby obejrzeć nowy odcinek serialu tylko dlatego, że sporządzenie umów zabiera dużo czasu! Wchodzi na serwis streamingowy i ogląda, za darmo, wszystko to, czego nie można znaleźć na oficjalnych platformach. Netflix, ponieważ Antoine dał mu swoje hasło. Tyle że nie da się niczego obejrzeć na projektorze wideo... Różnica

między nim a innymi ludźmi polega na tym, że on nie ma złudzeń co do przyszłości. Nie będzie dobrze. Będzie coraz gorzej.

Puszcza nowy odcinek. Czasami sporządza listy. Co może oznaczać metafora żywych trupów w tym filmie? Czy jest to symbol imigrantów? Zarażonych wirusem HIV? Bezrobotnych? Biedaków? Wspomnień? Umarłych, o których nie zapomnieliśmy? Ofiar aktów ludobójstwa z przeszłości? Albo spisuje listę miejsc, w których się ukrywają. Więzienie, farma, autostrada, wojskowy instytut badawczy, szpital, supermarket, rzeźnia. Te wykazy do niczego nie służą. Ale Dopalet wie, że właśnie tak należy pracować. Krążąc wokół jakiegoś udanego projektu i rozkładając go na części pierwsze. A gdy któregoś dnia ktoś podsunie mu dobry pomysł, on będzie gotowy. I ruszy z kopyta. Kto wie, czy ten serial nie jest po prostu kretyńską alegorią ludu żydowskiego wyprowadzanego przez Mojżesza z Egiptu. Powinien sporządzić listę przeciwników, z jakimi musi się zmierzyć grupa ocalałych. Bo, rzecz jasna, żywe trupy nie są największym zagrożeniem w serialu. Najokrutniejsi są ludzie z innych grup. Żywe trupy to jeszcze nic takiego: są powolne, pozbawione mózgu. Chętnie z kimś by to przedyskutował. Nigdy nie czuł się tak samotny.

Trudno znaleźć kogoś tak nierozgarniętego jak lider, który w tym serialu staje na czele grupy ocalałych. To od razu rzuca się w oczy. I jest bardzo współczesne. Jest tam dwadzieścia osób, każda wiele potrafi, jest obdarzona inteligencją i siłą. Ale cóż, wybierają spośród siebie największego głupka, żeby nimi dowodził. To trafne spostrzeżenie. Jakbyśmy obserwowali francuską politykę. Jest tyle całkiem dobrych możliwości, a ludzie zawsze wskazują kogoś, kto jest niezdolny do kierowania państwem.

Chwilami sam już nie wie, czy utożsamia się z istotami ludzkimi czy z zombie. On też przypomina monstrualną postać, która idzie, kiwając się na boki, kłapie zuchwą i wyje z głodu, którego nic nigdy nie nasyci.

Tego wieczoru Laurie nie przyjdzie do niego na noc. To już trzeci dzień z rzędu. Będzie musiał wszystko z nią sobie wyjaśnić. Ale kiedy się jej pozbędzie,

nikt mu nie pozostanie. Laurie zapisała się na wieczorowe studia w Akademii Sztuk Pięknych. Ma zwyczaj chodzić na drinka do modnej od niedawna dziewiątej dzielnicy. Przesiaduje tam do wieczora z nowymi przyjaciółkami. Ciekawe, co tak naprawdę robi. Może ma kogoś innego. Laurie kłamie jak najęta. Nieważne, czy sprawa jest istotna czy błaha. Kiedy ją poznał, wyobrażał sobie, że wystarczy dać jej poczucie bezpieczeństwa, a zacznie zachowywać się odpowiedzialnie. Czegoż to sobie nie wymyślamy, gdy nie chcemy przyjąć do wiadomości, że osoba, która się nam podoba, jest zwyczajnym śmieciem. Jesteśmy w stanie wmówić sobie dowolną bzdurę, żeby nie tracić wiary w dobre zakończenie. To nigdy nic nie daje. Ktoś, kto nas zawodzi, z pewnością miał już wiele okazji, by się zmienić, ale nie ma najmniejszego zamiaru tego robić. Laurie to wredna mała dziwka, która nim manipuluje. Przeczytał jej dziennik. Przed kilkoma dniami. „Nie wiem, dlaczego jestem miła dla ludzi, którzy zasługują najwyżej na to, żeby dostać z liścia. Nie wiem, dlaczego tak się przejmuję tym, co może o mnie myśleć jakiś głupi wieprz”. Padał rześisty deszcz, równo, jakby ktoś przed oknem zawiesił szare płótno. Stał przy drzwiach wejściowych. Oniemiały. Nigdy by nie pomyślał, że Laurie ma w sobie tyle agresji. Tyle stron poświęconych jego osobie i pełnych nienawiści. Ciota, stary pierdoła, zgred, bęcwał, fajfus, głupi tłuk... Laurie wydaje się taka milutka. Fajna laska, na oko sama słodycz – ma ładny, lekko ochrypyły głos i uwielbia pieszczoty. Dopalet bał się, że może ją skrzywdzić. Nie śmiał jej powiedzieć, że często myśli o żonie. Bał się, że zbyt do niego przywiąże.

Ale tego wieczoru był w znakomitej formie. Mówił sobie: zaczynam się dobrze czuć w tym nowym mieszkaniu, w tej dzielnicy. Miał dobre przeczucia – myślał o Laurie, o tym, że ta historia mogłaby dłużej potrwać, że ma szczęście, iż trafił na tak bezkonfliktową kobietę.

Laurie zapomniała zabrać sportową torbę, z którą chodzi na treningi krav magi i na aquabike. Zamek błyskawiczny był rozsunięty. Nie grzebał w jej torbie. To nie w jego stylu. Ale dojrzał niebieski notes. Rozczulił się, że nosi z sobą taki mały zeszynek. Rzucił okiem do środka. Przemknęło mu przez głowę, że jeszcze nie widział jej charakteru pisma. W naszych czasach można spędzić z kimś całe

miesiące, nie wiedząc, czy ma pismo okrągłe, pochylone, nieczytelne czy wydłużone... Charakter pisma Laurie go zaskoczył. Skojarzył mu się z pismem kobiety starszej, bardziej dojrzałej. Przeczytał kilka linijek, mimowolnie. Nie wiedział, że prowadzi dziennik. Sądził, że zapisuje w notesie składniki diety, tytuły piosenek, adres fryzjera czy imię masażystki. „Nie pyta mnie o zdanie i pieprzy mnie nawet kiedy nie mam ochoty patrzeć w sufit leżę bez ruchu a tej świni to nie przeszkadza i tak na mnie włązi choć leżę jak nieżywa brandzluje się w mojej cipce ma gdzieś że tego nie lubię. To mnie oduczy kopulować ze starymi capami”. Nie od razu skojarzył, że to wiadro pomyj zostało wylane właśnie na niego. Najpierw pomyślał, że skopiowała tekst napisany przez kogoś innego. Może przygotowywała się na jakiś casting. Chciała zagrać rolę. To było obrzydliwe. Nie pasowało do niej. Ta delikatna buzia, smukłe palce, cudowne pośladki. Mała Laurie, tak kobieca, zawsze uśmiechnięta, której podstawową cechą jest łagodność. Nie mogła napisać tych słów. Odłożył notes trochę zniesmaczony. Dopiero po kilku minutach znów zbliżył się do torby, wziął notatnik i usiadł, żeby dokładnie to wszystko przeczytać. To była kronika pełna nienawiści, z listą prezentów, jakie od niego dostała. Pisała, że najgorsze było dla niej uprawianie seksu. Zgoda, nigdy nie okazywała zbytniego entuzjazmu, gdy chodzi o te sprawy. Ale kobiety na ogół takie właśnie są, chyba że mają ze sobą problemy, spójrzmy prawdzie w oczy. W tej dziedzinie panuje asymetria – kwestia hormonów, łatwo to zrozumieć. Mężczyźni kochają seks, a kobiety pragną miłości. Kiedyś już przyszło mu na myśl, że Laurie jest oziębła. Nigdy nie wyobrażał sobie, że może go zniechęcić za to, że lubi z nią sypiać. Czytał słowa, które napisała na jego temat. Przestało padać i do salonu wpadły ironiczne promienie popołudniowego słońca. Ostrożnie odłożył notes na miejsce i puścił intermezzo Brahmsa w wykonaniu Goulda. Pragnął oczyścić swoje wnętrze.

Nic nie powiedział Laurie. Rządziej się z nią umawia. Wkrótce ją poprosi, by zapomniała jego adres i numer telefonu. Nie chce rozmawiać z nią o notesie. Jego radość zgasła. Nawet nie był świadomy, jak do tej pory było mu z nią dobrze. Taka strata.

Myślał, że podoba jej się jego tatuaż. Kpi z niego w swoim notesie: „Ten żłób ma plecy jak niedzielny gangster yakuzy”. Ma to gdzieś. Jemu się podoba – ten tatuaż ma sens. Kilka razy dziennie chodzi do łazienki. Kontempluje dzieło, ukończone, za pomocą drugiego lusterka. Jest piękne. Od kiedy wie, że nigdy więcej nie zobaczy swojego tatuażysty, czuje w stosunku do niego nawet pewną wdzięczność. Zrobił doskonałą robotę. Gdy podczas dwóch ostatnich seansów zaczął nakładać cienie i dopracowywać szczegóły, Dopalet mógł zobaczyć, jak motyw na jego plecach nabiera głębi, zaczyna się wyłaniać. Życ. Uwielbia ten rysunek naniesiony na jego skórę. To solidna tarcza. Facet zdolny wytrzymać ból, który on musiał znieść, by sprawić sobie taki drugi naskórek, nie może być kompletnym loserem. Przygląda się swoim plecocom w lustrze i myśli, że się z wszystkiego wygrzebie. Jeszcze stanie na nogi. Zapomniał o tym napisie. Jest niewidoczny, zakryty. Zaczyna przywykać do myśli, że to silne, budzące respekt ciało należy do niego. Chce znów chodzić na basen. Tylko pozbędzie się tej oponki i wypłynie na szerokie wody.

Znowu ma brzuch jak balon. Wygląda gorzej niż wtedy, gdy nie stosował diety. Zgubiła go pasja do musu czekoladowego. Co wieczór wcina cały pojemnik, oglądając seriale. Oprócz innych świństw, które pochłania w ciągu dnia. Każdy się zabezpiecza, jak może. On odgrodził się od świata grubą warstwą tłuszczu.

Ma ochotę zrobić sobie przerwę między odcinkami. Ale nie chce włączać radia ani żadnej stacji telewizyjnej. Kanały informacyjne to fabryki do rozbudzania lęków. Od czasu listopadowych zamachów nie ma już sił, by wystawiać się na ich działanie. Jest oszołomiony. Często myśli o tym artykule o psach. *Learned helplessness*. Zamyka się je w klatce i powala na ziemię. Psy szybko przestają próbować wyjść na zewnątrz, żeby uniknąć uderzenia. I przestają gryźć. Przywierają do ziemi i inkasują ciosy.

Jak wszyscy jego rodacy jeszcze się nie otrząsnął po zamachu na redakcję „Charlie Hebdo”. Jak miałyby znieść Bataclan? Toteż nie słucha już wiadomości.

Nie chce już słyszeć o Syrii. Ani o Kongu. Ani o Palestynie. Ma przesytność okropieństw.

W dniu zamachu na „Charlie Hebdo” kupował Ciasto Trzech Króli, gdy usłyszał w piekarni rozmowę dwóch facetów. Ten wyższy powiedział: „Była strzelanina w redakcji »Charlie Hebdo«”. Wyglądał na hipstera. Dopalet odruchowo wyciągnął telefon. Pomyślał o tym niezrównoważonym gościu, który strzelał kiedyś w holu dziennika „Libération”. Ale to nie było to samo. Rzadko kupował „Charlie Hebdo”. Numer z karykaturami tak, na znak poparcia, jak wszyscy. Przez całe popołudnie siedział na Facebooku. Widział, jak zdjęcia profilowe wszystkich jego znajomych kolejno stają się czarne. Jak pejzaż, który wygasa. Zadzwoił do biura, żeby powiedzieć, że wszyscy mogą wracać do domów. Poszedł na marsz 11 stycznia. Choć cierpi na ochlofobię, nie bał się iść pośród tego posuwającego się powoli tłumu. Był już wewnętrznie rozbity przez niedawne wtargnięcie do jego mieszkania. Nigdy naprawdę się z tego nie otrząsnął. Nie chciał oglądać wideo z egzekucji pracowników ochrony, które krąży w sieci. Nie ogląda też filmów pokazujących ludzi, którzy przeżyli zamach na Bataclan.

Ale tym razem już koniec z przymykaniem oka. Jesteś mięsną krową albo rzeźnikiem. Jedni i drudzy, Arabowie i Żydzi, będą musieli się przymknąć. Ludzie są zszokowani, tak samo jak on. To minie. Kraj weźmie się w garść. Zacznie się bronić.

Tej nocy, gdy doszło do zamachu na Bataclan, był z Laurie. Wtedy jeszcze nie wiedział, z kim ma do czynienia. Była przerażona. Zachował się jak mężczyzna. Brakowało mu Amélie. Nie śmiał do niej zadzwonić. Nie powiedział jej, że poznał kogoś innego. Nie chciał jej robić przykrości. Dziewczyna jest od niej o dziesięć lat młodsza, pomyślał, że to mogłoby ją zranić. Nie ma Amélie nic do zarzucenia. Była idealna. Po tej napaści tak bardzo go wspierała. Znosiła jego bezsenne noce, migreny. To, że przybierał na wadze. Wściekał się z byle powodu. Wrzeszczał, bo połączenie z internetem zostało przerwane. Tupał nogami, bo jego lot się spóźnił. Przestał się kontrolować. Myślał o tych nerwowo chorych z XIX wieku, którym zalecano, by nie wychodzili z pokoju i powstrzymali się od wszelkiej aktywności.

To by mu odpowiadało – nie mieć nic do roboty, nie musieć się mierzyć z żadnymi przeciwnościami losu. Ale miał firmę, ekipę, która na niego liczyła. Amélie zносиła wszystko. Potem potraktował ją w sposób, na jaki nie zasłużyła. Ostrzegła go. Powiedziała: „Wiecznie się boję, nie wiem, z jakiego powodu tym razem się wściekniesz, jestem już tym zmęczona”. Napady złego humoru zatruwały całe jego otoczenie. Zdawał sobie sprawę, że powinien się uspokoić. Ale wyzywał ją od idiotek, jeśli wracała zbyt późno po kolacji z koleżankami, kiedy on musiał siedzieć w domu sam jak palec. Czynił nieprzyjemne uwagi na temat jej angielskiego akcentu, gdy spotykali się z grupą amerykańskich przyjaciół. W sobotę chodziła do hammamu, a on krążył po domu, przeklinając ją za to, że poświęca weekend na jakieś głupie rozrywki, a przecież bez problemu może to robić w tygodniu. Długo to rozpamiętywał. Myślał o odwecie. I w chwili gdy najmniej się tego spodziewała, wyrzucił, co mu leży na sercu, wyzywając ją od ostatnich. Któregoś wieczoru stwierdziła: „Musimy zrobić przerwę”. W przeddzień ważnej premiery. A przecież wiedziała, że w kwestiach zawodowych ma naprawdę przechłapanę, że potrzebuje jej wsparcia. Powiedział: „Robisz sobie jaja czy co? Jaką znowu przerwę?”. Ale odpowiedziała: „Już nie mam sił muszę się ogarnąć z dala od ciebie mam dość twoich problemów twoich wymagań i zmiennych nastrojów poprosiłam ojca o klucze do domu w Biarritz jadę tam jutro z córką”. Burzył się, błagał, płakał przez całą noc. Wyjechała.

Kiedy pojawia się agresja, wszystko zaczyna się walić. W pracy, w sferze intymnej, w życiu narodu i poza granicami... Wiele przerażających wieści. Świat rozpada się na kawałki. Nie słucha już programów informacyjnych. Ani w radiu, ani w telewizji. Nie odsłuchuje już jej wiadomości. Bierze kawałek gorzkiej czekolady z solą morską i garść migdałów, siada na kanapie i puszcza nowy odcinek. Bateria w laptopie padła. Wzdycha i idzie do kuchni po ładowarkę. Po drodze zerka na ekran komórki. Otwiera pocztę. Zdobywa się na odwagę i czyta ostatniego maila. Goście z serialu *Walking Dead* ryliby ze śmiechu, gdyby się dowiedzieli, że facet zamknięty w swoim mieszkaniu, gdzie ma bieżącą wodę i pełną zamrażarkę żarcia, przeżywa rozterki, otwierając pocztę elektroniczną.

Nie zna nazwiska nadawcy – pewnie to jakiś spryciarz, który chce mu przekazać, że napisał scenariusz stulecia. Nie zamieścił tytułu – już to go denerwuje.

„Bleach. Subutex. Céleste i cała reszta... Jeszcze się nie znamy, ale chyba mam panu do powiedzenia kilka ciekawych rzeczy”.

Kurwa, za każdym razem gdy już mu się wydaje, że zaraz stanie na nogi, życie daje mu w pysk i znów leży na deskach. To pierwszy mail, jaki otworzył bez drżenia od wielu tygodni, i czyta coś takiego?

Gorączkowo szuka nazwiska nadawcy w internecie – nazywa się Maxime Chapio. Musi usiąść, żeby pozbierać myśli. Na drugiej stronie wyszukiwarki Google widnieje w kolorze niebieskim – były menedżer Bleacha. Rozwali gębę temu skurwysynowi. Co to ma być? Zemsta? Groźby pod jego adresem? Czuje, że cały trzęsie się ze złości. Drżą mu dłonie, nogi, cały kałdun. Cholerny terroryzm. Obecny na każdym kroku. Najwyższy czas zacząć się przed nim bronić. Chociaż od wielu dni wysłanie byle maila przerasta jego siły, niezwłocznie odpowiada na tę wiadomość. „O co panu chodzi?” Zobaczą, z kim mają do czynienia. Nie pozwoli sobą pomiatać. Myślą, że jest przegrany, skończony, załatwiony na cacy. Nagle wpada w szal. Nie przepuści temu gnojkwowi. Jakim prawem? Jakim prawem ten typ wysłał do niego takie wiadomości? Bardzo szybko otrzymuje odpowiedź: „Spotkamy się, by o tym porozmawiać?”.

Wyznacza mu spotkanie w barze hotelu George V. Rzadko tam zagląda. Ostatnim razem był tam z Sophie Marceau, jakieś pięć, może sześć lat temu... Sophie Marceau od dawna nie zabiega o to, żeby umówić się z nim na drinka. Nie należy już do producentów, na których jej zależy. To wróci. Wziął prysznic, ogolił się, wyciągnął stare dzinsy od Armaniego, które kiedyś zwinął i rzucił w głąb szafy przekonany, że już nigdy nie będzie tak otyły, by włożyć te galoty. Zanim włożył białą koszulę Diora, wykonał półobrót, by zerknąć na tatuaż. Niech ten kutas, który mu wysłał wiadomość, ma się na baczości. Nie wie, że zadarł z wytatuowanym gościem. Ze współczesnym yakuzą. Zje go żywcem.

Cieszy się, że wyszedł z domu. Gdy tylko wkroczył do baru, zrozumiał, że dobrze zrobił. Wszystko jest stonowane, oświetlenie w odcieniach różu, dywany, boazerie. Dźwięk charakterystyczny dla luksusowych paryskich hoteli. Wszystko jest pomyślane tak, by mu zapewnić spokój, sprawić, by dobrze się poczuł. To działa. Przyjemnie jest trochę się przewietrzyć. Udało mu się. Ubrał się i wyszedł. Teraz, gdy siedzi w przytulnym wnętrzu, uświadamia sobie, że ten typ niekoniecznie chce mu wyrządzić krzywdę.

Jego rozmówca spóźnia się dziesięć minut. Cóż to za odmieniec? Ma na sobie marynarkę wykrojoną z fioletowego weluru. Dopalet nigdy by się nie ośmielił włożyć czegoś takiego. Często zazdrościł ludziom, którzy mają odwagę nosić odlotowe ciuchy. Uważa, że są śmieszni, ale im zazdrości. Stwarzają sobie osobowość. Na ogół to artyści. On nie może sobie na to pozwolić, ma poważne obowiązki. Facet jest wysoki, ma wydatną szczękę, nie zdjął ciemnych okularów. W barze hotelu George V. Nie brak mu tupetu. Dopalet daje mu znak. Trudno określić jego wiek. Równie dobrze mógłby być zmęczonym trzydziestolatkiem, co facetem po pięćdziesiątce, który się dobrze trzyma. Luksus nie jest jego żywiołem, ale porusza się swobodnie. Jeśli jest pod wrażeniem, nie daje tego po sobie poznać. Ma mocny uścisk dłoni, gibkie ciało, jego uśmiech przypomina uśmiech Willema Dafoe.

Od wielu dni Dopalet nie wychodzi z mieszkania, oglądając kolejne odcinki serialu *Walking Dead*, toteż patrzy na nieznanomego okiem śmiałka, który wyrusza na wojnę. Gdyby jakiś zombie pojawił się w tym miejscu, Max, sądząc po wyglądzie, bez wahania przeszyłby mu gardło jakimś ostrym przedmiotem. W razie ataku żywych trupów byłby dobrym partnerem.

Kelner podchodzi do ich stolika, nie dając im czasu na nawiązanie rozmowy. Facet zamawia whisky. Albo nie orientuje się w tutejszych cenach, albo wychodzi z założenia, że Dopalet ureguluje rachunek. Producent krzyżuje ręce na piersi, żeby zaznaczyć dystans, ale się też uśmiecha, by pokazać, że chce zobaczyć jego karty:

– Pański mail mnie zaskoczył. Nic z tego nie rozumiem!

– Mam nadzieję, że jest inaczej, że porozumieliśmy się momentalnie. Inaczej żaden z nas nie pofatygowałby się na to spotkanie.

Max obraca wokół środkowego palca ogromny sygnet ze skorpionem. Ten gest drażni producenta, choć sam nie wie dlaczego. Obawia się, że facet może być nasłany przez te dwie głupie dziwki. Najwyraźniej ich nie docenił. To jego słaby punkt. Był przekonany, że jeśli zatrudni najlepszych specjalistów, szybko je wytropią. Pomylił się. Nadal ich szukają, a on w tym czasie zdążył sobie wytatuować na plecach japońska rycinę. Dopalet czeka na wyjaśnienia. Max przechyla się w jego stronę i zmienia ton głosu, przechodząc do sedna sprawy:

– Gdyby nie cała seria niewiarygodnych zbiegów okoliczności, nie byłoby mnie tutaj. I wszystko wskazuje na to, że musieliśmy się z sobą spotkać. Nasze drogi przecinają się w wielu miejscach. W końcu zrozumiałem, że Alex Bleach był zawsze, w taki czy inny sposób, w centrum tej całej intrygi.

– Był pan jednym z jego menedżerów, jak wyczytałem w Google...

– Byłem jego menedżerem. Najlepszym.

– Znakomicie. Co ja mam z tym wspólnego?

– Wyznania Alexa Bleacha. Subutex. Céleste. Aïcha. Hiena. Wiele punktów wspólnych.

Wymienia tych pięć argumentów, licząc na palcach, jakby powoli wykladał strita w kolorze. Dopalet czuje, że serce szybciej mu bije. Musi ukryć emocje, nadawać ton rozmowie. Nie może pokazać, że jest pod wrażeniem. Delektuje się whisky, stara się być obojętny.

– Ładna seria. Ale co ma do tego Hiena?

– Zatrudnił ją pan, by odszukała Bleacha. Odwiedziła mnie w czasie, gdy pracowała dla pana. Dobrze ją pamiętam. Bardzo piękna kobieta. Byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że teraz należy do paczki Subutexa.

Poziom adrenaliny jest tak wysoki, że staje się to bolesne. Czuje się tak, jakby wychodził ze śpiączki – gęstej mgły trwającej miesiącami. Rozpiera go radość. Trafił na właściwą osobę.

- Wie pan, gdzie są?
- Nie pomyliłem się, zakładając, że pan ich poszukuje?
- To zależy.

Blefuje. Jest pewien, że to widać. Nie potrafi ukryć wielkiej ekscytacji. Byłby równie przekonujący, gdyby Scarlett Johansson powiedziała mu: „Chodź, zrobię ci dobrze!”, on by odpowiedział: „Zaczekaj, laleczko, teraz nie mam czasu”. Już w tej chwili całkiem inaczej ocenia swojego rozmówcę. Chciałby być takim facetem jak on, ubierać się na luzie w fioletowe ciuchy, nosić ray-bany i gangsterskie sygnety. Max się prostuje, pokazuje zęby w szerokim uśmiechu, niedbale macha ręką:

– Wydaje mi się, że przy pańskiej pozycji i rozległych kontaktach ma pan już wszelkie możliwe informacje na temat całej tej bandy nawiedzonych. Proszę mi przerwać, jeśli zacznę opowiadać banały...

– Proszę śmiało mówić... Wszystko, co tylko pan wie, powiem panu, czy to mnie interesuje.

– Jak wspominałem: cały szereg dosyć niewiarygodnych przypadków sprawił, że postanowiłem zwrócić się do pana... Tak się składa, że znam wiele osób związanych z Subutexem... Zresztą jego samego również.

– Świat jest mały...

– Ich historie zaciekały mnie z rozmaitych, niezbyt istotnych powodów... Mam na przykład niejasne przeczucie, że byłbym w stanie odnaleźć Céleste. W każdym razie wiem, w jakim mieście trzeba jej szukać.

– OK. To ciekawe.

Céleste. To ona trzymała igłę. To ona go napiętnowała. Żaden detektyw nie zdołał jej namierzyć. Ten facet mówi serio. I ma sporą wiedzę. Producent wskazuje palcem szklanki, dając znak kelnerowi, że chce zamówić to samo. Dwa razy whisky. Muszą pomówić. Teraz on przechyla się w stronę swojego rozmówcy, ścisza głos, zmuszając Maxa, by też się przybliżył, i pyta:

– Opowiesz mi to wszystko po kolei?

A Max splata ramiona za oparciem krzesła – ten skurwysyn ma naprawdę czarujący uśmiech – i mówi bez wahania:

– Czekam na przelew, który się bardzo spóźnia, jestem w cholernym dołku. Może mógłbyś mi pomóc?

– Zaczekamy, aż kelner napełni nam szklanki? Mam wrażenie, że to świetna okazja, żeby wznieść toast.

– Za spotkanie.

– Na zdrowie.

* Pismo ukazujące się od 1951 roku. Swoje pierwsze recenzje zamieszczali w nim przyszli znani reżyserzy: Jean-Luc Godard, François Truffaut, Éric Rohmer.

** Tytułowa bohaterka serialu kryminalnego emitowanego przez stację TF1 od 1992 do 2014 roku.

Vernon budzi się w pokoju z wysokim sufitem pomalowanym na biało, podłoga z paneli jest w opłakanym stanie. Usiłuje sobie przypomnieć, w jakim mieście obecnie się znajduje. W niektóre poranki udaje mu się rozwikłać tę zagadkę dopiero przy kawie. Ze snu wyrывało go uczucie dotkliwego chłodu. Czubek nosa ma lodowaty. Belfast. Od kiedy tu przyjechał, przemarza do kości. Na podłodze, przy łóżku, leży książka po francusku, którą znalazł wieczorem w salonie i zabrał, myśląc, że będzie czytał, ale od razu zapadł w sen, jakby wpadł w czarną dziurę. *Długie pożegnanie* w dużym formacie, z czarnej serii Gallimarda. Jest za zimno, żeby wychodzić z łóżka, rozgląda się za telefonem i naciąga na głowę dwa koce. Max zostawił mu wiadomość na Facebooku. Nie otwiera jej. Ogarnia go nieprzyjemne uczucie. Wczoraj dał się zwieść w pierwszej chwili, gdy go nagle zobaczył w tym irlandzkim pubie – w scenerii tak odmiernej od tej, którą obaj znali. Ale gdy minął efekt zaskoczenia i umilkły naturalne w tych okolicznościach radosne okrzyki – nie do wiary co ty tu robisz to już piętnaście lat niesamowite spotkanie kurwa tak mi przykro z powodu Alexa – opanowało go niemiłe przeczucie, które powraca, kiedy wyrывa się z letargu.

Otwiera Facebooka, stronę, na którą zagląda od chwili wyjazdu. To nie jest jego profil, to strona, do której hasło mają wszyscy mieszkańcy obozu, służąca do wymiany informacji w zamkniętym gronie – i na której nikt już niczego nie zamieszcza. Na stronie głównej dowcip: „Co z panem, Mister Kill?”. I as pik. Vernon nic z tego nie rozumie, ale po sześciu kolejnych postach to do niego dociera. Wokalista Motörhead nie żyje. Siedemdziesiąt lat, zmarł na raka. Próbuje przeczytać artykuł na ten temat na stronie jakiejś gazety, ale wyświetla się zbyt wiele reklam, uniemożliwiając lekturę. Odkłada telefon i przekręca się na bok. Wspomina ostatni koncert Motörhead, na jakim był, w listopadzie 2013 roku, w Le Zénith. Salę wypełniali faceci w jego wieku. Goście wyglądający na pracowników

sektora usług i handlu, którzy przy pierwszych dźwiękach *Ace of Spades* zaczęli nagle zarzucać włosami jak heavymetalowcy. Kiedy myśli o Lemmy, widzi to jego zdjęcie w krótkich dżinsowych spodenkach, na którym pali papierosa z gapowatą miną. Lemmy nie traktował siebie poważnie. Nie odgrywał żadnej publicznej roli. Nie musiał tego robić. Miał prezencję, miał ten swoisty *sound*. Motörhead jest jak The Ramones albo AC/DC, to już nie grupa, tylko ściana nośna. Czy ci się to podoba czy nie, dom, w którym mieszkasz, został zbudowany właśnie na tym brzmieniu. Vernon słuchał Motörhead z kumplami w furgonetkach i śpiewali chórem, wydzierając się na całe gardło. W słuchawkach, idąc ulicą, wypinając pierś, szczęśliwy, wypełniony tą szczególną energią, buntowniczą i radosną zarazem. Zaraz po otwarciu sklepu puszczał płytę *No Sleep 'til Hammersmith*, by sobie wszystko poukładać w głowie, i już po pierwszych dźwiękach wiedział, że to będzie dobry dzień. Głos starego przynosił mu otuchę po niejednym zerwaniu. Ten chropowaty i kojący głos, który trafiał prosto do trzewi, ten witalny ryk. Ta muzyka działa jak terapeuta, który cię klepie po plecach, mówiąc „będzie dobrze”.

Vernon myśli o ludziach z obozu. Nie pisze do nich. Nie odpowiedział na żadną z ich wiadomości. Im dłużej zwleka, tym trudniej będzie mu znowu się ujawnić. Ma tę świadomość. Nawet 13 listopada w nocy nie odezwał się słowem. Był w Wolverhampton, gdzie dzień wcześniej miksował. Natychmiast wszedł na Facebooka, żeby sprawdzić, co się z nimi dzieje. Lydia napisała do niego. Sylvie też wysłała mu wiadomość. Podobnie jak Sélim. Vernon nie zdołał się przełamać, udać, że puścił wszystko w niepamięć, i napisać do nich paru ciepłych słów.

Życie, jakie ostatnio wiecie, nie jest nieprzyjemne. Przyzwyczajają się. Całymi godzinami może nic nie robić, poza tym nieustannie zmienia miejsce pobytu i ten rytm, to zawieszenie w próżni raczej mu odpowiada. Oddaje się mrzonkom, rozmyśla, słucha muzyki. Czuje się trochę tak, jakby umarł dla świata, a wieczorem przez dwie godziny puszcza parę płyt.

Vernon znowu bierze telefon. Na którymś z portali społecznościowych młoda kobieta protestuje: „Wszyscy składają hołd Lemmy’emu ale przypominam że ten

facet kolekcjonował nazistowskie gadżety...”. Nikt nie zwraca uwagi na tę deklarację, nawet trolle nie chcą się tym zajmować. Lemmy był kretynem. To było częścią gry. Nie miał czystych rąk. Motörhead grał muzykę dla zdeklarowanych debili, tych, którzy nigdy nie podnosili dwóch palców w klasie, nie zabiegali o dobre stopnie. To był okrzyk wojenny opóźnionych w rozwoju, nieprzystosowanych, wykluczonych. To muzyka, która zdaje się mówić: jestem głupkiem i dobrze mi z tym. Lemmy nie tworzył muzyki dla grzecznych dzieci. Ale dziś ludzi nie interesują już specyficzne kody: wszystko, co się pojawia w witrynach internetowych, musi być od razu czytelne, wyłożone kawa na łąkę. Z tego punktu widzenia Lemmy jest godnym pożałowania maniakiem seksualnym, zbieraczem militariów.

Vernon słyszy głosy za drzwiami, współmieszkańcy wstali i jedzą śniadanie. Nie wie dokładnie, ile osób zajmuje ten wielki apartament – poznał już trzech didżejów i kilku muzyków. Mariana tym razem mu nie towarzyszy. Natknęła się w Liverpoolu na wyjątkowo nieciekawego faceta – brodacza z małymi, głęboko osadzonymi oczkami, cienkimi wargami, gościa o fizjonomii kretyna. Często w miejscach, do których jada, Mariana spotyka znajomych – gdyby nie te kontakty, nie mogłaby załatwić Vernonowi tak wielu występów. Długo się obracała w środowisku rave’ów, Vernon coraz wyraźniej to sobie uświadamia w trakcie ich podróży. Kiedy ją poznał, mówiła mu, że wykonywała rozmaite dorywcze prace. Sprawiała wrażenie dość bezbarwnej trzydziestolatki, w latach kryzysu one wszystkie wyglądają, jakby wyszły spod jednej sztancy – jakby jeszcze nie wkroczyły w życie zawodowe, a przecież od dziesięciu lat funkcjonują na rynku pracy. Ale Mariana traktowała te prace wyłącznie zarobkowo, jest związana z muzyką techno równie silnie, jak Vernon był związany z rockiem. Nic dziwnego, że pojawiła się na konwergencjach: przemierzyła już całą Europę, by tańczyć w najbardziej niewiarygodnych miejscach. Spotkała zatem tego typu, a Vernon spostrzegł, z daleka, że mają się ku sobie. Ma świadomość, że łączy ich coś, co niezbyt mu się podoba. To mu sprawia przykrość. To go zasmuca. Ale nie czuje

osławionego ukłucia zazdrości. Nie jest załamany. To go dziwi. Analizuje swoje uczucia, czeka, ale naprawdę nie: nic się nie dzieje. A pewnego wieczoru, gdy wracali do hotelu, usłyszał swoje słowa skierowane do niej: „Czy coś jest między wami?”. Mariana odpowiedziała „nie”, zaczął nalegać, wtedy przyznała: „To stara historia. Nie spodziewałam się, że go jeszcze kiedyś zobaczę. Był zawiedziony tym, że kogoś mam”. Vernon poczekał do następnego dnia, żeby być pewnym swych uczuć, ale płomień irracjonalnej zazdrości znowu nie chciał zapłonąć. Może dlatego, że facet jest naprawdę paskudny. Nie wyobraża sobie, by Mariana mogła do niego nie dołączyć za dwa dni, na zakończenie angielskiego *tournée*. Nie wracają do tego, oboje dobrze znają powody jej absencji. Vernon testuje własne emocje, wsłuchuje się w siebie i sam się zaskakuje: nic. Absolutny spokój. Jeśli go definitywnie porzuci, pewnie będzie inaczej. Choćby dlatego, że jest genialnym menedżerem i gdyby nie ona, czułby się kompletnie zagubiony.

Wie, co może być powodem tej beztroski: wiele dziewcząt chce dotrzymać mu towarzystwa w nocy i on też nie przepada za monogamią. To pozwala mu okazywać wyrozumiałość. Po opuszczeniu obozu nie jest już wprowadzanie herosem i obiektem westchnień, ale zawsze znajdzie się jakaś niunia, która mu się podoba i która chciałaby go zadowolić.

Wieczorem miksował w dyskotecce, to nie było genialne. I wtedy zjawiła się ta szalona Azjatka. Jak w filmie: kiedy się zorientował, że patrzy w jego stronę, obejrzał się przez ramię, żeby się upewnić, czy chodzi o niego. I nie zobaczył nikogo. Miała oczy w kształcie migdałów, ogromne, i ciało, na które starał się zbyt długo nie patrzeć, bo wszystko w niej robiło na nim oszałamiające wrażenie. Wiedział – wprowadzanie od chwili opuszczenia obozu utracił wiele ze swej intuicji, ale w jej przypadku od razu to wiedział – Korn. To wcale nie było oczywiste. Na widok takiej dziewczyny – ciało pantery i postawa królowej – nie od razu przychodzi nam do głowy Korn. Zresztą nazwa tej grupy rzadko przychodzi nam do głowy. Ale to było to. Odgadł. Jak ona tańczyła, mój Boże, jak tańczyła. Vernon był olśniony. I przekonany, że zaczeka na niego po tym secie.

Siedziała przy barze. Tyle że Max się do niego przykleił i nie mógł się do niej zbliżyć. W końcu dziewczyna się znudziła. Vernon ucieszył się na widok Maxa. Wpadli sobie w objęcia i z chęcią zgodził się wypić z nim piwo przy kontuarze. Nie sądził, że przeciągnie się to do późna w nocy... Kiedy wspomina tę część wieczoru, czuje ucisk w dołku. Vernon nie miksuje fal Bleacha w swoim secie. Przestał to robić. Gdy ludzie są naćpani, to nie ma żadnego sensu. Te dwie rzeczy zaczynają się z sobą kłócić, dragi wysuwają się na pierwszy plan. Gdybyśmy wyobrazili sobie korytarz szerokości dwóch metrów, narkotyki byłyby jak słoń stojący pośrodku – cała przestrzeń jest już zajęta i fale Bleacha przestają operować. Tak czy owak, ten jego dziwny dar, który sprawiał, że ludzie tańczyli jak jeszcze nigdy dotąd, mógł dojść do głosu tylko w zgodnej grupie. Bez tamtych ludzi i ich wielkiego zapалу jest tylko gościem, który ma dużo muzyki w kluczach USB i potrafi płynnie przechodzić z jednego utworu w kolejny. Jednak Max już przy drugim piwie zaczął go wypytywać o dźwięki Bleacha. Wiedział zbyt wiele rzeczy, by można to było uznać za zwykły przypadek.

Max nigdy nie był prostolinijnym człowiekiem. Vernona zaskoczyło, że go tak dobrze pamięta. W czasach gdy był menedżerem Alexa, nie było w jego stylu tracić czas dla kogoś takiego jak skromny sprzedawca płyt, którego nie podejrzewał o to, by mógł mu w czymkolwiek pomóc. Vernon był co najwyżej tolerowany w garderobie, gdyż tak zdecydował Alex. I nieczęsto widywał Maxa w swoim sklepie. Max był jednym z tych facetów, którzy zawsze wiedzą, czego należy słuchać, co wypada lubić. Ale w jego muzycznych gustach nie było miejsca na szczerłość.

Wielu ludzi ceniło Maxa, gdyż roztaczał wokół siebie aurę ważnej osoby, tak iż można było naprawdę uwierzyć, że to on jest prawdziwym artystą, a nie jego wokalista. Max mówił składnie i dużo. Trockistowska szkoła. Vernon nie bardzo rozumiał, co się za tym kryje. O trockistach wiedział tylko tyle, że mają wyraźny pociąg do radykalnych feministek i utrzymują z nimi namiętne relacje seksualne, które dawały mu do myślenia. I czego im trochę zazdrościł. Max nie był wyjątkiem: gdy tylko zobaczył jakąś feministkę, musiał ją przelecieć. Chociaż nie

było ich zbyt wiele w rockowym środowisku. Ale gość miał radar – potrafił namierzyć jeden jedyny okaz zagubiony w pękającej w szwach hali Bercy. Oprócz tego mógł wysnuć na poczekaniu teorię na temat dowolnej praktyki rynkowej, która mu odpowiada, i przedstawić ci ją jako radykalną, rewolucyjną metodę, a zatem bezdyskusyjną jak chrześcijański dogmat. Max zatruwał umysł Alexa, mącił mu w głowie, zadręczał: nie życzył mu dobrze i często go nakłaniał do popełniania zgubnych w skutkach głupstw. Menedżer wychwalał zalety ćpania bez umiaru, co miało być niepodważalnym dowodem buntu danego osobnika. Akurat tu był szczery, to mu trzeba przyznać: on sam był ćpunem jakich mało.

Ludzie za bardzo bali się menedżera, by mu się przeciwstawić. Lubił upokarzać. Posługiwał się argumentami jak siekierą i zasmakował w krwi. Nigdy nikomu nie mówił: „Nie lubię cię, bo masz paskudną gębę”. Nie, od razu była mowa o politycznej zdradzie, oskarżenia o sprzedanie się wielkiemu kapitałowi, o drobnomieszczańskie kalkulacje, co mu nie przeszkodziło napychać sobie kieszeni za plecami Alexa. Max kłamał jak z nut. Lubił szastać kasą na lewo i prawo. Nie pochodził z zamożnej rodziny. Nie wydawał pieniędzy z namysłem i rozważą, co cechuje majątnych ludzi.

Już wtedy nosił śmieszne ubrania. Vernon pamięta na przykład elastyczne spodnie w czarne i białe pasy... Widząc go wczoraj w welurowej błyszczącej marynarce, Vernon najpierw zaśmiał się w duchu. Ale przy trzecim piwie sam nie wiedział, jak się od niego uwolnić. Rzucał rozpaczliwe spojrzenia w stronę dziewczyny, która na niego czekała, nie mogąc przerwać podochoconemu menedżerowi, który trajkotał jak najęty. Widząc, że się oddala, dał się przekonać i poszedł z Maxem do pobliskiego baru. Nie miał ochoty pić. Ma delikatny żołądek, to pewnie kwestia wieku. Za każdym razem gdy Max szedł, żeby „się odlać”, wylewał zawartość swojej szklanki do zlewu po drugiej stronie kontuaru na oczach obojętnego i niespecjalnie tym zdziwionego barmana.

Max zawsze traktował go jak niepozornego sprzedawcę płyt, jakim był przed dwudziestu laty. Jednak menedżer wyraźnie stracił rezon. Nie ma się co łudzić – nie można przez całe życie kisić mózgu w alkoholu i twardych narkotykach, nie

uszkadzając połączeń między neuronami. Perorował, dowodził, rzucał bon motami. Nie spostrzegł, że Vernon ma pełną świadomość, iż cała ta rozmowa zmierza w jednym kierunku: w kierunku konwergencji. Max wbił sobie do głowy, że zostanie jego impresario. A dokładniej, że zajmie się organizacją imprez, ale nie na łonie natury, przy dwóch świeczkach i z megafonem, nie, na wielką skalę. Z barem, porządnym marketingiem i subwencjami.

Max mówił o Pameli, o Danielu, o Sylvie, o Xavierze, jakby przyjaźnił się z nimi od wielu lat. Mówił o taśmach Alexa, o grupowej hipnozie, o dziewczynach z Bordeaux. Mówił za dużo. Wiedział za dużo. Vernon grał swoją rolę idioty, który nie żywi podejrzeń. Max chwycił go za ramię, głupio by było zmarnować taki talent na smętne wieczory, gdy przecież jest stworzony do tego, by nadawać ton konwergencjom, razem z grupą przyjaciół, że nie może tego porzucić naprawdę. Max wiązał z nimi wielkie plany. Miał kontakty, pomysły, wizję. Przerzucił się na whisky.

Skończył, leżąc na masce samochodu zaparkowanego na chodniku przed barem, próbując unieść papierosa do ust, a Vernon stał obok zażenowany i cierpliwie słuchał jego wywodów. Max nie patrzył już na swojego rozmówcę, coś bełkotał, ledwie można było zrozumieć jego paplaninę. W końcu wyrzucił z siebie: „... bo moglibyśmy nawet nakręcić film o waszych doświadczeniach, mam przyjaciela, który jest producentem, nazywa się Dopalet, facet jest napalony, sprzedamy mu wszystko, co tylko zechcemy, jeśli będziesz ze mną pracował, kolego, zobaczysz, wejdziemy na szczyt, smokingi i te rzeczy...”. W przypadku zagrożenia Vernon zawsze odgrywał rolę idioty, to była jego ulubiona strategia. Nadal się więc uśmiechał, dobrotliwie, nie pokazując po sobie, że słysząc nazwisko producenta, wpadł w autentyczną panikę.

„Zorganizuję konwergencje, o jakich się wam nie śniło, wkurza mnie, że tyle o tym słyszałem, a nie widziałem tego na własne oczy... Alex był genialny. Czasami. Jeżeli zsumujemy jego i twój potencjał, zrobimy rewolucję, Ziemia zatrzęsie się w posadach...”

To nie było niewinne. Tego wieczoru coś się wydarzyło. Max wie o nich zbyt dużo. Nie znalazł się w Irlandii przypadkiem, żeby podpisać kontrakt z jakąś lokalną grupą. Vernon idzie do salonu. Gdy wrócił w nocy, w mieszkaniu było ciemno, nie zauważył wielkich okien z widokiem na park. Pokój jest rozświetlony, uderza go piękno tej sceny: młodzi ludzie siedzą przy ogromnym stole, zalanym słonecznym światłem, spokojnie jak podczas jakiejś ceremonii. Ich gesty są wykwintne, rozmawiają z sobą, nie podnosząc głosu. Zgoda, jest pewna przesada w koszulkach z dekoltem V marki American Apparel o krzykliwych barwach, ale jednak. To piękny obraz. Tyle że ma nikłe szanse, by wymienić się przy tym stole wspomnieniami o Lemmym. To nie ten styl. Te dzieciaki pewnie myślą, że Marshall to marka słuchawek.

Papierowe torebki ze słodkimi bułeczkami i bagietki leżą na stole poplamionym już konfiturą, pokrytym okruchami. Szuka wzrokiem maszynki do kawy. Jest pełna. Nie może znaleźć czystej filiżanki. Nie ma ciepłej wody i kostnieją mu palce, gdy płucze szklankę pozostawioną w zlewie. Ktoś otwiera okna i zimne powietrze w ciągu minuty wypełnia pomieszczenie, jakby było substancją, której można dotknąć. Vernon siada, kładzie telefon przed sobą i stara się na nikogo nie patrzeć. Jest ustalona kolejka do łazienki. Pyta łamaną angielszczyzną, czy jest ciepła woda, facet, któremu zadał pytanie, odpowiada z uśmiechem: „*I hope so*”. Jest od niego niewiele młodszy i wydaje się sympatyczny. Też ma na sobie T-shirt z dekoltem w kształcie V. Jaskrawozielony. Angielszczyzna Vernona jest niezrozumiała, ma beznadziejny akcent i z uporem stara się sklecić zbyt skomplikowane jak dla niego zdania. Gdyby nie to, spróbowaliby porozmawiać z młodym chłopcem z grzywką opadającą na czoło, który mógłby być gitarzystą w jakiejś popowej grupie. Ma duże oczy dziecka, wysoko osadzone kości policzkowe i wydaje się nieobecny. Na drugim końcu stołu dziewczyna o wygolonych i wytatuowanych skroniach wróży z kart innej dziewczynie. Rozmawiają szeptem. Vernon dostrzega na stole butelkę mleka i rozcieńcza kawę. Trzeba uprzedzić Hienę. Max wymienił nazwisko Dopaleta. Coś tu nie gra. Mówi chłopakowi, który wydaje mu się sympatyczny: „*My phone is out of credit and I have to send a text message may I borrow yours?*”.

Młody człowiek rozumie, o co mu chodzi, i kładzie swoją komórkę na stole. „*No problem. By the way, loved your set yesterday. I was high as a kite you made me travel real far*”. Vernon, nic nie rozumiejąc z tego, co przed chwilą usłyszał, uśmiecha się do niego. Od razu zaczyna szukać numeru, by skontaktować się z Hieną, którą zapisał w kontaktach pod pseudonimem Patat. Umierał ze śmiechu, kiedy to wpisywał. Częściej się śmiał, kiedy był w obozie. Nie dzwoni ze swojego telefonu, bo wie, że mogłaby dostać zawału. Ma paranoiczne reakcje. Do tego stopnia, że byłby bardzo zdziwiony, gdyby wizyta Maxa jej nie zainteresowała.

Aïcha się modli i ma policzki mokre od łez, nie może sobie wybaczyć, że tak lubi się nad sobą uzalać. Uległa i było to tak przyjemne, z rozkoszą nurzała się w grzechu – a teraz nawet nie wie, czy płacze właśnie dlatego, że zesła z dobrej drogi. Chce się ukarać. Nie wiedziała, że można tak bardzo sobą gardzić. Nie może twierdzić, że nikt jej nie ostrzegał. Gdzie jest mężczyzna i kobieta, jest zawsze ktoś jeszcze, Szatan.

Świt wypełnia pokój szarą poświatą. Za ścianą, w kuchni, krząta się Faïza. Aïcha słyszy, jak mały Yanis naśladuje śpiew ptaków – wstaje wcześniej od innych, bo ma najdalej do szkoły i musi zdążyć na autobus. Dobrze mu to wychodzi, choć nikt nie wie, gdzie się tego nauczył. Kuca na krześle i szczebiocze, przekrzywiając głowę. Na pytanie, co robi, odpowiada, że przemawia do ptaków, które śpiewają w koronach drzew rosnących przy alei. Mówi po niemiecku, nawet gdy ktoś zwraca się do niego po francusku. Z trzech chłopców jego lubi najbardziej. Yanis ma sześć lat, Aïcha nie czuje skrępowania, z trudem wypowiadając słowa, których się przy nim uczy. Przeciwnie – rozśmiesza go, gdy próbuje wymówić bardziej złożone zdanie. To stało się czymś w rodzaju ich gry: „*Bist du verrückt?*”, słyszy za każdym razem gdy to, co powie, okazuje się niezrozumiałe. Wtedy odpowiada: „*Aber ich kenne dich, du bis tein Kartoffel!*”, podnosząc go do góry, a on zanoszą się śmiechem.

Trzeba korzystać z tej chwili spokoju, bo później zjedzą Abid i Jafa i nie będzie już mowy o tym, by słuchać świergotu ptaków... Abid, najstarszy z synów, dąsa się zaraz po przebudzeniu, płacze, aż czerwienieje na twarzy, a jeśli nie spełni się jego kaprysów, zaczyna dygotać i wydzierać się na całe gardło. Jafa się częściej uśmiecha, ma osiem lat i jeszcze ssie smoczek, nim zaśnie. Czarne loczki, długie rzęsy, mała śpiąca główka – wygląda jak aniołek. Ale kiedy się budzi, zmienia się

w demona: jazda na rowerze po kuchni, skakanie po kanapie, akrobacje przy stojącej lampie...

Aïcha lubi przebywać z dziećmi. Kiedy się dowiedziała, że w domu, do którego trafiła, jest trzech małych chłopców, bała się, że nie będzie umiała się nimi zająć. Zwraca się do nich po francusku, oni odpowiadają jej po niemiecku, z trudem uczy się tego języka. Gdy pierwszy raz zobaczyła Jafę uwieszonoego na gumie, którą zaczepił na drzwiach szafy, Abida, który robił pod siebie, ze złości tupiąc nogami, i Yanisa, który rozrzucał na wszystkie strony klocki Playmobil, naśladowując ryk pikującego myśliwca, pomyślała: wracam do Francji, wolę oberwać nożem, wpaść pod samochód albo za niewinność trafić do więzienia, i tak będzie mi lepiej niż z tą hordą gremlinów. Nie wiedziała, co począć. W pierwszych dniach modliła się tylko o to, by któryś z nich się nie zabił. Wreszcie Yanis – którego podejrzewała od jakiegoś czasu, że wykorzystuje jej nieznaną sobie języka i rozśmiesza brata, wyzywając ją od najgorszych – powiedział jej: „Zamknij się, głupia krowo!”. A ona dała mu w twarz. Było jej z tego powodu wstyd. Jej ojciec nigdy jej nie uderzył. Nie wiedziała, co ją napadło. Wieczorem, kiedy rodzice wrócili, ku jej wielkiemu zdziwieniu Yanis nie rzucił się im w objęcia, żeby się na nią poskarżyć, i żadne z trojga dzieci nic nie powiedziało. Nigdy więcej nie było mowy o tym incydencie, ale od tego dnia Yanis zaczął czuć do niej respekt. Ona nie traci już zimnej krwi. Chociaż okazji nie brakuje.

Aïcha zatracza się w ich zabawach, je z nimi podwieczorki, asystuje przy ich kąpielach, jej głowę wypełnia nieustanna wrzawa. Czuje się wyczerpana i nie ma czasu na rozmyślanie. Zdołała ich sobie zjednać. Gdy chce dać któremuś całusa, a ten zaczyna się wiercić, mówi do nich „moje przylepki”, zarzucają jej rączki na szyję i ten bliski kontakt sprawia jej wielką radość. Bezwiednie powtarza czułe gesty swojego ojca. O których zapomniała. Teraz docenia jego wielką troskę, to, że dodawał jej wiary w siebie, przekazywał wiedzę. Kiedyś myślała, że traktował ją zbyt pobłaźliwie. Dziś uświadamia sobie, że to był prawdziwy wyczyn wychować dziewczynkę bez niczyjej pomocy i nigdy nie podnieść na nią ręki. Jej ojciec wcale nie był zbyt wyrozumiały, tylko zawsze obecny, gdy go potrzebowała. Czuła się

kochana. Patrzył na nią łaskawym okiem. Podkreślał jej zalety, wynagradzał wysiłki.

Zazwyczaj o tej porze Aïcha jest już w kuchni i zaparza kawę. Tak jak kiedyś jej ojciec. Wie, jakie to miłe, gdy rano wita nas ten pobudzający zapach. Faïza docenia jej gest. Ale dziś Aïcha nie zamierza uczestniczyć w tej maskaradzie. Musi stąd odejść. Podjęła już decyzję. Nawet jeśli się tego boi. Lęk przed opuszczeniem zacisznego portu napawa ją odrazą. Nienawidzi wszystkich tych swoich żali. Wie, że tym, co ją tu trzyma, wcale nie jest strach przed nieznanym. Tylko pokusa.

Aïcha trafiła tu zaraz po historii z Dopaletem. Nocą Hiena zawiozła ją samochodem do Lyonu. Powiedziała, że wszyscy muszą o niej zapomnieć, że jest w niebezpieczeństwie. Że przy odrobinie szczęścia producent nie złoży skargi, bo musiałby wyjaśnić przyczyny tej napaści. Ale może próbować zemścić się w inny sposób. Aïcha była gotowa odpowiedzieć za swój czyn przed sądem, jednak Hiena stwierdziła: „Chyba żartujesz. Wystarczy, że Dopalet weźmie dobrego adwokata, a oskarżą cię o terroryzm. Studiujesz prawo, chyba wiesz, czym to grozi?”. Działo się to na krótko przed zamachami...

Aïcha słuchała tego wszystkiego z zafrasowaną miną, obawiała się, że jeśli ucieknie, wszystko skrupi się na jej ojcu. Hiena uspokoiła ją: „Dopalet to człowiek ograniczony, możesz mi wierzyć. Zostawi twoją rodzinę w spokoju, będzie się chciał odegrać na tobie, dobrze go znam...”. Sprawa była poważna. Musiała zrezygnować ze studiów. Wydawało się jej naturalne, że musi ponieść konsekwencje swojego czynu, lecz było jej przykro z powodu Céleste. Hiena starała się podnieść ją na duchu, mówiła: „Nie martw się, to szybko minie, potem się zobaczycie. Musicie zniknąć na kilka miesięcy...”. Aïcha miała przez jakiś czas pracować jako *au pair* u pewnej rodziny w Niemczech. Obiecała, że w żadnym wypadku nie ujawni swojej prawdziwej tożsamości. Nie będzie się posługiwała swoim prawem jazdy, nie zapisze się na siłownię, nie podejmie legalnej pracy, nie będzie starała się o stypendium i nie zapisze na studia. A zwłaszcza zniknie z portali społecznościowych i nie będzie korzystała z telefonu na abonament. Miała się rozpląnąć w powietrzu. Oddała paszport ojcu.

Na dworcu w Lyonie kupiła za gotówkę bilet na autobus jadący do Berlina. Na czas podróży zdjęła chustę, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Jechała bardzo długo. Nie bała się tego, co ją czeka. Na miejscu odebrał ją jakiś chłopak. Przypominał agenta ze szpiegowskiego filmu, nie ze względu na wygląd, tylko od razu przekazał jej mnóstwo poufnych informacji, udając rozluźnionego. Miał około trzydziestki i choć starał się zachować obojętność, wyczuła w jego słowach tęsknotę, gdy wspomniał o Paryżu, z czego wywnioskowała, że on też przyjechał tu, by się ukryć, i że wolałby zostać w kraju. Później poznała wielu cudzoziemców pracujących w Niemczech i doszła do wniosku, że oni wszyscy woleliby pozostać w krajach swojego pochodzenia. Nikt nie osiedla się we Frankfurcie ze względu na sprzyjający klimat, urodę miasta czy dlatego, że dobrze się tu żyje. Na pewno nie przybyszom z zagranicy. To brzydkie miasto, a Niemcy są wkurzający. Nikt nie ma ochoty mieszkać w ich kraju. Ale trzeba coś jeść.

Pojechał z nią taksówką na dworzec kolejowy i wręczył kolejny bilet – miała udać się do Frankfurtu. Do rodziny przekonanej, że zatrudnia bezrobotną Francuzkę, która postanowiła nauczyć się niemieckiego i znaleźć stałą pracę.

Na dworcu we Frankfurcie czekała na nią kobieta. Aïcha poczuła ulgę, gdy dowiedziała się, że trafi do muzułmańskiej rodziny. Będzie się mogła modlić i nikt nie dojdzie do wniosku, że zamierza dokonać zamachu stanu. Wreszcie trochę odetchnie. Jej ojciec miał czasem łzy w oczach, gdy widział, jak córka dokonuje rytualnych ablucji. Patrzyła na małą dłoń Fatimy, która się kołysała, zawieszona na lusterku wstecznym, i ten wahadłowy ruch wydał się jej radosny – jak znak powitania. Na tylnym siedzeniu leżała pluszowa małpka Kiki, maskotka ssąca kciuk. Wewnątrz auta panował nieopisany rozgardiasz, Faïza stwierdziła, że to sprawka dzieci, ale prawda jest taka, że to okropna bałaganiara. Lubi gromadzić rzeczy, upycha je, gdzie może – wszędzie może panować nieskazitelny porządek, ale wystarczy jej dziesięć minut, żeby dom wyglądał jak po przejściu huraganu, naprawdę trudno dociec, jak ona to robi – wszak nikt nigdy nie widział, by wysuwała szuflady i rozrzucała ich zawartość na prawo i lewo. Ma prawdziwy talent do robienia bajzlu.

Od razu poczuła sympatię do Faïzy. Jest gadatliwa, wesoła i trochę ekscentryczna – ale to kobieta pobożna i przyzwoita. Nie obnosi się ze swoją wiarą, nie twierdzi, że zna Koran lepiej niż jej sąsiadka ani że jest najbardziej świętobliwą osobą w dzielnicy. Nie robi niczego na pokaz. Ale wystrzega się też wszystkiego, co jest haram. Nikomu nie próbuje zaimponować swą wiarą, jest praktykującą muzułmanką, nie ekshibicjonistką.

Faïza nie ma w sobie krzty hipokryzji: zazdrości sąsiadom, jest materialistką, nie przepada za cudzymi dziećmi i tego nie ukrywa. Nie próbuje pokazać się w lepszym świetle. Nikomu nie złorzeczy, nawet jeżeli zdarza jej się źle o kimś pomyśleć. To kobieta dyskretna, nie próbuje zwracać na siebie uwagi i nie ośmieliłaby się odezwać do mężczyzny tonem pozbawionym powagi – zachowuje się bez zarzutu, jest roztropna, skromna, obdarzona łagodnym usposobieniem.

Gdy tego dnia jechały samochodem, nie zadała żadnego krępującego pytania. Jest przyjaciółką Hieny z dawnych lat i ma wobec niej dług wdzięczności. Jest szczerze przekonana, że Aïcha przyjechała do Niemiec w poszukiwaniu pracy, lecz najpierw chce opanować język. Faïza nie zadaje zbyt wielu pytań, bo nie jest ciekawska. Zbyt wiele czasu zajmuje jej mówienie o sobie, by mogła być niedyskretna. Potrzebuje kogoś do pomocy w domu, bo ma troje dzieci, nie może zrezygnować z pracy w szpitalu, gdzie jest pielęgniarką, gdyż jej mąż został niedawno zwolniony ze spółki Amazon i utrzymują się z jednej pensji. Ale nie powiedziała tego, by zasugerować Aïchy, że będzie pracowała za wikt i dach nad głową – to byłoby nieuczciwe. Coś za coś.

Stawiając torbę na środku salonu, Aïcha poczuła się mile zaskoczona: mieszkanie sprawiało bardzo przyjemne wrażenie, radosne kolory, pełne zabawnych przedmiotów. Ale – i to odczucie jednak przeważało – wszędzie panował niesamowity bałagan. Nie miała wrażenia brudu, jednak mieszkanie wyglądało jak pobjowisko. Ręcznik kąpielowy na oparciu kuchennego krzesła, plastikowa ciężarówka na stole w salonie, stos płyt DVD piętrzący się w przedpokoju, puste tekturowe pudło postawione na półce, trzy gazety rzucone na blat lodówki... Aïcha pomyślała o domu swojego dzieciństwa, w którym jej ojciec

utrzymywał nienaganny porządek, i właśnie w tym momencie uświadomiła sobie, że nigdy tam nie wróci. I że już zawsze będzie tego żałowała.

W pierwszych dniach jej pobytu w tym domu Hiena dzwoniła rano na stacjonarny telefon, jakby znała jej rozkład zajęć i wiedziała, że Aïcha będzie sama w domu. Nie przedstawiała się, nigdy nie zwracała się do niej po imieniu, mówiła tylko: „Chciałam ci przekazać, że tutaj wszystko w porządku” – i było to jak balsam dla uszu Aïchy, bo wiedziała, że chodzi o jej ojca i o Céleste. Bardzo szybko zaczęła odczuwać tęsknotę za krajem. Włączała komputer i słuchała radia France Inter albo France Culture – ulubionych stacji jej ojca, których audycje często rozbrzmiewały w ich domu.

Jednak po zamachach terrorystycznych nie można ich było słuchać, nie natykając się na dyskusje na temat islamu. Przedstawiciele francuskiej elity wertowali strony Koranu, biorąc z niego tylko to, co im odpowiadało. Chciano za wszelką cenę wskazać związek między słowami Proroka a krwawa łaźnia, jaką zgotowano krajowi. Jakby ci terroryści wymyślili mordy na tle politycznym i popełniali je na rozkaz Allaha. Jak gdyby dla ignorantów, którzy się dopuścili tych zbrodni, podstawową inspiracją nie były gry komputerowe i hollywoodzkie filmy... Niech szukają korzeni zła tam, gdzie wyrastają, a nie w jej modlitwach. Żaden z zabójców nie był praktykującym muzułmaninem. Żaden. To nie zastanowiło nikogo spośród ludzi wypowiadających się w ulubionych stacjach jej ojca. Gorączkowo przeglądali strony Koranu, jakby człowiek Zachodu był w stanie jednym spojrzeniem zgłębić jego prawdę. I uznać ją za brutalną. Nigdy nie poddawali analizie własnej propagandy. A przecież po zamachach z 11 listopada było dość oczywiste, że zabójcy wybrali dyskurs Zachodu: spektakularną przemoc. Estetyka masakry jest dziełem Hollywood, który ustalił obowiązujące reguły gry.

Zastanawiała się, co myśli o tym wszystkim jej ojciec. Czy grzeszył naiwnością? Czy był tym przybity? Była skazana na milczenie. Ale z wiarą patrzyła w przyszłość. Dopalet o wszystkim zapomni. Zamożni ludzie mają wiele

rozrywek, w końcu zajmie się czymś innym. A ona znowu spotka się z ojcem. Wróci na uczelnię, może pojedzie studiować do Anglii. Ta myśl trzymała ją na duchu. Z biegiem czasu znalazła swoje miejsce w tym domu. Faïza nie traktowała jej, jakby była służącą, raczej jak młodszą kuzynkę pomagającą w domu w zamian za utrzymanie. Cieszyła się, że Aïcha tu jest, i okazywała jej wdzięczność. Gdy przynosiła do domu ciastka, jedno zawsze dawała „małej”. Oczywiście Aïcha zachowywała dystans w stosunku do Walida, ojca dzieci. Islam zabrania bliskich kontaktów osobom odmiennej płci. Nie wolno jej było przebywać samej z kimś, kto nie był jej opiekunem. Wiedzieli o tym oboje i nie musieli ze sobą o tym mówić. Nie wchodziła do pokoju, jeśli wiedziała, że przebywa w nim sam. On robił podobnie.

Aïcha nie spożywała posiłków z nim i jego żoną, jadła wcześniej, z dziećmi. Jednak czasem podczas weekendu piła z nimi kawę, jadła deser. Faïza jest strasznie łakoma – całymi godzinami może rozprawiać o jedzeniu, potrafi nadłożyć pół godziny drogi, by kupić swoje ulubione ciasto. Walid jest równie małomówny, jak ona gadatliwa, ale lubi rozmawiać o Francji. Toteż czasem wymieniają kilka słów. Spotykali się z reguły w parku naprzeciwko, gdy ona bawiła się z dziećmi, a Walid przychodził, by zabrać Yanisa na przejażdżkę rowerową lub grał z Jafarem w piłkę. Walid niewiele mówił, ale dawał do zrozumienia, że wie, jak trudno zapanować nad trzema chłopcami w wieku poniżej dziesięciu lat. Szanowała Walida, był człowiekiem wierzącym i powściągliwym. Niezbyt wykształconym, ale obdarzonym wnikliwym umysłem – logicznym i bystrym. Ceniła jego zdrowy rozsądek, naturalny autorytet i spokój. Nieczęsto o nim myślała. Była zbyt skoncentrowana na własnych sprawach, a trzech chłopcy nie dawali jej chwili wytchnienia.

Natomiast z Faïzą nawiązywała przyjacielskie relacje. Przez cały dzień pielęgniarka musiała szwargotać po niemiecku, choć nie znosiła tego języka i niezbyt dobrze go знаła. Wieczorami czuła ulgę, mogąc usiąść z Aïchą i porozmawiać z nią. Walid często wtedy wychodził. Spotykał się z przyjaciółmi

przy sziszy w jakimś barze, z francuskimi muzułmanami jak on, i późno wracał do domu. W tym czasie dziewczyny urządzały sobie niemające końca seanse filmowe, oglądając seriale. Po dwóch odcinkach Faïza mówiła Aïchy: „Wyśpię się w przyszłym życiu, obejrzymy trzeci?”. A Aïcha wybuchała śmiechem, moszcząc się na kanapie. Po trzecim odcinku, gdy nagłe zawieszenie akcji wzbudzało zbyt wielkie zaciekawienie, spoglądały na siebie i zaczynały chichotać: „Nie możemy przerwać w tym miejscu, trzeba kontynuować, prawda?”. Często to Walid po powrocie do domu kończył ich zabawę: „Chyba z wami jest coś nie tak. Wiecie, że już od czterech godzin oglądacie te bzdury?”. Zaczynały się śmiać z własnej głupoty, uprząając stolik w salonie ze sreberek po czekoladkach Ferrero Rocher, które pochłaniały kilogramami, i pustych filiżanek po ziołowych herbatkach, które parzyły między jednym odcinkiem a drugim. To były piękne czasy. Dość monotonne i przesycone nostalgią, by Aïcha czuła, że żyje na obczyźnie, ale na tyle przyjemne, by nie wpadała w depresję. Któregoś dnia Walid został razem z nimi. Ale w *Grze o tron* było zbyt wiele scen spółkowania, by Aïcha mogła je oglądać w obecności mężczyzny. Wstała, żeby zostawić ich samych, ale Faïza zaprotestowała: „To nic, zostań, obejrzymy *Sherlocka Holmesa*”.

Aïcha lubiła ten rodzinny klimat. Nigdy nie żyła z obojgiem rodziców, a teraz w końcu mogła się cieszyć tą szczególną atmosferą. Ani przez chwilę nie pomyślała, że powinna wystrzegać się przyjemności, jaką czerpie z tych wspólnie spędzanych wieczorów. Po czasie zrozumiała, że tkwienie w błogiej nieświadomości było karygodne. Ale wtedy nie dostrzegала rodzącego się zła. Zgrzeszyła pychą. Myślała, że prawa rządzące życiem ludzi już jej nie dotyczą.

W ciągu dnia Walid poszukiwał pracy, widywał się z przyjaciółmi i spędzał popołudnia w warsztacie – obok pokoju chłopców – gdzie naprawiał telefony i komputery, które powierzali mu inni emigranci. Ale nie tylko to – także odkurzacze, konsole PlayStation czy roboty kuchenne. Kiedyś zaktualizował nawet oprogramowanie drona. Dokonywał wszystkich tych drobnych napraw na czarno. Często brał torbę i szedł do czyjegoś domu, żeby obejrzeć lodówkę albo pralkę –

wcześniej oglądał schemat danego urządzenia w internecie, by je naprawić na miejscu. Miał do tego talent. I zabierało mu to dużo czasu. Spędzał całe godziny w sieci, szukając odpowiedniego opisu, instrukcji montażu, programu, którego potrzebował. Faïza opowiedziała Aïchy, że Walid przeżywał ciężkie chwile, kiedy Amazon podziękował mu za pracę. Był tam szefem ekipy. Próbował znaleźć firmę, która zatrudniłaby go na podobnym stanowisku, ale proponowano mu tylko pracę w magazynie i śmieszne zarobki. Drobne naprawy przynosiły mu większe zyski. Kiedy był w dobrym humorze, wprost tryskał radością, bawił się z synami i żartował z żoną. Kiedy indziej chodził naburmuszony, potrafił zepsuć domową atmosferę, nie odzywając się słowem. Nic nie mógł na to poradzić – jego zły humor kładł się cieniem na całym domu. Aïcha nie przywiązywała do tego wagi – to jej nie dotyczyło.

Praca nie przysparzała jej większych trudności: tyle że nie miała dla siebie chwili wolnego czasu. Budziła się z parą skarpetek w dłoni, wieczorem po kolacji ze zmęczenia padała na łóżko z naręczem brudnej bielizny, nie miała kiedy usiąść, żeby wypić kawę, najwyżej rano, wychodząc na zakupy, pozwalała sobie na dziesięciominutową przechadzkę po nabrzeżu Menu. Zawsze lubiła spacerować. Nikomu o tym nie mówiła.

Codziennie słuchała języka niemieckiego i mówiła sobie, że skoro się już tutaj znalazła, powinna się go nauczyć, w końcu Niemcy to bogaty kraj i kiedyś to jej się przyda. Gdy była sama w domu, zamiatając podłogę czy składając ubrania, słuchała lekcji niemieckiego na YouTube i powtarzała półgłosem wyrażenia, które chciała zapamiętać. Znalazła na ulicy egzemplarz *Małego Księcia* w języku niemieckim – jakby ta książka tam właśnie na nią czekała. Przeczytała ją i zdała sobie sprawę, że pamięta prawie każde słowo oryginalnej wersji, bo kiedy była mała, ojciec puszczał jej płytę z tekstem książki czytany przez Gérarda Philipe’a. Przeżyła swoją pierwszą lingwistyczną ekstazę w sklepiku na rogu, gdy po raz pierwszy zdołała powiedzieć, że przyszła po litr chudego mleka, a młody Turek przy kasie od razu ją

zrozumiał, ona zaś jego odpowiedź. Były to pierwsze słowa wymienione z kimś w obcym języku, pomijając jej nieporadną paplaninę z Yanisem.

A potem stało się coś złego. Szatan jest cierpliwy. Przesuwa pionki na szachownicy bez pośpiechu. Kiedy Aïcha sięga pamięcią wstecz, próbując odnaleźć ziarno, z którego w jej myślach zakiełkował grzech. Widzi ten dzień i spacer, od którego zaczął się jej upadek.

Wiedziała, że samotne spacerowanie po nabrzeżu Menu nie są całkiem w porządku, gdyby było inaczej, nie ukrywałyby tego przed rodziną, która ją gościła. Pozwalała sobie na tę odrobinę swobody, bo rzadko wychodziła z domu i chciała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Tego dnia była wyjątkowo ciepła, przyjemna pogoda, choć niebo było jak zwykle szare. Na promenadzie nad rzeką rosły rzędy drzew. Szła pogrążona w marzeniach, spokojna, gdy nagle stanęła oko w oko z Walidem, który zmierzał w przeciwnym kierunku. Widząc ją, zwolnił kroku i powiedział bez cienia złości, choć trochę zaskoczony: „A skąd ty się tu wzięłaś?”. Aïcha poczuła, że jej policzki oblewa rumieniec wstydu. Powiedziała prawdę: „Miałam ochotę trochę pospacerować”. Walid westchnął, nie kryjąc, że nie jest tym zachwycony: „Wolałbym, żebyś się tutaj nie snuła. Ktoś może zobaczyć i pomyśleć sobie nie wiadomo co, a wielu ludzi wie, że u nas pracujesz”. Nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdy rozległ się grzmot i nagle zerwała się straszliwa burza. Walid, widząc, że się oddala, głośno klasnął językiem. Odwróciła się, miał zasepioną minę, jak zawsze gdy był nie w sosie. Burknął: „Schowaj się gdzieś, zaczekaj, aż przestanie lać”. Stała obok niego z pochyloną głową pod filarami pomostu. „Co mam ci powiedzieć? Nie dajesz nam wyboru”. Poczuła się nieswojo. Walid palił jednego papierosa za drugim, nie odzywając się słowem. Nagle zmienił się nie do poznania, jakby atmosferyczne wyładowanie wpłynęło na jego sposób myślenia, i kiedy znów się odezwał po długich minutach milczenia, w jego głosie słychać było nutę rozbawienia. „Powiedz, co ci strzeliło do głowy, żeby pałętać się w pojedynkę po mieście. Nie masz nic do roboty? Dziwię ci się, Aïcho. Nie spodziewałem się, że

prorowadzisz podwójną grę. Tutaj nie jest bezpiecznie, krążą tu dilerzy, ćpuny, ekshibicjoniści, nie zauważyłaś?” Przeprosiła. Nie, nie wiedziała, że to podejrzone miejsce. Deszcz ucichł. Pstryczkiem wyrzucił niedopałek daleko od siebie i powiedział, że lepiej będzie nie mówić o tym Faizie, mogłaby nie zrozumieć. „Nie chcę cię tu więcej widzieć. Rozumiemy się?” A zerkając na nią, by się upewnić, że mu przytakuje, zdał sobie sprawę, że Aïcha jest na skraju łez, i nagle złagodniał. „Chyba się nie rozryczysz? Powiedziałem ci tylko, że tu nie ma żadnych turystycznych atrakcji, lepiej spaceruj gdzie indziej... Możesz zabierać chłopców, oni też powinni wychodzić z domu. Jestem wściekły, wiesz... Nie spotkałem cię w barze, nie bajerowałaś mężczyzn i nie piłaś alkoholu, chcę ci tylko uświadomić, że to nie jest dla ciebie odpowiednie miejsce. Cóż, nie znasz tego miasta...” Przeszedł z nią kilka metrów. To krępowało Aïchę, ale nie czuła się na siłach, by mu zwrócić uwagę, że nie wypada im iść obok siebie. W końcu wskazał ścieżkę: „Idę tędy. Wiesz, jak stąd wrócić, tak? Jesteś całkiem inna niż dziewczyny, które znam, bardzo się różnisz od tutejszych dziewczyn... Nigdy nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać... Ale nie chciałem cię zranić”. Unikała patrzenia mu prosto w oczy, ale widziała jego dłonie – wystającą kość nadgarstka, długie palce, paznokcie, i to jej przeszkadzało, więc patrzyła na wodę. Roześmiał się: „Nigdy nie można zgadnąć, co ci chodzi po głowie. Wracaj szybko do domu”.

Ruszył ścieżką odbijającą w lewo i po kilku krokach odwrócił się, by machnąć w jej stronę ręką, na znak, by się pospieszyła. Widząc go z daleka, po raz pierwszy pomyślała, że jest przystojny. I Aïcha, która nigdy nie była lekkomyślną dziewczyną, nigdy nie była frywolna, przyjęła tę myśl jak coś całkiem naturalnego. Jakby można było beztrąsko z tym igrac i się nie poparzyć. Lecz gdy się zastanawia, kiedy to się zaczęło, wspomina ten dzień. Jego dłonie, gdy mówił, że się różni od tutejszych dziewczyn. Jego oddech tuż obok niej. Męska postawa. Zapach, który czuła. I jego sylwetka w oddali, kiedy jej dawał znak.

Potem nie skojarzyła, że począwszy od tego kłopotliwego spotkania, ich oboje ogarnęła jakaś dziwna wesołość. Nagle poczuła się tak, jakby pływała zanurzona w świetle. To było miłe jak powiew wiatru na karku. Mogła jeszcze przypuszczać,

że po prostu ma dobry nastrój. Częściej poszukujemy przyczyn naszego złego humoru, gdy radość wydaje nam się czymś całkiem naturalnym. Nie zwróciła uwagi na to, jak niebywałą przyjemność poczuła nazajutrz, słysząc Walida na piętrze. Nie od razu zauważyła tę skłonność do zerkania kątem oka na każdy jego gest, gdy udawała, że jest zajęta czym innym, to delektowanie się jego głosem, to drżenie, gdy rozpoznawała jego sylwetkę w parkowej bramie... To upojenie samą jego obecnością wydawało jej się normalne: pracowała u niego, zajmowała się jego dziećmi i sprzątała jego dom, nic więc dziwnego, że darzy go sympatią.

Miała pewność, że jest roztropna. Któregoś wieczoru Walid przychodzi do parku po Jafę. Dłużej niż zwykle zbiera rzeczy małego i patrzy na Aïchę, która podnosi z ziemi Yanisa, zamyślony. Potem jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech, a ona zauważa biel jego zębów, przez cały czas udając, że patrzy w inną stronę. Mówi: „Bardzo nam pomagasz, wiesz?”, po czym się oddala. Zaalarmować powinny ją nie wypowiedziane przez niego słowa, lecz radość, jaką jej sprawiły.

Inny dzień, wczesne popołudnie. Jest parno, ale szare chmury wiszą nisko nad ziemią i ciężko się oddycha. Aïcha myła szyby w salonie i wbiła sobie do głowy, że będą naprawdę nieskazitelne – obejrzała na YouTube wiele tutoriali, ponieważ zawsze gdy myła szyby, zostawały smugi. Było tak duszno, że zdjęła koszulę i pracowała w T-shircie, była skupiona na tym, co robi, i niezbyt przekonana, że gazetowy papier jest dobrym rozwiązaniem. Okna w salonie wychodzą na szeroka aleję, pył stale wpada do środka z powodu samochodów, ale nie ma żadnego domu naprzeciwko, więc nie pomyślała o tym, żeby zakryć ramiona przed spojrzzeniami obcych. Opierała się chęci, by zagłębić się w fotel ze szklanką wody w rękę, i słuchała konferencji TED na domowym komputerze tak głośno, by wszystko słyszeć, stojąc na taborecie.

Walid zawsze dzwonił, zanim wszedł do domu, by dać jej czas na opuszczenie wspólnych pomieszczeń. Lecz tego dnia jego głos zabrzmiał za jej plecami, choć nie słyszała, by wchodził. „Nie jestem zmywaczem okien, ale twoja technika, jakby to powiedzieć... Nie sądzisz, że je raczej brudzisz?” Był rozbawiony. Tak ją to

zaskoczyło, że straciła równowagę, zachwiała się, a on zrobił krok do przodu, wyciągając ramiona i śmiejąc się, że macha rękami w powietrzu, by nie spaść. Nie dotknęli się. Ale ten krok do przodu, jego spojrzenie utkwione w jej oczach przez chwilę, beztroska poufałość. Wyszedł z pokoju, a Aïcha nie przestawała chichotać. Jak idiotka. Zdążyła przyjrzeć się jego ustom. I kiedy o nich myślała, ten obraz jak błyskawica przesywał jej pierś. Zarys wydętych warg, ich ciemna barwa, ich domyślna słodycz. Tym razem wiedziała, że coś jest nie tak. Ale tylko usunęła tę myśl z pola świadomości. Rzuciła zmiętą gazetę na podłogę i umyła szyby jak zwykle, mydłem w płynie, po czym wytarła je szmatką.

Te wszystkie chwile, przelotne, do których w stosownym czasie nie przywiązywała wagi, choć na to zasługiwały... Jednak uczucia, którym pozwoliła zakwitnąć, wymknęły się spod kontroli.

Walid w jej obecności był zawsze rozluźniony. Któregoś ranka Aïcha jest w kuchni. On puka i wchodzi, nie czekając, aż mu odpowie, robi sobie kawę. Aïcha wyciera naczynia. Czuje jego męskie spojrzenie na plecach. Skonsternowana odruchowo poprawia chustę i po tonie jego głosu zgaduje, że Walid się uśmiecha, gdy mówi: „Ależ tak, jesteś piękna, nie przejmuj się, zostaw tę chustę, bardzo ładnie wyglądasz”. Aïcha się odwraca, zaskoczona i urażona, ale Walid jest swobodny. Zachowuje się tak, jakby nie dostrzegł zła. Jakby nie wiedział, że nie wolno czerpać przyjemności z patrzenia na kobietę, która nie jest twoją żoną. Powinna była zaprotestować, ale nadal wycierała naczynia, czekając, aż on wyjdzie z kuchni.

Walid ma prawie czterdzieści lat. Mieszkał we Francji w czasach, gdy muzułmanie nie szanowali religii. W czasach, gdy odebrano im wszystko – ich historię, ich kulturę, ich boga. Nie byli wystarczająco dobrzy, by zostać Francuzami, ale nie wolno im było również uważać się za Arabów. Mieli być niewidoczni. Wzrastał na tej ziemi niczyjej. Ma trzy siostry – Aïcha wie to od Faïzy. Z pewnością nie pomyślał o złu, wchodząc do kuchni, kiedy była tam sama. W każdym razie tak właśnie wołała myśleć Aïcha.

A kilka dni później w pokoiku bez okna, gdzie prasowała (była dokładnie jedenasta – właśnie spojrzała na stary radiobudzik stojący na białej plastikowej półce, przeznaczonej na środki czystości), wszedł Walid, znów z filiżanką kawy, jakby szukanie jej podczas przerwy w pracy, by chwilę z nią porozmawiać, stało się jego nawykiem. Przesunął na bok stertę zmiętych koszul, by usiąść naprzeciwko niej, na czerwonym stołeczku. Stukał łyżeczką o szklaną filiżankę. Przez jakiś czas milczał, potem powiedział: „Nie idzie mi dziś praca, nie mogę się skupić”. Gdyby spojrzała na tę scenę z zewnątrz, wiedziałaby, jak należy się zachować w takiej sytuacji. Powinna była wyjść z pokoju, zwracając Walidowi uwagę, że czuje się skępowana, gdyż nie okazał jej należnego szacunku. Ale nie zachowała się tak, jak powinna. Pomyślała, że będzie mu przykro, jeśli zechce przywołać go do porządku. A może to byłoby niestosowne – mógłby wybuchnąć śmiechem i powiedzieć jej: „Co sobie wyobrażasz? Co miałyby być naganne? Chyba nie sądzisz, że się do ciebie zalecam? Nawet nie patrzę na ciebie jak na kobietę. Bądź spokojna!”.

Wymamrotała: „Czasami tak bywa”, a Walid się uśmiechnął. „Lubię na ciebie patrzeć, kiedy prasujesz. To mnie odpręża. Przypomina mi to moją matkę, zawsze coś prasowała. Odrabiałem lekcje, słysząc to pfff”, wydał z siebie cichy syk naśladujący dźwięk żelazka na wilgotnej tkaninie, a Aïcha wpatrywała się w poszwę w niebieskie kwiaty, którą prasowała od dziesięciu minut. Zapytał: „Twoja matka też prasowała?”, a Aïcha uznała, że powinna powiedzieć prawdę: „Nie, to mi przypomina raczej mojego ojca. Prasował koszule, bardzo starannie, trzeba go było zobaczyć – lepiej niż to robią w pralni”, na co Walid odparł: „Nieży bajzel panuje w waszym domu! A co w tym czasie robiła twoja matka, przesiadywała w barach?”. Aïcha, dochodząc do wniosku, że powiedziała zbyt wiele, i chcąc uciąć tę rozmowę, wyznała: „Moja matka umarła, kiedy byłam małą”. Walid przeprosił za niedyskrecję i wyszedł. Łzy stanęły jej w oczach... obraz jej ojca, który rozkładał deskę do prasowania jednym wprawnym ruchem, tak często powtarzanym. I tego dnia intensywnie myślała o ojcu. Ogarnął ją lekki smutek, przyjemny – chętnie się w nim pogrążała. Myślała tylko o żalu z powodu rozstania z najbliższymi, by nie musieć mierzyć się z tym, co się działo teraz.

Potrafimy się przygotować do popełnienia nieodwracalnego błędu, usypiając sumienie, tak iż sami nie wiemy, co właściwie knujemy. Jej pobożne nawyki nie uległy zmianie. Żadna z jej myśli nie wydawała jej się odrażająca. Gdyby ją ktoś zapytał, co się dzieje w jej duszy, odpowiedziałaby całkiem szczerze: „Myślę o moim biednym tacie”. I właśnie to po czasie najbardziej ją przygnębia: że tak łatwo poszła na kompromis z własnym sumieniem, żeby nie widzieć zagrożenia. Ponieważ od tego dnia zaczęła czekać, aż Walid zajrzy do niej na pogawędkę przy kawie, choć równocześnie pragnęła, by do tego nie doszło.

Wrócił kilka dni później. Obierała strączki zielonego groszku na sałatkę. Skomentował sprawę podpalenia ośrodka dla uchodźców, przed którym zgromadziła się grupka Niemców, wznosząc radosne okrzyki. Gdy Walid opowiadał o tym incydencie, rysy mu stężały, a Aïcha chciała wierzyć, że to nie jest właściwy moment, by mu powiedzieć, że nie powinien siedzieć w kuchni, gdy ona jest tam sama. Dziesięć razy miała okazję zachować się przyzwoicie. Dziesięć razy dokonała niewłaściwego wyboru.

Lubiła słuchać, jak mówi. A przecież nie był tytanem intelektu. W porównaniu ze studentami, z którymi dotąd miała do czynienia, jego rozumowanie było nawet trochę prostackie. Nie podobało jej się to, co mówił, tylko ton jego głosu. Ta pewność siebie i życzliwość dla niej. I uśmiech, który towarzyszył wszystkiemu, co jej mówił.

Tego dnia, nim wrócił do warsztatu, dodał dziwnym tonem, w którym pobrzmiwały czułość i napięcie: „Lubię twoje gesty, kiedy się krzątasz po domu”. I tym razem przyjęła postawę obronną: „Nie wypada tak mówić”. W jego słowach, które tak nonszalancko wypowiedział w kuchni, dostrzegła zagrożenie. Opłukał filiżankę nad zlewem, prosząc o wybaczenie: „Masz rację. Nie wiem, dlaczego powiedziałem coś podobnego, przepraszam. Pójdę popracować”. W tym momencie jakiś wewnętrzny głos powtarzał jej w kółko: coś ci się zdawało wcale nie wygląda to tak jak ci się zdaje to niemożliwe wszystko jest w porządku. Gdy wokół niej wszystko się waliło, zła wiara nie pozwalała jej przejrzeć na oczy.

Ale Walid po chwili wrócił i zapewne ośmielony jej milczeniem, które w jego oczach było przyzwoleniem, powiedział: „Aïcha, przestań kłamać. Wiesz, co burzy mój spokój”. I dorzucił: „Myślę o tobie. Jestem za ścianą i stale myślę o tobie”. Tkwiła w miejscu, z nożem w jednej dłoni i strączkiem groszku w drugiej, osłupiała.

Usłyszała, jak trzaskają drzwi wejściowe. Pomyślała, że daje jej czas na to, by zebrała rzeczy i zniknęła. Po tym, co powiedział, nie miała wyboru. Lecz zamiast tak uczynić, pobiegła do swojego pokoju, by wbić głowę w poduszkę, jak w starych filmach, których tyle się naoglądała. Znowu grała na zwłokę, tyle godzin płaczu nad swoim losem. Faïza wróciła z chłopcami z basenu. Aïcha starała się ukryć swoje zaczerwienione oczy, mechaniczne gesty, raz jeszcze podjęła złą decyzję, przekonując samą siebie, że ktoś musi zajmować się dziećmi, że nie może zniknąć ot tak. Tego wieczoru nie oglądała telewizji z Faïzą. Przysięgła sobie, że jutro wyjedzie. Gdy będzie już na ulicy, spróbuje się skontaktować z Hieną. Wmawiała to sobie. A nazajutrz zdołała się przekonać, że Walid więcej się do niej nie odezwie, bo on też wie, że posunął się za daleko i pewnie go dręczy sumienie.

Lecz męskie pożądanie odmienia się w czasie przeszłym niedokonanym. Stwierdziwszy, że Aïcha została pod jego dachem, Walid uznał, że ma prawo uznać to za kuszenie. Zniknął na cały dzień, potem drugi, pracując poza domem od rana do wieczora. I Aïcha nie wyjechała.

Trzeciego dnia, gdy układała bieliznę w pokoiku, w którym prasowała, usłyszała czyjeś kroki na schodach. Była przerażona. Szykowała już sobie w duchu ciętą odpowiedź, wiedząc, że nie ma racji, że powinna była spakować bagaże. Od razu rozpoznała zapach. Czuć było od niego alkohol. Miał zmałowany wzrok, smutek w oczach, którego nie znała. Chciała bez słowa wyjść, przytrzymał ją za ramię. Próbowała się oswobodzić, ale jego uścisk był mocniejszy, niż jej się wydawało. Unieruchomił ją bez większego trudu, powiedział: „To, co nam się przydarza, jest naprawdę piękne, nie ma w tym nic złego”, i zmuszając ją, by na niego spojrzała, utkwiał wzrok w jej oczach. Odkryła to nieznane jej dotąd uczucie, z którym miała

się wkrótce oswoić, które zalewało ją całą niczym morską falą. Zaczyna się od kolan i rozprzestrzenia na plecy, zgięcia ramion i gardło. Zbliżył czoło do jej czoła, a ona stała całkowicie bezsilna. Należało zawczasu uciec. Będąc tuż przy nim, nie mogła już nic zrobić. Nigdy wcześniej nie czuła tego rodzaju pragnienia. Żaden dźwięk nie mógł jej przejść przez usta. Została ujarzmiona. Poddała się.

Położył dłonie na jej biodrach, poczuła, jak jego rzęsy muskają jej ciało. Jej sumienie było teraz jak miotana wiatrem drobna sylwetka, krzycząca w dali i wymachująca rękami, niesiona coraz dalej i dalej, coraz mniej słyszalna, potem już tylko poruszająca ustami. Jakby przepierzenie z tektury zaczęło przechylać się do tyłu, odsłaniając kryjącą się za nim prawdziwą scenerię. Ta tekturowa fasada to była jej godność, przyzwoitość, powaga, zimna krew. Prawdziwą scenerią było to, co podobało jej się bardziej niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić. Nie było milimetra jej skóry, który nie pragnął kontaktu z nim.

Stali bez ruchu, twarzą w twarz, przez długie minuty, splótł dłonie za jej plecami, wtulił twarz w jej ramię. „Nie wiem co się ze mną dzieje Aïcha nigdy czegoś takiego nie czułem szaleję za tobą śnię o tobie budzę się i myślę o tobie przez cały czas cię szukam nigdy nie czułem czegoś podobnego nie możemy się temu oprzeć za mocno tego pragniemy”.

Jakimś nadludzkim wysiłkiem wyrwała się z jego objęć, powiedziała: „To niemożliwe, Walid”. I uciekła. Wiedziała, że ten występki obciąża ją tak samo jak współżycie z mężczyzną. I znów zaczęła sama się oszukiwać: „Straciłam cnotę, tym razem na pewno wyjadę, ale przedtem muszę uprzedzić Hienę, spakuję walizki, ale co mam powiedzieć Faïzie?”. Obiecała sobie, że jeśli usłyszy, że Walid się zbliża, wyskoczy przez okno – raczej umrzeć, niż dalej pograżać się w grzechu. Doświadczyła przyjemności z mężczyzną, który nie był jej mężem. To tak, jakby utraciła dziewictwo – i to w godnych pożałowania okolicznościach. Potem jakby nigdy nic zajęła się dziećmi. Czuła wewnętrzną pustkę, była zbrukana, rozbita. Ale robiła to, co musiała robić. Wieczorem Faïza powiedziała jej: „Wiesz, Walid odwiedził Szibaniego*, ktoś rzucił na niego urok, myślę, że to sąsiedzi spojrzeli na

nas złym okiem. Wypluł kawałek zatrutego ciasta, teraz czuje się znacznie lepiej. To prawdziwa ulga”.

Przez wiele dni nawet na nią nie spojrział. Odetchnęła. Nie mogła zmazać grzechu. Ale wszystko wracało do normy. Znalazł pomoc u kogoś z zewnątrz, był uleczony. Wszystko stawało się dla niej jasne: to był przyływ szaleństwa, sprawa diabła. Aïcha była, rzecz jasna, odpowiedzialna za jego działania. Modliła się z żarliwością grzesznicy. Czmychała, gdy tylko rozpoznała jego krok, zabierała dzieci do innego pokoju. Była teraz zbyt zawstydzona, by stanąć z nim oko w oko, wstydziała się za siebie samą.

A potem któregoś dnia Faïza poszła z dziećmi do cyrku. Aïcha wyszła zrobić zakupy. Spotkała go na rogu ulicy. Na jego widok poczuła autentyczną złość, pomyślała: czekał na mnie, i zawróciła. Walid chwycił ją za ramię. Powiedziała ze spojrzeniem utkwionym w ziemię: „Nie chcę, żebyś ze mną rozmawiał”. Nic nie odpowiedział. Musnął łokciem jej łokieć. Uniosła głowę. Uśmiechał się. I znów poczuła ten przyływ szaleństwa. Głos rozsądku, odległy, nie miał przystępu do jej świadomości. Na rogu ulicy pocałował ją. Na ulicy. W usta.

To był jej pierwszy pocałunek. Nie była tego rodzaju dziewczyną. Zawsze surowo oceniała kobiety, które nie potrafią zapanować nad swymi namiętnościami. A przy pierwszej okazji uległa – i to tak chętnie, że ją samą to zdziwiło. Nie знаła tego ciała: pełnego pasji, opętanego. Wziął ją za rękę i wsiedli do jego samochodu. Czuła wstyd. Ale nie tak silny jak pożądanie, któremu uległa. Spółkowanie w samochodzie zaparkowanym w głębi ślepej uliczki było rzeczą najbardziej poniżającą ze wszystkich, jakie mogła sobie wyobrazić. Ale nie myślała o tym. Choć był to jej pierwszy raz, nie odczuwała bólu. Pewnie zbyt mocno go pragnęła. Nie przeszkadzała jej kierownica ani spojrzenia ewentualnych świadków, ani brak przestrzeni.

Potem wrócili do domu jego żony i dzieci. Zachowywała się tak samo jak w każdym innym dniu. Tej nocy zdjęła koszulę, otworzyła okna, mimo lodowatego chłodu, i stała nieruchoma, patrząc w ciemność, czując, jak mróz pali jej skórę,

modląc się o to, by nazajutrz umrzeć. Wszystkiego była świadoma. Swojego tchórzostwa. Swoich kłamstw. Błagała Allaha szeptem, by jej odebrał życie, żeby ją oswobodził.

Dostała od tego wysokiej gorączki, która na cały dzień przykuła ją do łóżka. Potem wróciła do pracy. Czekala. Był dla niej rozkazem. Był jak pięść, która się otwiera, żeby uchwycić jej dłoń – potężny uścisk, którego nic nie mogło rozluźnić. Patrzyła, aż na nią spojrzy. Aż ją zawezwie. Nadal go pragnęła. Była nieodrodną córką swojej matki. Takie rzeczy się przekazuje. Występek, kłamstwo, bezwstyd. Wieczorem po powrocie z parku ujrzała się w lustrze w przedpokoju, gdy szukała w torbie najmłodszego z chłopców plastikowego traktorka: tak bardzo się zmieniła. Aïcha nie miała zwyczaju przeglądać się w lustrach. Nie była kokietką ani prózną dziewczyną, nie zwracała uwagi na swój wygląd. Lecz tego dnia zobaczyła swoje odbicie i oniemiała na widok tej obcej sobie osoby. Była szczuplejsza, miała przenikliwe spojrzenie, z jej twarzy, paradoksalnie, biła zuchwałość i duma. Zaczerwieniła się, gdy pomyślała: wypiękniałaś. Głos diabła szeptał jej głupstwa do ucha.

W nocy szlochała, błagała, mięła poduszkę i zdesperowana, przewracała oczami, a rano po przebudzeniu podejmowała niezłomne postanowienia, które szły w niepamięć, gdy tylko Walid się pojawił i wykonał najmniejszy gest w jej stronę, na co odpowiadała zawsze równie uniżenie.

Walid był dla niej dobry. Nie rozmawiali o tym, co się wydarzyło. Oboje bardzo by chcieli wprowadzić ład w swoje relacje. Ale wystarczyło, że w domu nie było dzieci, a brał ją z sobą do samochodu i wszystko się powtarzało. Szyby pokrywały się parą i im dłużej to wszystko trwało, tym bardziej to lubiła. Znała jego gesty, najbardziej niespodziewane pieszczoty, przekraczające wszelką wyobraźnię. Była dziwką. Walid nie mógł uwierzyć, że jest jej pierwszym mężczyzną. Było mu przykro z jej powodu. W tym, co mówił, nie było śladu okrucieństwa. Robił jej coś złego – ale gdyby społeczność, w jakiej żyli, bardziej szanowała własne reguły, mógłby ją poślubić jako drugą żonę. Jeżeli o to chodzi, miał czyste intencje, mówił o tym – zrobiłby to, gdyby to było możliwe. Chciałby mieć z nią dzieci, żyć z nią

tak jak teraz, ale bez kłamstw, ona byłaby drugą Faïzą, którą już w sumie była. Jego żona jest pod zbyt dużym wpływem Zachodu, by mogła zaakceptować pod swoim dachem drugą małżonkę. Popełniali grzech, to oczywiste, ale grzech, który w innych okolicznościach nie byłby żadną winą. Nie pożąda żony bliźniego. Nie tyka kobiet pozbawionych wiary.

Aïcha kompletnie się pogubiła. Wielbiła mężczyznę, z którym nie mogła się związać. Spółkowała i czerpała z tego przyjemność. I zrozumiała, po raz pierwszy, co znaczy wyrażenie „oszaleć z miłości”. Szalała za tym mężczyzną. I traciła wszystko w tym związku. Gdyby była ze sobą całkowicie szczerą, pojęłaby, że się dopuszcza bluźnierstwa: jakaś część jej samej z uporem powtarzała, że ta miłość jest zbyt czysta, by Allah nie był jej świadkiem.

Unikała Faïzy. Było to tym łatwiejsze, że pielęgniarka miała nocne dyżury. Aż do dnia, w którym doszło do katastrofy. Faïza miała wolne i zapukała do pokoju Aïchy – chciałabym wyjść dziś wieczorem, zajmiesz się małymi? Chłopcy już spali. Aïcha usiadła w salonie, by usłyszeć, gdyby któryś się zbudził. Oglądała telewizję, teraz już dobrze rozumiała język. Kiedy Faïza zaparkowała samochód w podziemnym garażu, uprzątnęła stolik i pospieszyła do przedpokoju, żeby jej powiedzieć: „Usypiałam, już idę do mojego pokoju”. Ale Faïza szlochała. Aïcha zawahała się. Czuła się niepewnie. Bała się, że zaraz usłyszy: „Wiem wszystko, zabiję cię”. A może tego pragnęła.

Faïza była tak zapłakana, że słowa nie chciały jej przejść przez gardło. W końcu powiedziała: „Zaparzysz nam miętową werbenę? Zostań jeszcze trochę, chcę z tobą porozmawiać”. Aïcha zadała głupie pytanie: „Coś jest nie tak?”. Wtedy Faïza spojrzała na nią ponuro: „Ależ skąd, nic się nie stało, to chyba po mnie widać...?”.

Potem usiadły przy kuchennym stole, z kubkami gorącego naparu w dłoniach, i Faïza powiedziała: „Znowu się zaczyna, myślałam, że sprawa została zamknięta... Śledziłam go. Jest u niej. Wiedziałam. To trwa już kilka tygodni. Pojechałam za nim. Ona mieszka tuż nad siedzibą Arbeitslosenhausu. Jego

samochód stoi pod jej oknami. Nawet się nie kryje. Kiedy znów zaczął pić, wiedziałam, że do tego wróci. Ale gdy poszedł do egzorcysty... Nie wierzę w te rzeczy, ale psychologicznie, rozumiesz... myślałam, że się opamięta. Mamy troje dzieci. Co miałabym zrobić sama z trojgiem dzieci... A ta francuska kurwa znów rozkłada nogi. Chodzi do łóżka z wszystkimi, mam nadzieję, że Walid nie przywlecze jakiegoś choróbka... Z Francuzkami postępują inaczej niż z nami. Wiedzą, że drzwi zawsze stoją otworem, czemu mieliby się krępować...”.

I od słowa do słowa Aïcha zaczynała rozumieć. Walid miał romans z jakąś inną dziewczyną. Z Francuzką, która pracowała w Amazonie. Nikt go nie zwolnił. Sam odszedł. Dokonał wyboru między swoją żoną a tą kurwą. Bo to była kurwa, kobieta, która pije i spotyka się z mężczyznami, która się wyzywająco ubiera i ociera się o mężczyzn, która w nic nie wierzy. Walid wybrał żonę i dzieci. Odsunął się od niej. Ale nie wytrzymał. Znowu się z nią zobaczył. Mieszkała nad rzeką. Dokładnie w tym miejscu, gdzie Aïcha go spotkała na chwilę przed burzą. Wróciła myślą do tej chwili, przypomniała sobie, że był w złym humorze, i teraz inaczej spojrzała na tę scenę. Szedł do swojej kochanki i bał się, że Aïcha opowie o tym jego żonie. Aïcha po raz kolejny poczuła, że jej świat się wali. Jakby rzeczywistość była tylko dekoracją z tkaniny, kurtyną, która opada i na niczym się już nie trzyma. Prosiła Allaha, żeby ją ukarał. Jego odpowiedź przerosła jej oczekiwania. Powiedziała: „Nie rozumiem, Walid jest dobrym muzułmaninem. Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?”. A Faïza parsknęła śmiechem: „To, że przestrzegasz ramadanu, nie znaczy, że jesteś zainteresowany religią. Pije, pali, pieprzy kurwy... Nie, wcale nie jest taki wierzący. Tak czy owak, dopóki będą istniały takie kurwy jak ona, zawsze gotowe rozłożyć nogi, będą wtykali tam swoje kutasy. Nie mogą się powstrzymać. Mózg jest znacznie słabszy niż jądra. Sądzisz, że powinnam wyrzucić go z domu?”. A Aïcha położyła dłoń na jej dłoni: „Kocha cię. To widać. Jesteście nadzwyczajną parą. Bez ciebie byłby zgubiony”. „Co więc mam robić?” „Modlić się. Musisz się modlić, żeby do ciebie wrócił. Zajmować się dziećmi. I pomyśleć o wspaniałych wakacjach. Powinniście wyjechać, cała wasza piątka, na takie wakacje, żeby po powrocie już nigdy więcej o niej nie pomyślał”.

Czeka, aż dom opustoszeje, i wysyła wiadomość do Walida, uprzedzając go, że nie będzie mogła dłużej zajmować się dziećmi. Potem zamyka drzwi, zostawia klucze w skrzynce pocztowej. W tym momencie dzwoni jej telefon. Hiena, która nigdy dotąd nie zadzwoniła na jej komórkę, mówi zboląłym głosem: „Mamy problemy. Możesz wziąć swoje rzeczy i poczekać na mnie przed dworcem? Jestem w drodze, już niedaleko, przyjadę po ciebie. Rozmawiałam z Faïzą, powiedziałam, że znalazłam ci bardzo dobrą pracę, ale że musisz wyjechać jeszcze dziś. Wszystko ci wyjaśnię”.

Trzy godziny później samochód Hieny zatrzymał się tuż przed nią. Od razu pyta: „Wiesz, gdzie jest Céleste?”. „Nie. Powiedziałaś, żebyśmy do siebie nie pisały”. „No tak, cholera, to prawda, ty zawsze robisz to, co powinnaś robić. W sumie to dobrze, choć teraz nie ułatwia mi życia – nie mam pojęcia, gdzie jest. A muszę ją ostrzec. Zdaje się, że Dopalet was namierzył. Opowiem ci. Wszystko w porządku? Nie, nie jest dobrze, masz pogrzebową minę... Przykro mi, Aïcha, że wszystko dzieje się tak nagle”.

Prowadzi bardzo swobodnie, ma gesty mężczyzny. Aïcha oparła skroń o szybę. Patrzy na tę kobietę, która nigdy nie przestrzegała żadnych obyczajowych reguł. I po raz pierwszy uświadamia sobie, że jest do niej podobna, że nie może jej już osądzać.

W samochodzie David Bowie śpiewa: „*I'm a blackstar*”, Hiena, zasłuchana, ściera włosy do tyłu: „Nie żyje, słyszałaś? Jesteś za młoda, żeby tego słuchać”. I Aïcha widzi łzę w kąciku jej oka.

* Tu: stary mędrzec.

Nie minęły jeszcze trzy dni od śmierci Bowiego, a Céleste już ma dosyć słuchania w kółko piosenek *Let's Dance* i *Starman*. Wczoraj obejrzały *Labirynt* i tylko jej ten film nie wydał się absolutnie genialny. Hélène, Francuzka, z którą pracuje w kuchni i która zaproponowała jej wynajęcie pokoju w tym mieszkaniu, płakała jak bóbr, a jej łzy kapały na kanapki, kiedy to się stało. Rano, zaraz po przyjściu do pracy, podłącza telefon przez bluetooth do kolumny Bose'a i przez cały dzień słuchają muzyki. Céleste nigdy nie interesowała się Davidem Bowiem. Można powiedzieć, że nadrabia zaległości.

Céleste prasuje wielkie prześcieradło, którego używają jako ekranu do projekcji wideo. Zawieszają je nad półkami, obciążając je w kilku miejscach. Trzyma się znakomicie, ale jeśli któregoś dnia prześcieradło się ześlizgnie i hantel spadnie komuś na głowę, niewykluczone, że będą miały trupa w mieszkaniu. W całym domu śmierdzi... Dwie Holenderki, które od tygodnia okupują kanapę w salonie, wypowiedziały wojnę prysznicowi. Są zabawne, są uśmiechnięte, są uczynne. Ale zalatuje od nich starym capem. Na szczęście wszyscy na chacie palą fajki, to trochę maskuje kwaśną woń potu i stęchlizny, jaką wydzielają.

Céleste od godziny stoi nad deską do prasowania, już trzy razy napełniała zbiornik żelazka wodą. Pociąga każdego blanta, gdy zaczyna krążyć po pokoju, a ludzie stale kręcą. Tak się przyjemnie prasuje, kiedy jesteś na haju. Mogłaby to robić przez cały wieczór. Nie można powiedzieć, by miała talent do prasowania, im bardziej się stara usunąć zagniecenia, tym więcej fałd się pojawia. Ale ma dość oglądania filmów, w których aktorzy mają na maksa pomarszczone twarze, więc robi, co może.

Bołą ją ręce. Sparzyła się, skaleczyła, nabiła sobie siniaka. Nigdy by nie uwierzyła, że robienie kanapek, sałatek i krokietów może być tak bardzo wyczerpujące. Pamięta, że w barach, gdzie była kelnerką, członkowie kuchennej

ekipy stale narzekali. Myślała, że to zwykłe marudy, że chcą zwrócić na siebie uwagę. Może się wydawać, że krojenie ziemniaków do tortilli nie jest skomplikowane, ale to ciężka fizyczna praca.

Już w pierwszych dniach sparzyła się w rękę, wrzucając zamrożone kokiety do wrzącego oleju. Ostrzegano ją, żeby tak nie robiła, ale jej się spieszyło. Poparzyła sobie całe przedramię – pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy na widok rany, to: uf, nie uszkodziło tatuażu. Hélène spytała, czy bardzo ją boli, a kiedy Céleste powiedziała, że nie, w porządku, nic nie czuje, skrzywiła się: „To znaczy, że to głęboka rana”. I od razu Celeste przypomniała się scena – gdy poszła do swojej kawalerki, żeby spakować torbę, a Hiena czekała na nią na dole, żeby ją zawieźć nie wiadomo gdzie, szyby terenowego samochodu były przyciemniane i Céleste mogła wysiadać tylko po to, by się wysikać w krzakach, bo nie wolno jej było korzystać z toalet na stacjach benzynowych ze względu na kamery. Pomyślała sobie: bez przesady, nie zrobiliśmy skoku na Banque de France, ale nie dyskutowała z poleceniami Hieny.

Nie rozumiała, co jej się właściwie przydarza. Miała pustkę w głowie. W samochodzie milczała, powtarzała: „Dam radę. Jestem twarda, nie będę się mazać. Trzymam się”. W gruncie rzeczy nie docierało do niej, że to się naprawdę dzieje, że jutro nie wróci do swojego domu. Gdy oparzenie jest głębokie, ból odczuwamy dopiero po jakimś czasie.

Wylądowała w jakimś maleńkim mieszkanku, w głębi korytarza, na kompletnym zadupiu, kilka kilometrów od Saragossy, w Hiszpanii. Hiena powierzyła ją opiece swojego przyjaciela, który mieszkał w tej okolicy i mówił po francusku – laska, choć na pierwszy rzut oka nie sprawia takiego wrażenia, ma tak wiele kontaktów, jakby należała do mafii. A ta kryjówka mogła z powodzeniem służyć członkom ETA, pomyślała Céleste, rozumując jak nieodrodna córka policjanta. Była to skromna dzielnica na obrzeżach miasta, na skraju pól, nad rzeką, na tyle kosmopolityczna, by widok obcej osoby nikogo nie dziwił, i dość nieciekawa, tak że nie zaglądali tu żadni turyści. Były niewielkie szanse, by mogła tu stanąć oko w oko z Francuzem, który by ją rozpoznał. Przyjaciel Hieny zjawiał

się regularnie, żeby napełnić lodówkę. Céleste nie przywykła do przesiadywania w domu, braku jakiegokolwiek towarzystwa i rozmów. Szczególnie trudno było jej się pogodzić ze swoją śmiercią w cyberprzestrzeni. Hiena poprosiła, by odtąd nie logowała się na żadne konto. Céleste powiedziała: „Ale ludzie zaczną się niepokoić, kiedy zauważą, że nie zamieszczam postów”, a Hiena westchnęła: „Tylko swojego ojca musisz uspokoić, a przyjaciele, zobaczysz, wkrótce się zajmą czym innym. Nie brak możliwości”.

Po dwóch tygodniach pojęła, że przed epoką sieci ludzie byli o wiele bardziej kreatywni. Kurwa, jak człowiek się nudzi, kiedy jest odcięty od portali społecznościowych. Przez cały dzień słuchała Mary J. Blige, śpiewając razem z nią. Znała cały jej repertuar na pamięć. Przez resztę czasu rysowała. Za każdym razem gdy Esteban przychodził z zaopatrzeniem, mówiła mu: „Skontaktuj się z Hieną, powiedz jej, że nie mogę tak sama siedzieć – posłuchaj, facet, czuję się, jakbym umarła”. Za którymś razem nie był tak zdystansowany jak zwykle i odpowiedział: „Pójdiesz do pracy, tyle że coś, co mieliśmy na myśli, nie wypaliło”. „Kim ty właściwie jesteś?” „Od dawna przyjaźnię się z Hieną. Ja też miałem kiedyś problemy, bardzo mi pomogła”. Nic więcej z niego nie wyciągnęła, tylko kilka głupich obietnic – że to tylko chwilowe, że wkrótce zorganizują jej życie. I tę kretyńską radę: „Powinnaś obciąć włosy, żeby trudniej cię było rozpoznać”. Wprawdzie Céleste była gotowa zniknąć na kilka miesięcy z obiegu, jednak uznała, że to przesada umieszczać ją w takiej dziurze, gdzie z nikim nie wolno jej się widywać. Jeszcze przez dwa dni siedziała w zamknięciu. Mary J. Blige była jej jedyną kumpelką – *Real Love, Family Affair, No More Drama...* Aż któregoś ranka, zdesperowana, wzięła dwadzieścia euro, które Esteban jej zostawił, i poszła do fryzjera. To tam poznała Juanita. Jest fryzjerem, choć nie jest gejem. Ma wytatuowaną na dłoni meksykańską czaszkę. Pokazała palcami, że przyszła skrócić włosy. Wskazała zdjęcie, by zrozumiał, o co jej chodzi. Juanito kiwnął głową. I zrobił coś zupełnie innego. Widząc się w lustrze z wygolonymi skrońmi, z krótką grzywką, Céleste nie była zachwycona, ale facet za bardzo jej się podobał, by miała mu robić sceny. Koniec z ponurym życiem. Juanito znał kilka francuskich słów,

tyle, by zrozumieć, że Céleste nie ma telefonu: „kaput, kaput” – kaput to uniwersalne słowo. Umówił się z nią tego samego wieczoru w barze obok salonu. I po dziesięciu minutach zabrała go do siebie. Nie mając wspólnego języka, musieli się porozumiewać inaczej niż za pośrednictwem słów.

Zaczął przychodzić do niej po pracy. Przyrządzał gin z tonikiem. Przynosił wysokie szklanki, kostki lodu, wanilię i zdecydowanym ruchem wlewał tonic do szklanki, żeby nie robić bąbelków. Od razu się w nim zadurzyła – czuła się kompletnie zagubiona. A on miał swoje życie.

Gdy jej powiedział, że na kilka tygodni jedzie do Katalonii, gdzie ma pracować jako fryzjer na planie filmowym, i że wyrusza autem następnego ranka, Céleste nie wahała się ani chwili. Powiedziała „weź mnie ze sobą”. Chwila zakłopotania: na miejscu czeka na niego dziewczyna. Jego stała partnerka, o której nigdy nie wspomniał. Ale Céleste wbiła sobie do głowy, że nie może ani dnia dłużej tkwić na tym zadupiu, i powtarzała „weź mnie ze sobą”. Miała po dziurki w nosie planów Hieny.

Tak przemierzyła Hiszpanię z zachodu na wschód z chłopakiem, w którym zakochała się do szaleństwa, i teraz patrzyła na jego profil, powstrzymując płacz, bo u kresu podróży miała go stracić z oczu. Kiedy dotarli do Barcelony, zgodnie z umową i bez chwili wahania, zostawił ją na placu Katalońskim. Nigdy więcej go nie widziała.

Często podejmujemy właściwe decyzje z niekoniecznie dobrych powodów. Była przekonana, że Juanito ją kocha, że odwzajemnia jej uczucie, że wystarczy trochę poczekać, a miłość zatriumfuje i tak dalej.

Kiedy przybyła do Barcelony, skontaktowała się z Norą, laską jeszcze z okresu studiów na Akademii Sztuk Pięknych, która zamieszkała tu przed dziesięciu laty. Żeby się parać grafiką, ale w rezultacie została kelnerką. I Céleste po raz kolejny złamała zakaz Hieny: nie skorzystała ze swojego dawnego profilu na Facebooku, ale weszła tam pod pseudonimem. Jak inaczej miałyby skontaktować się z przyjaciółmi?

Nora stwierdziła: „Rzecz jasna, możesz spać u nas, mieszka tutaj pięć osób”. A Héléne, która też jest Francuzką, powiedziała jej: „W restauracji, gdzie pracuję, szukają kogoś do pomocy”. I tak się zaczęło. To szczęśliwy dom. W pierwszych dniach płakała z powodu Juanita. Ale nie cierpiała zbyt długo. Wszyscy w tym mieszkaniu są naprawdę super. To jej nowa wataha. Nikt jej tu nie wkurza. Z niektórymi rozumie się lepiej, to normalne. Zintegrowała się z całą paczką bez najmniejszego problemu. Diego to dzielnicowy playboy, używa pomady i zaczesuje włosy do tyłu jak Włosi, lubi motory i surfing. Rozmawiają ze sobą po angielsku, a on traktuje ją jak swoją młodszą siostrę. Héléne jest najstarsza, ale zachowuje się jak czternastolatka – wraca z pracy, zalewa gorącą wodą chińską zupkę, zakłada słuchawki i ogląda na ekranie telefonu programy typu reality show. Wszystkie wersje *The Voice* – amerykańską, australijską, angielską... Dzieli największy pokój w mieszkaniu z Myriam, Turczynką bez papierów, która włada biegle trzema językami, ma mnóstwo dyplomów i wyjechała ze swojego kraju, bo, jak mówi, jest tam beznadziejnie. Sprząta mieszkania, ale Céleste zauważyła, że zawsze ma przy sobie gruby plik banknotów. Nie byłaby zdziwiona, gdyby chodziła tam w innym celu. Karim jest najmłodszy, ma najbardziej zapuszczony pokój, który pomalował w całości na czerwono, chce zostać artystą malarzem, nie pokojowym, rzadko odwiedza swoją szkołę sztuk pięknych i upija się rumem na maksa, czasami w środku zdania pada na podłogę i trzeba czterech osób, żeby w ubraniu położyć go do łóżka. Jest dla Céleste bardzo miły, w sklepie w centrum ukradł specjalnie dla niej czarną bluzę *Sons of Anarchy*. Kradnie codziennie. Nikt go nigdy nie złapał, jest zwinny jak ninja. Angela jest poetką, gra też w piłkę nożną, ma zniszczone stopy, a pracuje w eleganckim butikiu z ciuchami, gdzie zaglądają turyści, w północnej części miasta, a wieczorem, jeśli nie ma treningu, robi skrety, rozkładając wokół siebie notesy. Gdy ma natchnienie, pisze dwanaście wierszy po kolei. Nazajutrz je odczytuje i drze połowę kartek. Céleste nie dostrzega różnicy między dobrym wierszem a złym. Pewnie dlatego sama nie jest poetką. Angela chodzi z Pablem, który jako jedyny z całej paczki ma zamożnych rodziców, ale przyjechał z Wenezueli, więc nawet jeśli tam jego rodzina jest dziana, po

przeliczeniu na euro kasy, jaką dostaje, by kontynuować naukę, szau nie ma. Studiuje grafikę komputerową, ale przez większą część czasu jest pod wpływem ecstazy, delikatnie otwiera drzwi lodówki, zapraszając wszystkich do kontemplacji pięknego światła – a kiedy nie jest naćpany, ogląda jakiś wenezuelski kanał, pogrążając się w tak głębokiej depresji, że trzeba wyjść na miasto i poszukać dla niego speeda, by wyrwał się z tego stanu.

Stale robią imprezy, ich sąsiadami z dołu są Rosjanie, którzy całymi dniami się szarpia i wrzeszcza wniebogłosy, a potem się pieprzą, nie przestając wrzeszczeć, więc trzeba mieć wyczulone ucho, by stwierdzić, co naprawdę robią... W efekcie nigdy nie skarżą się na hałas, robią tak wielki harmider, że nie słyszą niczego wokół. Mieszkanie obok wynajmują turyści, nawet jeśli przychodzą zrobić awanturę, wszyscy mają to gdzieś. I tak nie wezwą policji, nie mają prawa tu być.

Céleste wszystko się tutaj układa – nawet przez tydzień nie spała na kanapie w salonie, gdy Virginia, zajmująca pokój w głębi mieszkania, stwierdziła, że znalazła pracę w Wiedniu – i Héléne zapytała: „Chcesz wziąć jej pokój za dwieście euro miesięcznie, z opłatami, mniej więcej?”.

Tak wielu ludzi odwiedza ich mieszkanie, każdy z lokatorów ma licznych przyjaciół, więc Céleste często tatuuje niewielkie wzory – żąda tak mało, że wystarcza to w sumie tylko na igły, tusze i rękawiczki, ale nie chce wyjść z wprawy. Na ogół dziara znak nieskończoności, który coraz częściej zastępuje delfinka. I kwiaty, i motyle, bo przecież jest dziewczyną i właśnie tego ludzie od niej oczekują. Nie cierpi motyli, ale się nie upiera. Trzydzieści euro tu, pięćdziesiąt tam... Plus godziny w kuchni, gdzie wzywają ją regularnie – szefem ekipy jest romantyczna lesbijka, która uwielbia Francuzki.

Lubi to nowe życie. Myślała o tym, by wrócić do Paryża – ma gdzieś Dopaleta. Nie złożył skargi. Jej ojciec by o tym wiedział. Ze względu na podatki deklaruje, że Céleste nadal z nim mieszka. Od razu przyszliby jej szukać u niego. Céleste uważa, że Hiena cierpi na manię prześladowczą. Ten pieprzony producent nie ma na tyle jaj, żeby wynająć kogoś, by jej połamał nogi. Dostał, na co zasłużył. W miarę upływu czasu coraz mniej się obawia, że coś jej może grozić. Ale w Barcelonie

czuje się lepiej niż w Paryżu. Dla ludzi w jej wieku jest tu więcej dorywczych zajęć. I mniej zawracania głowy. Hélène chce wyjechać do Berlina, a Céleste się zastanawia, czy do niej nie dołączyć.

Tak naprawdę nie powiedziała jeszcze ojcu, gdzie się teraz znajduje. Ale nie zamierza zbyt długo go oszukiwać. Poinformowała go, że jedzie do Australii na staż w studiu tatuażu. Wściekał się, bo nawet się z nim nie pożegnała. Ale ponieważ jego kobieta jest w ciąży, a on sądzi, że to wkurza Céleste, pewnie uznał, że jest na niego obrażona. I w gruncie rzeczy to go pewnie urządza, że pojechała na koniec świata. W jego wieku mieć małe dziecko to skomplikowana sprawa. Céleste w ogóle nie przeszkadza, że będzie miała siostrzyczkę. Ale ojciec jest przekonany, że przeżywa dramat.

Z początku kontaktowały się czasami z Aichą, zamieszczając komentarze na Instagramie, na koncie Justina Biebera. Myślały, że nikt nie będzie szukał w całym tym bałaganie dwóch lasek opowiadających sobie nieistotne rzeczy. Ale posługując się szyfrem, tak naprawdę niewiele mogły sobie powiedzieć. Dała więc sobie z tym spokój. Zresztą Aichy nie spodobałoby się, że uciekła. Jest zbyt poważna. Jeśli każesz się jej ukrywać, zrobi to. Céleste czuje się bardziej wolna. Nie jest ograniczona religią.

Céleste trzyma prześcieradło, wyciągając ramiona do przodu. Jest coraz bardziej pomięte. Pablo leży na podłodze, z głową na poduszce, i zawzięcie gra w jakąś idiotyczną grę komputerową, od kilku godzin, kula przebija szklane ściany zawieszona w jakimś niezwykłym stanie nieważkości. Spojrzała przez jego ramię, by sprawdzić, co robi, i od razu dostała zawrotu głowy. Hélène przesuwa na ekranie telefonu zdjęcia byłej żony Davida Bowiego, siedemdziesięcioletniej damy z dwoma kucykami. Bierze udział w programie *Big Brother UK*. Mówią jej w izolatce, że David nie żyje i żeby nikomu tego nie zdradziła, ale ona od razu powtarza to jakiejś niuni, a ta dochodzi do wniosku, że ma na myśli Davida z domu Wielkiego Brata i zaczyna wrzeszczeć, starej się wydaje, że dziewczyna uwielbiała Davida Bowiego, ale laska jest zbyt młoda, by wiedzieć, kto to taki albo się tym

przejmować, i robi się wielki burdel. Kurwa, niech już przestaną się zajmować śmiercią Davida Bowiego w tym domu.

Céleste sprawdza, która jest godzina. Dzień wcześniej jakiś facet skontaktował się z nią w sprawie tatuażu. Znów założyła konto na Facebooku, przybrała imię Bianca, swojej babci ze strony ojca, i nazwisko panięńskie matki, Klint, żeby założyć artystyczny fanpage. Facet chce sobie wytatuować wykonanego realistycznie wilka. Céleste nie umie rysować zwierząt, a realizm nie jest jej mocną stroną, ale wysłała projekt i gość odpowiedział: „OK. Tylko niezbyt duży”. Chodzi o cenę. Druga sprawa: niektórzy wyobrażają sobie, że możesz im wytatuować Kaplicę Sykstyńską na serdecznym palcu – nie widzą, w czym jest problem. Żeby wytatuować wilka, potrzebujesz całej łopatkii – inaczej czemu miałoby to służyć? Ludzie to cioty, chcą mieć tatuaż, ale boją się, że będzie widoczny. Jednak patrząc na tego wilka, Céleste dochodzi do wniosku, że może to niezły pomysł, by nie był zbyt duży. Wygląda trochę jak Snoopy na kwasie. Zdziwiła się, że go zaakceptował. Zapytała go o szerokość ramienia, by przygotować kalkę. Odpowiedział: „Dwa razy iPhone 6”.

Zapytał, czy ma własne studio. Zwykle tatuuje w swoim pokoju, zaciągając zasłony, by ludzie z naprzeciwka na nią nie donieśli. Nie ma prawa tatuować w domu. Ani pracować na czarno. Klient jest Francuzem. Céleste nie wie, jak trafił na jej stronę. Woli, żeby wytatowała go w jego domu, bo to jakiś cienias i musi odpocząć po seansie. Nie wysłała go od razu na drzewo, bo kiedy stwierdziła, że to będzie go kosztowało około stu euro, nawet się nie zająknął. Potrzebuje tych pieniędzy. Wyznaczyła facetowi spotkanie w barze, żeby mu się przyjrzeć, zanim pójdą do niego. Nigdy nie wiadomo. Ma nadzieję, że nie chodzi o podryw. Nie umieściła na stronie swojego zdjęcia. Nie należy przesadzać. Od kiedy ma ogoloną głowę, faceci już tak bardzo nie lecą na jej tyłek. Ale jednak. Jak zwykle najbardziej namolni są Francuzi. Wszyscy tutaj tak mówią. Wszyscy, którzy pracują w barach, w restauracjach czy muzeach, powtarzają to samo – faceci z Francji są najgorsi. To zawsze oni drą gęby, wkurzając wszystkich wokół. To

zawsze oni zaczepiają dziewczyny. Nawet Włosi są od nich mniej nachalni.
I wszystko jasne. Nic dodać, nic ująć. Sprawa zamknięta. Koniec, kropka.

Trzy euro za butelkę wody w sklepiku na Dworcu Lyońskim, całkiem im odbiło. Max nie miał zamiaru płacić. Odsunął papierową torbę z sandwichem, butelką i babeczką cannelé – dziesięć euro, to chyba jakieś żarty!

Kasjerka zrobiła urażoną minę, jakby anulowanie operacji było dla niej życiowym dramatem. Może się wypchać trocinami. Widział filmik w sieci: na dworcu jest pełno szczurów, przechadzają się między rogalikami. Kolejny powód, żeby ten sandwich z serem, szynką i masłem wylądował na jej facjacie. Paryż jest oblegany przez szczury. Podobno jeśli siądziesz na skwerze w Le Marais, odłóżysz na bok sandwicza, gołębie i gryzonie od razu pędzą do niego. Niezbyt przyjemny widok.

Nie znosi urządzać scen w miejscach publicznych, tak bardzo się irytować. Ale jest roztrzęsiony.

Mała Céleste dostała niezły wycisk. Nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś tak oberwał. Zgoda, nie umarła od tego. Ale jednak... Max potrafi być agresywny słownie. Wie, że jest mocny w gębie. Ludzie się go boją. I to zawsze mu się podobało. Ale rzadko się bije. Nie podnosi nawet ręki na swojego syna. Często był świadkiem ulicznych bijatyk, w młodości brał udział w demonstracjach, widział, jak gliniarze okładają współtowarzyszy pałkami, i nie mdlał. Nie jest słabowitą ciotą. Ale nie używa przemocy.

Chciał tylko obezwładnić Céleste, zamknąć ją zgodnie z planem i dać jej się wyrzeszczyć, w oczekiwaniu na Dopaleta. Był pewien, że wystarczy pogadać z nią po męsku, przybierając ton Lorda Kossity'ego, a dziewczyna zaczeka, nie robiąc historii. Chciał ją porządnie nastraszyć. Stąd pomysł, żeby wezwać na pomoc dwóch kumpli z Hells Angels, którzy mają bardzo wymowne gęby i nikt nie ma ochoty z nimi dyskutować. Czekaliby sobie w domu, gdzie Max miał ją sprowadzić, i bum! Wystarczyło, żeby się pokazali. Psychologicznie dziewczyna od

razu by wymiękła. Widząc, ilu facetów jej pilnuje, bojąc się, że ją zgwałcą, spuściłaby z tonu. To był pragmatyczny, inteligentny i bardzo prosty plan. Wystarczyłoby ją skrepować, dać dwa razy z liścia i wyśpiewałaby wszystko, co wie. Potem Dopalet sam by zdecydował, co zamierza z nią zrobić.

On wywiązał się ze swojej roli bez zarzutu. Jednak miał tremę, idąc na spotkanie z Céleste, która czekała na niego w barze w Barri Xino. Poczł złość, gdy ją rozpoznał. Miał jej za złe, że przyszła. Ile razy trzeba powtarzać dziewczynom, że nie powinny się umawiać w miejscach publicznych z nieznanymi typami? Gdyby przyszła tam w towarzystwie faceta lub choćby z jedną czy dwiema koleżankami – musiałby się wycofać. Byłby zmuszony wymyślić coś innego. Czy nawet zrezygnować. Ale się pojawiła, bez towarzystwa i jakichkolwiek obaw – laska waży jakieś pięćdziesiąt kilo, to chuchro. Poza tym jest apetyczna. *Full of shit*, ale ładna siksa. Właściwie jeszcze dziecko. W tym momencie nie wiedział, że to się źle skończy, więc zachował się w pełni profesjonalnie. Zaświtała mu w głowie myśl, że to ją czegoś nauczy. Dopalet opowiadał mu, co się stało, to było straszne. Nie można pozwolić młodym, żeby wchodzili sobie do kogoś ot tak i znęcali się nad nim bez wyraźnego powodu. I choć czuł się z tym trochę niewyraźnie, mówił sobie: zasłużyła na kulkę w łeb. Sama tego chciała. Poza tym nie lubi krótko ostrzyżonych dziewczyn. Nie mogłaby uszanować swojej kobiecości? Uważasz się za faceta przy twoich gabarytach?

Jak często słyszy się o laskach zabitych przez chorych psychicznie maniaków? Nieustannie. Zanim nastąpiła moda na masowe masakry, niemal codziennie mówiło się o jakimś seryjnym mordercy. Ile razy słyszała historie o dziewczynach uprawiających jogging, o autostopowiczkach, kelnerkach, laskach, które późno wychodziły z metra, wracały do domu, robiły cokolwiek – i zostały zgwałcone, okaleczone, poddane torturom? Myślisz, że to je czegoś nauczyło? Nic a nic. Siedziała jak głupia gęś, czekając na niego. Niczego nie chcą zrozumieć. Bajerował ją przez piętnaście minut, tłumacząc, dlaczego woli zrobić sobie tatuaż w swoim domu. Poszła za nim. Odgrywał zgreda, który stara się być na bieżąco. Często ma

do czynienia z młodymi laskami, wie, co zrobić, by nabrały do niego zaufania. Poszła za nim i niech mu nikt nie mówi, że nie wyczuła, w ogóle, że chce jej zrobić krzywdę. Zawsze to wiedzą. A jednak się w to pakują. Gdyby myślały o asekuracji, nie byłyby tak często wykorzystywane. Weszła z nim do pięknego domu z widokiem na położoną w dole Barcelonę, już za obwodnicą. Domu, który stał na uboczu, tak że gdyby nawet zdołała wydostać się z piwnicy, musiałaby pokonać pięćset metrów, by kogokolwiek o tym powiadomić. Domu starannie wybranego w związku z tym, co zamierzali zrobić.

Max czuł się niepewnie. Ale dał słowo Dopaletowi. Nie mógł się już wycofać. Późnym popołudniem miał zadzwonić do producenta: „Misja wypełniona, czekamy na ciebie”. Pomijając parę banknotów – zawsze mile widzianych – które na tym zarobi, Max miał nadzieję na to, że zyska jego zaufanie, nawiąże bliskie więzi z Dopaletem. Ten wspólny sekret sprawi, że dokonają razem wielkich rzeczy. Maxowi nie brak pomysłów. Brak mu tylko środków.

Nie mógł przewidzieć, że sytuacja wymknie się spod kontroli. Że stanie się to tak szybko i w sposób tak gwałtowny. Przekonywał ją, że woli zrobić sobie tatuaż u siebie, bo się obawia, że potem nie będzie w stanie wrócić do domu. Wie to od Dopaleta – po seansie ma się nudności. Céleste patrzyła na niego z drwiącą miną. Pomyślała, że robi to pierwszy raz i tragizuje. Próbowwała go uspokoić: „Nie poczuje się pan tak źle, by nie móc wsiąść do taksówki”. Lecz dała się przekonać. Widocznie ona też potrzebowała pieniędzy. Gdy jej powiedział: „Wolę zapłacić dwa razy tyle za dobry tatuaż, niż wydać sto euro i mieć byle szajs”, zauważył, że wyraźnie zyskał w jej oczach.

Gdy zamknął za sobą drzwi na klucz, gwałtownie się odwróciła, a on parsknął śmiechem: „Jestem przewrażliwiony, zawsze się boję, że ktoś może wejść do środka, kiedy jestem sam w domu”. Uśmiechnęła się, nie wychwyciwszy ironii: przecież właśnie tak zrobiła w mieszkaniu Dopaleta. Wtargnęła tam znienacka i wywróciła jego życie do góry nogami. A wszystko z powodu nieporozumienia. Tak przynajmniej twierdzi producent. Max może się domyślać, że nie było to takie proste. Lecz to nie jego sprawa. Powiedział tylko: „Przypilnuję jej, potem

przyjedziesz i sam z nią porozmawiasz”. A Dopalet od razu wyłożył odpowiednią sumę, by plan doszedł do skutku. Jeśli więc chodzi o Maxa, zachował się bez zarzutu. Problem pojawił się ze strony Hells Angels.

Franck i Thierry mieli tylko wyjść z kuchni i natrzeć jej uszu. Max pomyślał o kajdankach, bo to powinno ją psychicznie rozłożyć. Ale powinni byli dać jej dwa razy po buzi i zamknąć w piwnicy. We trzech, trochę później, żeby im nie zwiłała... To naprawdę nie było skomplikowane. Max chciał od niej wyciągnąć, gdzie ukrywa się jej współpracowniczka Aïcha, zanim zjawi się Dopalet. Dzięki tej wiedzy miałby nad producentem przewagę i ten zrobiłby wszystko, czego tylko Max by sobie zażyczył.

Rzecz w tym, że kiedy Franck i Thierry już zaczęli, Max nie mógł ich powstrzymać. Kurwa, tym gościom kobiety musiały nieźle dać się we znaki, że aż tak się zawzięli. Zmasakrowali ją. Max się wtrącił: „Spokojnie, dziewczyna musi jeszcze nam coś powiedzieć, zostawcie coś dla zleceniodawcy”. Ale Franck spojrzał na niego spode łba: „Nie ucz mnie, jak mam pracować”. Zrobił się syf. Max wolałby nie być świadkiem tego, co widział tego wieczoru. Była mowa o małej lekcji, nikt nie mówił, że mają powtórzyć sceny z filmu *Uwolnienie*. Ale spróbuj ich uspokoić... Wytłumacz dwóm nieokiełznanym potworom, że tego nie było w umowie. Efekt jest taki, że jeśli ich dopadną, Max zostanie uznany za współnika. Tego wszystkiego. A przy okazji również Dopalet.

Uczestnicząc w tej scenie, miał dość czasu, by wiele rzeczy sobie zarzucić. Choćby to, że był naprawdę bezmyślny, sądząc, że zdoła zapanować nad Franckiem. Facet przeszedł szkolenie u Hells Angels w Grenoble. Opowiada, że zrezygnował z klubowych barw, gdy uzależnił się od heroiny. Mówi: „Nie miałem szczęścia, statystyczne prawdopodobieństwo uzależnienia się po trzydziestce od twardych narkotyków jest naprawdę znikome i należę właśnie do tego niewielkiego odsetka – przed trzydziestką piłem, wciągałem koks, ale nie byłem pieprzonym narkomanem. A potem odkryłem heroinę, sięgnąłem po nią, żeby odejść od koki. I od razu wpadłem”. To jego oficjalna wersja. Ale gdy wydarzenia przybrały

nieprzyjemny obrót, Max przypomniał sobie także inną wersję. Franck miał podobno skłonność do obmacywania dzieci. Małych dzieci – nie jakichś wyuzdanych siks, tylko małych dziewczynek. Zresztą sam nie ma pewności co do płci swoich ofiar. Kiedy podobają ci się dziesięciolatki, możesz nie zwracać uwagi na to, czy są to dziewczynki czy chłopcy. Tak czy owak, zważywszy, że to prymityw... można zadawać sobie pytanie, czy jest w stanie odróżnić jedno od drugiego.

Nie od razu pomyślał o Francku. Zwykle nie pracuje z tego rodzaju ludźmi. Jest dość dorosły, by wiedzieć, że przed niektórymi osobnikami trzeba się mieć na baczności.

Ale musiał się spieszyć, a Franck był jedyną znaną mu osobą, która ma sporo kontaktów w Barcelonie. Max odnalazł Céleste w kilka dni. O ile trudno mu było nakłonić do mówienia Xaviera, Sylvie, Lydie, Vernona, o tyle zlokalizowanie małej Céleste to była dziecinna igraszka. W niecałe dwie doby trafił na stronę Daniela, a ten głupek lajkował jak najęty nowe tatuaże małej. Młodzi ludzie się zdziwią, jak internet da im kiedyś popalić – jeszcze nie zrozumieli, że dokładnie widać, co robisz, wystarczy tylko zainteresować się twoim przypadkiem.

Zatem Franck był pierwszą osobą, o której pomyślał, gdy tylko się dowiedział, że wszystko rozegra się w Barcelonie. Motocyklista powiedział: „Dom z wygłuszonym pomieszczeniem? Mam to, czego szukasz”. A Dopalet, jako producent filmowy, ma jedną wielką zaletę: wie, że aby osiągnąć cel, najlepiej wyłożyć pieniądze na stół. Zatem to nie był problem – dom z wytłumioną piwnicą, bo kiedyś była tam sala prób. Podobnie rzecz miała się z osiłkami, którzy mieli wspomóc Maxa – było z czego odsypać im dołę. I właśnie tu Max pomylił się w swoich rachubach. Myślał, że Franck, który przy różnych okazjach miał do czynienia z glinami, będzie wiedział lepiej od niego, jak zmusić ją do mówienia. Błędna kalkulacja. Franck i Thierry urządzili prawdziwą jatkę. Zakpili sobie z niego, czego się nie spodziewał.

Inna rzecz, o której pomyślał, kiedy zobaczył, że sytuacja wymyka się spod kontroli i niewiele może na to poradzić – to że niełatwo być mężczyzną. Gdyby był dziewczyną, mógłby wymachiwać piąstkami w powietrzu i wydawać histeryczne okrzyki: „Przestańcie, jesteście okropni, kurwa, posuwacie się za daleko!”, i wszyscy uznaliby to za normalne. Może nawet by go posłuchali wzruszeni jego rozpaczliwą reakcją. Ale będąc facetem, nie możesz się tak zachować. Albo jesteś w stanie fizycznie ich zdominować i uspokoić, żeby samemu stać się samcem alfa, albo zachowujesz się tak jak on – jak facet zaskoczony, ale zblazowany, na którym nie robi to wielkiego wrażenia: „Wyluzujcie, chłopaki, musi nam jeszcze potem coś powiedzieć”. Nawet jeśli w rzeczywistości był przerażony tym, co się działo na jego oczach, stanął po ich stronie. A kiedy Franck rozpiął rozporek, wyszedł i zaczekał, aż to wszystko się skończy. Céleste już nie hałasowała. Przestała się opierać. Tak bardzo ją obili, że przypuszczalnie straciła przytomność. Oszczędził sobie tego widoku.

Tak naprawdę miał cykora jak diabli. Uprowadzenie to poważna sprawa. Ale jeśli nad wszystkim panujesz, laska nawet nie złoży skargi. W końcu sama ma sobie niejedno do zarzucenia. To dałoby się rozegrać. Teraz słuchał odgłosów z pomieszczenia obok i uświadamiał sobie, że nie będą jej mogli wypuścić. Najbardziej obawiał się reakcji szefa, gdy zobaczy, do jakiego stanu doprowadzili dziewczynę. Ale Maxowi zabrakło odwagi, by tam wrócić i zobaczyć, co robią ci faceci. Bał się ich. Każdy by się bał.

Gdy się wreszcie uspokoił, Max do niej podszedł, by dać jej środki nasenne. Ręce mu drżały. Nie mógłby pracować w rzeźni. Jest na to zbyt wrażliwy. Dziewczyna jęczała, miała zapuchnięte oko. Trochę przetarł jej ciało ścierką, żeby usunąć ślady krwi i spermy. Zbiry otworzyły butelkę whisky. Max nie mógł jej pocieszyć tak, jakby chciał. Wzbudzała w nim wielką litość. I lekkie obrzydzenie. Ale zwłaszcza współczucie. Zawinął ją w koc, który dla niej kupił, i zaniósł do piwnicy, nie prosząc nikogo o pomoc. Przykuł ją do łóżka, tylko jedną rękę. Nie mogła uciec, ryzyko było zbyt duże. To, co się wydarzyło, było naprawdę groźne.

Dwaj zadowoleni z siebie debile poczęstowali go szklanką whisky. Max powiedział, powstrzymując złość: „Przesadziliście trochę”, a Franck wydał policzki: „To dla niej nie pierwszozna. Pełno jest takich dziwek. Nie przejmuj się, to nie pierwszy kutas, jakiego widziała”. Max pomyślał: to jakiś synalek Goebbelsa, jak można być aż tak podłym. Ale tylko przybrał namaszczone minę i odparł: „Mam nadzieję, że producent zapłaci nam tyle, ile obiecał, bo nie o to prosił”, a słysząc ton głosu Francka, który ripostował: „Lepiej, żeby zapłacił!”, Max raz jeszcze powiedział sobie w duchu, że zrobił cholerny błąd. Nie należy pracować z gangsterami. Kiedy widzą faceta pokroju Maxa, wiedzą, że nie należy do ich gatunku. Nie traktują go serio. Na jego obronę przemawia to, że nie ma zwyczaju brudzić sobie rąk. Cholernie brakuje mu doświadczenia, gdy chodzi o kidnaping. Zwrócił się więc z tym do kogoś, kogo miał pod ręką...

Dopalet od razu wsiadł do samolotu, tak jak ustalili. Max spodziewał się, że mu zmyje głowę. Pół dnia spędził w kiblu, wypróżniając się, trzymając się za brzuch. Nie bał się tak bardzo od czasów liceum, gdy zbliżał się koniec lekcji i jakiś drab czekał na niego pod szkołą, żeby mu dać popalić za to, co powiedział.

Natomiast dwaj oprawcy byli w świetnej formie. Niektórzy ludzie są do tego stworzeni. Gdyby umieścić tych dwóch w Legii Cudzoziemskiej, po roku uginaliby się pod ciężarem medali.

Max układał sobie w myślach zdania, by wytłumaczyć się przed Dopailem i go udobruchać. Dobrze rozumie się z producentem. Kiedy zobaczył go pierwszy raz, pomyślał: to głupek jakich mało. Potem, poznawszy go trochę lepiej, zrozumiał, że to facet wrażliwy, ciekawy świata, że dużo podróżował. Gość zyskuje przy bliższym poznaniu. Podczas rozmowy sypie anegdotami i wygłasza dosyć ciekawe teorie na temat kina... Ale jedyną rzeczą, która go teraz naprawdę zajmuje, są te głupawe seriale.

Max gardzi serialami. Stara się tego nie mówić nowemu przyjacielowi. Oglądając kretyńskie telenowełe czy ciągnący się w nieskończoność serial *Dallas*, skręcał się ze śmiechu, a teraz, kiedy to stało się modne, wszyscy pieją z zachwytem. To prosta recepta na to, jak zniszczyć sobie mózg, bombardując go co

pięć minut strasznymi idiotyzmami o podejrzanym wymowie ideologicznej. To tak samo niezdrowe jak stołowanie się w McDonalddie rano, w południe i wieczorem. Takie nastały czasy: ludzie gardzą inteligencją. Świat należy do takich jak Franck i Thierry, brutalnych debili, dla których maltretowanie innych to szczyt osobistego rozwoju.

Max jest szczery, gdy mówi Dopaletowi: „Taki facet jak ty, który zna się na kinie, lubi filmy Truffaut, Pasoliniego i Bergmana, nie może patrzeć przez cały dzień, jak zombie atakują zgraję skończonych idiotów...”. To śmieszy Dopaleta, który lubi, gdy ktoś się z nim przekomarza. Ale nie wywołuje to żadnej sensownej reakcji z jego strony. Jest taki sam jak wszyscy, przyznaje się do porażki. Nie stawia już oporu.

Dopalet opowiedział mu o taśmach Alexa. Nie poszukuje jedynie tych dwóch dziewczyn. Chce również odnaleźć te nagrania. Max mu doradza: „Nie próbuj odzyskać ich siłą, żeby się zemścić czy coś w tym rodzaju... Stracisz wszystko, co masz. Nie. Jeśli chcesz, by sami dali ci taśmy Alexa, nikomu o tym nie mówiąc... To proste: musisz ich zatrudnić. Zajmij się produkcją konwergencji. Uzależnią się od twoich pieniędzy. Poprosisz ich, o co zechcesz. Wiesz lepiej ode mnie, że tak to właśnie działa. Nikt nie jest w stanie oprzeć się luksusowi. Widzę w ich paczce co najmniej trzy osoby, które będą ci jadły z ręki, jeśli sypniesz groszem, nawet jeżeli mówią co innego. Już ich trochę znam. Zamów u Xaviera scenariusz, a przyniesie ci kasety na srebrnej tacy. Zatrudnij Sylvie jako babcię klozetową, a zrobi wszystko, co zechcesz. Pamela jest zawsze taka honorowa, ale wystarczy, że dasz jej rolę w filmie, a zdradzi całą bandę. A jeśli ktoś będzie nadal kwękał, poprosisz resztę, żeby go uciszyła”.

Max może nie najlepiej przemyślał wprowadzenie Céleste, nie miał dość wprawy, by zorganizować tego rodzaju akcję. Ale wie, że się nie myli w swojej ocenie funkcjonowania grupy. Im więcej się dowiaduje na temat konwergencji, tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że można na tym naprawdę nieźle zarobić. Ludzie uwielbiają chodzić na imprezy. Potrzebują magii. Chcą w coś wierzyć. Chcą tańczyć. Ma przecucie, że będzie wiedział, jak im to wszystko sprzedać.

Lecz teraz, kiedy ta mała leży na materacu w piwnicy... Jego marzenia o superprodukcji bardzo się oddaliły.

Dopalet przyjechał. Spytał Maxa: „Coś poszło nie tak? Jesteś błąd jak ściana”. Franck zarechotał. Dopalet spojrział na niego zaniepokojony. Max zszedł przed Dopaletem schodami prowadzącymi do piwnicy. Miał okazję przyjrzeć się jego twarzy, gdy producent zobaczył nagie ciało pod kocem, przykutą dłoń i drobną posiniaczoną twarz. Thierry kilka razy tam wracał, gdy czekali na Dopaleta, żeby ją okładać, i dziewczyna była pokryta plamami zaschniętego nasienia. To był okropny widok. Maxowi było wstyd, nie był już w stanie szlochać ani się wypróżniać – przekroczył granicę łez. Stał jak zamurowany. Lecz – co za niespodzianka – producent wyglądał na zadowolonego. Stał na progu, uśmiechając się z satysfakcją pod nosem, i szepnął „to ona”, wskazując ruchem podbródka dziewczynę. Franck powiedział „całe szczęście”, a Dopalet położył dłoń na ustach, żeby stłumić chichot. Nie został tam długo, nie chciał, żeby się obudziła i go rozpoznała.

Max mówił sobie: to straszne, będzie z tego afera. Producent na pewno powie, że wcześniej nie było o tym mowy. Ale nie. Dopalet wszedł na piętro i był ciekaw tylko jednego, czy dziewczyna powiedziała, gdzie jest Aïcha. Thierry odparł: „W Niemczech. Ale nie wie dokładnie gdzie. Na pewno wszystko by wyśpiewała. To dziewczyna bez charakteru”. Max stał z założonymi rękami, wpatrywał się w czubki butów, nie odzywając się słowem. Myślał: a więc to mnie odbiło – ale ze mnie cipa. Bo Dopalet wcale nie był zszokowany. Nie. Raczej poczuł ulgę.

Bez słowa wysłuchał planu Francka: trzeba jej wstrzyknąć w żyłę gram hery, jakby przedawkowała, poczekać na reakcję i wyrzucić ciało byle gdzie w Santa Coloma – zdaniem motocyklisty to jedyna trudność, bo trzeba się jej pozbyć, mając pewność, że w pobliżu nie będzie żadnych kamer ani świadków. Ale, jak stwierdził, dadzą sobie radę. Potem ją znajdą ze strzykawką w ramieniu i policja nie będzie dzieliła włosa na czworo: uznają, że laska spróbowała twardych narkotyków, nie wiedząc, że trzeba z tym uważać. Dopalet zachnął się dopiero wtedy, gdy Franck stwierdził: „Chcę pięć tysięcy teraz. I pięć, gdy odnajdą ciało, a lekarz stwierdzi, że

to był wypadek. Jeśli wpadnę, pozbywając się ciała, te pięć tysięcy ma trafić na konto mojej żony”. W tym momencie zaczęła się mała dyskusja. Ale jeśli chodzi o całą resztę, to znaczy o to, że po zgwałceniu i poturbowaniu dziewczyny najlepiej będzie ją zabić... Najwyraźniej tylko on miał z tym jakiś problem. Dopalet naprawdę powinien przestać oglądać te seriale.

Hiena usiadła na obrzeżu betonowej donicy, pełnej petów, z której wyrasta jakiś nędzny krzew. Czeka na dilerów haszu. W Aubervilliers zaczynają późnym popołudniem. W sobotę nie przychodzą przed osiemnastą. Dziedziniec jest opustoszały. Nie cierpi tej dzielnicy. Jak wszystkich miejsc, gdzie spotyka się samych facetów. Przyjaciółka dała jej klucze do swojej pracowni, ogromnego loftu wynajętego od merostwa, i teraz Hiena tam pomieszkuje, czekając na rozwój wydarzeń.

Nie zamierza zostawać na dłużej w Paryżu. Zbyt wiele czasu spędziła w obozie, rozleniwiała się. Codziennie przejeżdża ponad obwodnicą i codziennie samochody muszą zwalniać przy Porte de Pantin z powodu długich orszaków uchodźców koczujących w tej okolicy. Pokrzywdzeni przez los, cierpiący tę samą biedę, różnią się jednak od siebie. Ten jest nieśmiały, tamta wściekła, jeden sprawia wrażenie pobudzonego, drugi jest groźny, trzeci zamyślony... Trudno sobie wyobrazić, jak wyglądało ich życie kilka miesięcy temu – czy ten chłopiec, który stuka w szyby samochodów i przyswoił już sobie kilka francuskich słów, chodził w swoim kraju do szkoły, miał troskliwych rodziców, wzrastał w ładnym domu czy może biegał bez butów po dzielnicy biedoty? Teraz zaczepia kierowców, którzy stoją w korku, prosząc o coś do jedzenia albo o pieniądze. Hiena widziała go już wiele razy, przypomina dzieciaka z komedii *Wojna guzików*. Hiena dusi się w tym mieście. Bieda rozlała się wszędzie, jakby ktoś wysypał na ulice i korytarze metra zawartość worka nieszczęść. Przeklęte przestrzenne instalacje, stolica zmieniła się w galerię ohydy, codzienną ekspozycję tego, czego człowiek może odmówić bliźniemu. Potrafiła się odciąć, zmierzać swoją drogą i mówić sobie: to wstrętne, aby od razu przechodzić do innych spraw, zajmować myśli czymś innym. Odsuwać od siebie wszystko, co bezpośrednio jej nie dotyczyło. Cierpienie zawsze było częścią jej

krajobrazu i uważała za nieodzowne, by jakoś się z tym oswoić. Lecz miara się przebrała. Teraz ma wrażenie, że pogodzenie się z tym byłoby toksyczne.

Przebywając w obozie, oddaliła się od realnego świata. Nigdy by nie pomyślała, że jest w stanie na tak długo związać się z grupą ludzi, w dodatku żyjących w kompletnej izolacji. A tym bardziej dzielić z nimi to poczucie wspólnoty. To było zbiorowe wycofanie się z życia. Jedna z nielicznych chwil w jej egzystencji, gdy czuła się tak dobrze i trwało to tak długo. Do tego stopnia, że gdy Céleste zniknęła, nie wskoczyła od razu do pociągu, żeby sprawdzić na miejscu, co się wydarzyło. Antoine, syn Dopaleta, opowiadał jej o swoich wizytach u ojca. Mówił, że producent odzyskuje formę, ma dużo spraw na głowie, że przestał myśleć o zemście. Wierzyła mu. Chciała, żeby tak było. Myślała: wszystko się ułoży. Straciła czujność. Wydawało jej się czymś naturalnym, że zaczyna darzyć ludzi zaufaniem.

Wyjazd Vernona był dla niej zaskoczeniem. To spadło na nich jak grom z jasnego nieba, niszcząc panującą dotąd atmosferę. Wszyscy poczuli się tak, jakby dosięgła ich kara. A jednak Hiena niemal natychmiast się z tym pogodziła. Czuła, ona także, że nad ich głowami zbierają się ciężkie chmury, jeszcze dość mgliste zagrożenie. Był najwyższy czas.

Wyjechała. Zadzwoiła w kilka miejsc, znalazła na jakiś czas to mieszkanie. Jeszcze nie wie, z czego zapłaci czynsz. Lydia zamieszkała wraz z nią. Ciągłe pracuje nad książką o Bleachu. Mówi, że już kończy, powtarza to od miesięcy. Olga zjawiła się z walizkami, bo mieszkanie Sylvie jest małe, a w Aubervilliers zmieszczą się też jej psy. Hiena lubi towarzystwo Olgi. Dodaje jej energii. Jest w niej jakaś barbarzyńska brutalność, którą potrafi godzić z otwartością małej dziewczynki. Poza tym Hiena polubiła psy. To poczucie bliskości z innymi i nieustanne przejawy czułości. Potem Pamela spytała, czy może zostać z nimi przez kilka dni, po czym dołączył do niej Jésus.

Otwierając drzwi loftu, Hiena czuje się trochę tak, jakby wkraczała na teren obozu, tyle że ograniczony ścianami. To podobne wrażenie, w pomniejszonej skali. Jednak istota rzeczy pozostała – to poczucie wspólnoty.

Od czasu do czasu, pod pretekstem, że idzie kupić trochę trawy dla Lydii – która twierdzi, że to pomaga jej się skoncentrować – Hiena wychodzi na dziedziniec budynku. Na ścianach widnieją napisy „trawa”, „hasz” i strzałki wskazujące kierunek, by nikt się nie pomylił.

Czeka, wstaje, skręca kolejnego papierosa, starannie układa tytoń na bibułce wsparta o żółty filar, którego jaskrawa barwa rozwesela smętną scenerię.

Kiedy Vernon zadzwonił, żeby jej opowiedzieć o wizycie Maxa, wyrwała się z letargu. Stare nawyki wróciły. Jednak nie podjęła właściwej decyzji: najpierw postanowiła poszukać Aïchy. Przynajmniej wiedziała, gdzie jest.

Wyjechała na trzy dni, by za jednym zamachem pokonać trasę Paryż–Frankfurt–Amsterdam–Paryż, z muzyką Bowiego w głośnikach, a przez głowę przemykały jej obrazy z przeszłości, kolejne etapy jej życia. Lubi te długie trasy, nie da się oszukać kilometrów, trzeba je pokonać jeden po drugim. To daje czas na refleksję.

Po powrocie wszystko zaczęło się nagle klarować. Daniel powiedział: „Céleste jest w Barcelonie. Już dawno temu odszukałem ją w sieci. Nikomu nic nie mówiłem, bo odniosłem wrażenie, że dobrze jej się układa”. Hiena zadała sobie pytanie, czy na pewno nie brakuje mu którejś klepki. A może to testosteron. Gdyby ludzie dzięki niemu stawali się bardziej bystrzy, coś byśmy o tym wiedzieli. Potem Xavier, ten przynajmniej rozumiał, że palnął głupotę, i grzecznie za to przeprosił – widział ją w Barcelonie. Kiedy był tam z Maxem. Hiena poczuła nieodpartą chęć, żeby go udusić gołymi rękami. Gdyby od razu jej o tym powiedział, nie pojechałaby najpierw do Aïchy... Tymczasem Sylvie cicho szlochała w kuchni. Odpowiedziała na wszystkie pytania, jakie zadawał jej Max. Bardzo ochoczo, nawet przez chwilę nie podejrzewając, że nią manipuluje.

I Hiena, słuchając ich po kolei, uświadomiła sobie, że pomyliła się co do priorytetów, myślała: to dlatego Vernon wyjechał. Warunki sprzyjające procesowi rozkładu już wtedy się pojawiły. Niezgoda jest rośliną, która potrzebuje czasu, żeby móc rozkwitnąć, ale ziarno było już w ziemi i czekało tylko na odpowiedni

moment, by zakiełkować. Ich postawy były naznaczone fałszem. Powinni byli więcej ze sobą rozmawiać.

Pojawiają się małolaty, dzielnicowi dilerzy. „Szuka pani czegoś?” Za każdym razem kiedy ich spotyka, są dla niej supermili: nie wszystko stracone. Przynajmniej mali lokalni szmuglerzy starają się dobrze wykonywać swą pracę.

Otwiera metalowe drzwi pracowni. Rozpoznaje głos Kiko, a Lydia odwraca się w jej stronę podekscytowana: „Wszedł na konta bankowe Maxa i Dopaleta, nie ma bezpośrednich przelewów, ale Max zapłacił kartą kredytową za kilka biletów lotniczych do Barcelony, a Dopalet był tam mniej więcej w tym samym czasie. Kurwa, producent lata liniami Vueling. *Sorry*, ale gdybym miała pieniądze, nigdy nie wsiadłabym do ich samolotu... Wiesz, że nie należy sikać w samolotach tanich linii lotniczych? Słyszałam o tym od pewnej stewardesy – nie mają czasu czyścić toalet między jednym rejsem a drugim”. Sposób myślenia Lydie jest często dość pokretny. Hiena zadaje sobie pytanie, jak będzie wyglądała książka, którą pisze – czy istnieje choć jeden umysł ludzki zdolny śledzić meandry jej myśli? Refleksje Lydie przywodzą jej na myśl zachowanie królika po zażyciu kwasu.

Kiko przyniósł w kieszeni tubkę po witaminie C pełną koki. Okazała pomarańczową tubkę. Otwiera zatyczkę jednym ruchem kciuka z rozpromienioną miną. Uprzedza Daniela: „Dziś zrobię tylko po kresce. Chcesz?”. I jeszcze nie zdążył ściągnąć pierwszej, a już podnosi głowę, żeby mu powiedzieć: „Po trzeciej powiesz mi, czy masz dość, zgoda?”. Po czym wdycha proszek, sapiąc jak wół, odchyła głowę do tyłu i od razu zaczyna śpiewać pierwsze takty *Everyday* Buddy’ego Holly’ego, cały w skowronkach, niepokojącym falsetem. Zaznacza rytm, pstrykając palcami, stale się spóźniając.

Daniel przygląda mu się rozbawiony. Przesłupuje z nogi na nogę, kołysząc ramionami. Od kiedy jest mężczyzną, taniec stał się dla niego problemem. Wkurza się, gdy ludzie biorą go za geja, więc stara się poruszać jak prawdziwy facet. Nie balansuje biodrami, nie wywija dłońmi. Tylko przesuwa stopy, z prawej strony w lewo, unikając wszelkich ruchów, które mogłyby mu przydać wdzięku.

Z uniesioną głową, sztywnymi plecami wygląda jak RoboCop podczas rozgrzewki. Wyciąga telefon, chcąc dodać sobie powagi – nie jest jeszcze gotowy, by tańczyć jak mężczyzna. Przegląda stare zdjęcia na ekranie komórki. Mówi: „Nie mogę się nadziwić, jak szybko się zmieniam”. Kiedy zaczął brać testosteron, mówił: faceci na forach dyskusyjnych są pozbawieni ikry, godzinami rozprawiają o byle włosku, który im wyrósł na brzuchu. Teraz zaczął rozumieć. To nieustanna fascynacja. Rysy jego twarzy zmęźniały, włosy na czubku głowy pojaśniały i ma inne spojrzenie. Jeszcze rok temu stale towarzyszył mu lekki niepokój – zawsze prosił o pozwolenie, miał błagalny wzrok. Był kobiecy. Nie wiedział, czy ma do czegośkolwiek prawo. Teraz jest inaczej, spogląda w sposób władczy. Jest facetem w każdym calu, który wie, na co może sobie pozwolić. I niezłym przystojniakiem. Dziewczyny są w niego wpatrzone jak w obraz. Nieznajome, mijane na ulicy, ekspedientki czy koleżanki ze stażu, sąsiadki, kwiaciarki z dzielnicy. Nadskakują mu, przymilają się, pochlebiają mu przy byle okazji.

Zjawia się Sélím z rowerem pod pachą. Jest zlany potem. Od czasu zamachów nie cierpi jeździć metrem. Gdy tylko usłyszy syrenę karetki pogotowia, serce zaczyna mu szybciej bić. Przestał chodzić do restauracji. I do kina. Boi się, gdy jest na uniwersytecie. Boi się, gdy widzi listonosza z wózkiem albo plecak stojący w przejściu w autobusie. To się podobno przydarza wielu paryżanom. Ma spotkać się z córką w Atenach. Przeraza go myśl, że będzie musiał polecieć tam samolotem. Sylvie daje mu numer do znajomego hipnoterapeuty, mówiąc: „To naprawdę działa. Zobaczysz. Niesamowita sprawa”. A Kiko potrząsa tubką witaminy C: „To jest dobre na wszystko. Chcesz spróbować? Kreska koksu przed wejściem do samolotu i wszystko staje się proste”.

Xavier mówi o wydarzeniach w Kolonii. O setkach kobiet napastowanych w sylwestrową noc. Mówi, że myśli o swojej córce, wyobraża ją sobie na dworcu obmacywaną przez mężczyzn jak na jakimś piekielnym manège. A najgorsza jest myśl o tych anonimowych dłoniach, hordach mężczyzn, którzy się gromadzą, by atakować kobiety, nie mając dla nich żadnego szacunku, właśnie to go przeraża. Hiena po raz pierwszy słyszy Xaviera, który przejmuje się losem kobiet. Ma za złe

innym, że nie rozumieją, co to naprawdę oznacza – jak myśleć o współistnieniu, skoro ludzie żyjący w naszym kraju nie chcą żyć tak jak my. Lydia wydyma policzki, jakby miała za chwilę zrobić balon z gumy do żucia: „Chcesz wiedzieć, co naprawdę szokuje w tej sylwestrowej historii? To, że kobiety mogły pójść na komisariat i złożyć skargę, bo ktoś w nocy łapał je na ulicy za tyłek, a gliny ich nie wyśmiały. Nie mów mi, że twoi kumple nigdy nie zaczepiali kobiet na ulicy i że nigdy cię to nie bawiło”. „Nigdy. Przynajmniej jeśli chodzi o kontakt fizyczny”.

Hiena siada po turecku w rogu kanapy. Odnalezienie mieszkania w Barcelonie, w którym przebywała Céleste, nie było trudne. Gdy Daniel i Xavier wskazali, gdzie się znajduje, wystarczyło przyjrzeć się lajkom na nowej stronie tatuażystki i Hiena odnalazła jej współlokatorów. To od nich się dowiedziała, że Céleste zniknęła. Wyszła, by zrobić komuś tatuaż, i już nie wróciła. Nie, nie wiedzą nic więcej. Niepokoją się o nią. Ale są bezsilni. Wyglądają na grzeczne dzieci.

Hiena zagaduje Kiko: „Mecenasie, kupisz mi bilet lotniczy do Barcelony?”, a Kiko, przywykły do tego rodzaju próśb, unosi w górę kartę kredytową, którą się posługuje, żeby robić kreski, i pyta: „A co zamierzasz tam robić?”. Na co Hiena: „Nie mam pojęcia, gościu. Zobaczysz się na miejscu...”.

Słyszysz gwar rozmów. W pracowni jest wiele osób, jak co wieczór od kilku dni. Rozmowa się ożywia i przygasa jak płomień ogniska, słyszysz niektóre słowa, są jak fale uderzające miarowo o brzeg świadomości. Nieznośne wewnętrzne drżenie nie pozwala jej normalnie oddychać. Nina Simone śpiewa *Mr. Bojangles* i ktoś nastawia muzykę głośniejsze.

– Nie chcę żeby odeszła od męża nie chcę się z nią wiązać bardzo ją lubię jest super ale nie oszalałem możemy z sobą sypiać tak ale nie jestem w niej zakochany ostatecznie można by stworzyć trójkąt ale widzisz sam fakt że o tym mówię znaczy że jej nie kocham.

– Kto zabrał bletki? Wczoraj kupiłam dwa opakowania i nie wiem, gdzie je wzięło.

– Zaskoczyła mnie cena, kiedy mi powiedziała: osiem euro, nie mogłem uwierzyć, zapomniałem, ile kosztuje piwo w Paryżu na tarasie.

– Podpisałam petycję w sprawie TAFTA, mają już chyba milion podpisów, ale nasze głosy guzik dla nich znaczą.

– Trochę się do niej zbliżyłem i myśli, że to wielka miłość, a chodzi po prostu o to, że mąż ją zaniedbuje.

– Możesz mi pokazać twoją paczkę fajek? Jeszcze nie widziałam takiego raka gardła. Zachowaj ją, niezły okaz.

Zgiełk wypełnia pomieszczenie. Olga usiadła obok niej. „Chcę tam pojechać z tobą”. „Nie masz papierów, Olgo. I nawet nie wiem, gdzie tam będę spała. *Sorry*, na pewno będzie mi łatwiej, jeśli polecę sama”. „Emilie chce mi pożyczyć paszport”. „Tak, ale przecież nie jesteś do niej podobna. Zwariowała”. Olga wzdycha: „Jedźmy tam więc samochodem. Chcę ci towarzyszyć. Mogę ci się przydać. Jeśli zechcesz napędzić komuś stracha, na pewno ci pomogę”. „Kochana, nie chcę cię martwić, ale potrafię to robić sama”.

W tym momencie do loftu wkracza Pamela i na chwilę zapada cisza. Jest ubrana inaczej niż zwykle – wygląda naprawdę wystrzałowo. Czarne buty sięgające powyżej kolan, minimalistyczne szorty niewiele różniące się od majtek. Hiena już zapomniała, jaką ona ma figurę. Chociaż ostatnio często ją widywała. Jednak ten strój zupełnie ją odmienił.

Świadoma efektu, jaki wywołała, obraca się dokoła z uniesionym ramieniem, promienieje. „Hej, dzieci! Zgadnijcie, dla kogo się tak odstawiłam? Widziałam się z Maxem. Powiedziałam mu, że rozmawiałam z Vernonem. Że zaciekał mnie projekt konwergencji w pełni »profesjonalnych«. Był podejrzliwy. Trochę skrępowany. Na moje oko nie ma czystego sumienia. Ale wiecie co? – Lekko wygina plecy, wypina pierś do przodu, przesadnie wydyma usta, kładzie dłonie na biodrach i mówi z uśmiechem. – Rozluźnił się, doszedł do wniosku, że jestem z nim szczerą albo przestał logicznie myśleć... A potem nagle wyszedł do toalety. Nie wziął telefonu – Pamela wyjmując komórkę, otwiera folder ze zdjęciami

i podaje telefon Hienie – więc sfotografowałam historię jego lokalizacji w Barcelonie i są niemałe szanse, że poszukiwał tego...” – wskazuje konkretny adres. Po czym dodaje: „Wracając taksówką, przejrzałam w Google Maps wszystkie miejsca, które odwiedził, i myślę, że ten dom powinien nas szczególnie zainteresować”. Kiko wznosi ramiona ku niebu: „Panie, błogosław kurwy i ich magiczne moce! Domyśla się, że przejrzałaś GPS w jego telefonie, kiedy poszedł się odlać?”, a Pamela odpowiada z poważną twarzą: „Mój drogi, pierwszą rzeczą, jaka mu przyszła do głowy, kiedy od niego wyszłam, z pewnością nie było szperanie w telefonie”. Olga powtarza z uporem: „Chcę tam z tobą pojechać. Oddałaś samochód? Kiko, pożyczysz nam swoje auto? Potrzebuję słońca i działania, nie zostanę tu sama. Xavier, zajmiesz się psami? Proszę”.

Na uliczce Barcelonety mężczyzna uderza metalowym kluczem w butle gazowe. Przystaje na rogu, czeka, aż ktoś go zawoła z balkonu i każe wejść na górę. Rozwieszona nad balkonami bielizna wzdyma się w podmuchach wiatru, falują katalońskie flagi i schnące barwne pareo... Ptaki śpiewają, zamknięte w maleńkich klatkach. Céleste podnosi wzrok i obserwuje eklektyczne nagromadzenie wiszących w górze rowerów, butli z wodą i szczotek.

Po tym, co się stało, w sumie najdziwniejsza wydaje się jej normalność. Myśl, że dla innych życie toczy się dalej. Nie ma w tym żadnej logiki. Rozumowanie, język, analiza – to wszystko niczemu nie służy. Stale się łudzimy, twierdząc, że rzeczy mają swoją wagę, trwałość albo że życie opiera się na solidnych podstawach.

To wydarzyło się zaledwie kilka dni temu, a już wydaje się należeć do innej epoki. Céleste usłyszała, że ktoś próbuje wyważyć drzwi, kopiąc w nie i uderzając ramieniem, to był niesamowity łomot. Przywykła do przytłumionych dźwięków, których nie była w stanie zidentyfikować, ale tym razem łoskot był tak donośny, że nie mógł to być po prostu naćpany Franck, który słucha na cały regulator Crazy Cavan, tańcząc jak narąbany słoń. Pomyślała, że to gliny, pomyślała, że to jej ojciec. Ale tym, kto rozwalił drzwi do jej celi, była Olga, ruda olbrzymka. I Céleste pomyślała: dzięki Bogu, to nie mój ojciec. Nie zniosłaby, gdyby zobaczył ją w takim stanie.

Odnaleźli ją. Kiedy siedziała w piwnicy, zdarzały się chwile, gdy żarliwie wierzyła w ocalenie, co ją podtrzymywało na duchu – to nie może zbyt długo trwać, na pewno wszyscy jej poszukują, nie zdechnie tutaj zamknięta na klucz, coś się wydarzy. Albo wymyśli jakiś sposób i ucieknie. Przeżywała stany skrajnej ekscytacji, miała wrażenie, że to stanie się lada chwila – miała poczucie, że skoro jej sytuacja jest nie do zniesienia, to wszystko musi się wkrótce skończyć. Ale były

też inne chwile, nie tak wzniosłe. Gdy już brakowało jej łez, gdy pograżała się w bezdennej rozpacz – jej cierpienie nie miało końca. Nikt nie jest w stanie znieść tak ponurych myśli, nie tracąc cząstki siebie.

Nadal się bała, gdy rozpoznała Olgę. Pomyślała, że mogą nie wiedzieć o tym, że Franck jest uzbrojony i zdolny do wszystkiego. Krzyknęła z przerażenia, bo pomyślała, że to się skończy porażką i poniesie karę. Nie wierzyła, nie w tym momencie. Straciła wszelki kontakt z rzeczywistością, w której jej oprawca nie miałby nad nią całkowitej przewagi. Franck, który wchodzi tu, kiedy chce, robi, co tylko chce, ona, która jest mu posłuszna i się do niego przymila – Céleste wytresowana, grzeczna, uległa – gotowa na wszystko w zamian za obietnicę dodatkowego kawałka chleba, gotowa znieść wszystko, żeby uniknąć cięgow. W ciągu kilku dni to stało się normą. Szybko straciła swoje człowieczeństwo. To, co nazywamy ludzką godnością, gdy nie jesteśmy skazani na codzienną torturę. Robimy z tego wielkie halo, ale to pierwsza rzecz, jaką tracimy.

Olga owinęła ją kocem, po który poszła do pomieszczenia obok. Olbrzymka wzięła ją na ręce, jakby ciało Céleste nie ważyło więcej niż ciało dziecka. Nie była w stanie sama wejść po schodach. Majaczyła – zdawało jej się, że na górze natkną się na jej katów. Olga musiała zaczekać, była niestrudzona, jej ramiona nawet nie zadrżały, przyciskała ją mocno do siebie, Céleste czuła, że z jej ciała uwalnia się niewiarygodna wściekłość, i z wolna zaczęła sobie uświadamiać, że jest jak elektryczne urządzenie umieszczone na ładowarce – czerpała energię. Jeszcze do siebie nie doszła, to stanie się znacznie później, ale poczuła przypływ mocy i po długich minutach mogła wreszcie powiedzieć: „Jestem gotowa”.

Na górze Franck nie był już w stanie niczym jej zagrozić. Ten obraz wrył się w jej pamięci: Hiena, z kolanem na jego piersi, nie musiała się już wysilać, by przytrzymać go w tej pozycji, bo przestał stawiać opór, miał twarz zwróconą w stronę drzwi i Céleste napotkała jego spojrzenie, między jedną fangą a drugą. Z nosa tryskała mu fontanna krwi. W pierwszej chwili poczuła dla niego litość. Potem strach, że może oprzytomnieć. Wreszcie przez głowę przemknęła jej myśl, by pobiec w stronę drzwi – wreszcie mogła wydostać się z tego piekła. Światło

poraziło jej oczy. Wtedy się rozplakała. Poczula się słaba. Wystarczyło kilka dni, by straciła wszystkie punkty odniesienia. Nasza wewnętrzna konstrukcja jest krucha, uświadamiamy to sobie, gdy nagle eksploduje.

Olga nie odstępowała jej na krok. Céleste nie zwracała na nią uwagi, lecz czuła jej masywną sylwetkę tuż za sobą, na wyciągnięcie ręki – jej niepokój był namacalny. Słowa, jakie słyszała wokół, stopniowo stawały się zrozumiałe. Hiena wyszła z domu, zasłaniając oczy dłońmi. Céleste spostrzegła, że je umyła, pozostały tylko cienkie smużki krwi wokół paznokci. Zamknęła drzwi za sobą i zapytała Olę: „Co robimy? Dzwonimy po gliny?”. A Céleste powiedziała: „Nie chcę policji, nie teraz”. Hiena rzuciła okiem przez ramię, powiedziała: „Chyba tu posprzątają”. I wsiadły do samochodu jak trzy dziewczyny, które spotkały się w kawiarni, by wypić kawę z mlekiem. Z tą różnicą, że Céleste miała na sobie tylko koc, którym okryła ją Olga.

Przez całą drogę nie zamieniły słowa. Céleste dygotała. Nie z zimna, panował niemiłosierny skwar. Ze strachu. Strach nie odstępował jej na krok. Nie miała chęci się odzywać. Nie przyszło jej do głowy, by im powiedzieć: dziękuję, czuję ulgę, czy spytać: jak udało się wam mnie odnaleźć? A tym bardziej przeproszać – kazałaś mi się ukrywać ale nie posłuchałam. Jeszcze wewnętrznie nie czuła się wolna. Patrzyła przez szybę i mówiła sobie w duchu: „Tak bardzo tego pragnęłaś, uwolnienia. To się właśnie stało. Widzisz?”. Lecz była nieobecna, nie mogła nawiązać kontaktu. Krajobraz przesuwiał się przed jej oczami, wydawał jej się obcy. Nie czuła związku z tym, co się wydarzyło. To trwało długo. Nie wie, ile czasu minęło, lecz kiedy w końcu zdołała coś powiedzieć, od dawna były w hotelu. Włożyła na siebie ciuchy, które podała jej Hiena. Nie chciała brać prysznic. Nie od razu. Nie czuła się na siłach, by stać ani zaciągnąć zasłony. Kiedy poczuła się nieco pewniej i trochę oprzytomniała, pierwsze, co powiedziała, to: „Kurwa, te ich miny, gdy podchodziłyśmy do recepcji”. Bo Olga, widząc, że Céleste chwieje się na nogach, znów wzięła ją na ręce i właśnie tak wkroczyły do holu, jak para stukniętych nowożeńców, z panną młodą owiniętą kocem. Kiedy to powiedziała, zaniepokojone dziewczyny spojrzały po sobie, ale ruda olbrzymka wybrnęła

z niezręcznej sytuacji: „Na pewno pomyśleli, że wyłowiłam syrenę”. I to rozśmieszyło Céleste. Od tej chwili zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Kiedy poszła do dawnego mieszkania, żeby spakować swoje rzeczy w pudełka, powiedziała tylko „miałam problem” i wszyscy dziwnie na nią spojrzeli. Miała to gdzieś. Doskonale wiedziała, że oczekują od niej czegoś więcej. Ale nie było ją na to stać.

Nie chciała iść na policję, nie. Nie miała najmniejszego zamiaru informować ojca. Ani odwiedzać lekarza. Przywiązywała się do słów pozbawionych większego znaczenia, do codziennych gestów, jedyną rzeczą, którą mogła znieść, była szara codzienność. Toteż kiedy dziewczyny spytały, czy chce wrócić z nimi autem do Paryża, Céleste stwierdziła: „Kurwa, jak najszybciej, tak bardzo mi brakowało Paryża”. Nie chciała niczego opowiadać. Nie była na to gotowa. Wstydziła się tego, co się jej przydarzyło. Chciała, by wszyscy dali jej święty spokój.

Wszystko wryło się w jej pamięć, każda godzina spędzona w tym piekle. Butelki piwa. Franckowi nie stał zbyt długo. Wtedy były butelki. Wiele różnych przedmiotów w zamian. Szczyny w kącie izby, gównno, które musiała zbierać, a potem myć ręce, żeby zbyt nie śmierdziały, i które musiała zmyć, zanim wróci. Wszystkie te miłe słówka, by udobruchać Francka. Ta uczynność była najgorsza. W tak krótkim czasie ją sobie podporządkował. Przysięgła sobie, że nigdy o tym nie powie, nikomu. Zawdzięcza życie właśnie ich porozumieniu. Franck mówił, gładząc ją po policzku: „Bardzo ryzykuję, wiesz, okłamując ich wszystkich. Myślę, że nie żyjesz, ale nie mógłbym tego zrobić, ty i ja zbyt dobrze się rozumiemy”.

Czuje ucisk w gardle. Nie jest w stanie niczego z siebie wydobyć. To, co się z nią dzieje, nietrudno zrozumieć. Jej horyzont rozpadł się na kawałki – w czterech ścianach piwnicy. To, co się tam zdarzyło, na zawsze tam pozostanie. Zostawiał jej wodę w małych plastikowych butelkach. Nigdy żadnej żywności. Jadła tylko wtedy, kiedy przychodził. Nie było dnia ani nocy. Nie wiedziała, na jak długo znika. To Hiena jej powiedziała, że wracał co trzy dni, bo sprawdziła jego konto bankowe, płacił kartą kredytową na bramkach na autostradzie. Jeździł tam i z powrotem – z Montpellier, gdzie mieszkał, do Barcelony, gdzie ją więził. To

mogło trwać długo, wynajął pusty dom, mógł przedłużyć wynajem, jak długo by chciał.

Nie, nie chce się mścić ani na Dopalecie, ani na Maxie. Gdy ktoś mówi jej teraz o zemście, od razu myśli o karze. Chce tylko, żeby wszyscy dali jej spokój.

Widzi wokół siebie uśmiechniętych ludzi. Ich idiotyczne szczęście dociera aż do niej. Wie jedno: już nigdy nie będzie uśmiechała się tak jak oni. Utraciła beztroskę. W drodze do Paryża zdołała powiedzieć: dziękuję. Dziękuję, że odnalazłyście mnie. Dziękuję, żeście się mną zajęły. A Olga od niechcienia machnęła ręką i coś odburknęła. Przyjechały do Aubervilliers, Paryż był bardziej szary, bardziej zaniedbany niż w jej wspomnieniach. Było tam dużo ludzi. Ucieszyli się na jej widok. Rozpoznała niektóre twarze, innych nie znała. Sélim, ojciec Aïchy, przycisnął ją do siebie i zapłakał. Przyłgnęła do niego, czuła się dobrze, słysząc czkanie w jego piersi i szloch. Potem się odkleiła, jego emocje zaczęły jej ciążyć, spytała: „Macie tu coś do jedzenia? Umieram z głodu, jechałyśmy cały dzień, a nie cierpię żarcia na stacjach benzynowych”. Wszystko stało się jasne: tak trzeba z nią rozmawiać – o jedzeniu, o pogodzie, o rozmaitych banałach. I o niczym więcej.

Najlepiej czuje się w towarzystwie psów. Nie może sama wychodzić z nimi na spacer. Boi się, że ktoś mógłby któregoś ukraść albo skopać, albo obrzucić kamieniami. A ona nie wiedziałaby, jak go bronić. Boi się milczących twarzy, skrytych zamiarów, własnej bezsilności. Bawi się więc z psami w lofcie. Mało mówi. Kiedyś dla Céleste psy były bez znaczenia, teraz są dla niej najważniejsze.

Zjawił się Daniel. On jako pierwszy normalnie z nią porozmawiał. Nie było budzących lęk objęć ani porozumiewawczych spojrzeń. Powiedział tylko: „O, jednak wróciłaś”. Z trochę przekornym uśmiechem, który lubi. Céleste wydał się bardziej przystojny niż w jej wspomnieniach. Jego pozorna swoboda zrodziła w niej refleksję, że jemu też musiały przydarzyć się nieciekawe rzeczy. Miał w sobie tę delikatną uprzejmość ludzi, którzy wiedzą, że zło naprawdę istnieje. A gdy to na ciebie spadnie, nic nie można poradzić, nie warto dramatyzować.

Zapytał: „Kiedy zaczniesz mi robić plecy? Jak sądzisz? Chciałbym mieć oldskulowy żaglowiec. Masz wszystko, czego potrzeba?”.

Nazajutrz usiadła, żeby rysować, i była to straszna chwila. Wstawała co dwie minuty, miała napady nieznośnego lęku. Robiła sobie herbatę, rzucała piłkę suce, zaciągała zasłony, prosiła Pamelę o tytoń, szukała czekolady. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Dłonie odmawiały jej posłuszeństwa. Podobnie jak umysł. Pomyślała, że straciła talent, że to także umarło tam, w przeszłości – oddzielonej od terażniejszości nieprzekraczalną ścianą.

Potrzebowała tygodnia, by w końcu narysować statek. Bardzo dużo ją to kosztowało. Gdy Daniel ściągnął sweter i zobaczyła dwie blizny po mastektomii, dotknęła ich palcem, nie zastanawiając się nad tym, że ten gest mógł być niestosowny, jakby ją przyciągały: „Trzeba będzie je kiedyś przykryć, nie?”. A Daniel siadł okrakiem na krześle, nachylił się nad oparciem i odparł: „Na razie zajmijmy się moimi plecami, kochanie”. On pierwszy zaczął z nią grać w tę grę. W grę „nic się nie stało”. Przytknęła krawędź dłoni do jego skóry, wcisnęła pedał i skupiła się na dźwięku wydawanym przez igłę. Po raz pierwszy od wielu tygodni mogła coś robić, nie wpadając w śmiertelną panikę.

Gdy Patrice dotarł na plac Republiki, spotkał tam Bébérta – około pięćdziesiątki, przystojniak, długie siwiejące u nasady blond włosy. Szczupły jak panienka i zdeklarowany macho, jak bokser wagi ciężkiej. Złote trampki na grubej podeszwie. Czarne rurki. Jakby wrócił z Ibizy. Ma *look* gwiazdki disco, co zawsze było mylące – tak naprawdę to typ spod ciemnej gwiazdy, który większość życia spędził w więzieniu i byłby gotów zabić ojca i matkę, byle zdobyć kartę płatniczą wraz z kodem.

Patrice jest zaskoczony jego widokiem: „Interesują cię nocne zgromadzenia?”*. Bébért, stojący w tłumie tysięcy ludzi, patrzy na niego zdziwiony: „Co takiego?”. Niczego nie zauważył. Pewnie doszedł do wniosku, że chodzi o wyprzedaż. A raczej w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Ma w nosie to, co dzieje się na placu Republiki, po prostu tędy przechodził. Jednak zastanawia go to dziwne pytanie: stwierdza, że faktycznie wokół jest mnóstwo ludzi... To mu coś przypomina. „Chodzi o młodych, tak? Bo w moim wieku... Chyba już trochę za późno, żeby szukać pracy, nie sądzisz?”

Zwisa mu to i powiewa, tym bardziej że ma dwa zaproszenia na koncert Joeya Starra w Olympii. Lasce, która miała mu towarzyszyć – pracuje w butikach Kenzo i nieraz dawała mu w prezencie naprawdę boskie ciuchy, wprowadziła go w jego rozmiarze, ale to nieistotne – coś w ostatniej chwili wypadło i Bébért cofa się o krok, by z triumfalną miną złożyć Patrice’owi propozycję nie do odrzucenia: „Chcesz iść ze mną?”. Na co Patrice: „Może uda ci się je sprzedać?”. Bébért kręci głową: „Jestem na liście, wchodzę od zaplecza. Jeżeli się domyślą, że opyliłem te zaproszenia, wyjdę na łapserdaka i będę spalony”. Jednak Patrice stwierdza: „Czekam na kumpli, *sorry*”, a Bébért wznosi ręce ku niebu, trudno, po czym wzywa taksówkę. Wtedy Patrice dostrzega, że z jednej strony placu ulica jest

przejezdna, są taksówki i korki, na co nie zwrócił uwagi, choć już od trzech tygodni przychodzi tu co wieczór po robocie.

Jak zwykle pod koniec popołudnia plac jest czarny od ludzi. Patrice nie może narzekać. W ostatnich latach czuł się jak gwóźdź, w który dzień po dniu uderza wściekły młotek: boje lewicy przeszły do historii. Gdy jakiś ekonomista ośmieli się stwierdzić, że dług publiczny to zwykłe oszustwo, gdy ktoś skrytykuje powszechną skłonność do utożsamiania uchodźców z terrorystami gwałcącymi kobiety, gdy ludzie demonstrują w związku z demontażem systemu emerytalnego czy odbieraniem im praw pracowniczych, media wszczynają larum, piętnując anachroniczne myślenie, demagogię, paseizm, nierealne żądania i zaczynają straszyć widmem islamo-gosyzmu. Tym krajem rządzi etatystyczna lewica przesiąknięta faszystowską ideologią, spadkobiercy skrajnej prawicy, którzy przeszli na socjalizm z przyczyn koniunkturalnych, lewicowi ministrowie spotykający się z członkami GUD-u**, w czym nikt nie widzi nic złego, choć nigdy nie pokazują się z działaczami związków zawodowych, lewica, która nie chce już słyszeć o regulacji rynku i która ma tylko jedno w głowie: przypodobać się wyborcom skrajnej prawicy. Tę lewicę wybrano, bo przedstawiła centrolewicowy program, lecz od samego początku realizuje politykę swoich poprzedników, trzymając się ściśle zasad gospodarki rynkowej. To lewica, która za wszelką cenę chce zniszczyć lewicowe idee. Gazety epatują wielkimi tytułami o zagrożeniu dla Republiki, o uczestnikach nocnych zgromadzeń, nad którymi już nikt „nie sprawuje kontroli”. Skoro już mowa o sprawowaniu kontroli, ci dziennikarze wiedzą, o czym mówią. Cała prasa należy do trzech wielkich koncernów i nikt nie może pisać na łamach gazet, nie broniąc ich interesów. Patrice brał udział w niejednej demonstracji. Nigdy nie spotkał się z tak nieadekwatną do sytuacji, brutalną reakcją policji – ale akurat na ten temat wszystkie gazety milczą.

Nastąpiło zmęczenie materiału, zbyt długo powtarzano ludziom do znudzenia – istnieje tylko jedna rzeczywistość, świat wielkich karteli, którym trzeba dać wolną rękę, nie ma innej przyszłości poza rozpasanym liberalizmem. Dopuszczalna jest tylko jedna interpretacja faktów: nie wolno w żaden sposób ograniczać rynku,

najbogatszym trzeba ułatwić zawłaszczanie dóbr i pozwolić im traktować podwładnych jak niewolników. Należy zlikwidować zdobycze Frontu Ludowego, strajków z lat siedemdziesiątych, należy skończyć z równością. Wystarczy wolność konsumpcji. To i tak bardzo wiele, nie rozumieją, dlaczego lud narzeka. Prywatyzacja zysków, socjalizacja strat, demolują kraj, by go przekazać bankom, a najgorsze w całej tej historii jest to, że zdołali wbić wszystkim do głowy, że nie ma innego wyjścia.

Zgromadzenia na placu Republiki pozwalają wszystkim Patrice'om z regionu paryskiego powiedzieć: „Nie zgadzamy się na tę fikcję!”. Te demonstracje są godne pożałowania, a jednak kluczowe. Decydenci to wiedzą, choć udają, że nic do nich nie dociera. Mówią: „wandale”. Mówią: „antysemici”. Mówią, że to utopia. Ale jest jeszcze lud, we Francji, w Hiszpanii, w Grecji, w Portugalii, w Islandii, nawet w Niemczech, choć nigdy się o tym nie mówi – jest jeszcze lud, który nie chce uwierzyć, że jedynym sensownym wyjściem jest pozostawienie władzy w rękach psychopatów, ograniczonych, lecz dobrze urodzonych. Ludzie tacy jak on, którzy sądzą, że trzeba zachować właściwe proporcje, że pomoc udzielona bankom po finansowym kryzysie 2008 roku pociąga za sobą o wiele bardziej dramatyczne skutki niż przyjęcie przez Francję kilku tysięcy uchodźców.

Wokół panuje atmosfera festynu. Wszędzie widać stragany. Francja nie może sobie tego odmówić. Zawsze musi organizować. Stoliki prasowe, hotspoty wi-fi, punkty wymiany książek, fora dyskusyjne. Standy. Ludzie krążą, skupiają się w tym czy innym miejscu, siedzą na ziemi albo spacerują. To kompletna bzdura, że są tu tylko przedstawiciele kawiorowej lewicy, w tym tłumie jest wszystkiego po trochu, to mieszanina postaci, których jedynym wspólnym mianownikiem jest niechęć do biernego czekania na to, aż ktoś ich doszczętnie ograbi.

Rozpoznaje sylwetkę Xaviera, który kupuje sandwicza przed sklepem meblowym Habitat. Odwraca się w stronę Patrice'a z oburzoną miną, jakby to on był osobiście odpowiedzialny za catering: „Pięć euro za bułkę z kiełbaską merguez i frytki, czy to nie lekka przesada? I ty to nazywasz alterglobalizmem? Zawiodłem się na tobie”.

Ogolona głowa, obcisły czarny T-shirt, nieskazitelnie czyste niebieskie dżinsy, sportowe buty – Xavier ma w sobie tyle samo z lewaka co z naziola. W jednym i drugim obozie panuje kult męskości. Wtapia się w tłum i nikomu nie przyszłoby do głowy, by go zapytać, po co się tu płacze. Poza Patrice’em, który go dobrze zna. Xavier tłumaczy mu swobodnym tonem: „Zgadzam się ze wszystkim, co się tutaj mówi. Nawet kiedy tu nie przychodzę, oglądam transmisje online na Periscope, słucham wszystkich wystąpień jak przez radio. Nie neguję, że podejmowane tu kwestie są bardzo istotne... Masowe wymieranie pszczoł, junta wojskowa w Beninie, ceny wynajmu mieszkań, pozbawianie obywatelstwa, przypadki nadużywania władzy przez policję, masakry w Kongu, polegli za Francję podczas wojny w Algierii, wrzucanie do urny czystych kart, Maj ’68, reforma emerytalna... To, co się dzieje wokół, też nie bardzo mnie cieszy. Ale różnimy się co do sposobu rozwiązywania problemów. Tyle że tutaj nikt nie podsuwa rozwiązań... Kiedy pojawią się takie próby, pewnie przestanę przychodzić. Uchodźcy – wszyscy chcieliby ich nakarmić. Jestem chrześcijaninem, facet, nie mam nic przeciwko, przecież widzę, że traktuje się ich jak psy, sam bym chętnie zaniósł im koce i garzupy. Znam moich klasyków – Jezus nigdy nie mówił najuboższym, że muszą najpierw uregulować swoją sytuację. Chciałbym tylko, żeby mi ktoś wyjaśnił – skoro islam nie jest dla was żadnym problemem – dlaczego nie miałyby ich przyjąć Arabia Saudyjska... Mieliby bliżej, nie? Rozumiem, że chcą pozostać muzułmanami. Zaskakuje mnie tylko to, że nie osiedlają się w kraju, gdzie czuliby się dobrze. Dlaczego właśnie u nas? Tylko mi nie mów, że tutaj łatwiej o pracę – oni wiedzą równie dobrze jak my, że żadnej pracy tu nie ma. Za to jest mniej egzekucji, tu się z tobą zgodzę”.

Dołączają do nich Vernon i Olga. Vernon się odnalazł. Zanim jeszcze powróciła do nich Céleste. Zadzwoił do Pameli, zapytał: „Czy ktoś mógłby udzielić mi gościny?”, jak gdyby nigdy nic, jakby rozmawiali ze sobą wczoraj. Powiedziała takim samym spokojnym tonem: „Aubervilliers. Nie ma tu za wiele zieleni, a cały Paryż wygląda niewesoło, ale wszyscy tutaj mieszkamy, znajdzie się miejsce dla

ciebie”. I nazajutrz tam był. Facet nie lubi się rozwodzić. Stwierdził: „Cieszę się, że tu jestem”. W jego przypadku i tak był to dość długi tekst. Tego samego wieczoru zajął się tym, co potrafi najlepiej: puszczał muzykę. Przygotował listę. A kiedy podniósł oczy znad ekranu laptopa, Patrice zauważył, że jest wzruszony. Odczekał dwa dni, nim zadał mu pytanie: „Co cię napadło, facet? Nie było nam tam dobrze?”, a Vernon zareagował tak, jakby to było dla wszystkich oczywiste: „Po tej historii z Véro nic nie wyglądałoby już tak jak przedtem. Tak to jest. Nie da się cofnąć czasu”.

Sylvie i Olga robiły wszystko, by dowiedzieć się czegoś o Véro w barach jej dawnej dzielnicy. Wyprowadziła się. Nikt nie wie, co się z nią stało. Przepadła jak kamień w wodę. Szmata. Patrice długo przeklinał dzień, w którym wyznała Vernonowi prawdę, byłoby lepiej, gdyby mu powiedziała: Charles nie żyje, i nie otwierała drzwi, to oszczędziłoby im wielu kłopotów. Aż wreszcie któregoś ranka pogodził się z faktami: to nie mogło dłużej trwać. W pewnym sensie podziela zdanie Vernona. Musieli oprzytomnieć.

Olga jest jedyną osobą z grupy, która spędza noce na placu. Czuje się tam, jakby krzątała się po własnej kuchni. Raz ustawiła się nawet w kolejce, by przemówić do mikrofonu, ale woli stać gdzieś w kącie i wygłaszać gromkim głosem freestyle’owe teksty. Patrice, dowcipniś, zasugerował jej kiedyś: „Powinnaś stanąć na pudle, żeby cię wszyscy widzieli”. Wzięła ten żart dosłownie i chodzi z czerwoną plastikową skrzynką pod pachą, która wcześniej czy później zapadnie się pod jej ciężarem. Zadziwiające jest to, że zawsze znajduje sobie audytorium. Widziano nawet, jak któregoś wieczoru prowadzi trzydzieści osób na spontaniczną manifestację na pobliskich ulicach. Nikt nigdy się nie dowiedział, czego się domagali, ale ochoczo wykrzykiwali rozmaite slogany. Jest w świetnej formie. Wita się z Patrice’em i Xavierem, poszukując już wzrokiem miejsca, w którym się ulokuje. Potem pieczołowicie ustawia czerwoną skrzynkę, staje na niej i rozpoczyna przemowę. Najwyraźniej przemyślała sobie, co ma zamiar powiedzieć:

„Wczoraj w telewizji usłyszałam kobietę, bogatą, wykształconą, kobietę, która posługiwała się językiem ludzi władzy. Mówiła jak ludzie niemający żadnych wątpliwości, zwłaszcza co do własnej inteligencji, choć powinni je mieć, już najwyższy czas. Ta kobieta stwierdziła: »Na szczęście nie wszyscy biedacy są terrorystami!«. Tej wielkiej damie tak gładko przeszło to przez usta. »Na szczęście«. Więc wyobraźcie sobie tych wszystkich biedaków chwytających za broń, bo mają już dość wyzysku, dopiero byłby problem, problemom nie byłoby końca. »Na szczęście nie wszyscy biedacy są terrorystami!« Ale na szczęście dla kogo? Całe szczęście, że ci poczciwi biedacy dają się prowadzić do rzeźni bez słowa protestu? Bo gdyby nie to, zaczęłyby się prawdziwa jatka...? Ta kobieta wie, że gdy ona chwali biedaków za uległość w swojej wykastrowanej francuszczyźnie lokajów zatrudnionych w Pałacu, pracowników Goodyeara, Air France, poczty czy koncernu ArcelorMittal dla przykładu skazuje się na więzienie. Wie, na ile kilometrów rozciągają się kolumny uchodźców, których zamykamy w obozach, by ich odesłać do Turcji. Widzi eksplozję nędzy o kilka metrów od swojej luksusowej kantyny. Oni to wiedzą. Oklaskują uległość. Cieszą się, że jesteśmy tak głupi. »Na szczęście – mówią – biedacy pozwalają bogatym wchodzić sobie na plecy«. Inna burżujka, mówiąca tym samym wyuczonym w Pałacu językiem, stwierdziła w telewizji »jestem islamofobką«. Bez śladu zażenowania. Burżuje są nieskazitelni w każdym calu, nawet ich łajno jest nieskazitelne, więc skoro wychodzi im z tyłka, dlaczego nie mieliby położyć go na stole? Ta kobieta jest islamofobką. Musi o tym powiedzieć. Kiedy trzeba podpisać kontrakt z Arabią Saudyjską, pokazać się u boku szejka sprawującego władzę, islam nie stanowi dla tych ludzi żadnego problemu. Lecz nazywając siebie islamofobką, ta kobieta nie ma na myśli Araba, który stoi za nią w kolejce do butików Louis Vuittona w ósmej dzielnicy Paryża. Ma na myśli arabskiego nędzarza. Któremu wolno chodzić po tym samym chodniku co ona, który ma prawo wstępu do tego samego merostwa, który może wsiadać do autobusu i zapisać dzieci do szkoły. To tych Arabów ma już powyżej uszu. Nie może już patrzeć na ich męki, powinni się stąd zabierać: jest islamofobką w imię wolności, równości i braterstwa. Inne religie jej nie przeszkadzają. Wyraża się

precyzyjnie: jest islamofobką, ale nie rasistką. I otwierając drzwi tej nietolerancji, sądzi, że robi to dla dobra ludu. Jak gdyby lud potrzebował pogromów, a nie pieniędzy, jakby sytuację społeczną mogły uzdrowić brutalne akcje policji, nie nowe schroniska dla bezdomnych, jak gdyby lud potrzebował więcej zbrodni na tle homofobicznym, a mniej profesorów. Jakby naprawdę była przekonana, że może wskazać swoim delikatnym paluszkiem hrabiny populację biedaków, na których lud będzie się mógł wyżyć – jak ktoś wskazujący palcem przepyszne makaroniki w witrynie luksusowej cukierni Ladurée. Bo jej majątek daje jej naturalną władzę nad motłochem, który zamierza podzielić jak sprytna pastreczka... Ale, pani hrabino, skoro ma pani prawo być islamofobką... jak pani sądzi, ile czasu upłynie, nim inni zaczną bez żenady ogłaszać, że są antysemitami, skoro w Pałacu nikt niczym się już nie krępuje, że są zdeklarowanymi homofobami i uważają, że trzeba wyeliminować pedałów, zaczną głosić, że miejsce kobiety jest w domu, że należy karać te, które wychodzą na ulicę, albo że czarni to małpy? Czy w Pałacu macie jeszcze poczucie wstydu? To pytanie samo się dziś narzuca... Wstydu z powodu wyprowadzania zysków do rajów podatkowych, z powodu korupcji, deportacji, demolowania szkolnictwa, przepełnionych szpitali, smogu, skażonego żarcia, sprzedaży broni, długotrwałego bezrobocia? Pani hrabino, proszę przyjąć do wiadomości, że młoda Arabka, która w chuście na głowie wsiada do autobusu, guzik nas obchodzi. Chcemy tylko, żeby historia zmieniła swój bieg, żeby przestała służyć wyłącznie waszym interesom i zaczęła sprzyjać zwykłym zjadaczom chleba... Zrozumieliśmy, że Arabka w chuście chce wam pokazać środkowy palec. Bo ma dobrą pamięć. Tak jak komunard, komunista, muzułmanin, strajkujący robotnik, terrorysta...

Cóż to za dramat dla ludzi tam na górze, że wcześniej nie wstąpili do Frontu Narodowego. Teraz wszystkie ciepłe posadki są zajęte, a oni utknęli na lewicy. Co za niefort. Jednak będą ci wmawiać: »Wszyscy myślimy tak samo. Czyż to nie dowód na to, że mamy rację, przecież musimy mieć rację, patrząc na Francję z góry«.

Nie wyłączaj telewizora, bracie, jeszcze nie wszystko widziałeś: dwa dni później pan hrabia udziela nam lekcji. Pochylił się nad kodeksem pracy. Ten człowiek nigdy nie splamił własnych rąk robotą. Chce coś przekazać ludowi: ministra Myriam El Khomri ślęczała po nocach nad nowym prawem pracy, uczciwy robotnik będzie zadowolony. Rząd zaproponował wiele nowych regulacji obowiązujących już w dziesiątkach krajów, które nie przyniosły żadnych oszczędności, nie przyczyniły się do wzrostu poziomu życia, a których jedynym celem jest to, by ułatwić koncentrację bogactw w rękach wąskiej elity, doprowadzając do rozpaczyny resztę, ale u nas, u nas to zda egzamin... Zawsze mają na podorędziu historyjkę o długu publicznym i mogą ci powiedzieć: »Czas zacząć go spłacać. I morda w kubek, jak kurwa, która przez całe życie spłaca sutenera«. Czy kiedy złapią kogoś z Pałacu na gorącym uczynku, złodziej oddaje, co ukradł? Czy oni płacą podatki? Nie, oni się obsługują. A ty harujesz jak wół. I płodzisz zadłużone bachory. Już w kołysce są winne kasę swym oprawcom. Dobrze pomyślane. Dajesz im małych francuskich obywateli, którzy stają się ich własnością, zanim jeszcze nauczą się chodzić. Ale to przecież nie jest żadna wojna. To nie jest wojna klas. Najbogatsi wcale nie żerują na najuboższych. My, Francuzi, nie używamy przemocy, to obce naszej kulturze. Podobnie jak sprzedaż broni, kolonizacja, wojny, bombardowanie na oślep, ludobójstwo, wspieranie krwawych reżimów. Nie, my odwołujemy się do wieku Oświecenia. Nie mamy nic, ale to nic wspólnego z ciapatymi. Bo ciapaci uwielbiają przemoc... Ale nie bogaci. Nie. My ponad życie cenimy Giełdę. Nie przemoc”.

Patrice zerka z ukosa na Xaviera. Już dawno temu przestał dyskutować z Olgą. Ten potok słów go przerasta. Nauczyła się tego podczas konwergencji, gdy w obozie pojawiali się ludzie z zewnątrz, a ona mieszała się do każdej rozmowy. Zatrzyma się dopiero wtedy, gdy jej zabraknie głosu.

Zjawiają się Daniel i Kiko. Makler zafundował sobie kurację thalassoterapii w Bretanii. (Patrice się zastanawia, jak on może znosić masaże, biorąc tyle koki). Jest podekscytowany. „Skoro wracamy do konwergencji, musimy zacząć bić

własną monetę”. Wszyscy spoglądają po sobie, zastanawiając się, czy tym razem odbiło mu na dobre czy kryzys jednak minie. Wyciąga jakąś książkę, historię Bretanii, którą kupił na dworcu, nim wsiadł do pociągu. „Każda społeczność była swoją monetą. Dopiero gdy tak zrobimy, będziemy się mogli uważać za państwo w państwie”. Podczas jazdy na chybił trafił przeczytał kilka linijek i przez dwie godziny podniecał się nimi w wagonie restauracyjnym. Dobrze wygląda. Na pewno chodził tam na solarium. Olga krzyżuje ramiona na piersi i wzdycha: „I to mnie wszyscy mówią, że jestem stuknięta... Gdybyś nie miał pieniędzy, już dawno wylądowałbyś w wariatkowie, możesz być tego pewien. Niby co mielibyśmy robić z tą naszą monetą? Kupować sobie fistaszki?”. „Olgo, spróbuj choć raz spojrzeć nieco szerzej. Nie mamy armii, nie mamy monety, mamy naszego guru, który pakuje manatki i bierze nogi za pas, gdy tylko ktoś zwróci mu na coś uwagę... Jesteśmy po prostu niepoważni”. „To właśnie miałam na myśli – odpowiada Olga. – Jesteśmy niepoważni”.

Przez twarz Kiko przebiegają nerwowe skurcze. Wskazuje palcem tłum: „Olgo, nie ma co gadać po próżnicy, weź mikrofon i im powiedz, że trzeba rozebrać Giełdę. Mnie nie posłuchają. Ale mam wizję. To dziesięć minut stąd. W budynku prawie nikogo nie ma, a ten czyn stanie się symboliczny. Trzeba ją rozebrać kamień po kamieniu. Dość już palenia samochodów i wybijania witryn, Giełda jest o trzy stacje metra stąd, wystarczą cztery szpadle i trochę dobrej woli”.

Vernon trzyma ręce w kieszeniach. Jak zwykle nie wtrąca się do rozmowy. Patrzy. Patrice odczuwa radość, że znowu z nimi jest, choć w sumie nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. O co w tym, kurwa, chodzi, że w jego obecności wszyscy czują się dobrze?

Czasami wieczorem powracają do tańca. Pracownia jest ogromna, z wysokim sufitem – nikomu nie przeszkadza, że o drugiej nad ranem włączają muzykę. Ostatnio zrobili tak przed tygodniem. Odwiedził ich Antoine. Nie chce, by ojciec się domyślił, że jest ich wtyczką, toteż wszedł do pracowni, nie zdejmując kasku. Kiedy Céleste zniknęła, był w Libii, brał udział w jednej z tych konferencji na

temat sztuki współczesnej, dzięki którym zjeździł już cały świat. Dowiedziawszy się o tym przez Skype'a, stwierdził kategorycznie, że jego ojciec nie ma z tym nic wspólnego. Nikogo by nie porwał, jeszcze do końca nie zwariował. Hiena spytała: „A mógłby ją zamordować, jak sądzisz?”, na co Antoine wzruszył ramionami: „Oficjalna skarga – tak. Zresztą ma do tego prawo. Pobicie – nie wiem... Jest naprawdę wściekły. Ale dalej by się nie posunął. Vernon źle zrozumiał słowa Maxa. Jeśli Céleste nie wróciła do domu, może po prostu była komuś winna pieniądze i wolała zniknąć. Nie pierwszy raz jej się to przydarzyło...”.

Obstawał przy swoim. Nawet gdy Kiko porównał operacje bankowe na kontach Dopaleta i Maxa i okazało się, że w tym samym czasie obaj byli w Barcelonie... Zaskakujący zbieg okoliczności, lecz Antoine nie widział w tym nic dziwnego, że dwaj paryżanie w ten sam weekend udają się do Barcelony. To ulubione miasto Francuzów.

Céleste została odnaleziona. Antoine był zszokowany, ale nie zmienił zdania: jego ojciec nie miał żadnego związku z tym barbarzyńskim czynem. Jednak przyjechał do Paryża, by rozwiać wszelkie wątpliwości. Wizyta u ojca nie była krzepiąca. A zwłaszcza jego stan – wycieńczony koką i bezsennością, na wpół przytomny, przyjął syna w szlafroku, mówiąc mu, że jest chory, że od jakiegoś czasu nie chodzi do pracy, ale kilka razy obejrzał trylogię *Ojciec chrzestny* i ma ochotę nakręcić film gangsterski. Był bardzo pobudzony i nie do końca świadomy. Antoine zaniepokoił się o jego zdrowie: „Kiepsko wyglądasz, wiesz”. „To przez pełnię. Zawsze silnie reagowałem na pełnię księżyca”. „Tato, jesteś pewien, że to nie koka?” „Koka? Nie. Po koce nigdy nie miałem problemów ze snem...” Ale zażył tabletkę zolpidemu, który Antoine miał zawsze przy sobie, żeby móc zasnąć podczas długich lotów. Potem drugą i padł na łóżko w pokoju.

Antoine został w mieszkaniu. Przeprowadził pobieżne śledztwo. Znalazł maila wysłanego przez Maxa, który nie pozostawiał złudzeń co do natury ich wzajemnych relacji... I syn był zmuszony spojrzeć prawdzie w oczy: jego ojciec zlecił porwanie Céleste. Zaglądając do starszych maili, odnalazł adres domu,

w którym przetrzymywano Céleste. Przed wyjazdem do Barcelony Dopalet próbował namierzyć dzielnicę, w której ją więziono. Na swoim domowym komputerze. Był tak naćpany, że to zrobił. W końcu rozglądając się po mieszkaniu, Antoine natrafił na stary telefon komórkowy, jeszcze na przyciski, z którego usunięto wszystkie wiadomości, ale nie historię połączeń. Hiena potwierdziła: jeden z dwóch numerów, z którymi Dopalet bardzo często się łączył, należy do Maxa.

Antoine był przybity – nie mógł pogodzić się z myślą, że jego ojciec mógł zlecić uprowadzenie dziewczyny, gwałt, zgodził się na to, by jej oprawca ją zabił, a potem pozbył się ciała. A na dodatek był tak nierozgarnięty, że dzwonił do współników z telefonu na kartę, co pewnie widział w jakichś durnych filmach, po czym schował go do szuflady. Jego ojciec to drań jakich mało, i to drań bez wyobraźni.

Wyszedł z mieszkania, ale dwa dni później znalazł wolną godzinę w swoim napiętym grafiku wziętego kuratora sztuki, żeby „przypadkiem” zajrzeć do starego. Zadzwonił i powiedział: „Jestem w okolicy, kupiłem spirulinę, wziąłem też jedno opakowanie dla ciebie, ostatnio wyglądałeś na wyczerpanego”. A ojciec, który przez całe życie trzymał go na dystans, który miał zawsze pilniejsze rzeczy na głowie niż zajmowanie się swoim synem, odparł tonem, jakiego Antoine jeszcze nigdy nie słyszał: „Nie przeszkadzasz mi, synku, popijam właśnie z kumplami”. Kurwa, gęby tych kumpli. Ach, to nie byli filmowi apasze. Od razu widać różnicę między patafianem zdolnym co najwyżej zbesztać makijażystkę, a bandytą, który ma za sobą piętnaście lat pudła. Przyjemniaczki, nie ma co, dbający o higienę. Mordy zabójców. Przyszli z jakąś drobną brunetką, najwyżej dwadzieścia lat, ładną, ale smutną, jakby miała autyzm, i trudno było zrozumieć, co tu właściwie robi. Ojciec zaczął opowiadać Antoine’owi jakieś głodne kawałki – że pracuje nad serialem z ludźmi „ze środowiska”. Był naćpany. Jeden z jego gości zarechotał: „Znam się na choreografii bijatyk”.

Właśnie tego dnia Antoine odwołał wszystkie spotkania i przyszedł, w kasku na głowie, do pracowni w Aubervilliers.

„Nie możecie ukrywać tutaj Céleste. Nie wiem, co szykują, ale nie zapewnicie jej bezpieczeństwa. Trzeba powiadomić policję. Choćby po to, by uchronić mojego ojca przed popełnieniem największej głupoty w jego życiu. Hiena, nie boisz się o Aïche?” A Hiena spojrzała na niego dziwnie, jakby myślała o czymś innym. Céleste tatuowała Davida w kącie loftu, dźwięk igły i płyta Missy Elliott, nastawiona na pełny regulator, sprawiały, że nie mogła słyszeć ich prowadzonej półgłosem rozmowy. Patrice zasugerował: „Zawsze powinny zostawać z nią dwie osoby”. Pamela powiedziała: „Jest ten pusty dom w Landach, właścicielka miała go użyć na dwa czy trzy miesiące. Jeśli to aktualne, nie mówmy nikomu słowa i ukryjmy ją właśnie tam”. Antoine wciąż się upierał: „Nie możemy zatajać tego przed policją. To trochę dziwne, że ja na to nalegam, ale trzeba go przymknąć, to najlepszy sposób, by chronić go przed nim samym... Nie wiem, co kombinował z tymi typami. Ale to nic dobrego. Trzeba go powstrzymać”. Pamela wtrąciła: „Céleste nie chce słyszeć o glinach. To ona mogłaby złożyć skargę, nie możemy jej w tym wyręczać”.

Tego wieczoru, żeby oddalić od siebie rodzące się lęki, zaczęli tańczyć. Vernon podłączył dwie kolumny, by puszczać też fale Bleacha, i włączył *She's a Lady*. Stentorowy głos Toma Jonesa wypełnił pomieszczenie. Było ich tam tylko dziesięcioro. Patrice zdążył pomyśleć: to nie może zadziałać tak samo dobrze jak tam, staram się tańczyć, ale jest inaczej niż kiedyś. I nagle coś się stało. Kurwa. Gdy to wspomina, dostaje gęsiej skórki. Wkładali w taniec całą energię rozpacz, smutek, że utracili obóz, wściekłość, że zjawili się zbyt późno, by uratować Céleste, wstyd, że nie mogą nic zrobić, by ulżyć jej w złej doli, radość, że się odnaleźli, i to wszystko sprawiło, że wystartowali.

Céleste z początku trzymała się na uboczu, potem się do nich zbliżyła, poruszała się wolno, wtedy Patrice'a olśniło – Valérie Kaprisky w tym filmie z lat osiemdziesiątych, w filmie Żuławskiego... Uderzała stopami w podłogę, a ramiona

energicznie mieszały powietrze, to było dzikie, wpadła w trans. A inni utworzyli krąg wokół niej, jakby byli Siuksami, i powtarzali tę choreografię – tańczyli wokół niej, wirując wokół własnej osi w jakimś opętańczym walcu, koncentrycznym, szaleńczym.

A rano Céleste stwierdziła: „Chciałabym zobaczyć, jak wyglądają wasze konwergencje”. I od tego się wszystko zaczęło. Nikt inny nie ośmieliłby się o tym wspomnieć. Wszystkie spojrzenia powędrowały w stronę Subutexa, który wznosił ramiona do nieba: „Jestem tu, kiedy zechcesz, Céleste. Dla Pameli sprawa jest bardziej skomplikowana... To ona wykonuje najbardziej niewdzięczną pracę, sprawdza, czy miejsce jest wolne i...”. Pamela objęła go w pasie. „Przepraszam za tanto. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Byłam głupia. To było z mojej strony nieładne. I przepraszam za ciebie, że byłeś aż tak głupi, by odejść w taki sposób. Dzwonię do Jésusa, pojedziemy obejrzyć tę chatę”.

Céleste poszła się już położyć, nie czekając na zakończenie rozmowy. Zachowuje się trochę dziwnie – zawsze sprawia wrażenie, jakby nic się nie stało. Inne dziewczyny chyba ją rozumieją: to normalne. Trzeba odczekać co najmniej kilka miesięcy, by zmierzyć się z czymś podobnym. A Patrice słucha, co mają do powiedzenia, nie ośmielając się zadać im pytania, które go nurtuje: ilu spośród was to się przydarzyło, to znaczy gwałt? Bo w tym, co chcą przemilczeć, dostrzega jakiś podtekst i to mu przeszkadza. Ma wrażenie, że większość z nich przez to przeszła, w taki czy inny sposób. Z wyjątkiem Pameli, która wyraźnie stwierdziła „nigdy nie zostałam zgwałcona”, po czym opowiedziała okropną historię: facet obiecał dziewczynom role w serii filmów kręconych na Węgrzech, a kiedy tam dotarły, gość skonfiskował wszystkim paszporty i zmusił je do udziału w *tournée* ze striptizem, o czym nie było wcześniej mowy i za co im nie płacono. Patrice nie był do końca pewien, co Pamela rozumie pod słowem „striptiz”, ponieważ opowiadając tę anegdotę, nie kryła rozżalenia. Nie miały telefonów, pieniędzy, papierów, nie ośmielały się uciec z obawy o to, co może przydarzyć się innym, a zresztą szczerze węgierskie pole, wolisz nie sprawdzać, czy ludzie okażą się

sympatyczni czy nie, widząc, że wyglądasz jak dziwka i nie masz innych ciuchów. Im dłużej Patrice słucha dziewczyn, tym częściej zadaje sobie pytanie, jak to się dzieje, że żadna nigdy nie wyszła z nożem na ulicę, żeby zamordować trzydziestu facetów w ciągu jednej nocy. Żadna.

Obóz go odmienił. Od kiedy jest z Pénélope, nigdy jeszcze nie trzasnął drzwiami, żeby pójść się przejść, nim sprawy przybiorą nieprzyjemny obrót. Jest przekonany, że zawdzięcza to seansom tańca. Że go wewnętrznie zmieniły. Uspokoił się. Jakby prowadził teraz lepsze auto, o bardzo sprawnych hamulcach, podczas gdy wcześniej zjeżdżał po zboczach na desce. Przyczepność jest całkiem inna. Nie tak łatwo zalicza glebę.

Zagadnął o to Hienę, gdy raz przyszła na plac Republiki, żeby się spotkać z Olgą. Mówiła: „Nie lubię zbytnio tego rodzaju zgromadzeń, zawsze się boję, że zaraz ktoś zacznie mnie pouczać...”. Ale spędziła z nim trochę czasu przy piwie. Spytał: „Byłaś kiedyś zgwałcona?”. Spodziewał się jakiejś strasznej opowieści. Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach: „Nigdy nie tknęłam kutasa. Nigdy w całym moim kurewskim życiu. Nawet nie chcę o tym myśleć”. Miał chęć ją uścisnąć. Proszę. Wreszcie znalazł kobietę, która nie miała za sobą żadnej okropnej historii, zawsze coś.

Nawet podczas tych nocy czuwania dziewczyny muszą mieć naprawdę ważne powody, żeby protestować. Mówią, że gdy spędzają całą noc na placu, naprzykrzają się im narąbani faceci, kładą im ręce na tyłkach, dochodzi do przepychanek. Patrice mówi sobie: jeśli tak, jak to możliwe, że nigdy nie słyszymy o armii dziewczyn z długimi nożami, które wypruwają facetom flaki tylko po to, żeby przywrócić równowagę?

Plac, na którym dziewczyny nie są bezpieczne wieczorem, bo faceci wypili i mają chęć ich dotykać, choć o to nie prosiły... Zapomnij o tym, by się uskarżać na wyzysk kapitalistów, skoro przy byle okazji starasz się coś wymusić. Faceci, którzy nie są zdolni powiedzieć sobie wprost: „jeżeli się upijam i połowa ludzi nie czuje się ze mną dobrze, to muszę przestać pić i zająć się czymś, co mi lepiej wychodzi”, na pewno nie zmieniają sposobu sprawowania władzy. Są tylko sfrustrowani, bo nie

stoją po stronie klawiszy. Inna sprawa, że Olga odgrywa rolę jednoosobowej służby porządkowej – po zmroku goni pijanych i ma ciężkie ręce, dostają ochrzan i na jakiś czas przechodzi im chęć na obmacywanie tyłków. Trzeba liczyć co najmniej dziesięć dni, zanim któremuś stanie. I Patrice nie widział jeszcze nikogo, kto by się jej postawił, nawet zalany w trupa. Ona też bardzo się zmieniła w obozie. Wcześniej to była tęga, agresywna kobieta, teraz to prawdziwa Godzilla. Niesamowicie rozwinęła się w grupie.

Z każdego punktu widzenia to zgromadzenie to tylko pierwsza próba. Ale skoro można narysować coś innego niż kolejną swastykę, ta próba wydaje się obiecująca.

* 31 marca 2016 roku na placu Republiki w Paryżu i w innych miejscach publicznych rozpoczęły się *nuits debout* – całonocne manifestacje przeciwko planowanym zmianom w kodeksie pracy. Zapoczątkowany w ten sposób ruch społeczny, spontaniczny, pozbawiony lidera i niezależny od partii politycznych, opiera się na zasadzie konwergencji walki.

** Groupe union défense – studencka organizacja skrajnej prawicy założona w roku 1968 i działająca z przerwami do dziś.

Dom wygląda tak banalnie, że byłby wręcz brzydki, gdyby wokół nie rosły stuletnie wiązy, tak iż nie widać, że sam budynek jest pozbawiony wdzięku. Główna aleja, wiodąca do jego drzwi, jest wysadzona dębami, których wierzchołki stykają się ze sobą, tworząc zielone sklepienie, tak że czujemy się, jakbyśmy wchodzili do pałacu.

Między jedną piekielną nawałnicą a drugą jest dosyć ciepło, by można było przebywać poza domem. To deszczowy maj. Olga uparła się, by jak najdłużej pozostać w Paryżu, kilka nocy spędziła na placu Republiki, mówiąc: „Dla mnie to nie nowina, nie boję się”. Potem skapitulowała. Sekwana wystąpiła z brzegów i na stolicę woda leje się bez ustanku. Olga wyciąga wnioski: „Jeśli chcemy we Francji stworzyć ruch społeczny, trzeba będzie urządzać demonstracje *indoor*. Rewolucja w plenerze – w tym klimacie to niemożliwe. Nawet ja, nieprzywykła do burżuazyjnych wygod, po dziesięciu dniach brodzenia w wodzie po kostki odpuszczam”. Po przybyciu do obozu przechadza się z paczką chipsów w jednej i fiolkami olejków eterycznych w drugiej dłoni, mają ją wyleczyć z kataru, więc pije je wprost z buteleczek – i nikt nie śmie jej zwrócić uwagi, że w sumie używa się ich inaczej.

Idzie krok w krok za pudlem Xaviera, pilnując, żeby nie uciekł. Gdyby mu na to pozwolić, popędziłby przez las na łąkę, która ciągnie się do pierwszych zabudowań, i zatrzymałby się dopiero pośrodku stada krów. By wraz z nimi przeżuwać trawę. Gdy może robić, co lubi, nikogo nie słucha i robi się cały cyrk, gdy trzeba wejść między krowy, nie płosząc ich, i zabrać go z sobą tak, by ich nie stresować.

Vernon skorzystał z chwili przejaśnienia, wystawiając leżak przed drzwi. Nie ma mowy o kąpieli słonecznej, nie jest na tyle ciepło, ale przynajmniej jest na świeżym powietrzu. Od chwili przybycia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę

siedzą uwięzieni wewnątrz. Przepęnia go nieopisana radość. Świat zewnętrzny zaczyna się rozpadać. Osuwa się elegancko, ślizga, jego formy przestają być rozpoznawalne, słychać tylko łagodny szept. Zbiorowa euforia przenika każdą cząstkę w tym domu. Rzeczywistość, która istnieje poza tymi murami, wydaje się odległa. Już trudno mu sobie przypomnieć, że mieli jakąś przerwę.

Daniel przyjechał ze swoim nowym kumplem Rodrigiem. Gra na akustycznej gitarze. Długi czarny kosmyk opada mu na czoło. Ma na szyi wytatuowanego kruka. Jest bardzo powściągliwy. Gdy śpiewa, jego głos pozbywa się nieśmiałości, brzmi bardziej magnetycznie niż wtedy, kiedy mówi. „*I don't ever want to feel like I did that day take me to the place I love take me all the way*”. Dzień wcześniej opowiedział Vernonowi, że przez dwadzieścia lat grał z grupą metalową i właśnie się z nią rozstał. Uprzedził ich pod koniec trasy, przed koncertem na paryskim przedmieściu: „Po tym *tournee* odchodzę”. Nikt go nie spytał dlaczego. Odhaczył wszystkie pozycje na liście i więcej się z nimi nie widział. Ten rozdział był zamknięty. I powiedział: „To im ulżyło. Byłem najmniej dyspozycyjny w grupie. Tylko ja pracuję. Spisuję liczniki wody. Dogadywałem się z szefem, gdy miałem w planie koncerty, ale jednak. Przeze mnie nie mogli pójść do przodu”.

Emilie, z papierowym ręcznikiem pod pachą, oznajmia, że nie ma ciepłej wody i nie uśmiecha jej się zimny prysznic. Potem śpiewa, stając obok gitarzysty: „*under the bridge downtown forgot about my love*”. Jest w czarnej sukience zapinanej z przodu, w której wygląda jak bohaterka starego włoskiego filmu. Ma piersi z innej epoki, staromodne, ciężkie i wydatne.

Rodrigue gra pierwsze akordy *Purple Rain*, Sylvie i Pénélope, siedzące kilka metrów dalej na plastikowych krzesłach, których nogi wbijają się w mokrą trawę, wołają jedna przez drugą:

- Kurwa, tyle razy tańczyliśmy numery Prince’a.
- A pamiętasz *Nasty Girl* i *Vanity 6*?
- 2016, co za denny rok.

– Słyszałaś, że Vanity ujrzała Chrystusa, gdy była naćpana? Powiedział jej, że jeśli zrezygnuje ze swojego scenicznego wizerunku, zostanie zbawiona.

– Prawdziwy Chrystus nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. Chrystus jest miłością, nigdy nie nakazałby Vanity, żeby się ubrała.

Xavier przystaje obok Rodrigue’a, kładąc dłonie na biodrach. Mówi sam do siebie: „O, kurwa, alterglobaliści, jak ja się cieszę, że znowu z wami jestem. Sam nie wiem dlaczego. Ale jestem zadowolony”. Jego sylwetka wydaje się tym bardziej ociężała, że gitarzysta jest mizernej postury. Xavier czeka, aż skończy grać, i wyciąga rękę, żeby wziąć gitarę. „Mogę?”. Przyciąga stołek, siada. Gra jak punk, na górnych strunach, ze wskazującym palcem w poprzek gryfu. Śpiewa bez kompleksów: „Idą ulicą jak straceni żołnierze udekorowani tylko krzyżem na czole, nie myślą o promocji, nie robią rewolucji”. Patrice chwyta się za głowę i wrzeszczy: „O nie, tylko nie piosenka francuska”, ale jak wszyscy faceci z jego pokolenia, którzy otarli się o środowisko rocka, zna słowa i w końcu zaczyna nucić: „Wszyscy moi towarzysze to straceni żołnierze, myślą tylko o muzyce i półnagich dziewczynach, oskarża się ich o to, że myślą szablonowo, nieważne ich idee, skoro istnieje przyjaźń”^{*}.

Vernon zabiera swój woreczek z tytoniem i wstaje, żeby dołączyć do dziewczyn. Trochę boli go biodro. Nie po raz pierwszy czuje, że jego ciało z trudem się zgina. Boi się dojść do wniosku, że to ma związek ze zmianą pogody, co oznaczałoby reumatyzm. Jest gotów na wiele rzeczy, ale na pewno nie na reumatyzm.

Lydia trzyma na kolanach swój notes, dokonuje podsumowania:

– A zatem Lemmy, David i Roger. Ale teraz musimy się zastanowić nad metodą: co potem, jak wybieramy, od którego momentu?

– Wiesz, jeśli chcesz zrobić pełną listę, wyjdzie nam książka telefoniczna.

– Od Joego Strummera? Co myślicie? Trzeba od czegoś zacząć.

– Od Joego Strummera to nie ma żadnego sensu, bo wykluczymy Janis, wykluczymy Jimmy’ego, wykluczymy Elvisa. Trudno mi sobie wyobrazić kościół

bez Elvisa.

– A Nina Simone? A James Brown?

– James Brown był po Strummerze.

– Ale dlaczego Strummer? Jest dla ciebie jakoś szczególnie ważny czy rzuciłaś to nazwisko ot tak?

– Żeby zakreślić pewne granice. Są potrzebne.

– Potrzebujemy raczej zdrowego rozsądku, nie ograniczeń. Wracam zatem do listy: Joe Strummer, Janis Joplin, Elvis Presley, Prince, David Bowie, Lemmy...

Amy. Michael Jackson. Joey Ramone. Dee Dee Ramone.

Kurt Cobain. Whitney Houston.

– Whitney Houston? Naprawdę?

– Oczywiście. Wyobrażasz sobie kościół bez Świętej Rity?

– Jest już Amy.

– Kobiety upadłe. Możemy mieć dwie święte, to dla mnie minimum, biorąc pod uwagę ich ogólną liczbę.

Zamierzają udekorować kościół. Mówią już o następnej konwergencji i są bardzo ciekawe, czy Pamela zdoła znaleźć opuszczony kościół. By wszędzie pozawieszać obrazki świętych rocka oraz rysunki, dekorując wnętrze. Są zaangażowane w ten projekt, na który Vernon spogląda krytycznie: „Co zamierzacie robić w tym kościele?”. „Będziemy się narkotyzować, słuchając muzyki”.

Vernon słyszy za plecami Xaviera i Patrice’a, którzy śpiewają chórem: „Powiedz tato jak mogłeś ruszać do ataku kiedy młodość topniała w ogniu tych łajdaków oni toczyli wojnę na sztabowych mapach ty piłeś piwo żeby zapomnieć o strachu”**. Lydia marszczy brwi, patrzy na nich, potem pyta Vernona: „Co im się stało?”. „Trudno uwierzyć, lecz byli kiedyś młodzi”.

Jésus jedzie wyasfaltowaną alejką na longboardzie, to coś w rodzaju elektrycznej hulajnogi bez kierownicy, na której nie ma żadnego oparcia dla rąk.

Patrząc, jak porusza się na tym pojeździe, można odnieść wrażenie, że to bardzo łatwe, ale Vernon już kiedyś stanął na tej deskorolce i okazało się, że jazda na niej ma wiele wspólnego ze sportem ekstremalnym. Obserwując młodego człowieka, zadaje sobie pytanie, jak wygląda życie kogoś tak bardzo przystojnego. W jego przypadku można to wręcz uznać za handicap, tak trudno jest myśleć o czymś innym, kiedy się z nim rozmawia – wznieść się ponad zachwyt, jaki chcąc nie chcąc, wzbudza.

Na czołach rozpryskują się pierwsze krople deszczu, oczy wznoszą się do góry, by sprawdzić, czy to coś poważnego. Wszyscy wstają, chwytają popielniczki, szklanki, zapalniczki, filiżanki, mały wzmacniacz i chronią się w salonie. Gdy zamykają się drzwi, na trawnik spada ulewny deszcz.

Każdy znajduje sobie miejsce w przestronnym i prawie pustym salonie, gdzie stoi tylko kanapa, a na podłodze leży wiele poduszek. Lydia podłącza iPoda, model, który wydaje się prehistoryczny, choć nie ma jeszcze dziesięciu lat, i szuka palcem odpowiedniej muzyki. iPod wydaje charakterystyczny dla tej epoki dźwięk, lekkie kliknięcie, gdy puszcza się kawałek. Wybrała *Where Did Our Love Go* i Vernon unosi kciuk do góry.

Olga, leżąc na plecach pośród swoich zeszytów, czyta półgłosem teksty, które przygotowuje na konwergencję. Noce spędzone na placu Republiki były owocne, ma co robić do jutra.

„Jak zachować nadzieję, kiedy nadzieja umarła? Naszym powołaniem nie jest goszczenie u siebie całej nędzy świata. Naszym powołaniem jest odgrodzenie się od świata murami. Naszym powołaniem jest otaczanie się zasiekami, szpalerami żołnierzy i celników. Naszym powołaniem jest żarcie cukru, całymi tonami. Naszym powołaniem jest dewastacja puszczy i produkowanie miliardów rolek papieru toaletowego. Naszym powołaniem są spacerunki między uginającymi się od towarów regałami i zachwyt, jakim darzymy wyroby przemysłowe. Naszym powołaniem jest zatapianie statków pełnych imigrantów, zanim zaszkodzą branży turystycznej. Naszym powołaniem jest brak elastyczności, niezgoda na przypadek,

smarowanie się olejkiem ochronnym przed opalaniem, a potem żarcie lodów, miotanie się w sieci i pochłanianie wiecznie tych samych głupstw. Naszym powołaniem jest liczenie wymarłych gatunków. Naszym powołaniem jest gnębienie bezbronnych, naszym powołaniem jest spożywanie hektolitrów napojów gazowanych. Naszym powołaniem jest okazywanie wzgardy, pogarda dla wszystkiego, co jest nieodpłatne, dla wszystkiego, czym zostaliśmy obdarowani, dla piękna, *sacrum*... Pogarda dla pracy innego człowieka, brak poszanowania dla jego odmowy, brak poszanowania dla jego istnienia...”

Xavier się przeciąga, chwytając się za łokieć nad głową i skręcając tułów. Mówi: „Strasznie to długie i niezbyt budujące. Zdołowało mnie... Powinnaś zacząć słamować, Olgo. Mogłabyś pisać wiersze dla dzieci z podstawówki”. Olga patrzy na niego z ukosa, ale się nie denerwuje. Mówi: „Masz szczęście, że jestem wyrozumiała”. Xavier jest przygnębiony. Marie-Ange odeszła. Zostawiła córkę w domu swojego ojca. Firma zaproponowała jej nadzorowanie otwarcia platformy telemarketingowej w Macedonii. Zgodziła się. Powiedziała Xavierowi: „Może to i lepiej, że wyjadę sama”. Nie walczył. Mówi: „Sam byłem tym zdziwiony. Lubimy się. Oboje wiemy, że jeśli chodzi o kwestie finansowe, nie daję bez niej rady. Gdybym miał płacić czynsz, musiałbym zostać z wami na stałe, a gdybym tu utkwiał na dobre, nie zniósłbym tego, musiałbym kogoś zabić. Zresztą nie da się wychowywać córki w tych warunkach. Trzeba by co chwila zmieniać szkołę, to niemożliwe. Marie-Ange zostanie tam przez rok”. Mówi: „Najtrudniej jest pogrzebać marzenia”. Mówi: „Miłość z Marie-Ange... Kiedy o tym pomyślę, widzę nieruchome ciało mojej suki, która umarła na raka, a weterynarz przyszedł, żeby ją uśpić. Miłość trwa nie dłużej niż życie psa. To wygląda podobnie: któregoś dnia uświadamiasz sobie, że to koniec, i nie możesz nic więcej zrobić. Zostajesz z puszką prochów. Zawsze możesz postawić ją na półce. Nie ma powrotu. Nie można wskrzesić miłości, która umarła”.

Wstaje i skrupulatnie odcina cienkie plastry z wielkiego holenderskiego sera, krągłego, jasnej barwy. Sélim staje w drzwiach przemoczony do suchej nitki. Mówi: „Zaparkowałem przed bramą. Kurwa, ale leje!”, a Emilie podaje mu

ręcznik. Zdejmuje kurtkę, by ją rozłożyć na kaloryferze. Wraca z Aten, poleciał tam, żeby zobaczyć się z córką. Rozpiera go energia. Jeszcze nie usiadł, a już opowiada w szczegółach o uchodźcach, którzy się tam osiedlili. O solidarności mieszkańców, mimo powszechnego ubóstwa. Hiena pyta: „A Aïcha?”. Przerywa na chwilę, zastanawia się. „Tak szybko się zmienia. Czasem, kiedy jej słucham, odnoszę wrażenie, że jedna osoba rozpoczyna zdanie, a inna je kończy. Spodziewa się dziecka. Nie chciała mówić mi o ojcu, ale, jak sądzę, to nie było niepokalane poczęcie...”

Hiena spogląda w jego stronę. „Zachowa je?”. On wznosi oczy ku niebu: „Nawet nie ośmieliłem się wymówić słowa »aborcja«”. Xavier pyta: „Jest zadowolona?”. Na to Sélim: „Uczy się greckiego, myślę, że mimo wszystko dobrze jej się układa”. W tym momencie wszystkie spojrzenia wędrują w stronę ostatnich stopni schodów, na których pojawia się Céleste. Powtarza: „Będzie miała dziecko?”. Potem zbiega po stopniach i rzuca się Sélimowi na szyję z jakąś gorączkową radością, która wydaje się trochę niepokojąca. „Tak się cieszę. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo”.

Sélim nalewa sobie kieliszek wina. Mówi: „Czuję się zbyt młody, żeby zostać dziadkiem, ale jestem gotów. Chciałbym ją tylko przekonać do powrotu do Francji. Ciężko jej będzie samej z dzieckiem, wiem coś na ten temat. Chciałbym jej pomagać”. Olga pyta: „Dlaczego nie zabiliśmy Dopaleta? Mnie nie zna. Zaczekam pod jego domem, poderżnę mu gardło i wrócę... Kto zgadnie, co się stało? Hę? Kto?”.

Céleste otwiera drzwi i wychodzi na deszcz. Rusza prosto przed siebie. Hiena idzie za nią bez słowa, zostawiając jej kilka metrów przewagi. Vernon obserwuje tę scenę z daleka – sylwetkę Céleste, która krzyczy. Z ramionami przyciśniętymi do ciała, pewnie zaciskając dłonie, z głową odchylną do tyłu, wrzeszczy jak opętana, potem unosi ramiona w górę i okłada powietrze pięściami, potyka się, znowu zaczyna wymachiwać rękami. Atak nerwowy, jak zrywająca się burza, ale gdy Hiena zbliża się do niej i dotyka jej ramienia, Céleste odwraca się w ich stronę

i wtedy Vernon widzi, że dostała napadu szalonego, absurdalnego śmiechu. Podchodzi bliżej. Jego buty z cholewami grzęzną w trawie, z trudem posuwa się naprzód. Nie jest pewien, czy robi to, co trzeba, nie ma powodu, by miał interweniować – Céleste o nic go nie prosiła ani nie okazała mu szczególnych względów. Jakiś głos mu podszeptnął „spróbuj”, podchodzi więc bliżej, ona się odwraca... Grymas śmiechu zmienił się w maskę nienawiści. Patrzy mu prosto w oczy i mówi: „To twoja wina. Wszystko, od samego początku. Ty to wszystko spowodowałeś. To ty”. I uderza go w twarz, potem w pierś, zaczyna kopać go po kostkach, wściekle i chaotycznie, wrzeszczy, ale on się nie cofa. Czuje ciosy. Czuje też zapach ziemi, tę charakterystyczną, tak przyjemną woń. Potem Céleste zwalnia, krzyk więźnie jej w gardle, kaszle, pochyła się, jej ciało się zgina. Bardzo powoli kładzie dłoń na jej plecach. Céleste płacze. Otwiera ramiona, ona się waha, potem przyciska się do niego i opada z sił. Wylewa potoki łez. Xavier, z rękami w kieszeniach, komentuje: „No, kurwa, wy, alterglobaliści, lubicie dramatyzować”. Sylvie, stojąc obok niego z kieliszkiem w dłoni, przygryza dolną wargę i mówi: „Céleste ma rację. W takich przypadkach oprócz krzyku niewiele można zrobić. Krzyczeć i czekać...”.

W domu ktoś puszcza na ful muzykę i głos Leonarda Cohena przenika kurtynę deszczu, by pograć się w mroku: „*You want it darker. We kill the flame*”.

* Aluzja do piosenki *Soldats perdus* alternatywnej grupy LSD (La Souris Déglinguée) działającej od 1976 roku.

** Fragment piosenki *Papa* francuskiej grupy Parabellum grającej alternatywnego rocka.

– Tato, nie wiesz, gdzie jest benzyna do mojego zippo? Znalazłam gaz w kredensie, ale nie widzę benzyny.

Solange jest w łazience i nie słyszy odpowiedzi. Stoi z nosem przy lustrze. Przerwała chusteczkę higieniczną na pół i skrupulatnie wyciska zaskórniki. Nie zauważyła, że ma ich tak dużo. Są wstrętne, odpychające. Przemywa twarz zimną wodą i patrzy na siebie raz jeszcze – z trudem łapie oddech. Jutro czeka ją wielki dzień. To dziwne, że wszystko wydaje się jej normalne.

Ojciec kroi chleb na czerwonej plastikowej desce, tej samej od zawsze. Stół też się nie zmienił. Dorastała w tym domu, w którym kiedyś dorastała jej matka, a wcześniej babcia. To przestronna kuchnia. Gdy była mała, zlikwidowano kominek. Na jego miejscu stoi wielka zamrażarka.

Padało przez cały miesiąc. Na ścieżkach stoją jeszcze kałuże, tak szybko nie wyschną. Kiedyś prognozy pogody były najważniejszym tematem rozmów w jej rodzinie. Czy tego roku będzie dosyć deszczu? Czy będą przymrozki na wiosnę? Czy będzie dosyć słońca? Gdy ojciec sprzedał ziemię, nie jest to już tak ważne.

Trzeba iść dwadzieścia minut, by dotrzeć do wioski. Jeśli chcesz kupić chleb albo paczkę tytoniu, musisz wsiąść na rower. Całe dzieciństwo spędziła na dwóch kółkach. Cieszy się, że już nie jest dzieckiem. Nie rozumiały się z siostrą. Pamięta zwłaszcza to, że często była sama. Nie spotykała się z innymi dziećmi. Ojciec nie lubił, gdy je sprowadzała do domu, żeby się z nimi bawić. Były źle wychowane, nie ściągały ubłoconych butów przed wejściem do jej pokoju, nie myły rąk przed podwieczorkiem. Ojciec mówił, że to straszne niechluj.

Ich rodzina też nie miała dobrej opinii w okolicy. Rodzicom innych dzieci też się nie podobało, że bawią się w ich domu. Na wsi wszyscy o wszystkim wiedzą. Ludzie mówili, że jej matka pije. Kiedy Solange była mała, naprawdę wierzyła, że

matka urządza sobie popołudniowe sjesty. To inne dzieciaki powiedziały jej: „Wcale nie, twoja stara jest zwykłą pijaczką”. Solange zszokowała nie tyle prawdą, ile to, że ją przed nią ukrywano. Ale uświadomiła sobie, że to nie było normalne, by listonoszka, choć bardzo wcześnie wstaje, była codziennie tak bardzo zmęczona, że nie schodziła nawet na kolację. Ojciec nigdy nic jej nie mówił. Musiał być zawiedziony, że jego żona ma problem z alkoholem, a dzieci, które mu dała, również wydawały mu się upośledzone. Solange nie lubiła pomagać w gospodarstwie. Lubiła jedynie zbierać mirabelki. Jeśli chodzi o całą resztę, mówiła, że wszystko tu zbyt śmierdzi: zwierzęta, nawozy, gnój... Od tych natarczywych zapachów robiło jej się niedobrze. Tylko wuj nauczył ją czegoś pożytecznego: zabierał ją na polowania, jego synowie za tym nie przepadali, mówili, że ich to nudzi. Potrafi posługiwać się strzelbą. To rodzinne. Podczas wiejskich festynów ojciec patrzył z drwiącym uśmiechem, jak radzi sobie na strzelnicy, mówił: „To nie pomoże nam wydać jej za mąż”. Ale jednak sprawiało mu przyjemność, że jego córeczka wraca do domu z najpiękniejszym pluszakiem.

Jej siostra Orphée też nie nadawała się do pracy w polu. Ale przynajmniej przynosiła ze szkoły dobre stopnie. Nie cierpiały się. Targały się za włosy, pluły na siebie. Nigdy nie bawiły się razem. Siostra zawsze chciała rozkazywać, a gdy Solange robiła, co jej kazała, mówiła, że ją małpuje. Orphée była dobra w gimnastyce, lubiła lalki Barbie, sumiennie odrabiała lekcje, miała piękne włosy. Solange była pewna, że gdy jej siostra dorośnie, pozna faceta, urodzi dzieci, będzie miała dom, skończy studia, znajdzie ciekawą pracę i wszystko w życiu jej się ułoży. Wydawało się, że Orphée jest stworzona do tego, by robić wszystko lepiej niż inni. Tyle że guzik z tego wszystkiego wyszło. Już po niej, została trafiona i zatopiona. Nie wiadomo, co się właściwie stało: skończyła dwadzieścia lat i paf. Do tego stopnia, że dziś Solange nie jest w stanie uwierzyć, że kiedyś zazdrościła siostrze, bo wszystko zawsze się jej udawało. Laska całkiem się rozłożyła. Ma myśli samobójcze. Nie dość, że jest stuknięta, to potrafi naprawdę wkurzyć. Ale może wszyscy wariaci są tacy. Orphée powtarza, że nie ma depresji. Ale bez przerwy

płacze. Puchnie od leków. Wygląda jak ociężała foka. Znowu zajęła pokój obok pokoju Solange. Mieszka u ojca i z nikim się już nie widuje. Kompletne dno.

Kiedy Orphée wróciła do rodzinnego domu, ojciec bardzo się zmienił. I tak był małomówny, teraz w ogóle przestał się odzywać. Całymi dniami siedzi w internecie. Ma wielkie dłonie i palce zniekształcone od pracy, Solange zawsze to bawi, gdy widzi jego grube paluchy na klawiaturze, zastanawia się, jakim cudem trafia w klawisze. Sprzedał ziemię. Nie ma emerytury, nie odprowadził dość składek. Przy byle gości krzywi się z bólu i dotyka pleców. A przecież nigdy go nic nie bolało, Solange nie przypomina sobie nawet, by kiedykolwiek leżał w łóżku z powodu grypy, plecy ni stąd, ni zowąd odmówiły mu posłuszeństwa. Zawsze lubił oglądać filmy. Teraz nie robi już nic innego. Dostali list z Hadopi* z ostrzeżeniem, że powinni zaprzestać ściągania filmów, wyrzucił go do kosza, bez słowa. Głuchnie, ale nie chce używać aparatu. Jej ojciec zawsze ubierał się elegancko, kiedy szedł do wioski. Ludzie mówili: „Jaka szkoda, że też taki przystojny mężczyzna, zadbany, pracowity nie znalazł sobie odpowiedniej kobiety”. Po domu chodzi w dziurawych spodniach i rozciągniętym beżowym swetrze, ale gdy idzie po zakupy, musi włożyć garnitur i kapelusz, jak za dawnych lat. Ale rzadko chodzi do wioski. Nie przepada za towarzystwem głupków. Zawsze był zbyt inteligentny, bystrzejszy od innych. Można od tego zwariować. Ci, którzy przenikają spojrzeniem ciemności, są straszliwie samotni. Solange wie coś o tym.

W jej domu panuje ponura atmosfera. Nigdy nie było w nim zbyt wesoło, ale teraz jest jeszcze gorzej. Matka zamieniła butelkę na lekarstwa, inne niż lekarstwa jej siostry. Wydaje się teraz bardziej odurzona niż wtedy, kiedy jej najlepszym kompanem była flaszka. Na kuchennym kredensie piętrzą się opakowania lekarstw. Kiedy miała czterdzieści dwa lata, na poczcie jej powiedzieli: „Cóż, nie potrzebujemy już listonosza, przeniesiemy cię do okienka”. Tyle że przywykła do tego rytmu – pobudka o piątej rano, dwadzieścia kilometrów na rowerze, żeby dostarczyć pocztę, potem dom, kieliszek białego wina i tak dalej, aż do utraty świadomości. W okienku nie mogła się odnaleźć. W dodatku zaczęło ją wkurzać,

że musi sprzedawać klientom telefony. Powiedziała na poczcie: „Są petenci, nie klienci”, a szefowa zaśmiała się jej w nos. Matka wpadła w depresję. Mniej piła. Biorąc leki, nie potrzebuje już tyle alkoholu, od rana chodzi jak błędna. Jej ciało ciągle tu jest, ale nie ma już w nim osoby.

Solange wyciąga mleczną bułeczkę z plastikowej torby z logiem Carrefoura, która od razu rozpuszcza się w ustach, ciasto rozpada się i przykleja do zębów. Zawsze to uwielbiała. Mówi:

- Wczoraj widziałam matkę Richarda.
- Poznała cię?
- Oczywiście.
- Trudno cię rozpoznać z tymi krótkimi włosami.

Ojciec się zmartwił, widząc ją z nową fryzurą. Obcięła włosy w zeszłym miesiącu. Z powodu tej dużej Brazylijki z telewizji, która oblukuje kobiety, by potem je odpicować jak używany samochód. W programie była dziewczyna, trochę do niej podobna – chodziła po ulicy, a ludzie mówili: „Jest całkiem niebrzydka, ale o siebie nie dba”. Obcięli jej więc włosy i to prawda, że wyglądała o niebo lepiej. Solange pojechała do salonu Dessange’a aż do Épinalu. Fryzjerka zrobiła zatroskaną minę: „Trzeba nakładać odżywkę po szamponie, to dobre dla długich włosów”, a Solange patrzyła, jak spadają kosmyki, i nim strzyżenie dobiegło końca, wiedziała, że popełniła głupstwo. Miała chęć się rozpłakać, kiedy na siebie spojrzała. Zawsze nosiła długie włosy z grzywką. Zanim nie ujrzała swojej odsłoniętej twarzy, nie wiedziała, że wygląda, jakby miała Downa. Jest jeszcze brzydsza niż wcześniej. Kiedy wróciła do domu z tą krótką fryzurą, zauważyła, że sprawiła ojcu wielką przykrość. Ale co mogła zrobić? Było po wszystkim. Na myśl o tym, że ojciec właśnie taką ją zachowa w pamięci, serce jej się kraje. Bo choć on sam jeszcze tego nie wie, będzie wracał myślami do tego poranka. Nie chce zasmucać ojca. Życie i tak go nie rozpieszczęło. Tyle że jeśli nikt nie zechce się poświęcić, nic się nigdy nie zmieni. Nie da się zrobić omletu, nie rozbijając jajek. To francuskie przysłowie zawsze ją śmieszyło. Mówi:

– Pokazała mi zdjęcia synka Richarda. Jest ładniutki.

– Zawsze mnożyli się jak króliki. I nikt tam nie pracował. Jak zamierza wychować tego małego?

Z Richardem kolegowała się w szkole podstawowej. Jest wiele fotografii, na których siedzą obok siebie. I są do siebie podobni jak dwie krople wody. Takie same niebieskie oczy, bardzo jasne blond włosy, prawie białe. Jest mnóstwo historii o niej i Richardzie, jak idą, trzymając się za ręce, wychodzą ze szkoły, nie uprzedzając nikogo, żeby łąpać pijawki. Albo kijanki. Zamykali je w butelkach z wodą. To dzieciństwo kojarzyło się z kłującymi ostami, zaskrońcami wijącymi się w trawie, kaloszami i dmuchawcami. To nie są złe wspomnienia, to przyszło później, smutek w pełnym wymiarze godzin. Richard zaczął się bawić z innymi chłopcami, którzy nie chcieli dziewczyny w swojej bandzie. Gdy nauczyła się czytać, szkoła zaczęła ją męczyć, a atmosfera w domu zrobiła się ciężka. Na szczęście był internet. To ją ocaliło. Ojciec zrzędził, że ciągle gra z kimś w sieci i nic innego nie robi. Ale całe szczęście, że były gry i fora dyskusyjne, które odkryła, poszukując hasła, żeby pobrać za darmo GTA. Wzrusza ramionami:

– Richard nic nie robi? Jego żona jest nauczycielką, tak mówiła mi jego matka.

– Proszę, jaka papła. Uważasz to za normalne, że mężczyzna liczy na pensję żony, by mieć co włożyć do garnka? Może to nowoczesne, ale nie bardzo w porządku.

– To ładne dziecko. Potrzebujemy takich jak najwięcej. A oni zrobią tak samo jak wszyscy: poszukają sobie pracy gdzie indziej.

Rzuca jej twarde spojrzenie. Spojrzenie, które mówi: „A więc na co czekasz?”. Nie ma jej dość. Nadal ją toleruje, ale Solange ma dwadzieścia dwa lata, najwyższy czas, by znalazła sobie jakieś zajęcie. Ustatkowała się, jak to ludzie mówią. Druga córka wróciła do domu kompletnie pogubiona. Solange zbiera się nagle na śmiech – nie może nic powiedzieć, ale ojciec nie powinien się tym wszystkim przejmować. Jutro przestanie być dla niego ciężarem. Choć jeszcze tego nie wie,

nie będzie się musiał martwić o pieniądze, będzie mógł nawet wysłać matkę do domu opieki, gdzie ją postawią na nogi. A ona będzie w stanie ich utrzymywać.

Ojciec pije kawę z czarki. Nigdy nie chciał używać filiżanek. Nie widzi takiej potrzeby. Solange go za to lubi. Tego ranka podoba jej się każdy jego gest. Doceniamy tylko to, co wkrótce utracimy. Słodzi swoją i rozcieńcza ją mlekiem, bo lubi pić chłodną kawę. Opiera się tyłem o zlew i nagle zbiera się jej na płacz, bo od tak dawna milczy – uśmiecha się do niego. Gdera pod nosem, kręcąc głową, mamrocze jakieś słowa, których Solange nie rozumie, wstawia pustą czarkę do zlewu. Telewizor w kuchni odbiera bez przerwy informacyjną stację BFM. W każdym pokoju jest telewizor, zawsze włączony, kiedy ojciec jest w domu. Nigdy nie słyszała, by ktoś w wiosce wspominał z nostalgią czasy, kiedy nie było telewizji, tęsknił do ciszy i kolacji przy kominku, to dobre dla mieszkańców, którzy nie mają pojęcia o życiu na wsi i wyobrażają sobie, że tu ludzie opowiadali sobie kiedyś historie przy stole. Ale niby o czym ludzie mieliby tutaj rozmawiać? O deszczu. Ale nie da się przez pół godziny rozprawiać o deszczu. Jest go dość lub za mało i na tym koniec. Tym bardziej nie zajmie ci to całego wieczoru.

Cmentarz znajduje się na końcu wsi, na niewielkim wzniesieniu. Grób jej babci nie jest zadbane. Nikt go nie odwiedza. Tylko na Wszystkich Świętych, wyrzuca się wtedy plastikową doniczkę i usuwa liście naniesione przez wiatr. Stawia się nową. I do zobaczenia za rok. Solange też często tu nie przychodzi. Tylko przy ważnych okazjach. Siada na szarej połyskującej marmurowej płycie. Jej babcia miała na imię Odette. Przepadała za małymi dziećmi. Lubiła tańczyć na balach, prowadzić samochód i oglądać komedie muzyczne. Sama szyła sobie na maszynie stylowe ubiory. Wprawnie rysowała szablony i tak, tak, tak, przyciskając pedał, trzymając szpilki w zębach, szyła eleganckie żakiety i suknie. Kopiowała kreacje z katalogów. Umiała uszyć wszystko. To ona przed rozpoczęciem roku szkolnego zabierała Solange na zakupy do supermarketu. Zabierała także Orphée, ale kiedy indziej. Mówiła, że to normalne, takie małe dziewczynki muszą się czuć wyjątkowo. Jeszcze dziś Solange lubi zaglądać do działów papierniczych na

wielkich powierzchniach. Przypomina jej to ten dzień, gdy była w centrum uwagi, gdy wózek był pełny, zostawiały go przed wejściem do samoobsługowej restauracji Flunch, gdzie jadły obiad. Kotlet mielony z frytkami. „Wiesz, Odette. Ty wiesz. To dla narodu. Nie można tak tego zostawić. Siedzieć z założonymi rękami. Ty to zrozumiesz. Trzeba coś zrobić, wsadzić kij w mrowisko. Bo przepraszam, ale inni to bezmyślne krowy, trzeba dać historii kopniaka na rozpęd, żeby coś wreszcie się wydarzyło. A potem, Odette, wiesz, potem to opiszę, wszystko, co mam w głowie, opiszę to, a ponieważ wszyscy będą mnie znali, na pewno to przeczytają. I będę dla innych wzorem. Wiem, że ty to zrozumiesz. Tak się boję, że rozboleł mnie brzuch. Wczoraj, gdy dowiedziałam się, że wszystko ruszyło z miejsca. Dostałam sraczkę, babuniu. Dostałam sraczkę. Ale się nie cofnę. Wszystko, byle nie bierność i bylejakość. Wszystko”.

Została wybrana. Idzie za głosem swojego powołania. Który jej mówi: „Naprzód... Naprzód... Naprzód...!” A Max jest pierwszą osobą, która to pojęła. To zabawne, w jaki sposób się poznali. Od lat przesiaduje na tym samym forum użytkowników gier wideo, to już niejako jej kwatery główna. Zawsze wchodzi tam pod pseudonimem „kojot666”. Tak samo jak na Twittera. Nie wybrała sobie żeńskiego przydomka – w sumie na forum rozmawia się głównie o grach, więc dziewczyna jest tam niewiarygodna i jeśli ktoś akurat nie zacznie ci ubliżać, znaczy, że chce się z tobą przespać. Nawiązała megazabawną rozmowę z jakimś gościem o ksywce „gekon2”, nabijają się z nowych użytkowników, którzy czują się tu wyraźnie zagubieni. Rozumieją się z sobą w pół słowa. Max pisze, że od pierwszego wieczoru zwrócił na nią uwagę – ponieważ się wyróżnia, jest prawdziwą pasjonatką gier, od razu widać, że ma powołanie. Po kilku dniach stwierdził, że muszą się zobaczyć, że chciałby pomówić z nią o kilku sprawach, ale Solange odparła, że to niemożliwe: „Hej, mam za dużo rzeczy na głowie”. Bo trudno jej się było przyznać, że nie jest tym, za kogo się podaje, że nie jest chłopakiem. I wtedy to się zaczęło robić naprawdę zabawne. Max nalegał, pisał, że to ważne, że czuje z nią głębokie porozumienie. I to on przyznał się jako pierwszy:

nie ma dwudziestu trzech lat, raczej dwa razy tyle. Bał się, że źle to przyjmie. Odpowiedziała: „A ja mam na imię Solange”. I najpierw pomyślała, że może jest pedalem, bo to go zmroziło. Ale potem zrozumiał, że skłamała tylko co do tego – poza tym jest patriotką, gra lepiej od facetów... I dał się ugłaskać.

Całe szczęście, że Max tak jej nie zostawił. Nadał sens wszystkiemu, co się w niej gotowało, co rozdzierało jej duszę, ale nie mogło przybrać formy, wszystkiemu, co przeczuwała, nie wiedząc, jak to wyrazić. Solange staje na straży pamięci. Służy jej na miarę swoich sił. Wymierzy kilka ciosów na chybił trafił, w mroku. Jest pełna nadziei. Niektóre akty przemocy pozwalają przywrócić ład. Dzięki niektórym desperackim, wyrosłym z męstwa czynom można rozgarnąć popioły, odnaleźć żar, z którego wystrzeli płomień. Inni pójda za jej przykładem. Nadszedł czas czynów. Max to zrozumiał, gdy tylko ją zobaczył. Jest taki sam jak ona. Podoba im się to samo i nienawidzą dokładnie tych samych rzeczy – agonii demokracji, obłudnej retoryki, prania mózgów, fabrykowania kłamstw, sprzedajnych pismaków, polityczno-medialnych szumowin, mydlenia ludziom oczu, Francji, która kona, którą osłabia doktryna multikulti i upadek obyczajów. Braku wiary. Zasad. Francji, gdzie fetyszyzuje się ludzkie życie, zapominając o tym, że wielkie idee potrzebują czasami ofiary krwi.

Max potrafi dokończyć zdanie, które zaczęła Solange. Uzupełniają się. Właśnie z nim wszystko przygotowała. I to on pomoże jej opublikować to, co napisze, gdy już odda się w ręce władz. Bo Solange nie ucieknie. Stanie przed francuskim narodem z podniesionym czołem. Max będzie czuwał nad tym, by jej rodzinie niczego nie brakowało. Gdyż zna ludzi, którzy nie zostawiają ofiarnych żołnierzy w potrzebie, zawsze gotowi są im pomóc.

Rzuci hasło do rewolucji. Wie, że inni, podobni do niej, błąkają się w ciemnościach zagubieni i wściekli z nienawiści. Są teraz bezsilni, ale rozumieją, że wreszcie nadszedł czas. Trzeba wymierzyć cios w miękkie podbrzusze tej obrzydliwej epoki. Trzeba uderzyć w tych, którzy tańczą, choć czasy już dojrzały. W tych, którzy gonią za uciechami życia, w ludzi zdeprawowanych.

Wszystko jest już gotowe. Ona również.

* Potoczna nazwa urzędu czuwającego nad rozpowszechnianiem utworów i ochroną praw w internecie, istniejącego od 2009 roku.

Na peronie metra młody człowiek w czarnej ramonesce pisze czerwonym flamastrem na granatowym afiszu reklamowym: „Państwo popełnia gorsze zbrodnie niż wszyscy których zamyka w więzieniach”. Przez chwilę się waha, czy postawić przecinek. Léonard daje mu znak z przeciwległego peronu, kreśląc znak przestankowy w powietrzu. Slogan nie jest rewelacyjny, ale niech to przynajmniej jako tako wygląda.

Ma na uszach słuchawki, słucha *Lemonade*. Myśli o Antoinie. Po plecach przebiega mu dreszcz przerażenia. Gdy ukazała się ta płyta, Antoine przez godzinę plótł, co mu ślina na język przyniosła, by udowodnić, że Beyoncé zrewolucjonizowała muzykę pop, że jest równie ważna jak *Thriller* czy *Nevermind*. Antoine lubił czasem wygłaszać absurdalne teorie i bronić ich z uporem godnym lepszej sprawy. Ale gdy ktoś zwrócił mu uwagę, że tydzień wcześniej mówił coś wręcz przeciwnego, natychmiast się uspokajał i stwierdzał z uśmiechem: „Tak, jedno nie wyklucza drugiego. Prawda?”. Miał bystry umysł, lubił być w centrum uwagi. Lubiał rozśmieszać innych. Był w czepku urodzony. To że nie ułożyło mu się w małżeństwie, sprawiało, że nikt nie traktował go jak kolejnego zadufanego bubka, który wszystkich poucza. Życie uśmiechało się do niego, ponieważ on uśmiechał się do życia. Aż do dnia jego absurdalnej śmierci. W noc masakry.

Taki jest dzisiaj świat. Właśnie taki się stał. Gdy tylko usłyszemy syrenę karetki pogotowia, sprawdzamy w internecie, czy nie wydarzyło się nic niedobrego. Léonard czuje ulgę, gdy wchodzi na Twittera i stwierdza, że ludzie nie dyskutują na temat jakiejś niedawnej tragedii. Żyjemy z myślą, że w każdej chwili może dojść do nieszczęścia. Korzystamy z komunikacji miejskiej, siadamy na tarasie kawiarni, żeby zapalić fajkę, idziemy na koncert. Idziemy gdzieś potańczyć. I teraz już wiemy, że możemy nigdy nie wrócić do domu.

Léonard znowu podjął kurację, dokładnie trzy tygodnie temu. Uświadomił to sobie dziś rano, połykając jedną czwartą tabletki. Chowa napoczęty listek w głębi kosmetyczki. Nie ma ochoty nikomu o tym mówić. Nie chodzi już do psychiatry, który wypisał mu recepty. Mógłby znieść dotkliwe ukłucie lęku, na wysokości splotu słonecznego, które znów powraca. Mógłby znieść obsesyjne myśli, które go wyrrywają ze snu. Ale nie mógł bez lekarstw pogodzić się ze śmiercią Antoine'a.

To była słuszna decyzja: dziesięć dni później doszło do ataku w Orlando. Oświadczenie ojca zabójcy: „To nie ma nic wspólnego z religią. Mój syn zobaczył w Miami dwóch całujących się mężczyzn i od tej pory nie mógł dojść do siebie”. To nie ma nic wspólnego z religią – problemem są pedały, które przestały się ukrywać. Ludzie tacy jak on budzą obrzydzenie. Wie to od dziecka. Uświadomił to sobie w swoim rodzinnym domu. Ale jego rodzice walczyli z wszystkimi siłami, zanim złożyli broń. Nie chcieli, by Léonard odwiedzał ich w ich domu. Nie chcieli, żeby widzieli go sąsiedzi. Nie jest jednym z tych zadbanych, wymuskanych gejów, którzy kojarzą się matkom z wymarzoną zięciem. Jest ciotą. Wystarczy spojrzeć, jak idzie, i od razu wiadomo, z kim mamy do czynienia. Jego matka mówiła: „Nie przychodź do nas na święta. Bo potem przez dwa miesiące nie śmiem pójść do fryzjera, stałam się pośmiewiskiem dzielnicy”. Po ataku w Orlando w gazetach pojawiły się wielkie nagłówki. Dzienniki unikały słowa „homoseksualiści”. Nie rozpisywano się na temat tożsamości ofiar, gdyż wiadano, że w przeciwnym razie czytelnicy nie będą mieli dla nich litości. Pedały. Gdy katoliccy fundamentaliści ośmielili się stwierdzić, że zarówno zamachowcy, jak i ofiary w sali koncertowej Bataclan byli zdeprawowani, spotkało się to z bezpardonową krytyką ze strony prasy. Z Orlando było inaczej. Po strzelaninie w Orlando można było bić brawo. Nikt się nie oburzał.

W nocy, gdy doszło do ataku na Bataclan, był w trzynastej dzielnicy, na imprezie na zacumowanej przy nabrzeżu barce. Taksówkarz, który go odwiózł do domu, nie wziął od niego pieniędzy, chociaż był z dala od centrum wydarzeń. To była noc ludzkiej solidarności – wszyscy byli do żywego poruszeni tragedią i nie

wstydzieli się dodawać sobie otuchy. Po Orlando nic takiego nie miało miejsca. Nie natrafił na żadnego taksówkarza, który by się tym przejął.

W przypadku masakry w Rennes-le-Château gazety z początku opowiadały się po stronie ofiar. Nawet internauci odczekali kilka dni, zanim zaczęli cokolwiek im zarzucać. Ale atmosfera z dnia na dzień gęstniała. Żaden z tych ludzi nie miał przy sobie komórki, później się okazało, że wielu z nich używało w domu Linuxa – kto używa Linuxa, nie mając nic do ukrycia? Nie wszyscy z nich mieli stałe miejsce zamieszkania. Zaczęto mówić, że w tej grupie było wiele osób o radykalnych poglądach. Zresztą na miejscu odnaleziono propagandowe teksty o skrajnej wymowie. Podobno był wśród nich muzulmanin. Lesbijka, dawna prostytutka oraz inne osoby, których płeć biologiczna ustalona podczas autopsji różniła się od tego, czego można by się na podstawie ich wyglądu spodziewać. Był tam też makler zajmujący się handlem narkotykami. Mówiło się nawet o kimś w rodzaju guru, bo ludzie nie wiedzieli już sami, co mają wymyślić, by zbrukać pamięć ofiar. W opinii publicznej stopniowo zaczęła przeważać opinia, że były to porachunki między ekstremistycznymi ugrupowaniami, chyba że w grę wchodziły jakieś odrażające praktyki seksualne, mord rytualny dewiantów?

Terapia przynosi rezultaty. Śpi po siedem godzin dziennie. Pozbył się natręctw. Jego myśli swobodnie płyną. Nabiera sił. Gdy idzie, czuje, jak miękko pracują mięśnie ud. Nie usztywnia się. Wspomina Antoine'a, ma łzy w oczach. Wsiada do metra i jest zaskoczony, że myśli o czymś innym. Potrzebował tych proszków.

Léonard chciałby, żeby mu ktoś wyjaśnił, dlaczego ktoś taki jak on, kto w swoim życiu zażył tyle koki, ecstasy, wypił tyle szampana, kto pali trawę, gdy tylko nadarzy się okazja, i nigdy nie odmawia wciągnięcia kreski hery, tak bardzo się wzbrania przed połknięciem ćwiartki pastylki co rano. Nie chodzi o to, że to jest legalne, a tamto nie – lubi tak samo wychylić kieliszek wódki przy kontuarze, co łyknąć ukradkiem dropsa. Nie przepada za towarzystwem dilerów i wolałby wiedzieć, co mu dosypali do koki. Ta granica oddziela narkotyki stosowane w celach rekreacyjnych od narkotyków terapeutycznych. Te pierwsze dają nadzieję, że będzie po nich zabawa, że wyruszy w mentalną podróż, że rzeczywistość się

zmieni, bodźce będą zwielokrotnione, że to eksperyment – podczas gdy druga nazwa kojarzy się z chorobą, słabością, potrzebą kuracji. Istnieją narkotyki, które pachną szampanem i wywołują napady szalonego śmiechu o świcie, i inne, które cuchną szpitalem psychiatrycznym, szczynami starców i rozpuszczalnikiem.

Ostatnio Léonard irytuje swojego narzeczonego. Jean-Michel rozmawia z nim rozdrażnionym tonem, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Złości się, gdy widzi, jak Léonard wychodzi z pokoju hotelowego z filiżanką kawy w dłoni, równocześnie szukając czegoś w telefonie i popychając nogami walizkę. Mówi mu oschle: „Kurwa, mógłbyś się czasem skupić na tym, co akurat robisz”. Jest w nim coś takiego, czego inni po pewnym czasie nie są w stanie znieść. Odbierają mu miłość, jaką go obdarzyli. Jak akcjonariusz, który sprzedaje pakiet udziałów, uświadamiając sobie, że postawił na złego konia. Léonard nie jest dobrym koniem. Może dokonywać nadludzkich wysiłków. Jean-Michel go zostawi. Tak samo jak inni.

Léonard wrócił do swojej terapii dwa dni po strzelaninie. Nikt nie wie, skąd Antoine wziął się tam tego wieczoru. Ciekawił go street art. Wyrobił sobie nazwisko w świecie sztuki, wdzierając się tam niejako od dupy strony, to znaczy za pośrednictwem graffiti, w czasach gdy wydawało się niemożliwe, by hip-hop kiedykolwiek trafił do muzeów. Został liczącym się kuratorem, o którego rywalizowały wszystkie galerie. Jednak nadal działał w terenie, żeby nie tracić kontaktu z ulicą.

Setka osób uczestniczyła w tym rave, prywatnej imprezie zorganizowanej na dziko. Nikt nie przeżył. Dziewczyna, która ich zaatakowała, była dobrze wyszkolona. I uzbrojona po zęby. Prasa pisała, że była niezrównoważona psychicznie. I działała w pojedynkę. Ale przecież w zapadłej dziurze, w której wegetowała, nie zdobyła całego arsenału, który pozwolił jej zgładzić tak wiele osób.

Léonard zażyłby każdy narkotyk, który odsunąłby od niego myśli o horrorze, jaki musiał przeżywać Antoine, gdy wybuchł pierwszy granat. Myśli o tym, co się

działo w ostatnich chwilach w jego głowie. Co się dzieje w stanie skrajnego przerażenia?

Dziewczyna zaczęła, aż ocalali i ranni zaczęli się poruszać, by zacząć ich rozstrzeliwać, jednego po drugim, z broni maszynowej. Stała na wzniesieniu, przyniosła z sobą latarkę, żeby oświetlić scenę. Potem popełniła samobójstwo, strzelając sobie w skroń, w lesie, w pobliżu miejsca zbrodni. To nie był zamach terrorystyczny. Ta masakra nie miała politycznego podłoża. Tak twierdzą media. Léonard wie, że każdy narkotyk, który pozwoliliby mu o tym wszystkim zapomnieć, bardzo by mu pomógł.

Od czasu zamachu na redakcję „Charlie Hebdo” po każdym tego rodzaju wydarzeniu dostaje mdłości na samą myśl o nieuniknionej rozmowie z innymi ludźmi. Oddalił się od osób, które uważał za bliskie. Mieszka we Francji od trzydziestu lat. Zawsze istniały tutaj tematy tabu. Ma już dość tych litanii wygłaszanych w obronie islamu. Mówiąc o krwawych łaźniach zgotowanych innym, wielu ludzi zachowuje nadzwyczajną ostrożność, nie chcąc rzucać bezpodstawnych oskarżeń. Dorastał w Izraelu. W styczniu 2015 roku nawyk strachu znowu powrócił, w nienaruszonym stanie. Ze strachem jest trochę tak jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina. Miał dwanaście lat, kiedy jego rodzice przenieśli się do Francji. Przyjechali tu latem, myślał, że to będą wakacje, ale już nigdy więcej nie zobaczył Bat Jam. W tamtych czasach nie rozmawiało się z dziećmi. Po prostu brało się je ze sobą. Pierwszą rzeczą, jaka go zaskoczyła w Nicei, gdzie najpierw zamieszkali, było to, że ludzie nie rozglądali się, wsiadając do autobusu, nie niepokoił ich widok torby pozostawionej na ławce. Że się nie bali. A jednak w Bat Jam dzieci czuły się wolne, robiły, co chciały. Tyle że czujność była czymś naturalnym. Po każdym alarmie bombowym schodziło się do schronu. Z początku to Francja wydała mu się dziwna. Lubił tylko bagietki i palmito. Potrzebował czasu, żeby się przyzwyczaić.

Ojciec Antoine'a jest niepokieszony. Léonard odczekał kilka dni, nim do niego zadzwonił, by złożyć mu kondolencje. Laurent Dopalet mamrotał coś niezrozumiale. Był oszalały z bólu. Potem Léonard powiedział: „Jeśli mogę panu w jakiś sposób pomóc, proszę mi powiedzieć”, a ojciec odparł: „Przyjdź do mnie, tak, bardzo chętnie z tobą o nim pomówię”.

Odtąd w każdy czwartek Léonard je z nim kolację. Zamiast grać w padla, chociaż to uwielbiał. Ale ojcu Antoine'a potrzebne jest jego wsparcie. Miesza alkohol z silnymi środkami nasennymi, często mówi w sposób nieskładny. A potem zdarzają mu się chwile trzeźwości, chce mówić o Antoine, słuchać wspomnień Léonarda. Odzywają dawno zapomniane obrazy z dzieciństwa i lat dorastania.

Gdy na portalach społecznościowych ludzie zaczęli podejrzewać, że ofiary masakry nie były tak niewinne, jak mogło się w pierwszej chwili wydawać, Léonard myślał, że Dopalet może postradać zmysły. Oczywiście kampania obelg i pomówień nie stała się centralnym elementem dramatu. Działała jak kropla, która draży skałę – te kalumnie są tak niesprawiedliwe i wstrętne, że wolimy machnąć na nie ręką, oddalając od siebie to szaleństwo. Jak słusznie stwierdził producent: „Ostatecznie najbardziej przerażające okazuje się nie samo wydarzenie, tylko reakcja ocalałych”.

W któryś czwartek jedli kolację w japońskiej restauracji w trzynastej dzielnicy. Dopalet podpierał się nosem, potem nagle wziął się w garść, a jego spojrzenie stało się niezwykle przenikliwe i przepełnione bezgranicznym smutkiem. Był człowiekiem doszczętnie zdruzgotanym. To był nagły przypływ energii, niemający wiele wspólnego z trzeźwością spojrzenia: „Byłbyś dobrym scenarzystą. Bardzo dobrym”. Léonard jest grafikiem. Nie wie nawet, jak przesunąć akapit w Wordzie. Przywykły do dziwactw Dopaleta, odparł uprzejmie: „Nie sądzę”. Ale producent kołysał się na krześle, kurczowo uczepiając się tego pomysłu. Miał pewien plan. Pierwszy od bardzo dawna. „Nauczę cię. Zostaniesz świetnym scenarzystą. Opowiemy ich historię. Ty i ja. Prawdziwą historię. Nie pozwolę byle komu kalać pamięci syna. Nakręcimy serial. O tej grupie ludzi, o ich tragicznej historii...

I zrobimy to razem, Léo, ty i ja”. I uśmiechnął się, po raz pierwszy od wielu miesięcy. To był nikły uśmiech, mrozący krew w żyłach. Léo nie oponował. Ojciec Antoine’a zamówił butelkę wina, wyglądał, jakby się budził z trudem, znalazł wreszcie coś, czego się mógł uchwycić. Ten dziwaczny pomysł wyraźnie go ożywił. Dodał: „Ponadto jesteś Żydem. To dobrze. To nam pomoże. Zawsze trzeba mieć w ekipie Żyda”. Léonard nie miał mu tego za złe. Przed nim siedział życiowy rozbitek, który nie wiedział, co mówi.

Ten szalony projekt już go nie opuszczał. Teraz w każdy czwartek, gdy Léonard je kolację z ojcem Antoine’a, zabiera z sobą klucz USB ze scenopisem ich wspólnego autorstwa. Często ma wątpliwości: czy naprawdę oddaje Dopaletowi przysługę, brnąc wraz z nim w to szalone przedsięwzięcie? Ale nie ma eleganckiego sposobu, by się otrząsnąć z najcięższej żałoby – żałoby po ukochanym synu.

Kiedy patrzy na siebie w lustrze, zdaje mu się, że ma zdeformowaną twarz. Widzi blizny, które nie istnieją. Poparzone, zmasakrowane oblicze. Pamięta swoją prawdziwą twarz, nigdy tak nie wyglądał. Została wytarta przez wrzaski.

Marcia pije jaśminową herbatę, siedząc przy białym okrągłym stole. Kotek, którego znalazła dzień wcześniej w śmietniku, leży zwinięty w kłębek na jej kolanach. Jest malutki, była pewna, że jest bardzo młody. W jego białej sierści roiło się od pcheł. Ma niebieskie oczy, wcale nie był zdziczały. Weterynarz stwierdził poważne odwodnienie, a przyglądając się osadowi na jego zębach, uznał, że ma około trzech lat. Odkarmiony i odrobaczony, powinien wrócić do zdrowia.

Marcia nazwała go Roger. Chciała go zachować. Była pewna, że towarzystwo kota dobrze zrobi Vernonowi. Nie wzięła pod uwagę tego, że psy też już nie żyją. Widział je, jak pełzały ranne, zanim zostały dobite. Ale Vernon nic jej nie powiedział. Nie mogła o tym wiedzieć. Sprawdzając w internecie, czy ktoś nie szuka tego kota, Marcia odnalazła jego właścicielkę. Która była w stanie dokładnie opisać kształt plamy na brzuchu i powiedzieć, że futerko na jednej przedniej łapce jest czarne, podczas gdy inne łapki są białe. Nie ma wątpliwości: to jej kot. Przyjdzie odebrać go po pracy. Powiedziała: „Przyniosę szampana. Straciłam już nadzieję, tak się cieszę”. Marcia jest zawiedziona. Chciała zaadoptować Rogera. Powiedziała: „Nawet jeśli się do niego nie przywiążesz, mógłbyś go karmić, gdy mnie nie będzie w Paryżu”. Vernon wysilił się na odpowiedź: „To nic. Masz mnie”. A Marcia odwróciła głowę w jego stronę, zaskoczona, że słyszy jego głos.

Korzysta z ostatnich chwil, jakie spędza z kotem, który pozwala się głaskać. Czyta brazylijskie blogi, zsunęła okulary do czytania na czoło, jak zawsze gdy chce przeczytać coś z bliska. Jest smutna. Wszystko, co w ostatnich miesiącach dzieje się w tym kraju, bardzo ją przygnębia. Cudzoziemcy przeżywają te wydarzenia z poczuciem pewnego dystansu, co wcale nie sprawia, że wydają się im one mniej

dramatyczne, przeciwnie. Oddalenie jest pudłem rezonansowym. Niewielu ludzi stąd to rozumie. Mówi: „Powinnam nawiązać nowe przyjaźnie z ludźmi stamtąd, jak ja”.

Vernon zmywa naczynia w zimnej wodzie. Piecyk się zepsuł, w kuchennym kranie nie ma już ciepłej wody. Ale Marcia podnajmuje to mieszkanie od kogoś, nie chce kontaktować się z właścicielem, żeby nie mieć kłopotów. Płucze talerze i ma czerwone lodowate dłonie. Intryguje go to, że cokolwiek czuje.

Po strzelaninie Vernon poszedł prosto przed siebie. Upadł na ziemię na centralnym placu miasteczka i jakaś kobieta, Stéphanie, zaprowadziła go do swojego domu. Tłumaczyła książki z włoskiego i mieszkała sama z psem. Zajął się nim. Mieszkała na ostatnim piętrze wieżowca stojącego na wzgórzu. Miała całą kolekcję żółwi – pluszowych, plastikowych, na kartkach pocztowych. Wszędzie były żółwie. I bryła różowej soli krystalicznej, ze względu na fale elektromagnetyczne. Nie wie, jak długo tam pozostał. Nie odzywał się do niej, ona spędzała dni odwrócona do niego plecami, pociągając elektronicznego papierosa, stukając w klawiaturę. Przypuszczalnie domyślała się, skąd się wziął na tym placu. W pierwszych dniach mówiło się tylko o tym. Tylko on wyszedł z tego wszystkiego żywy. Stéphanie była Murzynką z bardzo krótkimi włosami. Bez przerwy słuchała płyt CD z dźwiękami deszczu i odgłosami lasu. To budziło w nim lęk. Vernon przez wiele dni dygotał w gorączce. Chciał odejść, ale nie miał dość sił, by przekroczyć próg i wrócić na ulicę. Rano wykonywała dziwne ćwiczenia rozciągające na wytartym niebieskim dywanie. Vernon spał na sofie i już pierwszego dnia okryła go kocem z czerwonej wełny, z którym się nie rozstawał przez cały czas pobytu w jej mieszkaniu.

Któregoś popołudnia wyszła zrobić zakupy i Vernon zdobył się na odwagę, by otworzyć drzwi. Zszedł z dziewiątego piętra schodami. Nie chciał wsiadać do windy. Ukradł czerwony koc. Uciekł dokładnie tak jak kot, niewdzięczne zwierzę. Pokonanie każdego stopnia kosztowało go wiele wysiłku, droga w dół zdawała się

nie mieć końca. Musiał uważać, w jaki sposób ustawia stopę na schodku, przenosi ciężar ciała, schodził uczepiony poręczy jak wycieńczony starzec.

Przeszkodził jakiejś parze, wystraszył ją, pojawiając się bezgłośnie za jej plecami, a ona także go przestraszyła, nagle się odwracając, jakby ją przyłapał na gorącym uczynku. Dziewczyna miała jakieś piętnaście lat, Vernona zdumiały jej wielkie niebieskie oczy, biel jej skóry i prawdopodobnie farbowane włosy, zbyt czarne, o zbyt wyraźnych niebieskich refleksach, by mógł to być naturalny kolor. Była ładna, chłopak był wysoki, miał silne nogi, umięśnione uda piłkarza. Wstał, by zrobić Vernonowi przejście, unikając jego wzroku. On też był bardzo przystojny. Vernon poczuł się dziwnie, widząc, że ludzie na zewnątrz wciąż żyją, są piękni, chowają się, żeby się pocałować. Oboje byli opromienieni światłem i spokojni. Wydali mu się odlegli. Byli po drugiej stronie kurtyny jego świadomości.

Szedł długo. Czuł głód, było mu zimno, pokaleczył stopy, zaczęło go boleć biodro. Gdy mijał jakichś ludzi, wyciągał dłoń w ich stronę. I maszerował dalej. W Tuluzie, sam nie wiedząc dlaczego, wsiadł do pociągu jadącego do Paryża. Konduktor był starym zgryźliwym człowiekiem, wściekł się, że Vernon wsiadł do pociągu bez ważnego biletu i bez żadnych papierów. Pomstował, żądał od niego jakiegoś dokumentu, oficjalnego poświadczenia adresu. Vernon patrzył przez okno na przesuwany się za oknem pejzaż, nie był w stanie udawać, że się tym przejmuje. W końcu ten człowiek usiadł na składanym siedzeniu, westchnął i wypisał mandat. On także był zmęczony, stracił chęć na użeranie się z pasażerem na gapę. Spojrzał na Vernona, zanim się oddalił. „Powodzenia. Co mam ci powiedzieć... Ale spróbuj sobie czegoś poszukać, nie wiem, choćby jakiejś faktury... Żeby to przynajmniej jakoś wyglądało... Nie mamy prawa, rozumiesz? Tyle się teraz dzieje... Nie mamy prawa spacerować bez żadnych dokumentów”.

Ni stąd, ni zowąd poczuł przeszywający ból, jakby brutalnie wyrwano go z marzeń – błyskawiczny cios szablą. Wszystko było skończone. Nic nie pozostało. Przez resztę czasu zapominał, zapominał o tym, by cokolwiek myśleć.

Vernon położył się w korytarzu na stacji Châtelet, kilka metrów od jakiegoś człowieka z gitarą, w jego wieku. Nie szukał niczego więcej. Położył się twarzą do ściany, miał wrażenie, że dotarł na miejsce. Wieczorem pracownik metra uprzedził go: „Zaraz zamykamy”. Zawsze ten sam, uprzejmy i zdecydowany. Vernon znajdował sobie kratę wentylatorni, na której mógł się położyć. Czasem musiał iść długo. O świcie wracał zawsze na stację Châtelet. Jakby wiedział, jakby ktoś wyznaczył mu tam spotkanie. A przecież na nic nie czekał. Wszyscy już nie żyli. Wszyscy znani mu ludzie zniknęli. Mariana dołączyła do nich, niespodziewanie, w przeddzień konwergencji. Był szczęśliwy, że ją widzi. Wspominał jej usta w chwili, gdy szczytowała, jej rozchylone wargi, jej zęby. Wspominał, to było najgorsze. Miał gardło twarde jak kamień, każdy oddech był dla niego prawdziwym wysiłkiem.

To na stacji Châtelet któregoś dnia Marcia przeszła tuż obok niego. Vernon jej nie zobaczył. Leżał na boku, jak zwykle. Powiedziała, że nie rozpoznała go od razu. „Zazwyczaj nie patrzę na kloszardów w metrze, przemieszczam się, przemykam, staram się iść najszybciej, jak potrafię, omijając ludzi. Ale ciebie rozpoznałam. Myślałam w pierwszej chwili, że to ktoś do ciebie podobny. To mnie zmroziło. Poszłam dalej, w stronę peronu czwartej linii metra, sama już nie wiedziałam, co robię. Twoje nazwisko widniało na liście ofiar. Zastanawiam się, kogo zidentyfikowali jako ciebie. Było tam twoje zdjęcie, pośród wielu innych – Marc Campadre. Nie wiedziałam, że tak się naprawdę nazywasz... Wylałam tyle łez. Ty, Kiko, Gaëlle... wszyscy inni. Pokłóciłam się z Kiko... Zachował się nie *fair*, wiesz, jaki potrafił być. Poza tym kokaina, kompletnie mu po niej odbijało. Żałowałam. Żałowałam, że nigdy nie wzięłam do ręki telefonu, by ci powiedzieć: »Nic się nie stało spotkamy się?«. Z Gaëlle widziałam się na pokazie Yves’a Saint Laurenta, opowiadała mi trochę o konwergencjach, zapraszała mnie, ale nie pojechałam. Zawsze nam się wydaje, że jesteśmy zajęci. Nie wiedziałam, czy powinnam się z tobą zobaczyć. Sprawiałam ci przykrość. Nie bawiłam się twoim kosztem, byłam szczerą – tylko miałam inne rzeczy na głowie, nie byłam gotowa

na miłość. Ale cieszyło mnie, że ty jesteś zakochany... Gdy zobaczyłam, że jesteś na liście ofiar, poczułam, że kochałam cię bardziej, niż mi się wydawało. Wiesz, jak to jest, nie oszukasz serca... Rozpoznałam cię w metrze, ale pomyślałam, że coś mi się przywidziało, poszłam dalej... Tyle że gdy miałam już wsiąść do wagonu, nagle oprzytomniałam, zawróciłam. Chciałam mieć pewność. I nadal tam byłeś. Kochany, byłeś w takim stanie... Widok był straszny, ale, kurwa, ten zapach... Wiem, nie powinnam tak mówić, ale naprawdę muszę cię darzyć miłością jak brata, skoro się wtedy nad tobą nachyliłam... Tak od ciebie jechało... Poruszałeś wargami, nie wydając żadnego dźwięku, majaczyłeś w ciszy. Szczerze mówiąc, przez chwilę się wahałam. Wiedziałam, że jeśli tam zostanę, pomogę ci wstać i wezmę cię do siebie, a dwa miesiące wcześniej znalazłam to mieszkanie, dobrze się czułam sama... Wiedziałam, że się tobą zaopiekuję, a łatwo się było domyślić, że to nie będzie zabawa... Mogłam powiadomić kogoś z obsługi metra, powiedzieć: »Wie pan, wszyscy są przekonani, że ten człowiek nie żyje, rozpoznałam go, proszę to sprawdzić!«. Nie mogłam tak postąpić. Nie chciałam. Kiedy zobaczyłam cię w takim stanie, śmierzącego szczykami, bełkocącego coś bezgłośnie przy ścianie, pomyślałam: kurwa, trzeba było z tobą zostać, gdyśmy się poznali... Przepraszam, że tak mówię, ale to prawda. I zaczęłam do ciebie mówić. Ludzie na korytarzu zwalniali, żeby na nas popatrzeć, zastanawiali się, co ja tutaj robię, dlaczego potrząsam za ramię faceta, który się nie porusza... Bali się, że nie żyjesz. Mówi się, że paryżanie, widząc trupa w metrze, przechodzą nad nim, nie zatrzymując się. Tego dnia przekonałam się, że to mit: wszyscy się wtrącali. »Czy mogę pani pomóc, czy coś mu się stało?« Paryżanie są różni, są wśród nich mendy, ale są też dobrzy samarytanie, możesz mi wierzyć, że trzeba się wysilić, by dali ci święty spokój...”

Vernon od razu przypomniał sobie jej głos. Myślał, że śni. Co mu się rzadko zdarzało. Potem rozpoznał jej zapach. Wtedy zrozumiał, że Marcia naprawdę tam jest, że klęczy obok niego, i nie sprawiło mu to przyjemności. Przeszkadzała mu. Miała na sobie megaobcisłe dżinsowe spodnie i kurtkę, styl lat osiemdziesiątych,

i włosy, jakich nigdy u niej nie widział – gładko zaczesane do tyłu. To była ona, ale do siebie niepodobna. Podtrzymała go, żeby mu pomóc wstać, wsiadła z nim do metra, stała wyprostowana i bezczelnie patrzyła ludziom w oczy, bo wszyscy w wagonie zadawali sobie pytanie, skąd bierze się ten fetor. Odsuwali się, z chusteczką przy nosie, zmieniali miejsce. A Marcia wypinała pierś, unosiła podbródek, tak że nikt nie śmiał się skarżyć. Vernon się nie odzywał. Ale coś z otaczającej rzeczywistości zaczęło do niego docierać. Myślał o filmie *Pinokio* w reżyserii Comenciniego, który puszczano w telewizji na święta, gdy był mały, i który napawał go lękiem. O tej damie z fioletowymi włosami i woalką na twarzy. Marcia nie miała na głowie kapelusza z woalką, ale tak mu się wydawało. Była dla niego tą damą.

Teraz ona jest przy nim, ale odczuwa jej brak. Nie zaspokaja jego potrzeby obcowania z nią. To ona. To jej gesty, jej ubrania, jej głos. Lecz jej obecność nie może ugasić jego tęsknoty. Vernon niewiele już czuje. Odczuwa tylko brak. Nie czuje nawet nieobecności. Jedynie brak. To, co zostało mu brutalnie odebrane. Nie ma niczego innego.

Jest w stanie się wysławić. Chociaż rzadko próbuje. Mówi: „Parzysz dokładnie taką kawę, jaką lubię”. I widzi jej uśmiech. Jest mu przykro, że sprawia jej kłopot. Ona się cieszy, gdy może mu sprawić przyjemność, promienieje radością, kiedy tylko coś powie. W pierwszych dniach po prostu tkwił w tym miejscu, w bezruchu. Ale teraz składa kanapę, na której śpi, kładzie poduszki na miejsce, chowa pościel w bieliźniarce przy wejściu. Nie chce jej zawadzać. Marcia mówi, że robi duże postępy. Ale dokąd miałyby go to zaprowadzić? Mówi, że to kwestia czasu. Ale po co to wszystko? Na co ona czeka?

Kiedy Marcia wychodzi z domu, Vernon zamiata podłogę w pokoju, w kuchni, balkon. Sprawdza czas, przed jej powrotem szeroko otwiera okna, bo wie, że Marcia lubi, gdy mieszkanie jest przewietrzone, mówi o krążącej energii chi. Toteż wprawia energię chi w ruch. Boi się, że nieprzyjemnie pachnie. Jego zapach się

zmienił. Marcia mówi: „Nie, zwariowałaś, czuć cię facetem, wszyscy macie podobny zapach... Nawet kiedy jesteście czyści...”. Jego pot jest inny: zalatuje od niego strachem pomieszanym z bezbrzeżnym smutkiem. Ten zapach mu przeszkadza. Zmienił się w blok nieszczęścia. Również dlatego wietrzy mieszkanie. Krząta się. Jego umysł znów funkcjonuje, choć myśli czasem się urywają, ale to powraca. Sekwencje słów, konkluzji, listy muzyczne.

Niczego nie czuje. Nie czyni żadnych wysiłków. Nie chce dojść do siebie. A jednak ubolewa, że Marcia musi tak się dla niego poświęcać. I że nadal się niepokoi, gdy on nie jest w stanie niczego zjeść. Nic nie chce mu przejść przez gardło. Kiedy ma zjeść pół jabłka, robi się cała historia. To, że jego ciało staje się lżejsze, przynosi mu ulgę. Nie chce, by Marcia się martwiła, to najsilniejsza z emocji, jakie odczuwa. Nie ma ochoty na jedzenie. Chce być jak ptak. Bardzo lekki. Już prawie nieobecny.

Nauczył się zawieszać w próżni wszelkie procesy myślowe. W nieunikniony sposób prowadzą go do piekła. Nie należy wypowiadać imienia złego. Nigdy nie wspomina tragedii. Ani jej daty. Nie chce o niczym wiedzieć. Nigdy nie zapuszcza się w te rejony.

Śpi niespokojnie. Nie chce jej budzić, ale kiedy pogrąża się we śnie, nie kontroluje swych krzyków. Marcia wstaje i bierze go w ramiona, kołysze. Nie skarży się na to. Czasem w nocy daje mu na krótko poczucie bezpieczeństwa. Wtedy się od niej odsuwa, boi się, że przyniesie mu to wytchnienie. Czuje, że nie wolno mu się wyluzować. Marcia oplata go ramionami, nogami, gdy ma koszmary, przyciska się do niego. Vernon nic nie mówi, ale zadaje sobie pytanie, po co właściwie to wszystko. Co ma z tego wyniknąć? Dlaczego ona zadaje sobie tyle trudu? Nie ma zamiaru wychodzić z tego stanu. To byłoby nie w porządku.

Sprawia, że jej życie stało się nie do zniesienia, pełne najrozmaitszych zakazów. Jedynym programem, który mogą oglądać razem, w internecie, i przy którym Vernon nie wpada w panikę, jest *RuPaul's Drag Race**. Marcia zna na pamięć wszystkie odcinki, imiona wszystkich uczestniczek, zakulisowe skandale.

Vernon nie zwraca uwagi na to, co się tam dzieje. Ale rywalizacja drag queen jakoś mu nie przeszkadza. A ona lubi siedzieć obok niego, chrupie prażone ziarna słonecznika, komentuje akcję. Czasem nawet udaje jej się zmusić go do uśmiechu.

Lecz nie jest w stanie oglądać telewizji ani surfować w sieci. Kilka razy odruchowo włączył telewizor. Chcąc uciec od ciszy. Zawsze natrafiał na wyjątkowo brutalne sceny. Za każdym razem. Hektolitry krwi, wrzaski, trupy, ogień. Obrazy z filmów, obrazy z Aleppo – nie interesuje go, czy są prawdziwe czy nie. Nie chce wiedzieć. Zależy im tylko na tym, żeby to znów się zaczęło. Vernon nie może tego znieść. Popada w paranoję – tylko to ich pociąga, zbiorowe groby, zwały trupów i łyzy ocalałych.

Wtedy Marcia ociera mu pot z czoła, cierpliwie czeka, aż ten kryzys minie: „Kim są »oni«?”.

Vernon nie chce się nad tym zastanawiać. Za każdym razem gdy próbował oglądać telewizję czy zobaczyć coś w internecie, widział odciętą głowę, rzucony granat, dom wysadzony w powietrze, wyrwane oko, porozrywane ciała przechodniów, kobietę całą we krwi, która błaga, by oszczędzono jej syna. Gdy włącza telewizor, niezmiennie widzi śmierć. Ma świadomość, że poczuje się znacznie lepiej, gdy będzie w stanie delektować się tym jak inni. Napawać się. Wtedy Marcia stawia laptop na stoliku i oznajmia: „Do RuPaula możesz mieć pełne zaufanie, nigdy nie ma u niego krwi. Zobaczymy Alaskę, naprawdę ją uwielbiam”. Przyjemność, jaką odczuwa, pokazując mu swój ulubiony program, jest zaraźliwa. Ale gdy Vernon choć na chwilę zapomina o smutku, zaczyna go to niepokoić. Nie chce się od niego za bardzo oddalać. Jak dziecko, które kurczowo trzyma się brzegu basenu.

Muzyka mu przeszkadza. Również. Stara się. Nigdy się nie uskarża. Nie chce, by Marcia, której nie wolno już nikogo zapraszać, włączać radia, ukradkiem zaglądać do internetu, przynosić do domu gazet i tak dalej – nie mogła posłuchać żadnej płyty. Vernon słyszy tylko kolejne nuty. Brakuje mu ciągłości. W sumie woli od tego pustkę upływającego czasu. Mijających godzin.

Zablokowała drzwi w głębi sali. Vernon patrzył gdzie indziej. Nikt jej nie zauważył, nie było żadnych krzyków, bo nikt niczego się nie spodziewał. Rzuciła trzy granaty. Po pierwszej detonacji wszyscy uświadomili sobie, co się dzieje. Było już tyle zamachów, masowych morderstw – ludzie od razu popatrzyli na siebie z przerażeniem w oczach, przy drugim wybuchu padli na podłogę, nikt nie wiedział, skąd padają strzały, sala była już pełna dymu, ludzie kaszleli, biegnąc, potykali się o trupy innych. Vernon dostrzegł jej sylwetkę. Miała na twarzy maskę chroniącą ją przed dymem. Celowała w głowę, potem w serce, dwie kule w każde ciało. Kierowała na nich snop światła z bardzo mocnej latarki, by widzieć w kłębach dymu poruszające się kształty. Jak w grze wideo. Nazajutrz policja znalazła na miejscu ponad trzysta łusek.

Kiedy Vernon skupia się dłużej na jednej myśli – widzi profesjonalne narzędzia. Granaty, kałachy, kule. Te przedmioty, które wytwarzają fabryki. I które są używane zgodnie ze swym przeznaczeniem. Właśnie po to się je produkuje. Żeby zabijać odrywać członki od ciała masakrować palić. Nie ma w tym żadnego przypadku. To bardzo skuteczne narzędzia. Wiemy, kto po nie sięgnie. Do czego posłużą. Sprawa jest całkiem jasna. Ludzie są zszokowani. A przecież są małe szanse, by granat posłużył za przycisk do papieru. Granat robi to, co do niego należy. Tak samo jak kałasznikow. Jak karabin. W tym równaniu jedyna zmienna zawiera się w pytaniu: czy znałeś tych ludzi, nim stali się trupami?

Blokuje myśli. Są bezużyteczne. Jest nieprzystosowany. Nie stara się tego zmienić. Nie chce się z tego otrząsnąć.

Céleste obracała się wokół własnej osi z zamkniętymi oczami, otwartymi dłońmi, delikatnie stawiając stopy na podłodze, zdawała się spokojna.

Jej ciało zakreśliło łuk, upadając do tyłu. Łuk doskonały. Już po pierwszej eksplozji.

Właśnie ją Vernon zobaczył jako pierwszą.

Nie widział wszystkich w tym zamięcie. Uderzył w czyjeś ramię, Xavier osunął się na niego, potem ktoś, kogo nie znał. Nie udawał martwego, żeby ocalić życie.

Olga cofnęła się z wrzaskiem i upadła na nich. Nie mógł się poruszyć. Ale widział. Powinien był krzyczeć. By o nim nie zapomniała. Nie widział upadającej Mariany, ale jej nazwisko znalazło się na liście. Były na niej wszystkie nazwiska.

Marcia opiekuje się nim. Bez wahania, bez słowa skargi, nie oczekując niczego w zamian. Od miesięcy moczy ręczniki w zimnej wodzie, zostawia je na kilka minut w zamrażalniku, potem wyciera jego skronie, szyję. Mówi, że jest cały rozpalony.

Układa puzzle. Nie szuka sobie zajęcia, ale myśli, że ona mniej się martwi, gdy widzi, że coś robi. Ktoś podarował jej puzzle złożone z tysiąca elementów, przedstawiające ptaki świata. To staromodny rysunek, barwny i realistyczny. Marcia nawet nie otworzyła pudełka, pomyślała: co za kretyn wymyślił taki prezent? Vernon zaczął je układać z zadziwiającą wewnętrzną dyscypliną. Gdy skończył, Marcia zamówiła kolejne pudełko, by sprawdzić, czy poradzi sobie równie dobrze. Tym razem był to obraz złożony z pięciuset puzzli, przedstawiający tygrysa biegnącego po śniegu. Bardzo wiele odcieni bieli. Vernon może całymi godzinami przebierać we fragmentach, spoglądając na wzór, poszukując odcinka linii, cienia, który pozwoliłby mu się zorientować.

Vernon jest jedynym ocalałym. Długo miał nadzieję, że usłyszy o jakiejś innej osobie, która to przeżyła. Teraz już nie. Gdy wyszła i ucichły wystrzały na zewnątrz, z trudem wyczołgał się spod ciał. Wszyscy wokół wydawali się pogrążeni we śnie. Kałuża krwi łączyła ich ciała. Robiła się coraz większa. To był jedyny dostrzegalny ruch w całym pomieszczeniu.

Broń temu właśnie służy. Spełniła swoje zadanie.

Vernon widział w oddali, w mroku – ta scena rozegrała się w otwartej na oścież bramie fabryki – sylwetkę mężczyzny, który strzelił w głowę kobiecie. Rozpoznał Maxa. Widział, jak się oddala. Zrozumiał, co się stało. To wydało mu się niedorzeczne. Ale zrozumiał. Dopalet został pomszczony. Nie mówi o tym Marcii. To daremne.

To była bez wątpienia najpiękniejsza impreza, jaką zorganizowali. Był nadzwyczajny pogłos, dziewczyny z Bordeaux wzniosły się na wyżyny swoich umiejętności i mogło się wydawać, że dźwięk wydobywa się z murów, otulając tańczących.

Niczego nie opowiedział Marcii. Mówienie o tym nie ma sensu. Co się stało, już się nie odstanie. To, co wydarzyło się później, go nie interesuje. Artykuły prasowe, portale społecznościowe, komentarze, wyrazy ubolewania i rozmaite teorie. Jego wargi ważą całe tony. Jego język również jest bardzo ciężki. Wypełnia mu usta. Napawa go obrzydzeniem.

Już jakiś czas temu stwierdził, że Marcia stała się uprzedzająco miła. Najpierw pomyślał, że litość, jaką w niej wzbudza, zaczęła ją irytować i w związku z tym stała się jeszcze bardziej uczynna. Ale któregoś wieczoru usiadła. Nie zaproponowała obejrzenia odcinka programu RuPaula.

„Cóż. Waham się, czy ci to powiedzieć. Nawet nie wiem, czy to cię zainteresuje... Ale nie mogę już codziennie na ciebie patrzeć, nie wiedząc, co myślisz... Poza tym się boję, że będziesz miał mi za złe, jeżeli dowiesz się o tym w inny sposób. Chodzi o film. Pewien producent zamierza opowiedzieć waszą historię w serialu. To ojciec Antoine’a, młodego człowieka, który był tam tego wieczoru. Biedny człowiek... Stracić syna w ten sposób... Napisał scenariusz, żeby się z tym uporać... Z początku chodziło mu o to, by nadać swojemu cierpieniu jakiś sens... Po prostu jakoś to przeżyć. Ten serial odniósł ogromny sukces. Muzyka jest genialna – znakomita robota. To nie jest jakiś głupawy film akcji, ma całkiem inny klimat, nie można oderwać oczu... Oglądałam go, nie mówiłam ci, ale to robię – wszyscy go oglądają. Nie sądzę, by w pełni oddawał rzeczywistość, jest tam pełno nawiązań do historii Chrystusa... I twoja postać, wybaczyć, ale tak właśnie jest, przypomina postać Jezusa. Alex Bleach kojarzy się z Janem Chrzcicielem... Są tam wszyscy uczniowie... A ponieważ wszystko się dobrze kręci, nie tracą czasu – wypuścili już animowaną mangę. Twój awatar jest tam genialny. Naprawdę do ciebie podobny. I odnaleźli, nie wiem, jakim cudem, książkę napisaną przez

Lydię Bazookę, opublikowali też teksty Olgi... I wszystko, co się wiąże z osobą Subutexa. Niesamowite, jak to się sprzedaje. Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale zaraz po tej tragedii komentarze w necie były dość nieciekawe. Pamiętasz, jak jest w sieci – jak nie trafisz na trolla, to pojawia się jakiś stuknięty naziol – więc to, co można tam było przeczytać, nie zawsze było super... Ale teraz... Vernon, za sprawą tych mang każdy zna twoją gębę. Od Polski po Sydney, od Berlina po Tokio czy Nowy Jork. Dopalet i Max, dwaj goście, którzy to rozkręcili, są niesamowici, są bardzo skuteczni, to biznesowy tandem tego roku... Nie mogłam dłużej pomijać tego milczeniem, Vernon. Rozumiesz? Chcesz zobaczyć, jak to wygląda?”

Nie. Nie chciał. Musiała wiele razy wracać do tego tematu, zanim okazał jakiegokolwiek zainteresowanie. Dopalet był zdecydowanie przystosowany do świata, w którym żył. Zlecił dokonanie masakry. Potem nakręcił o tym serial. To nie wzbudzało w Vernonie uczucia złości. W ogóle nie był tego ciekawy. W fabrykach wytwarza się taśmowo granaty, tacy jak Dopalet wpływają na bieg Historii.

Komórka Marcii wibruje na stole. Patrzy na ekran i wzdycha:

– Właścicielka Rogera czeka na dole. Wezmę wszystko, co dał mi weterynarz, receptę, aerozol na pchły...

– Nie poprosisz jej tutaj?

– A jeśli cię zobaczy? Jeżeli cię rozpozna?

– Mogę naciągnąć kaptur. Mogę pójść do łazienki.

– Wszyscy są przekonani, że nie żyjesz, Vernon.

– Ciągle mi to powtarzasz. Niech sobie tak myślą.

* Amerykańskie reality show, emitowane od 2009 roku, którego celem jest wyłonienie spośród uczestniczek najbardziej utalentowanej drag queen.

Vernon Subutex zmarł na zapalenie płuc w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Nigdy więcej nie był osobą bezdomną. Dokończył swoich dni u boku Aichy i jej córki Sabry na wyspie Hydra. Okoliczności, w jakich udało im się odnaleźć, nie są jasne. Subutex nigdy nie okazał najmniejszego zainteresowania konwergencjami, od których zaroiło się w całej Europie w latach po masakrze.

Na krótko przed swoją śmiercią Sabra opublikowała w sieci wiele tekstów, opisując lata, w których dorastała u boku Subutexa. Jej świadectwo uznano za apokryf, ale wielu wczasowiczów potwierdziło obecność na wyspie mężczyzny, którego fizyczne podobieństwo do bohatera animowanej mangi *Vernon Subutex* było uderzające. Około roku 2077 zaczęto po raz pierwszy wspominać o zmartwychwstaniu proroka. Ta legenda znacząco wpłynęła na wzrost zainteresowania konwergencjami.

W roku 2085 muzyka została zakazana we wszystkich cywilizacjach zarządzających Wielkimi Terytoriami. Trzy monoteistyczne megamiasta, kontynent postmarksistowski i zamieszkały przez rdzenną ludność kontynent amerykański cenzurowały wszelkie muzyczne formy, kierując się sprzecznymi nieraz pobudkami, które miały wszakże jeden punkt wspólny: wszędzie uznawano muzykę za przejaw moralnej dekadencji, element zagrażający spójności społeczeństwa. Zdaniem jednych miała szerzyć bezbożną rozpustę, w opinii innych podważała kult jedyne Boga, jeszcze inni mówili, że jest ściśle związana z ultraliberalną zasadą korzystania z uciech życia doczesnego.

Od roku 2100 grupy biorące udział w podziemnych konwergencjach zaczęto prześladować, a na ich uczestnikach dokonywano egzekucji. Każdy, kto im udzielał pomocy, podlegał surowej karze. Ruch skupił się wówczas w Europie, której rozległe obszary wciąż były zaludnione, pomimo katastrof nuklearnych. Represje były prowadzone na szeroką skalę, jednak adeptów sekty Subutexa trudno było

schwytać. Poruszali się w małych grupach, komunikowali się z sobą, nie używając sieci, byli ekspertami w sztuce kamuflażu. Najchętniej obozowali w głębi lasów, ale byli też w stanie przeżyć wiele tygodni w centrum jakiegoś miasta, kryjąc się w piwnicach, tak iż nie można ich było namierzyć. Rozwinęli w sobie instynkt łownej zwierzyny. Byli wyczuleni na każdy szmer, zawsze gotowi do ucieczki, zwinni, zdolni przez długi czas obywać się bez żywności. Wyznawców ich kultu cechował ponadto pewien umysłowy niedowład, co sprawiało, że byli nieprzewidywalni. Nigdy nie udało się do końca wytrzebić tego koczowniczego ludu.

Mając na celu poprawę efektywności energetycznej, władze wielkich cywilizacji wprowadziły całkowity zakaz użytkowania energii elektrycznej w Europie. Tubylczą ludność zamknięto w kompleksie obozów, gdzie jej zadaniem było wytwarzanie energii, z której nie miała już jednak prawa korzystać. Ta polityka podziałała destabilizująco na miejscowe ludy, już i tak osłabione przez długotrwałe wojny, epidemie i akcje przesiedleńcze. Europejczycy, nieprzystosowani do nowych warunków życia, zapóźnieni technologicznie, byli uzależnieni od internetu – prymitywnej inteligencji sieciowej o zasięgu globalnym, która była ich podstawowym środkiem komunikacji. Adepti konwergencji skorzystali z zamętu, jaki powstał po wprowadzeniu całkowitego zakazu używania energii elektrycznej: byli przyzwyczajeni do życia w ciemnościach, od dawna się przemieszczali, by uniknąć surowych zim, orientowali się w terenie na podstawie obserwacji gwiazd i porozumiewali się między sobą w archaiczny sposób, co teraz dało im przewagę nad innymi. Rozwinęli też system komunikacji na papierowych nośnikach – przekazywali sobie informacje tekstowe na kartach, posługując się techniką pisma bez klawiatury, która zanikła przed dziesiątkami lat. Otaczali kultem dźwięki zapisywane za pomocą innej pradawnej techniki – nazywanej winylem – i odtwarzali je, sami wytwarzając energię. Właśnie te archaiczne technologie pozwoliły im przetrwać. Byli stosunkowo nieliczni. I nie wyrządzali znaczących szkód: wprawdzie dopuszczali się drobnych kradzieży, od czasu do

czasu przywłaszczali sobie skrzynkę protein czy panel słoneczny, jednak te wykroczenia nie usprawiedliwiały represji na wielką skalę.

Nie byli tolerowani, lecz w końcu o nich zapomniano.

Europa była wówczas podzielona na trzy strefy administracyjne: obozy produkujące energię, obozy dawców narządów i eksperymentów medycznych oraz ośrodki wypoczynkowe. Niektóre europejskie miasta zostały całkowicie odkażone, umieszczone pod kloszem i zamienione w centra turystyczne. Uważa się, że właśnie w tym okresie adepci konwergencji musieli potajemnie opuścić Europę i przenieść się do Wielkich Terytoriów. Posiedli zdolność adaptacji, jaka cechuje wodę, byli znawcami kartografii, a dzięki przemyślanym mapom potrafili odnaleźć i wykorzystać najdrobniejszą szczelinę w sieci wyznaczającej granice strefy, w której musieli przebywać skażeni Europejczycy.

Pierwsze ślady obecności adeptów konwergencji na terytoriach rozwiniętych odnajdujemy pod koniec drugiego wieku trzeciego tysiąclecia. Na Dalekim Wschodzie, Antarktydzie, południu Afryki, a nawet Wyspach Karaibskich. Wielkie cywilizacje zerwały z dawnym obskurantyzmem. Muzyka nie była już zakazana. Traktowano ją jak relikwizję zamierzchłej epoki.

Wspólnoty oddające się konwergencjom znalazły nieoczekiwane wsparcie ze strony niektórych przedstawicieli rozwiniętych społeczeństw. Naukowcy, badacze, intelektualiści próbowali zrozumieć fenomen tej białej subkultury, widząc niekiedy w naiwnej sztuce przejaw kultury wysokiej. Zarchiwizowali oni na trwałych nośnikach tysiące godzin muzyki i tekstów źródłowych.

Dostrzegając ten coraz bardziej popularny trend, władze Wielkich Terytoriów opublikowały wiele istotnych aktualizacji – Subutex nigdy nie był prorokiem, podobnie jak Alex Bleach, a troje apostołów – Olgę Isladovic, Lydię Bazookę i Laurenta Dopaleta – uznano za uzurpatorów. Ale kult konwergencji rozpowszechnił się jeszcze bardziej. Sprowadzał się on do grupowych tańców przy dwóch równoległych podkładach dźwiękowych – co wprawiało w zdumienie

specjalistów: nikt nie był w stanie zrozumieć, dlaczego w pełni świadome jednostki lubią się miotać bez sensu przy wtórze prymarnych melodii.

Trzeba było poczekać na rozwój technik kinezytycznych i podróży w czasie, by móc zrozumieć to zjawisko. Tak samo jak w czasach przed udomowieniem ognia dwunożne istoty uderzały kamieniem o kamień, by w ten sposób podpalić wiecheć suchej trawy, ta grupa prymitywnych Europejczyków – nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi – „skleciła” naprędce system umożliwiający otwarcie „wielkich wrót”.

Przed pojawieniem się grupy Subutexa znamy jedynie dwa przypadki otwarcia wielkich wrót – dokonały tego cywilizacja egipska i cywilizacja Majów. Lecz sekta Subutexa, w przeciwieństwie do wielkich mistrzów alchemii i wibracyjnych magii, nie dysponowała żadną wiedzą na temat kinezy. Nadzwyczajny przypadek pozwolił jej uzyskać genotypową synchronizację energii, zestroić z sobą adekwatne fale i przyspieszyć rytm zatokowy serca... Ta hipoteza wydaje się niewiarygodna, oparta na zbyt wielu zbiegach okoliczności – lecz fakty są bezsporne. Wielkie wrota zostały otwarte pod koniec dwudziestego stulecia w wielu miejscach na nieskażonych jeszcze terytoriach europejskich i obecnie często są używane. Najrozmaitsze istoty – zwierzęce, pozaziemskie, boskie, *post mortem*, ultraczęstotliwe – chętnie wykorzystują to przejście. Skrzyżowanie, o którym mowa, zyskało nazwę Lost Paradise. Można przez nie wybrać się w podróż na Ziemię z czasów sprzed wielkich katastrof, cofnąć się do początku dwudziestego pierwszego wieku. By nawiązać tam kontakt z żywymi zwierzętami, zobaczyć naturalne światło, móc oddychać nieskażonym powietrzem, a nawet wykąpać się w wodzie bez żadnej ochrony.

Praktyką budzącą dziś największe zdumienie – nie ma ona bowiem żadnego racjonalnego wytłumaczenia – pozostaje taniec. Wiele niewidzialnych istot miesza się z tłumem tancerzy.

Adeptów konwergencji nie sposób uznać za neofitów. Oddają cześć niezwykle licznym świętym, a liturgia, jaka się rozwinęła wokół bogów rocka, jest całkowicie

niezrozumiała dla niewtajemniczonych. Podkreślmy absolutną bezinteresowność tych praktyk, podczas których nie obowiązują żadne zakazy.

W roku 2186 Szahida, potomkini Aïchy, wywodzącej się z linii Sélima dyplomaty, należącego do kręgu pierwszych uczniów, zwróciła się do światowego rządu o oficjalne uznanie kultu Subutexa. Jej apel odrzucono. Jednak dekrety nakazujące prześladowanie wyznawców zostały wkrótce zniesione z uwagi na wielkie zainteresowanie, jakim cieszą się wrota otworzone przez dawnych adeptów kultu. Toteż wbrew wszelkim oczekiwaniom u schyłku trzeciego tysiąclecia nadal można tańczyć – w ciemnościach, przy dźwiękach prymitywnej muzyki, której kult wydaje się ponadczasowy.

Spis treści:

Lista osób pojawiających się w poprzednich tomach

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Vernon Subutex. Tome 3*

© Virginie Despentes et les Éditions Grasset & Fasquelle, 2017

Copyright © for the translation by Jacek Giszczak

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korekta: Studio NOTA BENE

Projekt okładki: Nikola Hahn

Grafika na okładce: Karim Adduchi

ISBN 978-83-7515-619-5



OTWARTE

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. (12) 427 12

00

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com